

Deborah Lawrence

Tajemnica Sary

Dla
mojej wnuczki, Taylor Rylie.
Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, kochanie,
z sercem i miłością
oraz dla
E. C. Thompsona, prawdziwego bohatera

Podziękowania

Do każdej książki trzeba poszukać innych informacji. Ta opowieść wymagała skonsultowania się z lekarzem, który potrafiłby zrozumieć moje niekiedy dziwaczne zainteresowania. Miałam szczęście i odkryłam dokładnie takiego człowieka, jakiego mi było trzeba.

Z głębi serca dziękuję Erringtonowi C. Thompsonowi, lekarzowi medycyny, dawnemu docentowi chirurgii i ordynatorowi Trauma Surgical/Critical Care przy Louisiana State University Medical Center w Shreveport. Erringtonie, pomógł mi uprawdopodobnić moją wizję, szczerze dzieląc się ze mną własnym doświadczeniem, wiedzą i czasem. Odpowiadałeś na moje rozliczne pytania i dbałeś o Gila, jakby był twoim własnym pacjentem. Dziękujemy ci „oboje”.

Szczególne wyrazy wdzięczności dla Laury Taylor za okazanie aprobaty dla moich pomysłów. Jeżeli rzeczywiście najlepszym zwierciadłem jest dobry przyjaciel, to bez dwóch zdań muszę być osobą wspaniałą i utalentowaną w wielu dziedzinach.

Prolog

Jackson County, Illinois, 1850

Dziesięcioletnia Sara Simmons pędziła przez wysoką trawę tuląc pod pachą Esmee, swoją ukochaną lalkę. Czepczek zsunął się jej z głowy i zwiślał na wiązadłach.

- Phoebe, pospiesz się, jesteśmy już prawie na miejscu. - Na całym świecie nie miała droższej przyjaciółki niż Phoebe Nelson.

Stary wiąz, sekretne miejsce ich spotkań, znajdował się tuż przed nimi. Było późne popołudnie. Jeżeli Phoebe spóźni się za bardzo do domu, mama porządnie złozi jej skórę. Sara dobiegła do drzewa pierwsza i sprawdziła, czy zasuszony złocien z ciemnym środkiem nadal leży pod kamieniem, pod którym go ukryły.

Phoebe podbiegła do niej.

- Jest?

- Mhm. - Sara podniosła w górę płaski kwiat. - Widzisz? Wiedziałam, że nikt tu nie przyjdzie. To miejsce zostanie na zawsze nasze.

Phoebe usiadła i położyła sobie na kolanach Linnet, swoją lalkę.

- Nie rozumiem, dlaczego musiałyśmy iść aż tak daleko. Mogłyśmy to zrobić w domu albo za stodołą.

Sara zmarszczyła nosek i skrzywiła się.

- Nie chcę przypieczętować naszej wieczystej przyjaźni w pobliżu stodoły albo domku z serduszkami.

Phoebe poprawiała strojny bonet na głowie Linnet i po-

całowała lalkę w policzek, a dopiero potem popatrzyła na Sarę.

- Jesteś gotowa?

Sara sprawdziła, czy nie rozwiązała się kokarda przy fartuszkach Esmee, ucałowała ją i kiwnęła głową. Wyciągnęła Esmee w kierunku Phoebe i powiedziała:

- Będziemy zawsze najlepszymi przyjaciółkami i obiecuję, że Linnet będzie zawsze przy mnie bezpieczna.

- A ja przyrzekam, że będę dbała o Esmee i będę twoją ukochaną przyjaciółką aż do śmierci - potwierdziła Phoebe.

Wymieniły się lalkami, które zrobiły dla nich matki, a następnie przytuliły się do siebie.

Sara odchyliła się w tył patrząc cały czas Phoebe w oczy.

- Nigdy cię nie opuszczę. Nigdy.

- Nie, nigdy, nawet jak wyjdziemy za mąż. - Phoebe kołysała Esmee w ramionach. - A nasze córeczki urosną i też zostaną najlepszymi przyjaciółkami!

- Phoebe!

- To mania - powiedziała Phoebe zrywając się na nogi. - Lepiej już chodźmy.

Sara się również zerwała, chwyciła Phoebe za rękę i biegły ze swoimi lalkami, aż dobiegły na skraj pola do pani Nelson.

- Dzień dobry pani. Zabrałyśmy Esmee i Linnet ze sobą na spacer.

- Pora na kolację. - Pani Nelson potrząsnęła głową. - Jestem pewna, że twoja matka też ciebie szuka, Saro.

- Nie da pani Phoebe w skórę, prawda?

Pani Nelson ostro zmierzyła Sarę spojrzeniem, a potem zwróciła się do Phoebe.

- Jeżeli jeszcze raz będę musiała za tobą gonić, niewątpliwie to zrobię. - Chwyciła córkę za rękę, którą ścisnęła Sara i ruszyła.

Sara mrugnęła do Phoebe i pobiegła razem z nimi. Nigdy

nie była pewna, czy pani Nelson nie zrealizuje którejś ze swoich gróźb, ale miała wrażenie, że dzisiaj nic Phoebe nie grozi. Kiedy dotarły do rozstaju, na którym Sara powinna skręcić do domu, dziewczynka uśmiechnęła się szeroko do Phoebe, przytuliła do siebie Linnet i w podskokach pobiegła gruntową, prowadzącą na farmę drogą.

1

Gridley, Oregon, 1873

W saloonie o nazwie „Wedge” było pusto. Gil Perry wyszedł zza baru, przyniósł miotłę z pokoju na tyłach i zaczął zmiatać lepiące się od brudu trociny w kierunku drzwi. Nie widział, żeby ktokolwiek przechodził przed saloonem od chwili, kiedy usiadł do obiadu. Miał wrażenie, że jest jedyną osobą w całym miasteczku.

Zamachnął się miotłą i cały stos brudu i trocin wyleciał na zewnątrz, na chodnik z desek. Zanim zdążył opuścić miotłę, ciszę rozdarło przeraźliwe „auuu!”

Sara Hampton z wściekłością otrzępywała spódnicę, chociaż powinna była raczej swój gniew wyładować na niezgrabiaszu, który właśnie wyrzucił na nią śmieci. Właśnie dzisiaj rano wyprasowała sukienkę w szkocką kratę, a teraz pokryta była ona brudem, wiórami i jeden Pan Bóg wie czym jeszcze.

Było na co popatrzeć, kiedy tak stała wymachując spódnicą, jakby opadło ją stado szczurów.

- Pani Hampton. Nie zauważyłem pani.

- Oczywiście, że nie - powiedziała piorunując go wzrokiem. To był ten barman, pan Perry. - Nawet pan się nie rozjezrzył! - I jeszcze szczyrzył do niej zęby, dureń jeden. Jakieś niewiniątko dałoby się pewnie nabrać na jego dźwięczny głos czy długie, ciemne rzęsy, które ocieniały brązowe oczy, ale ona nie.

Pani Hampton rozsiewała wokół siebie zapach bzu. Perry wciągnął ten delikatny aromat głęboko do płuc i uśmiech-

nał się w duchu. Pomimo wszystkich swoich górnolotnych przekonań włosy nosiła rozpuszczone. Wiedział, że nie jest jedynym mężczyzną, który chciałby przegarnąć ręką to ciemnobrązowe, faliste piękno, ale jej niebieskie oczy z równą łatwością potrafiły mężczyznę onieśmielić, co zwabić. Jeden lok długich włosów spoczywał teraz na jej ramieniu. Poruszyła ręką i słońce zabłysło na złotej obrączce. Gil słyszał, że jej świętej pamięci mąż zmarł ponad rok temu; zastanawiał się, co mogłoby sprawić, żeby Sara tę obrączkę zdjęła.

Od trzech miesięcy przyglądał się, jak chodzi po ulicy, słyszał raz, jak się serdecznie śmieje i czytał w *Gridley Gazette* pisane z werwą artykuły, ale nigdy jej nie zaczepił.

Tego spotkania wprawdzie nie zaplanował, ale zdecydowanie zwrócił na siebie jej uwagę.

- Pomogę się pani otrzepać. - Rzucił miotłę i postąpił krok w jej kierunku.

Sara odskoczyła i gwałtownym ruchem usunęła spódnicę.

- Proszę trzymać ręce przy sobie. - Odwróciła się na pięcie i poszła dalej.

Po śmierci męża Sary Phoebe pisała do niej o życiu w Oregonie, o urodzie tego kraju, o świeżo uzyskanej wolności, którą cieszyły się kobiety - ale słowem nie wspomniała o mężczyznach. Na szczęście nie wszyscy byli tacy jak pan Perry, ale uczciwie rzecz biorąc wcale Sary nie interesowali.

Przynajmniej nie wtedy.

I właśnie dlatego ruch sufrażystek wydał jej się pociągający. Gdyby kobiety stały się niezależne, mężczyźni nie mieliby prawa kierować finansami kobiety albo jej życiem czy majątkiem. Nie chodziło o to, że Sara mężczyzn nie lubiła. Nauczyła się jednak, że mężczyzna nie jest konieczny, by kobieta mogła realizować swoje ambicje. Spotkanie kogoś takiego jak pan Perry w najmniejszym stopniu nie zmieniło jej przekonań.

Zeszła z drewnianego chodnika i zatrzymała się na moment na słońcu. Otrzepała spódnicę jeszcze raz i zerknęła

za siebie w kierunku saloonu. Ten człowiek ośmielił się do niej szeroko uśmiechnąć, zanim wrócił do środka - czyli dokładnie tam, gdzie było jego miejsce.

- Phoebe, musisz coś zrobić z Sarą...

Phoebe Abbott podniosła oczy znad poczty, którą sortowała, i zerknęła na swojego męża Charlesa.

- To ty jesteś jej pracodawcą, a ja przyjaciółką. Powiedziałabym, że jest to coś, czym ty powinienes się zająć.

Charles przemierzał pokój redakcyjny.

- Ta jej szpalta dla dam była dobra. Z przyjemnością zobaczyłbym następną. - Uniósł w górę trzy kartki papieru i potrząsnął nimi. - Czy widziałaś, co napisała w tym tygodniu?

Phoebe, przyzwyczajona do wybuchów męża - wiek nie przytłumił jego temperamentu - wiedziała, że nie potrwa to długo.

- Jeszcze nie. Skończyła pisać wczoraj późnym wieczorem. - Sara nie zwierzała się jej, ale Phoebe nie przypuszczała, żeby miała ją zaskoczyć reakcją Charlesa. Na jej ostatnie dwa artykuły zareagował w podobny sposób. - Czy pyta wydawca *Gridley Gazette*? Czy może mój mąż? - Jego jasnobrzowe włosy przyprószone były teraz siwizną i utył o kilka funtów, ale ciemnobrzowe oczy wciąż połyskiwały i wciąż potrafiły spowodować, że czuła się znowu jak podłotek.

- Wydawca.

Phoebe uśmiechnęła się.

- Jest tak źle?

- Nie mogę czegoś takiego wydrukować w *Gazette*!. Połowa męzczyzn z miasteczka chce ją zlinczować, a reszta zwija się ze śmiechu, kiedy ją widzą na ulicy. Musi skończyć z tymi babskimi głupotami sufrażystek.

Phoebe wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Z pewnością nie mówisz tego poważnie. - Po czterna-

stu latach małżeństwa wiedziała, że jej mąż naprawdę tak nie myśli. - Zachęcałaś ją, żeby pisała dla kobiet w naszym mieście i to właśnie robi.

- Tym razem posunęła się za daleko. - Rzucił papiery na biurko i przesunął dłońmi po włosach. - Porozmawiaj z nią. Nie chciałbym, żeby mi do redakcji wmaszerowali wszyscy mężowie z tego miasta.

- Charlie... - Phoebe wstała, podeszła do męża i wzięła go pod rękę. - Sara po prostu chce, żeby kobiety nauczyły się samodzielnie myśleć. - Przycisnęła policzek do jego ramienia. - Dlaczego sam nie poprosisz, żeby napisała artykuł innego rodzaju?

- Masz coś do zaproponowania? Powiedziała, że nie jest w stanie zapełnić następnej szpalty tematem przepisów, haftów czy porządków domowych.

- I nie mam jej tego za złe. Sary nigdy nie interesowało prowadzenie domu. - Phoebe podniosła oczy na męża i uśmiechnęła się. - A może by tak artykuł na temat etykiety?

Mąż wybuchnął śmiechem.

- To idealne, moja droga. Naprawdę. Mam nadzieję, że podejdziesz do tego tematu z równie wielkim entuzjazmem jak do sufrażystek.

- Wydaje mi się, że trochę trudno jej usiedzieć na miejscu. To może być coś akurat dla niej. Jest tu dopiero od niedawna i na pewno zmiana nie była dla niej łatwa.

Phoebe zerknęła przez frontowe okno i zobaczyła Sarę, która właśnie przechodziła przez ulicę. Była atrakcyjną kobietą, chociaż Phoebe wiedziała, że niewiele uwagi poświęca swojemu wyglądowi.

- Już idzie - dodała. - Możesz z nią teraz porozmawiać. Może jeszcze zdąży napisać kilka akapitów do jutrzejszej gazety. - Phoebe uniosła twarz, pocałowała męża w zarosnięty podbródek i wróciła do biurka.

Sara przemaszzerowała przez drogę i weszła do redakcji *Gazette*. Wiszący u góry szyld zakołysał się i zapiszczał. Zamykając za sobą drzwi kątem oka zobaczyła saloon.

- Ktoś powinien nauczyć barmana dobrych manier - oznajmiła. - Ten człowiek stanowi poważne zagrożenie.

- Pan Perry? - przyjrzała się jej Phoebe. - Co się stało?

- Popatrz na moją spódnicę! - Sara ujęła materiał w dłoń i potrząsnęła nim. - Dziś rano ją wyprasowałam, a teraz jest cała brudna.

- Wiem, jak bardzo nie lubisz prasować - powiedziała z uśmiechem Phoebe - ale wydaje mi się, że nic się jej nie stało.

- Ten głupek wymiółł wszystkie brudy z saloonu prosto na moją spódnicę. - Sara zmarszczyła brwi i puściwszy materiał wygładziła go strzepnięciem dłoni. - Pewnie powinienam być wdzięczna, że nie opróżniał akurat nocników.

- Myślę, że nie zrobił tego naumyślnie. Pan Perry wydaje mi się nad wyraz sympatycznym człowiekiem. - Phoebe uśmiechnęła się do Sary. - Jest wcale atrakcyjny, nie uważasz?

Sara przewróciła oczami.

- Miła twarz, owszem, ale z pewnością nie mówi nic o usposobieniu danej osoby. Tej lekcji nauczyłam się wystarczająco dobrze i nie mam zamiaru przeżywać czegoś takiego jeszcze raz.

- Wojna zmieniła Johna. I nie tylko jego.

- No tak. Zdecydowanie na gorsze - powiedziała uroczyście Sara. - Kiedyś był uważny, uroczy i och, taki przystojny. Wierzyłam w każdą jego lukrowaną obietnicę... aż nie mogłam już dłużej zamykać oczu na prawdę. Codziennie bywał zalany.

- Nie wiedziałam... - Phoebe rzuciła Charlesowi zdezorientowane spojrzenie. - Nigdy mi nie mówiłaś.

- Nie zauważałam, ile wypija, dopóki nie wrócił z wojny; potem przeprowadziliśmy się do New Jersey i miałam nadzieję, że się zmieni. - Sara zerknęła na Charlesa. - Dość już o tym. Zostawiłam to wszystko za sobą w hrabstwie Camden.

Tak naprawdę to wcale nie zostawiłaś, pomyślała Phoebe.

Sara zerknęła na Charlesa, który najwyraźniej czuł się nieswojo. Doszła do wniosku, że mężczyźni nie bardzo lubią słuchać, kiedy kobiety tak otwarcie o nich mówią.

- Charles, wyglądasz, jakbyś przeczytał mój artykuł i nie był zachwycony. - Lepszej namiastki starszego brata nigdy nie będzie miała; i jak to między rodzeństwem, nie zawsze się ze sobą zgadzali.

Potrząsnął głową z typowym dla siebie znużeniem.

No i masz, pomyślała, te same zastrzeżenia co zwykle.

- Może byłoby to niezwykle przeżycie dla kilku z naszych czytelników, ale czy to źle, że zaproponujemy im coś, nad czym będą mogli pomyśleć?

- Nie. Tym razem mnie nie namówisz, Saro. Ale mam pomysł... - Zerknął na żonę, a potem zwrócił się do Sary. - Mogłabyś pisać o etykietach... o zapomnianych, dobrych manierach.

Sara wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

- O manierach? Tak, proszę pana, nie, proszę pani, proszę i dziękuję? - Nie sądziła, że był aż tak rozgniewany.

- No cóż.... - Potarł dłonią kark. - Phoebe, pomóż mi z tego wybrnąć.

- Sądzę - Phoebe uśmiechnęła się - że chodzi mu o dział, który pomógłby ludziom zorientować się, jak należy się zachowywać w różnych sytuacjach towarzyskich. Co tydzień mogłabyś pisać o innym problemie.

Sara przyglądała im się z niedowierzaniem.

- Mówicie serio?

Phoebe kiwnęła głową.

- Brzmi to niemal równie interesująco - jej przyjaciółka przewróciła oczami - jak porady dotyczące prania zanieczyszczonych prześcieradeł. - Podeszła do okna, potem wróciła do biurka, które dzieliła z Phoebe. - Uczysz swoje dzieci, jak mają się zachować. Każda matka to robi. Cóż więcej mogłabym dodać?

Phoebe usiłowała rozbudzić jej zainteresowanie.

- Właśnie narzekałaś na pana Perry'ego, a drwalom też by się przydało parę uwag, jak powinni podchodzić do kobiety, jak się do niej zwracać albo, skoro już o tym mówimy, jak odróżnić damę od kokotki. Sama mówiłaś, że kobieta nie może czuć się bezpieczna na ulicach od sobotniego popołu-

dnia do poniedziałkowego poranku, kiedy drwale są w mieście. - Sara wbiła wzrok w ścianę, oko jej zabłyśło.

- Dobrze byłoby może zacząć od tego, jak mężczyzna powinien witać kobietę - kiwając głową powiedział Charles niby to do siebie samego. - Potem mogłabyś udzielić kilku rad, w jaki sposób dama może zareagować, żeby okazać dzentelmenowi swoje zainteresowanie lub jego brak. Dostyc często skarżyłaś się na grubiaństwo flisaków i drwali. Miałaś okazję, żeby...

Phoebe zauważyła na twarzy męża wyraz grozy; najwyraźniej ugryzł się w język. Zrozumiał, iż mało brakowało, a powiedziała by coś głupiego i dałby Sarze pretekst, żeby trzymać mężczyzn na jeszcze większy dystans niż dotychczas.

- Saro, wystarczy strona czy dwie. Zrobisz to?

- Mhm...

Sara ściągnęła szal z ramion i powiesiła go na kołku. Maniery. Wrzaskliwi mężczyźni bez wychowania. Pan Perry. On przede wszystkim.

- Może to być dobra zabawa. - Uśmiechnęła się złośliwie do swoich myśli.

- Dobrze. - Charles odetchnął.

- Siadę od razu do tego artykułu, dopóki na świeżo mam sprawę w pamięci. - Podeszła do okna i uśmiechnęła się z namysłem w kierunku „Wedge”. Może uda jej się odpłacić panu Perry'emu.

Phoebe położyła pocztę męża na jego biurku, podeszła do niego i pocałowała go w policzek.

- Przypilnuję, żebyś miał ciepłą kolację, gdybyś się spóźnił. - Włożyła czepeczek i zdjęła pelerynę z kołka. - Do zobaczenia w domu, Saro.

- Tak... to nie powinno mi zająć dużo czasu.

Sara usadowiła się przy biurku. Zastanawiała się, czy nie poszukać sobie innego zajęcia, ale naprawdę cieszyło ją pisanie artykułów dla gazety. Nie zamierzała pisać tekstów, które irytowałyby Charlesa, ale wynik był taki, jakby to ro-

biła z rozmysłem. Ale przecież po kilku jej artykułach sprzedaż gazety podwoiła się. Może artykuły o etykiecie też dadzą taki dobry rezultat.

Zrobiła sobie listę tematów do wykorzystania na najbliższe tygodnie, ale jej artykuł wstępny miał dotyczyć tego, jak mężczyźni powinni, a jak nie powinni zwracać się do kobiet w miejscach publicznych. Szybko zapisała trzy strony, potem starannie przeczytała każdą linijkę, skorygowała i przepisała całość na czystym papierze. Powstrzymała się od wymienienia nazwiska pana Perry'ego, ale miała nadzieję, że kiedy usłyszy o tym artykule, zorientuje się, kogo miała na myśli.

Wręczyła kartki Charlesowi.

- Mężczyźni powinni znaleźć tu rady, które są im potrzebne.

Charles pospiesznie przeczytał pierwszy paragraf i kiwnął głową.

Sara uznała to za oznakę akceptacji.

- Hmm. - Przejrzał drugą stronę i popatrzył na nią. - Będziesz musiała napisać tych parę wierszy od nowa. - Zaznaczył miejsce ołówkiem i zwrócił jej kartki.

Sara przeczytała na głos wskazane linijki.

- Zbyt wielu panów uważa za swoje prawo zaczepianie kobiet na ulicy i w sklepach i narzucanie damom swoich niemile widzianych umizgów. Czas już, żeby panowie ci uświadomili sobie, że kobiety nie są nieodebrany bagażem, który czeka tylko, żeby wybawił je najbliższy osobnik płci męskiej, zwykle pachnący tanią whiskey i nieświeżym tytoniem.

Podniosła oczy.

- Nie widzę tu niczego niewłaściwego.

- Obrażasz niemal każdego mężczyznę w tym mieście.

- Tylko tych, którzy są nieokrzesani i aroganccy, tych, którzy nie potrafią zrozumieć, kiedy im się mówi „nie”. - Podała mu znowu kartki. - A może pozwolimy, by czytelnicy sami to osądzili?

- Przez ciebie posiwiały mi włosy - powiedział Charles

potrząsając głową. - Nigdy w tym mieście nie znajdziesz mężczyzny, który by się z tobą ożenił.

Sara uniosła jedną brew w jego kierunku.

- A czemuż to sądzisz, że chciałabym wyjść za mąż za jakiegoś mężczyznę z tego miasta? Albo z któregośkolwiek innego miasta, jeśli już o to chodzi?

- Większość kobiet woli nie być sama.

- Może to być prawdą w odniesieniu do niektórych, a nie do wszystkich. Większość kobiet potrafi świetnie radzić sobie z własnymi sprawami, chociaż niewiele z nich uświadamia to sobie.

- Jesteś bardzo przystojną kobietą, Saro. Mam nadzieję, że nie zwrócisz się przeciw mężczyznom. Nie wszyscy z nas są tacy jak John.

- Wiem. - Spojrzała na niego z wesołym uśmiechem i wyszeptła: - Czekam na takiego jak ty.

- Mam nadzieję - zachichotał Charles - że będę gdzieś w pobliżu, kiedy trafi kosa na kamień. To będzie zapewne niesłychanie interesujące.

- Phoebe powinna zrezygnować ze swatania i znaleźć sobie inne zajęcie.

- Ona chce tylko, żebyś była szczęśliwa. - Westchnął i podszedł do prasy drukarskiej. - Och, dobrze. Zamieszczę ten tekst. Kto wie, może sam się czegoś z tych artykułów nauczę.

- Jestem pewna, że Phoebe powie ci wszystko, co tylko chciałabyś wiedzieć.

- A nawet więcej. - Popatrzył na Sarę. - Tak sobie myślę, że powinnaś mieć pseudonim. Twoje ostatnie artykuły narobiły sporo zamieszania.

- Za to najnowsze może skłonią panów, żeby pomyśleli o czymś jeszcze poza whiskey i bijatyką. - Zastanawiała się przez chwilę i doszła do wniosku, że pociąga ją pisanie pod przybranym nazwiskiem. Poza tym dość już mu narobiła kłopotów jak na jeden dzień. Miała swoją ulubioną ciotkę i przekonana była, że ciotka Lucy nie weźmie jej tego za złe. - Lucy.

- Lucy co?
- Po prostu Lucy.
- Panna Lucy?
- Kiwnęła głową.

- Sądzę, że pochwaliłaby ten pomysł. - Będzie musiała wysłać egzemplarz gazety do ciotki, jak również do matki, z wyjaśnieniem, dlaczego wykorzystuje imię ciotki. Na pewno śmiechu będzie co niemiara. - Czy chciałbyś, żeby ci pomóc w składaniu?

- Dziękuję, ale mam swoje przyzwyczajenia.

Rozumiała go, ale od czasu do czasu zadawała to pytanie, na wszelki wypadek, gdyby zmienił zdanie. Okryła się szalem i zostawiła go przy pracy.

Ruszyła wzdłuż River Road. Był śliczny, wrześnieowy dzień. Czerwone liście klonów stawały się złote, a topole nad rzeką Mili miały kolor masła. Spomiędzy budynków wybiegło dwóch chłopców i pomknęło prosto na nią. Uskoczyła, z trudem udało jej się uchronić palce u nóg przed zdeptaniem.

Z saloonu po drugiej stronie drogi dobiegł śmiech; zerknęła w tamtym kierunku. Pan Perry stał w drzwiach i uśmiechał się pod wąsem. Czy mogło chodzić o nią? Jego głęboki, grzmiący głos przedziwnie na nią wpływał. Słuchałaby go z przyjemnością, gdyby nie to, że śmiał się z niej.

- Coś mi się zdaje, że ma pani niefortunny dzień, pani Hampton.

Sara zacięła zęby, kusiło ją, żeby biegiem wrócić do redakcji i dopisać jeszcze kilka linijek. Zamiast tego spiorunowała go wzrokiem, wyprostowała się w ramionach i poszła dalej postanowiwszy, że za nic nie da się ponownie wytrącić z równowagi, zwłaszcza ku jego satysfakcji.

Miał szerokie bary, muskularne ramiona i zachowywał się obcesowo, co pozwalało mu utrzymać spokój w saloonie, a przynajmniej tak mówiono. Najwyższy już czas, by nauczył się, że damy w mieście ani nie są tymi opojami, w których towarzystwie zwykle przebywał, ani nie są kobietami lekkiej konduity.

Gil patrzył, jak pani Hampton oddała się swobodnym krokiem. Było jasne jak słońce, że nawet na niego nie rzuciłaby okiem. Gdyby przypadkiem nie obsypał jej wcześniej śmieciami, na pewno by się do niego nie odezwała. Jak na kobietę, która pisała w swoich artykułach o wolnej miłości i twierdziła, że każda kobieta ma do niej prawo, nie była zbyt przyjacielska.

Sara szła dalej i mimo woli zastanawiała się, czy on przeczyta jej nową szpaltę. Wszystkie przedsiębiorstwa w miasteczku prenumerowały *Gridley Gazette*. Z jej obserwacji wynikało, że pan Perry jest równie nieokrzesany jak mężczyźni, których obsługuje i na gazetę pewnie by nawet nie spojrział.

Może nawet nie umie czytać.

Sądząc po tym jak się do niej uśmiechał, musiał chyba nągminnie wykorzystywać swój uśmiech. No cóż, na nią to nie podziała. Miała kiedyś za męża człowieka, który w każdej sytuacji liczył na swoje przekonujące oblicze i nauczyła się, że tego typu mężczyzn najlepiej unikać.

Odsunawszy wizerunek pana Perry'ego na odległe rubieże umysłu, skręciła w boczną uliczkę prowadzącą do domu Abbottów. Charles i Phoebe nalegali, żeby zatrzymała się u nich. I chociaż tak bardzo czuła się częścią ich rodziny, jednak naprawdę nią nie była. Pracowała dla Charlesa w zamian za mieszkanie i utrzymanie, ale nie mogła zamieszkać u nich na stałe. Jednak kiedy tylko wspominała o własnym, małym domku, Phoebe męczyła ją tak długo, dopóki nie zgodziła się jeszcze trochę u nich pomieszkać.

Phoebe lubiła wczesne poranki. Powietrze było rześkie, w domu panowała cisza, aromat świeżej kawy dla Charlesa i Sary napełniał kuchnię. Wkrótce pobudzą się dzieci. Clay miał trzynaście lat, a Cora dziewięć. Sara pomagała oboje wychowywać, dopóki nie przeprowadziła się na zachód. Phoebe

dopiła herbatę i uśmiechnęła się. Miała nadzieję, że Cora będzie kiedyś miała tak kochaną przyjaciółkę, jak Sara.

Sara weszła do kuchni z dzbankiem na ciepłą wodę do porannego mycia. Jak zwykle Phoebe siedziała przy stole.

- Czemu się tak uśmiechasz?

- Do wspomnień. - Phoebe napełniła kubek herbatą i nalała Sarze kawy. - Czy tęsknisz za New Jersey?

- Kiedy przeprowadziliśmy się z Johnem do Camden, miasto wydawało nam się wielce hałaśliwe w porównaniu z hrabstwem Jackson. - Sara obracała gładką złotą obrączkę na palcu. - Już niemal przestałam nasłuchiwać, czy nie zagwizdże statek albo pociąg, ale wciąż jeszcze nie przyzwyczyłam się, że wiadomości ze Wschodu dostajemy z takim opóźnieniem.

Phoebe przyglądała się, jak Sara kręci obrączką.

- Żałuję, że nie mogłam pojechać i pomóc ci po śmierci Johna. Nie byliśmy w stanie tego zrobić, ale zawsze pamiętałam o tobie w myślach i modlitwie.

- Ja o tobie też. - Sara opuściła lewą dłoń. - Załatwianie spraw Johna pozwoliło mi się czymś zająć przez pierwsze kilka tygodni. Potem wzięłam udział w sympozjum ruchu sufrażystek. I właśnie wtedy zaczęłam pisać listy do wydawcy *West Jersey Press*. - Zachichotała. - Założę się, że wcale za mną nie tęskni.

- Dodawałaś pewnie blasku jego dniom. - Phoebe popijała kawę małymi łydkami. - Wczoraj wieczorem Charles przyniósł do domu gazetę z tego tygodnia. Czytałam twoją szpaltę. Jest dobra. Kobietom powinna się podobać panna Lucy.

- Mam nadzieję, że tak, ale chciałabym, żeby czytali ją też mężczyźni. - Sara popijała kawę. - Czy wiesz, ilu drwali rzeczywiście czyta *Gazette*?

- Tak naprawdę to nie.

- Podejrzewam, że większość z nich woli raczej dowiedzieć się ze słyszenia, co w niej jest, niż ją przeczytać.

Phoebe nie mogła się z nią nie zgodzić.

- Jestem pewna, że dowiedzą się o nowej szpalcie. A po-

nieważ pisze ją „panna Lucy”, będziesz mogła na własne uszy przekonać się, co ludzie myślą. Mogłabyś nawet zakwestionować niektóre opinie z artykułu, żeby się zdystansować. Możemy mieć dobrą zabawę.

- Tak. - Sara rozpromieniła się. - Rzeczywiście. - Napiła się kawy. - Powinniśmy ustalić, co będziemy mówiły, kiedy ludzie będą nas pytali o pannę Lucy.

Phoebe przytaknęła.

- Nie możemy twierdzić, że przysłała nam swoje artykuły. Pan Seaton sortuje pocztę, więc wiedziałby, że nie przysłały żadne listy od panny Lucy.

- Ale dostajemy gazety. - Sara uśmiechnęła się do niej konspiracyjnie.

- A gazety zamieszczają cytaty z innych gazet...

- Charles może powiązać jej artykuły z inną gazetą... Z *Danbury News. New Northwest* zawsze przedrukowuje z niej teksty.

- Albo po prostu napisać: Danbury, Connecticut. - Phoebe roześmiała się. - Nikt się nie połapie.

- Szkoda, że nie pomyślałyśmy o tym wczoraj, ale jeszcze nie jest za późno. Musimy tylko uważać, żeby zabrakło rubryki panny Lucy, jeżeli w którymś tygodniu nie przyjdzie *New Northwest*.

- Powiem Charlesowi.

- Dobrze. - Sara zerknęła na dzban. Nie mogła się doczekać, żeby pójść na miasto i posłuchać, co ludzie sądzą o nowym dziale, ale gazeta zostanie rozwieszona dopiero później. - Czy zdajesz sobie sprawę, że pewnie nie usłyszymy żadnych komentarzy wcześniej niż w poniedziałek?

- Nie bądź taka niecierpliwa. - Phoebe uśmiechnęła się szeroko, wypita jeszcze łyk herbaty i przyglądała się Sarze.

- Nic się nie zmieniałaś. Jak się już na coś zdecydujesz, to chcesz, żeby się to stało natychmiast.

- Nikt nie żyje wiecznie - powiedziała Sara wzruszając ramionami.

- Cóż za radosna myśl. Powinnam cię chyba przedstawić miejscowym kawalerom, zwłaszcza co lepszym partiom. Może któremuś z nich uda się okiełznać twojego impulsywnego ducha.

Sara, która właśnie przełykała, zakrztusiła się kawą. Kiedy wreszcie przestała kaszleć, popatrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

- Ładnie się wyrażasz o przyjaciółce.

- Chcę, żebyś się tu szczęśliwie ustatkowała i została z nami.

- Jeżeli o to chodzi, rozejrzę się w sprawie kupna kawałka ziemi. Postawienie domku nie powinno trwać długo.

- Och, Saro, wcale nie to miałam na myśli. - Phoebe sięgnęła przez stół i ujęła dłoń Sary. - Kiedyś byłaś szczęśliwa z Johnem, a ja...

Sara zerwała się.

- Jestem całkiem zadowolona z mojego życia. Małżeństwo nie gwarantuje ani zadowolenia, ani bezpieczeństwa. Czy wolałabyś, żebyś była nieszczęśliwa i zrozpaczona?

- Oczywiście, że nie...

- No to proszę cię, pozwól mi polegać na własnym rozumie. - Postawiła dzbanek przy piecu i nabrała chochlą ciepłej wody. Wychodząc z kuchni przystanęła i popatrzyła na Phoebe. - Nie każdy nadaje się do małżeństwa, ale jeżeli pojawi się właściwy mężczyzna, nie odgryzę mu głowy.

- Miejmy nadzieję, że zdoła przetrwać okres zalotów - powiedziała Phoebe uśmiechając się życzliwie do Sary.

2

Gil skończył wycierać rozlane piwo ze stołu. Jeszcze trochę i lokal zapełni się drwalami. Oni nie zauważą, czy stoły są czyste, a trociny na podłodze świeże. Jeżeli zwróca

uwagę na coś poza alkoholem, to tylko na wielki obraz z piękną Lorindą, która odsłaniała wszystkie swoje wdzięki, by każdy mógł je podziwiać. Była jego jedynym właścicielem w saloon po tym jak Jack Young, jego przyjaciel i właściciel „Wedge”, wybudował ten lokal.

Jack siedział na tyłach sali przy stoliku najbliższym drzwi jego biura. Gil skończył wycierać stół, utoczył z beczki dwa piwa i dołączył do niego.

- Jaki wynik? - Przesunął kufel w stronę Jacka.

Jack postukał ołówkiem po księdze rachunkowej.

- Wiedziałem, że zrobimy na tym lokalu pieniądze. Ale kto by u diabła pomyślał, że będę miał rachunek w banku? - Pociągnął haust piwa.

- Kto by pomyślał, że wokół weekendowego ośrodka rozrywkowego dla obozowiska drwali wyrosnie miasteczko? Kiedy zakładałem interes z Vonney, spodziewałem się, że pobędziemy tu parę sezonów.

- Właściwie to lubię siedzieć na jednym miejscu.

Gil zachichotał.

- Zwłaszcza od kiedy sprowadził się do miasteczka zeszłej wiosny Ben Layton ze swoją ładną blond córeczką.

- Panna Tess jest miła. I nie przeszkadza jej, że jestem właścicielem saloonu. A co z tobą? Nie interesuje cię chyba żadna kobieta w mieście.

Gil pociągnął haust piwa; przeszedł go dreszcz na wspomnienie Sary Hampton i zapachu bzów. Poczuł nagły niepokój, więc wychylił jeszcze trochę piwa. Gdyby to była jakkolwiek inna kobieta, może by nawet zaczął się za nią uganiać. Ale nie za Sarą Hampton. Łatwiej i bezpieczniej byłoby wyprowadzić kluczową kłodę z zatoru na rzece niż gonić za tą kobietą.

- Jestem pewien, że Vonney się nie skarży - dorzucił Jack.

Wyrwany z rozmarzenia Gil zmarszczył brwi i popatrzył na niego.

- Ma dobre serce.

- Kiedy w przyszłym tygodniu ruszy znowu tartak, zaczną się tu osiedlać następni przybysze, a ona nie będzie miała dla ciebie dużo czasu. - Jack uniósł kufel w kierunku Gila. - Dzięki, że namówiłeś mnie na kupno tej ziemi. - Dokończył piwo i postawił kufel na stole.

- Vonney i ja jesteśmy teraz tylko przyjaciółmi. Już od jakiegoś czasu. - Gil uśmiechnął się do niego złośliwie. - A ty jesteś jednym z najważniejszych obywateli tego miasta. Jak nie będziesz uważał, to jeszcze któregoś dnia skończysz jako szeryf albo burmistrz.

- Och, nie. Dopilnuję, żeby mieli tyle piwa i whiskey, ile dusza zapagnie, ale nie zdzierzę, jak nowi będą się kłócić.

Gil rzucił okiem na złożoną *Gridley Gazette* przy księdze.

- Cóż tam miała do powiedzenia w tym tygodniu pani Hampton?

- Nic. Abbott musiał ściągnąć jej cugle.

Po scenie, jaką mu urządziła wcześniej, Gil nie mógł się z tym zgodzić. Ognista była z niej dama i nie zazdrościł Abbottowi obowiązku kierowania nią dzień po dniu. Właściwie, jak już raz o tym pomyślał, powinien mu postawić parę drinków.

- No i dobrze - mówił dalej Jack kręcąc głową. - Jak by tego nie zrobił, to jeszcze by kobiety ruszyły całymi stadami do głosowania w razie wyborów i rebelia gotowa. - Dźgnął palcem w gazetę. - Powinieneś popatrzeć na jego artykuł wstępny. Nie przestaje jęczeć, że drwale ogołacają pagórki i zanieczyszczają rzekę.

- I dobrze. Będę miał co czytać, jak mnie tu nie będzie. - Gil dopił piwo i wstał. - Wyjadę jutro popołudniu.

- Ucałuj ode mnie Vonney.

- Pojedź sam dziś wieczorem i ją ucałuj.

Gil przeszedł do pokoju na tyłach i przyniósł świeżą baryłkę. Tak samo było co sobotę. Drwale zwalali się do miasta późnym popołudniem. Niektórzy kierowali się prosto do łaźni, inni do „Wedge”.

Jack miał rację co do Gridley. Przed siedmiu laty Gil, ma-

jąc dwadzieścia dwa lata, postanowił zająć się wyrębem lasów. Sprowadził drwali i postawił niewielki tartak. Nie planował zakładać miasta, ale dosyć szybko zorientował się, że ludziom potrzebne jest jakieś miejsce w pobliżu, gdzie mogliby się wyszumieć. Wzniósł z Jackiem saloon nad brzegiem strumienia, który nazwali rzeką Mili, a potem Gil zbudował stajnie, gdzie można było zostawić konia na przechowanie.

Flisacy trafili do saloonu w pierwszym tygodniu po jego otwarciu. Wkrótce stanął w pobliżu sklepik, a potem wzdłuż River Road wyrosły następne przedsiębiorstwa. W cztery lata później Gil sprzedał swoje udziały w „Wedge” Jackowi, za porozumieniem, że przez kilka dni w tygodniu będzie pracował przy barze. Zadowalało go mieszkanie na piętrze, nad saloonem.

Przed saloonem zaturkotał i zatrzymał się wóz. Gil zaczął nalewać piwo. Jake i Willie wpadli do środka i skierowali się prosto do baru. Należeli do najmłodszych i najbardziej awanturnicznych członków załogi. Gil postawił dla nich dwa kufle piwa na barze i zaczął napełniać następne dla innych, którzy strumieniem wlewali się do saloonu.

W końcu przyszedł poniedziałek. Sara zarzuciła szal na ramiona i spotkała się z Phoebe przy drzwiach wejściowych.

- Jestem gotowa.

- Ja też. Mam nadzieję, że u Seatonów mają te nowe wełny, które zamawiali. Clay i Cora tak szybko rosną. Chcę zacząć dla nich nowe płaszcze na zimę.

Sara i Phoebe wyszły z domu różnym krokiem.

- Pamiętaj, jak nie dawałyśmy żyć naszym matkom o te jednakowe peleryny? - powiedziała Sara.

- Niebieskie. - Phoebe roześmiała się. - Pawoniebieskie.

- Wykończone czarną plecionką. - Sara na moment zatrzymała się i szeroko uśmiechnęła. - Masz jeszcze swoją? Pewnie podobałaby się Corze.

- Nie mam pojęcia, gdzie teraz jest. Mama by jej nie zachowała. Wszystkie rzeczy, z których wyrosliśmy, przekazywała rodzinie Tillibeyów. - Phoebe zerknęła na przyjaciółkę. - A twoja mama zachowała twoją?

- Może i tak. Pewnie zachowała. Groziła, że da ją mojej córce i opowie jej, jaki był ze mnie urwis. Będę musiała napisać do niej i zapytać o to. - Sara nie miałaby nic przeciw temu, żeby przekazać swój płaszczyk Corze, która była dla niej niemal jak córka. Trzydziestotrzyletnia Sara nie spodziewała się, żeby miała jeszcze raz wyjść za mąż i wychowywać własne dzieci. Doszły do sklepu towarów mieszanych.

Phoebe pospiesznie podeszła do pani Seaton, która układała gotową sukienkę na wystawie.

- Ależ to ładne. - Wyciągnęła rękę i dotknęła miękkiej, wełnianej spódnicy, szarobeżowej w niebieskie paski.

- Trudno w to uwierzyć, ale już niedługo będzie zima. - Pani Seaton uśmiechnęła się do Phoebe. - Te nowe wełny, które zamawiałaś, już przyszły. Proszę ze mną. - Poprowadziła ją na tyły sklepu. - Nawiasem mówiąc czytałam ten nowy artykuł panny Lucy...

Sara uśmiechnęła się do siebie. Pani Seaton swoją opinią na temat panny Lucy podzielił się ze wszystkimi klientami. Sara nerwowo dotykała to obieraczki do jabłek, to młynka do kawy, a potem niecierpliwie plątała się po sklepie, dopóki Phoebe nie wyszła z magazynu.

- Popatrz na te nowe materiały. Myślisz, że Corze podobałyby się ten zielony?

Sara dołączyła do niej przy ladzie z towarami łokciowymi.

- Tak sądzę, ale może pozwolisz jej samej wybrać?

- Jak na kogoś - Phoebe uśmiechnęła się do niej ironicznie - kto potrafi całe strony zapełniać wyjaśnieniami, dla czego kobiety powinny mieć prawo głosu, jesteś zdumiewająco niepewna, kiedy chodzi o decyzje dotyczące dzieci.

- O czym ty mówisz? Och, to nonsens. - Sara przesunęła ręką po wełnie. - Do twarzy jej będzie w tym zielonym. - Kie-

dy pani Seaton cięła materiał, Sara odciągnęła Phoebe od stołu. - Co powiedziała o pannie Lucy?

Phoebe rozejrzała się naokoło i szepnęła:

- Pani Seaton uważa, że panna Lucy to rozkoszna starsza pani i ma nadzieję, że przeczyta jeszcze wiele jej mądrych rad. - Zachichotała, a potem szybko zacisnęła usta.

- Starsza? - Sara zachmurzyła się. Wyobrażała sobie swoje drugie ja jako uroczą, wyrobioną kobietę, którą należało podziwiać i szanować. - Trudno powiedzieć, żebym była „starszą panią”. - Upłynie jeszcze ze dwadzieścia lat, zanim będzie się o niej tak mówić.

Dwa razy w miesiącu Gil Perry kontrolował obozowisko drwali, a kiedy tam był, większość czasu spędzał jeżdżąc konno po lesie. Przybył na miejsce wczesnym wieczorem w niedzielę, przeszedł przez barak sypialny, a potem udał się do kuchni.

Z belek nad kuchnią zwisały dzbanki na kawę, kociołki i patelnie. Było ciepło i Dugan Moody, kucharz obozowiska, stał przy płycie. Gil przeszedł między dwoma stołami w części jadalnej i podszedł do niego.

- Dugan, zostało ci coś z kolacji? - Nie wiedział, ile lat może mieć kucharz; siwizna jego włosów i brody mogła świadczyć tyleż o ciężkim życiu, co o wieku.

- Henry poszedł na polowanie z Chokerem i Dowdym. Przynieśli naprawdę piękne wapiti. - Dugan obejrzał się przez ramię na Gila. - Jutro będziemy mieli placki na zakwasie i gulasz. Mam syrop malinowy do racuchów na rano.

Gil roześmiał się cicho.

- Jeżeli zostanę tu dłużej niż dzień czy dwa, będę się musiał dobrze gimnastykować, żeby nie utyć po twoich daniach.

- Niezły pomysł.

- Już od pięciu lat nikt nie nazywa mnie drwalem. Ale

wolałbym nadal nim być. - Gil wziął kubek i nalał sobie trochę kawy. - Masz coś, co mógłbym teraz zjeść?

- Jeszcześ tu nigdy nie głodował. - Dugan chwycił ręcznik i otworzył drzwiczki pieca. - Łap za widelec i siadaj.

- Czy dostawy dochodzą do was jak trzeba? - Gil zaniósł kawę i sztucce do stołu.

Dugan ustawił przed nim talerz z kolacją i usiadł naprzeciwko.

- Widziałeś, co pisał ten facet nazwiskiem Abbott? Że niby obdzieramy góry do goła? On niczego w ogóle nie wie o drzewach.

Gil wzruszył ramionami i zachował własne zdanie dla siebie.

- I powiedz mi, na czym drukowałyby te swoje przekłete wycpociny, gdyby nie było papieru?

Gil przełknął kęs kruchego mięsa.

- Przywiozłem *Gazetce* ze sobą, ale jeszcze jej nie czytałem. A jak ty ją dostałeś tak szybko?

- Dowdy przyjechał wczoraj wieczorem.

- Nie widziałem go, jak przechodziłem przez barak sypialny.

- Najpewniej będzie u Vonney. Dziwne, żeś go tam nie widział.

- Nie wpadłem do niej po drodze. - Gil skończył jeść i napełnił swój kubek. - Musisz wybrać się z chłopakami do miasta. Nie możesz tu spędzać całego czasu.

- Nie spędzam - powiedział Dugan i zachichotał.

- Cieszę się, że to słyszę. - Gil podniósł się z kubkiem w ręce. - Do zobaczenia rano.

Poszedł do biura i tam się położył. Przeglądnął księgi kompanii, dolał sobie trochę whiskey do kawy i zasiadł znowu do gazety.

Przeczytał artykuł wstępny Charlesa Abbotta o drwalach, którzy zostawiają po sobie nagie pagórki, przeczytał, że blond włosy są na wagę złota, że jakiemuś człowiekowi z Minneapolis udało się pomieścić na jednej karcie pocztowej pięćset cze-

ry wyrazi. Zastanawiał się, czy są jakieś granice tego, co ludzie skłonni są zrobić, żeby ich tylko zauważono.

W gazecie zamieszczono kilka ogłoszeń o sklepach, które się zamykały. Szkoda, że nie było w tym wydaniu artykułu Sary Hampton. Śmieszyły go niektóre z osobliwych idei, o których pisała.

Stała się w saloonie obiektem wielu kpin z powodu swoich pisanych ostrym piórem artykułów w *Gazette*, zwłaszcza tych o wolnej miłości. Składał właśnie gazetę, kiedy wpadł mu w oko artykuł pióra jakiejś panny Lucy.

Powstrzymując ziewnięcie pochylił się nad biurkiem i z rosnącym zainteresowaniem czytał „Jak zwracać się do damy”. Odniósł wrażenie, że panna Lucy musiała być świadkiem incydentu z Sarą Hampton przed saloonem. Odłożył gazetę i wyciągnął się na pryczy. Zabawny artykuł, ale przecież Gridley było tylko miasteczkiem drwali, a nie wielkim miastem ze Wschodu.

Następnego ranka śnieżna czapa na górze Hood lśniła w słońcu. Zjadłszy cały stos racuchów pływających w malinowym syropie Dugana Gil ruszył w drogę. Dotarł do pagórków za obozem drwali, a następnie skierował wierzchowca pomiędzy świerki, sosny i czerwone cedry. Chociaż był na północ od miejsca, gdzie pracowali jego ludzie, zgiełk, jaki czynili, niósł się między drzewami: uderzenia siekier, skrzypliwe zgrzytanie pił, a ponad wszystkim okrzyki „Leci!” na moment przed rozdzierającym trzaskiem i łomotem, z jakim padało drzewo, aż trzęsła się ziemia.

Drzewa „przemawiały”, kiedy ich ostatnie włókna poddawały się i rwały, a Gil cieszył się, że jest na tyle daleko, że nie słyszy ich jęków. Za bardzo przypominało to umieranie. Wolał słuchać, jak wiatr przygina i smaga wierzchołki olbrzymich, starych drzew i jak szumi w gałęziach.

Pod wieczór wjechał do obozowiska drwali. Oporządził konia, a potem udał się do obozowej kuchni. Stoły były nakryte, ale lampy miały zostać zapalone dopiero na chwilę

przed przybyciem mężczyzn. Wrócił do kuchni i nalał sobie kubek kawy.

Dugan wyszedł z magazynu niosąc wielką faskę.

- Hej. Wcześniej jesteś.

- Pomyślałem sobie, że może ci się przyda para rąk do pomocy. - Gil szeroko się uśmiechnął podnosząc kubek do ust. Trzy wielkie blachy placków czekały, żeby je wstawić do pieca.

- Za każdym razem tak mówisz. Kłapiesz tylko szczęką. - Dugan postawił faskę na blacie stołu. - Pojechałeś zobaczyć, jak ludzie sobie radzą?

- Przyglądałem się z daleka. - Gil przełknął następny haust kawy patrząc na Dugana. - Dlaczego pytasz? Jest jakiś problem?

- Słyszałem, jak paru marudziło. - Dugan zaczął nakładać łyżką masło do misek.

- Lepiej porozmawiam znowu z Henrym.

- Zapytaj go o popalone kłody.

Co jakiś czas Sara chodziła na kolację do pensjonatu Elsie North. Elsie przeżyła dwóch mężów, a jej czworo dzieci założyło już własne rodziny. Miała pięć pokoi do wynajęcia i egzekwowała obowiązujące w jej domu zasady. Od gości „przelotnych” pobierała po półtora dolara, od stałych po dolarze. Dżentelmeni, którzy się u niej zatrzymywali, czuli się jak w domu, a damy miały poczucie bezpieczeństwa.

W środę Sara przyszła na kolację wcześniej, żeby mogły sobie porozmawiać, zanim goście zejdą się na posiłek. Elsie otworzyła drzwi jak zawsze uśmiechnięta.

- Witaj. Czy nie będę przeszkadzać, jak dziś wpadnę do ciebie?

- Wejdz. Zawsze jesteś mile widziana.

Sara zostawiła szal na kołku w pobliżu drzwi i poszła za gospodynią do kuchni.

- Wciąż jeszcze na zewnątrz wisi twoja tabliczka. Myślałam, że masz komplet.

- Pan Settles powiedział, że nie zostanie już długo. Pan Rand i pan Bradley to komiwojażerowie. Każdy z nich zatrzymuje się tu na dwie lub trzy noce miesięcznie. - Elsie położyła bochenek chleba na stole kuchennym. - Ale wzięłam u mnie pokój pan Pratt, nowy kierownik szkoły. Powinien tu pobyc przez jakiś czas.

- Mam nadzieję, że tak. - Sara rozejrzała się dookoła. - Ależ ślicznie pachnie. W czym mogę ci pomóc?

- Pokroisz chleb? - Elsie podała jej nóż. - Czytałam artykuł tej drugiej pani, panny Lucy, tak się nazywa. Musi być w mieście dopiero od niedawna.

- Ona nie mieszka w tej okolicy. Mam wrażenie, że przebywa gdzieś na Wschodzie. - Sara kroić chleb z ulgą, że Elsie sama wspomniała o artykule.

- To żadna różnica. Tak bym chciała, żeby panowie wzięli sobie do serca jej rady. - Elsie popatrzyła na Sarę. - Od razu widać, że panna Lucy to prawdziwa dama. Założę się, że jej synowie umięją się zachować.

Sara poczuła się chwilowo skonfundowana; ułożyła kromki chleba na talerzu. Nie była pewna, jakiej wypowiedzi Elsie się spodziewała, ale na pewno nie takiej.

- Mhm. Synowie?

- Oczywiście. Pisała dokładnie tak, jak mówiła moja własna, droga mama. - Elsie zadzwoniła dzwonkiem na stołowników. - Mam nadzieję, że napisze dla pana Abbotta więcej artykułów z poradami.

- Mogłabym powtórzyć mu, co mówiłaś, ale może lepiej to zabrzmi, jak sama mu powiesz.

- Tak, zrobię to. Nawiasem mówiąc brakowało mi twojego artykułu w tym tygodniu. Chyba nie masz zamiaru przestać pisać, Saro?

- Nie... Nie, pracuję nad następnym tekstem. - Że też nie można z równą łatwością zmieniać słowa mówionego jak pisanego. - Chociaż nie ma już zbyt wielu nowych idei, o których mogłabym opowiedzieć.

Elsie uśmiechnęła się do niej.

- Coś wymyślisz. Zawsze ci się udaje.

Sara powoli pokiwała głową, zaciążyło jej zaufanie przyjaciółki. Miała nadal ochotę pisać pod swoim własnym nazwiskiem i wciąż była przekonana, że kobiety mają również prawo głosuwać, tak samo jak i mężczyźni. Idee pani Woodhull były rewolucyjne, a chociaż z niektórymi Sara się nie zgadzała, kobiety powinny wiedzieć, jakie przekonania mają inni. Właśnie dlatego rozpoczęła serię tych artykułów.

- Chciałabym dowiedzieć się więcej o wolnej miłości. - Elsie roześmiała się. - Dopóki tylko nie będzie pociągała za sobą małżeństwa. To ostatnie nie oznacza ściśle rzecz biorąc wolności.

- Od początku świata dla mężczyzn miłość była wolna. - Uśmiech Sary przygasł, kiedy przypomniała sobie, jak zbliżał się do niej pan Perry. Z chęcią założyłaby się, że dla niego miłość była wolna.

- Gdyby nie to, że przekroczyłam już wiek, w którym wypada się interesować takimi sprawami, na pewno bym o tym pomyślała - powiedziała Elsie mrugnawszy okiem i wzięła półmisek z mięsem, żeby go zanieść do jadalni.

Sara zachichotała.

- Zdaniem pani Woodhull i Krajowych Reformatorów Radykalnych nigdy się nie jest za starym. - Miała co do tego pewne wątpliwości. Nie przypominała sobie, żeby spędziła bezsenną noc z powodu braku ukojenia, jakie mógł jej dać mężczyzna, nawet John, a przynajmniej nie po tym, jak się przeprowadzili do Camden.

Kiedy kolacja się skończyła, Sara udała się do redakcji *Gazette*. Charles siedział przy biurku i czytał prasę z innych miejscowości.

- Masz tam coś ciekawego? - Opuścił gazetę i uśmiechnął się do niej szeroko. - Pani Rochester z Bostonu przekonana jest, że Stowarzyszenie Sufrażystek postępuje wbrew Bogu i prawom tego kraju. Chciałabyś do niej napisać?

- Jestem pewna, że panna Susan B. Anthony wykazałaby się dużo większą elokwencją. Poza tym, mam robotę. - Usiadła przy swoim biurku.

Charles przyglądał jej się przez chwilę.

- Poznaję to spojrzenie. Co się stało?

- Byłam na kolacji u pani North. - Zerknęła na niego i uśmiechnęła się. - Elsie i cała reszta przekonane są, że panna Lucy to matrona, która musiała wychować co najmniej dwóch wspaniałych synów i pewnie jeszcze kilka córek. - Odchyliła się na oparcie krzesła. - Co ty na to?

- Więc będziesz nadal pisała te artykuły? - Charles roześmiał się.

- Och, na pewno, jedno i drugie. Elsie powiedziała, że brak jej było mojego artykułu w tym tygodniu. - Zanotowała pospiesznie kilka myśli.

- Pewnie tylko jej jednej - zamruczał pod nosem Charles.

Sara uśmiechnęła się do niego w wyższością, ale podjęła własny tok myślenia.

- Jeżeli ludzie wierzą, że panna Lucy jest prawdziwa, to powinnam nadal pisać pod własnym nazwiskiem. Nie chcemy, żeby ktoś nabrał podejrzeń.

- Może masz rację. Ale nie trać czasu na Krajowych Reformatorów Radykalnych. Żeby Victoria Woodhull nie wiem czym groziła, i tak nigdy jej nie wybiorą na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- Zgadzam się, ale niektóre z jej poglądów na inne tematy są intrygujące... - Wpatrując się w notatki przypomniała sobie, co mówiła Elsie. - Na pewno ciekawie byłoby porozmawiać z kobietami, które nie tylko są zwolenniczkami wolnej miłości, ale i uprawiają ją - dumiała na głos. - Poproszę takie kobiety, żeby napisały do mnie i podzieliły się swymi

przekonaniami. I mężczyzn też. Mogłoby to rzucić wiele światła na uczucia mężczyzn.

- Nie możesz! - Charlesowi opadła szczęka; wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami. - Wywołasz zamieszki.

- Charles, nie jestem orędowniczką wojny.

- Ale wiesz, musisz to wiedzieć, że są ludzie, którzy wierzą w każde wydrukowane słowo, jakby to była prawda objawiona od Boga.

- Nasi czytelnicy powinni rozumieć, że nie tyle donoszę o wydarzeniach, ile dzielę się z nimi swoimi poglądami. - Postukała koniuszkiem ołówka w biurko. - Muszę coś sprawdzić w wypożyczalni. Nie zajmie mi to dużo czasu.

- To by było coś nowego. - Odetchnął jakby z ulgą, że Sara wychodzi. - Czy nie nauczyłaś się jeszcze na pamięć, gdzie co na której półce stoi?

- Po prostu wiem, gdzie szukać potrzebnej mi informacji. Każdy, kto tam był dwa razy, wie. Miasto powinno zebrać fundusze na zakup większej ilości książek.

Charles przytaknął, dopisał postulat do listy na swoim biurku i wrócił do czytania gazety.

Sara wzięła ołówek, dwie kartki papieru i poszła do wypożyczalni książek, noszącej nazwisko świętej pamięci pana Harrisona. Tak naprawdę był to jeden dosyć duży pokój, z sosnowymi, bejcowanymi regałami ustawionymi wzdłuż ścian, przylegający do hotelu Timbers. Wdowa po panu Harrisonie przekazała bibliotece wiele jego książek, chcąc zachęcić innych do tego samego. Charles przekazywał do niej egzemplarz każdego numeru gazety, a od czasu do czasu biblioteka otrzymywała również inne dary.

Sara weszła do hotelu, który wybudowano dla drwali i pracowników tartaku. Obecny właściciel, pan Kenton, dodał dywany, świeżą farbę i akwarelowe pejzaże przedstawiające rzekę Columbia i dolinę Willamette. Przechodząc przez hol pomachała panu Kentonowi ręką i weszła do biblioteki.

Podarowała bibliotece broszurę opublikowaną przez Vic-

torię Woodhull i chciała ją przeczytać jeszcze raz. Jednak przeszukawszy półki uświadomiła sobie, że ktoś musiał ją pożyczyć. Miło byłoby wiedzieć kto, dumiała. Znalazła odnośnik, który był jej potrzebny, zrobiła notatki i wyszła z biblioteki.

Zatrzymała się na drewnianym chodniku przed hotelem, skupiona na pierwszym zdaniu do swojego artykułu. Jakiś mężczyzna, mijając ją, otarł się o nią ramieniem.

- Przepraszam. - Podniosła oczy i zobaczyła przed sobą pana Perry'ego. Niespiesznie oceniał ją wzrokiem, a ona oszołomiona poczuła, jak jej serce zaczyna kołatać. Przynajmniej tym razem nie obsypał jej brudami, ale i tak wyglądał groźnie. Instynktownie cofnęła się o krok.

Pan Perry dotknął czoła, jakby uchylał kapelusza, i uśmiechnął się.

- Ostrożnie, proszę pani. Nie chciałbym zostać obwiniony o to, że spadła pani z chodnika. - Jej spojrzenie, w którym mieszało się zaskoczenie i przestach, fascynowało go.

Nie odezwał się ani zgryźliwie, ani kpiąco, chociaż przypuszczalnie mogła się czegoś takiego spodziewać po ich następnym spotkaniu, ale nie zmieniła swojej opinii o nim.

Podniósł oczy na górę Hood.

- Wspaniały dzień mamy, prawda?

- Tak. - Rozejrzała się dookoła. - Tak, jest pięknie. - Przeszła obok niego i skinęła mu głową. Nie miała najmniejszej ochoty stać tam i tracić czasu na pogawędki z nim.

- Nie widziałem pani artykułu w gazecie z zeszłego tygodnia. Czy pracuje pani nad czymś nowym? - Czekał, czy poruszy proponowane dokładnie na takie okazje przez pannę Lucy tematy do rozmowy. Przeczytał szpaltę panny Lucy dwukrotnie. Tekst brzmiał swojsko, jakby autorką była pani Hampton, do tego stopnia, że napisał do niej. Może wkrótce przekona się, czy jego podejrzenia są uzasadnione.

A więc potrafił czytać, a przynajmniej tak twierdził. Najwyraźniej nie traktował jej serio - nie, nie jej, tylko panny Lucy. Do licha, musi pamiętać, żeby nie pogubić się w swo-

ich artykułach. Odwróciła się twarzą do niego. - Nie sądziłam, że będzie pana interesował ruch sufrażystek. - Kartki, które trzymała w ręce, zaszeleściły.

Pan Perry uśmiechnął się swobodnie, nie kryjąc rozbawienia.

- Poczwałyby się pani zaskoczona sprawami, które mnie interesują, droga pani.

Sara zwróciła już wcześniej uwagę na rudawy odcień jego falistych, brązowych włosów i czuła na sobie przenikliwe spojrzenie jego ciemnych oczu. Absolutnie nie miała ochoty dowiedzieć się, o czym myśli pan Perry.

- Wolałabym o nich nie wiedzieć, proszę pana. - Nie czekając na odpowiedź poszła dalej swoją drogą.

Perry przyglądał się, jak kołysze spódnicą, kiedy pośpiesznie oddalała się od niego.

- Będę wypatrywał pani artykułu w gazecie w tym tygodniu.

Nie miała najmniejszego zamiaru mu odpowiadać; skierowała się prosto do redakcji *Gazette* i weszła do środka. Zerknęła przelotnie na własną pierś, nieco zdziwiona, że nie widać jak dziko bije jej serce pod bluzką. Spotkanie pozostawiło dziwne wrażenie. Zachowywał się, jakby byli znajomymi. Może błędnie uznał, że skoro wymiótł na nią śmieci, zostali sobie przedstawieni. Nie trać na niego czasu, pomyślała i skupiła się na pisaniu.

Pisząc następny artykuł panny Lucy Sara wyobraziła sobie, że to przemawia jej ukochana ciotka, i użyła odpowiednich sformułowań. Odłożyła brudnopis na bok i zaczęła pracę nad drugim artykułem. Dwa razy źle zaczęła, zanim udało jej się znaleźć właściwe podejście do tematu wolnej miłości i wpleść w tekst ciętą uwagę, że istnieją kobiety tak przyzwoite, iż pewnie gorset by im pękł, gdyby okazały nieco sympatii mężczyźnie.

W ostatnim akapicie prosiła mężczyzn i kobiety, którzy z osobistego doświadczenia znali wolną miłość, żeby podzielili się z nią swoimi przeżyciami. Charles zgasił dwa światła,

zanim zorientowała się, jak jest późno. Potrząsnął głową.

- Za dobrze się bawisz, żebym nie miał się czym niepokoić.

- Jakby mnie to nie bawiło, zajęłabym się czym innym. - Złoczyła kartki, chwyciła szal i wyszła razem z Charlesem.

- Idź dalej beze mnie. Powiedz Phoebe, że niedługo wrócę do domu.

Już od tak dawna czuła się jak jego siostra, że na tę uwagę zaczęła się z nim droczyć z siostrzanym uśmiechem.

- Zgoda, ale pod warunkiem, że opowiesz Phoebe i mnie, co usłyszysz w saloonie.

- W życiu, panienko.

Kiedy przeszedł na drugą stronę ulicy, roześmiała się i powędrowała wzrokiem w kierunku „Wedge”. Przed saloonem tłoczyli się mężczyźni, ale pana Perry’ego nie było widać. Wspaniale. Sama nie wiedziała, dlaczego w ogóle zawraca sobie tym głowę. Charles zatrzymał się w drzwiach, pomachał do niej i wszedł do środka.

Ruszyła ulicą. Z jakąż radością podsłuchałaby toczony tutaj rozmowy i napisała tekst, który otworzyłby kobietom oczy na mężczyzn. Och, gdyby udało się jej odgadnąć, jak działa umysł mężczyzny, może nawet napisałaby o tym książkę.

Gil przeszedł przez hotelowy hol i wszedł do biblioteki. Gdyby przyszedł tam o kilka minut wcześniej, pewnie natknąłby się na panią Hampton. Może i lepiej, że się tak nie stało. Nie życzył sobie, żeby coś lub ktoś rozpraszał jego uwagę.

Po przeczytaniu jej artykułów czuł, że zna Sarę równie dobrze jak większość jej znajomych, i nie potrafił oprzeć się temu, żeby się z nią odrobinę nie podroczyć, łamiąc wszystkie zasady z artykułu panny Lucy. Następny może być interesujący, zwłaszcza gdyby jakieś wzmianki sugerowały, że autorka była świadkiem jego kolejnego spotkania z panią

Hampton. Ale chwilowo musi pamiętać, po co przyszedł do biblioteki.

Tak jak proponował Dugan, Gil porozmawiał z Henrym i dowiedział się, że ktoś podłożył ogień, a może rozpałił dwa niewielkie ogniska na skraju obozowiska. Gil wiedział, że ludzie, którzy podkładają ogień, mają skłonności do włóczęgostwa. Pożary to wielkie wydarzenia, zwłaszcza w niewielkich miasteczkach. Teraz chciał dowiedzieć się, czy były jakieś doniesienia o jeszcze innych pożarach w okolicy.

Usiadł w wyściełanym fotelu z plikiem gazet pod ręką i sięgnął po ostatnie wydanie *Statesmana*. Może zajdzie do redakcji *Gazette* i porozmawia również z Charlesem Abbottem. Niezły pomysł, pomyślał i uśmiechnął się.

3

Phoebe skończyła czytać i przesunęła kartki z powrotem po stole kuchennym do Sary.

- Potrafisz o wszystkim pisać ciekawie, ale czy naprawdę liczysz na to, że kobiety przyznają się do wolnej miłości?

- Nie dowiem się, jeżeli nie zapytam. - Sara bezmyślnie przekładała kartki. - Chciałabym porozmawiać z kobietami, które są jej zwolenniczkami. Może one bardziej otwarcie mówiłyby o swoich doświadczeniach. Może się nawet zdarzyć, że jeden czy drugi mężczyzna napisze do kobiety, której nie zna.

- Mężczyźni praktykują wolną miłość od wieków, podobnie jak kobiety lekkich obyczajów.

- Przesieję odpowiedzi. - Sara wzruszyła ramionami.

Phoebe podniosła filiżankę z kawą.

- Babcia mówiła mi o zwyczaju, zgodnie z którym nieopślubione sobie pary kładły się razem do łóżka w ubraniach.

- Na to się nie załapałyśmy. - Sara roześmiała się, usiłując

jąc wyobrazić sobie rodziców jako młodą, namiętą parę, która leży w łóżku rozdzielona tylko deską długości tegoż łóżka. Nic dziwnego, że pary pobierały się szybko. Podniosła oczy. - Albo robiono to bez pozwolenia rodzin.

- Nie mów tak. A gdyby usłyszały cię dzieci? Jeszcze pomyślą, że mówisz serio. - Phoebe uśmiechnęła się z przymusem, podnosząc filiżankę do ust. Zastanawiała się, czy babcia spała kiedyś oddzielona deską od dziadka, ale nie miała śmiałości jej zapytać.

- To dziwne. - Sara przesunęła palcem po skraju filiżanki. - Mam prawo przespać się z mężczyzną, jeżeli naprawdę tego pragnę, ale absolutnie nie chciałabym, żeby Cora myślała, że może to robić z dowolnym chłopcem, dopóki nie wyjdzie za mąż, a przynajmniej dopóki nie skończy co najmniej dwudziestu lat.

- Cora może poczekać, aż wyjdzie za mąż - powiedziała Phoebe. - Tak prawdopodobnie uważały również i nasze matki, kiedy przychodzili do nas z wizytą młodzi mężczyźni.

- Pamiętasz Homera Leggetta? Tyle czasu spędził na drodze do twojej farmy, że tato mówił, iż twój papa będzie miał nowy rów doprowadzający wodę na pole.

- Mama nie musiała martwić się z jego powodu.

- Pewnie dlatego lubiła go bardziej niż innych. - Sara popijała kawę. - Poszłam dziś po południu do biblioteki. Kiedy wychodziłam z hotelu, wpadłam na tego barmana z „Wedge”. - Najlepiej myśleć o nim jako o barmanie. Gdyby przypadkiem zapomniała, że on pracuje w saloonie i musiała pobudzić swoją pamięć kuksańcem, słowo „barman” mogło się okazać bardzo przydatne.

- Dlaczego tak mówisz o panu Perrym? On jest dosyć miły.

- To jego zawód.

- Co się stało? - Phoebe potrząsnęła głową.

Sara ściągnęła brwi.

- Nic.

- Co powiedział?

- Wspomniał o moich artykułach. - Sara wpatrywała się w Phoebe. - I właśnie o to chodzi. O to, jak on się do mnie odzywa. Nigdy nas sobie nie przedstawiono, prawie nigdy nie rozmawialiśmy, a on zachowywał się tak, jakby był moim znajomym.

- Jest przyjazny, ale wątpię, czy doznał z twojej strony najlżejszej choćby zachęty. Jak ty się spodziewasz znowu wyjść za mąż? Nie pozwalasz żadnemu mężczyźnie zbliżyć się do siebie.

- Wcale się nie spodziewam wyjść za mąż. Mężczyźni chcą mieć młode żonki, niewiniątka, które będą sobie mogli wychować. Pięćdziesięciolatkwie gapią się na młode damy prosto po szkole. - Sara wzruszyła ramionami. - Absolutnie nie zgadzam się, żeby mnie sobie ktoś wychowywał, i wcale nie interesują mnie obowiązki domowe. Wiesz o tym. To ty piłyś artykuły o prowadzeniu domu. Nie ja.

- No cóż, Charles nie zorientował się, że to ja, ale nie o to chodzi. Nawet jeżeli zamieszkaż sama, musisz prowadzić dom. Czy nie wolałabyś go dzielić z kochającym mężczyzną?

- Nie. Prawie dwanaście lat temu uważałam inaczej, ale dojrzałam. - Sara zamieszała resztkę kawy w filiżance i wstała. - Lepiej już pójść do łóżka.

- Nie chciałam ci tego przypominać, Saro. Czy wszystko z tobą w porządku?

- Tak. Wydawało mi się, że już zapomniałam, jak się na niego złościłam o to, że pije... o tak wiele spraw... - Sara poklepała Phoebe po ramieniu. - Obiecywał kochać, hołubić i chronić mnie, a ja mu wierzyłam.

- Jestem pewna, że robił co w jego mocy. - Phoebe wstała i objęła Sarę. - John nie chciałby, żebyś go opłakiwała do końca życia.

Sara popatrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

- Ależ ja go nie opłakuję.

- No to może wpadłabyś do biblioteki w poniedziałek

wieczorem? - Phoebe doszła do wniosku, że pora już doprowadzić do tego, żeby Sara zaczęła poznawać mężczyzn. Stawiały sobie takie ambitne cele, kiedy były dużo młodsze, i miała nadzieję, że teraz też się uda. - Jak rozumiem, pan Pratt, wiesz, ten nowy kierownik szkoły, ma zwyczaj czytać tam w każdy poniedziałkowy wieczór.

- Jestem pewna, że kiedyś go poznam. - Sara potrząsnęła głową do Phoebe i poszła do swojej sypialni.

- Tak - powiedziała Phoebe zbyt cicho, żeby ją ktoś usłyszał. - Szybciej niż ci się wydaje. - Zgasiła światła i poszła do swojego pokoju. Wsunąwszy się do łóżka obok Charlesa szepnęła: - Nie uważasz, że czas już na artykuł o nowym kierowniku szkoły?

- Mhm.

- A może powiesz Sarze, żeby z nim przeprowadziła wywiad? - Ucałowała go lekko w ramię.

- Tak, kochanie...

Następnego ranka Sara ukończyła oba artykuły. Była już niemal pora na kolację, kiedy wręczała starannie zapisane kartki Charlesowi, przy czym na wierzchu leżała ta, którą pisała pod swoim własnym nazwiskiem.

- Posłuchałam sugestii Phoebe i pokpiłam sobie trochę z niektórych naszych towarzyskich restrykcji, tych, które na pewno pochwalałaby panna Lucy, nikt więc nie będzie podejrzewał, że to ja napisałam obydwa artykuły.

Popatrzyła na niego niewinnie i wróciła do swojego biurka. Pierwszy tekst popsuje mu humor, ale liczyła na to, że drugi go rozbawi. Miał wzrok skupiony chyba gdzieś w połowie strony, kiedy się zachmurzył. Potem jego policzki przybrały bardziej intensywny kolor niż zwykle, a następnie zaczął coś bełkotać i zagapił się na nią. Niemal słyszała jego słowa, zanim zdołał je sformułować.

- Przecież... to jest... - Ręka mu się trzęsała. - Przyznaj, że nie spodziewasz się, że ktoś do ciebie napisze, a przynajmniej powiedz, że tak, żeby mnie trochę uspokoić.

Sara obdarzyła go lekkim uśmiechem.

- Nie jestem pewna. Ale czy nie byłoby to interesujące, gdyby jakieś kobiety jednak napisały? Za bardzo byłam ciekawa, żeby nie zapytać. Przecież nie ma w tym nic złego.

- Będą się chłopaki w „Wedge” mieli z czego pośmiać.

Sara wzruszyła ramionami.

- Może jakaś kobieta... gdzieś daleko, gdzieś na terytorium Arizony... przeczyta *Gazette* i poczuje, że bez zagrożenia może o tym napisać. - Kiedy Charles zaczął przewracać oczami, uśmiechnęła się z przymusem. - Rzuć okiem na tekst panny Lucy. Powinno ci się zrobić lepiej.

- Mam nadzieję, że kochana staruszka mnie nie zawiedzie. - Przysiadł na rogu biurka i zaczął czytać.

- Jestem pewna, że nie zawiedzie, w każdym razie nie ciebie. - Sara wrzuciła brudnopisy obu artykułów do kosza i posprzątała na biurku.

Charles skończył czytać, położył plik na biurku i zerknął na Sarę.

- Bardzo bym chciał kiedyś poznać pannę Lucy. Czy myślisz, że udałoby ci się to zaaranżować?

- Hm, sama nie wiem. Wychodzi niemalże, zanim ukończysz swoje artykuły.

Charles roześmiał się.

- Tu masz całkowitą rację. - Podeszedł do frontowego okna i wyjrzał na ulicę. - Chciałbym, żebyś napisała jeszcze jeden artykuł do bieżącego wydania.

- Proszę cię, tylko nie nekrolog. Nie umiem tego dobrze robić.

- Nie, wywiad z panem Pratem, kierownikiem szkoły. Jest nowy w naszym mieście. Ludzie pewnie ciekawi są, co to za człowiek. - Charles powędrował z powrotem do swojego biurka. - Pewnie mogłabyś się z nim zobaczyć dziś po

południu, kiedy szkoła się skończy. Nie powinno ci to zająć wiele czasu.

- Równie fatalna sprawa. Nie wolałbyś tego sam załatwić? Jak mężczyzna z mężczyzną?

- Poradzisz sobie świetnie. - Charles zaczął przekładać papiery na biurku. - Zapytaj o jego pochodzenie, o rodzinę, dlaczego przyjechał na Zachód, skąd się wziął w Gridley.

- Widzę w tym rękę Phoebe. - Sara zerknęła na zegar. - Powinnam zabrać ją ze sobą. Jako przyzwyczajenie.

Poszła wzdłuż River Road do kościoła metodystów, który w dni powszednie służył jako szkoła. Słońce miło grzało, wiał lekki, przyjemny wiaterek. Zajęcia się skończyły. Pozdrowiła po drodze kilkoro dzieci, a potem zobaczyła Corę, która rozmawiała ze swoją przyjaciółką Patsy i machała do niej.

Cora była radosną dziewczynką, bardzo podobną do Phoebe w jej wieku - miała duże brązowe oczy, rudawozłote włosy splecione w długie warkocz na plecach i uśmiech, który za kilka lat będzie doprowadzał chłopców do szaleństwa. Patsy miała najśodsza na świecie twarzyczkę, karmelkowo brązowe oczy, odrobinę piegów i kręcone blond włosy. Razem potrafiły być bardzo niesforne.

Cora podbiegła do niej.

- Szukasz mnie, ciociu Saro?

- Nie, słoneczko. Chciałam porozmawiać z panem Pratem. Czy już wyszedł?

Patsy pochyliła się, szepnęła coś Corze do ucha i obie zachichotały. Cora zerknęła na Sarę i opanowała się.

- On sprząta i ocenia zadania po szkole.

- Proszę pani... - Patsy przygryzła dolną wargę i dopiero potem dokończyła. - Czy pani lubi pana Pratta?

- Jeszcze się nie poznaliśmy. - Sara uśmiechnęła się do dziewczynek. - Gdzie się wybieracie?

- Do domu do Patsy. Jej mama obiecała nauczyć nas, jak się robi makaron.

- Przyglądaj się uważnie. Może przygotujesz nam makaron jutro na kolację. - Sara postąpiła krok do przodu i odwróciła się znowu do dziewczynek. - Och, Coro, nie zapomnij najpierw poprosić mamę o pozwolenie.

- Tak, ciociu Saro.

Dziewczynki w podskokach oddaliły się, a Sara poszła do szkoły. Zanim doszła do stopni, podwórze opustoszało. Huśtawka, którą ktoś zawiesił na gałęzi drzewa, skręcała się powoli na wietrze. Sara wspięła się po drewnianych stopniach cicho, jakby się spóźniła do kościoła, i weszła do sali. Mijała właśnie wystygły piec na drewno, kiedy jakiś wysoki dżentelmen skierował się w stronę klasy na froncie.

- Pan Pratt?

Zatrzymała się w pół drogi w przejściu, wpatrując się w wiązki różeg na biurku w pobliżu katedry. Wiele było cienkich, ale kilka tak grubych jak kciuk. Nagle w pamięci błysnęło jej wspomnienie innego nauczyciela, który z wściekłości siekł po ręce małego chłopca, i przeszedł ją dreszcz. Miała wtedy nie więcej niż siedem lat.

- Tak, nazywam się Pratt - nauczyciel odwrócił się do niej i wyprostował na jej widok. - Poznałem już wielu rodziców moich uczniów, ale nie wszystkich. Które dziecko jest pani?

- Żadne. - Sara ruszyła do przodu usuwając wspomnienie na samo dno pamięci, gdzie było jego miejsce, i skupiła się na panu Pracie. Wyglądał na intelektualistę ze swoimi pięknymi rysami i prostymi jak szczecina wąsami, które niemalże zasłaniały niewielką, kwadratową brodę. - Nazywam się pani Hampton i pisuję do *Gridley Gazette*.

- Sara Hampton? - Odłożył książki, które trzymał w rękach. - To wielka przyjemność, proszę pani. Z zainteresowaniem śledziłem pani artykuły.

- Dziękuję panu. Mężczyźni nieczęsto je pochwalają.

- Och, ale one były szalenie interesujące. Tworzą historię. Czy zechce pani usiąść?

Sara uśmiechnęła się i wybrała miejsce na końcu najbliższej ławki.

- Pan Abbott, wydawca *Gazette*, chciałby opublikować artykuł o panu, przedstawić pana tej części naszej społeczności, która nie miała jeszcze okazji pana poznać.

- Och... - Pan Pratt usiadł po drugiej stronie przejścia o dwa rzędy od niej. - Niewiele mam do powiedzenia. Kierownicy szkół prowadzą raczej spokojny tryb życia, a przynajmniej tak jest w moim przypadku.

- To nie ma być biografia, proszę pana. - Sara rozłożyła kartki i położyła je przed sobą na ławce. - Od jak dawna pan uczy?

- W maju zeszłego roku minęło piętnaście lat. - Odwrócił od niej wzrok.

- To długi czas. Czy zechciałby mi pan powiedzieć, gdzie pan dorastał?

- W Maryland, na początku, ale młodość spędziłem w hrabstwie Chester w Pensylwanii. - Rozejrzał się po sali.

- Ma pan za sobą szmat drogi. - Cóż za bystra uwaga, pomyślała sarkastycznie i skrzywiła się w duchu. Większość ludzi, którzy przybyli na Zachód, przejechała przez cały kraj albo opłynęła dookoła przylądek Horn.

- Nie przebyłem całej drogi za jednym zamachem. Uczyłem w szkołach czterech różnych stanów i na trzech terytoriach. - Przesunął się w ławce. - Czy będą pani potrzebne ich nazwy?

- Och, nie, proszę pana. - Uśmiechnęła się w nadziei, że to go uspokoi. - To nie będzie konieczne. - Napisała na kartce „doświadczony”. Zachowywał się tak łagodnie, że pewnie różgi bardziej były na pokaz niż do użytku.

Pan Pratt westchnął i kiwnął głową.

- Czy pozwoli pan, że zapytam, czy jest pan żonaty? Jestem pewna, że damy będą tym zainteresowane. - Przemknęło jej przez myśl, żeby zapytać go, co sądzi o wolnej miłości, ale równie szybko odrzuciła ten pomysł.

- Nie, nie jestem żonaty, proszę pani.

Wiedziała o co najmniej dwóch kobietach w miasteczku, które temat ten zainteresuje. Na jej pytania udzielał tylko najprostszycy odpowiedzi i nie miała jeszcze wystarczająco dużo materiału, żeby zapełnić szpaltę w gazecie. - Kiedy był pan chłopcem, jak najbardziej lubił pan spędzać czas?

- Na czytaniu i łowieniu ryb. - Uśmiechnął się zmieszany.

- Będzie pan mógł tu robić i jedno, i drugie. Jakiego przedmiotu lubi pan uczyć najbardziej?

Zerknął na mapę wiszącą na jednej ze ścian i uśmiechnął się:

- Geografii.

- Czy zawsze lubił pan przygody i odkrycia?

- Spotkało mnie pewnego roku to szczęście, że uczył mnie pewien dżentelmen, który wykorzystywał geografię do nauki rachunków, czytania i pisania. Sprawił, że nauka stała się czymś fascynującym.

- Ach, to dlatego Clay i Cora opowiadali o rozmiarach gór.

- Dzieci Abbottów?

- Tak. Jestem bardzo zżyta z ich rodziną. - Nie chciała, żeby role się odwróciły i zmieniła temat. - Widzę, że ma pan tu *Blue-Black Speller* Webstera i *Eclectic Readers* McGuffeya. Czy pożycza pan czasami książki niektórym uczniom?

- Do użytku na terenie szkoły, jeżeli zapomnieli przynieść własne. Dzieci w Oregonie mają więcej szczęścia niż dzieci w niektórych innych regionach. Ten stan kładzie nacisk na to, jak ważną rzeczą jest nauka. - Przesunął się bliżej po drewnianej ławie. - Czy jest pani tu od dawna?

- Prawie trzy miesiące. - Tak długo, pomyślała Sara. Naprawdę musi mieć swój własny dom. - Czy chciałby pan może coś jeszcze dodać?

Nauczyciel zaprzeczył.

- Gdyby rodzice chcieli ze mną porozmawiać, jestem tu zwykle codziennie do wpół do piętej.

Sara uzupełniła notatki, poskładała je i wstała.

- Dziękuję bardzo, że zechciał mi pan poświęcić kilka chwil. Bardzo było miło pana poznać.

- Cała przyjemność po mojej stronie, łaskawa pani. - Wyprostował się na całą wysokość. - Mam nadzieję, że niedługo znowu panią zobaczę.

Sara lekko się uśmiechnęła.

- To jedna z korzyści mieszkania w małym miasteczku.

Skierowała się w stronę drzwi, a stukot jej obcasów rozlegał się echem w ciszy. Ten niesamowity dźwięk przypomniiał jej, od jak dawna nie chodzi już do kościoła. Po drodze do domu zastanawiała się nad przeprowadzonym właśnie wywiadem. Pomyślała poniewczasie o jeszcze jednym pytaniu, ale zachowa je na później. Pan Pratt wyglądał na miłego człowieka i miała nadzieję, że jest dobrym nauczycielem.

Tego wieczoru po kolacji ona i Cora pomagały Phoebe w sprzątaniu kuchni. One rozmawiały o sprawach, które nie interesowałyby Charlesa, a on z radością zasiadł do jednej z częstych partii szachów z Clayem. Sara, wycierając blat stołu, odezwała się do Cory.

- Mam wrażenie, że bardziej ci się w tym roku podoba szkoła. A Patsy?

- Yhm. Ona siedzi obok mnie.

- Sądząc po tym - Phoebe uśmiechnęła się ze zrozumieniem do Sary - jak lubicie we dwie trajkotać, może nie był to najlepszy pomysł.

Sara wzięła ściereczkę i razem z Corą wycierały talerze.

- Czy pan Pratt jest surowy?

- Yhm. Bobby Jo włożył mu żabę do pudełka na drugie śniadanie i ta żaba pomoczyła mu całe jedzenie. - Cora zachichotała. - Naprawdę się wściekł i zbił porządnie Bobby'ego Jo.

Sara przyglądała się Corze.

- Ja też nie byłabym tym zachwycona. - Ale nie jestem pewna, pomyślała sobie, czy wybrałabym taki właśnie rodzaj kary.

Cora wytarła widelec i włożyła go do szuflady.

- Ciociu Saro, czy podobał ci się pan Pratt?

- Wydał mi się sympatyczny i mówił tak, jakby uczenie go cieszyło. To ważne.

- Ja myślę, że jemu podoba się panna Lucy, ta druga dama, która pisuje do gazety papy. Powiedział starszym chłopcom, żeby czytali jej artykuły w gazecie, to będą się umieli zachować.

Phoebe rozkaszłała się, ale nie chciała spojrzeć Sarze w oczy. Dzieci nie znały prawdy o pannie Lucy i Phoebe uważała, że tak jest najlepiej. Chociaż Cora bardzo starała się dotrzymywać tajemnic, rzadko jej się to udawało.

Sara zdołała ukryć zaskoczenie przed Corą.

- Ciekawa jestem, co chłopcy o tym myśleli.

Cora wzruszyła ramionami.

- Bardzo bym chciała, żeby im panna Lucy napisała, żeby nie byli tacy tępi. - Skończyła wycierać naczynia. - Mamo, czy mogę napisać do panny Lucy i poprosić ją o to?

- Sama nie wiem... Saro, co sądzisz?

- Nie widzę żadnego powodu, dla którego nie miałyby napisać do niej. A nawet pewna jestem, że pannę Lucy ucieszy list od ciebie. - Stworzy to jeszcze większy dystans pomiędzy fikcyjną autorką a nią samą, pomyślała Sara szybko zapalając się do tego pomysłu.

- Czy mogę już iść, mamo? Chcę do niej napisać od razu.

- Idź, kochanie. My tu skończymy. Ale najpierw powieś ściereczkę. - Kiedy Cora wypadła z kuchni, Phoebe popatrzyła na Sarę i potrząsnęła głową. - Może nie powinnaś jej była zachęcać.

Sara zerknęła na drzwi i zniżyła głos.

- Czy nie sądzisz, że to umocni w niej przekonanie o istnieniu panny Lucy?

- Dopóki nie dowie się prawdy.

- Porozmawiam z Charlesem, kiedy Clay pójdzie się położyć. - Sara schowała talerze do kredensu. - Czy poznałaś pana Pratta?

- Jeszcze nie. Czy sądzisz, że powinnam z nim porozmawiać?

- Och, nie. Mam wrażenie, że to ty wpadłaś na ten pomysł z artykułem i ciekawa byłam, co myślisz o Pracie.

Phoebe uśmiechnęła się z przymusem i podniosła ceberkę z wodą po zmywaniu.

- Nie robisz na mnie wrażenia, jakbyś od tego doświadczenia ucierpiała. - Wylała wodę na zewnątrz. - Nie słyszałam żadnych skarg. Zaczęłaś już ten artykuł?

- Zaczę go później, najpierw chciałam się dowiedzieć, co myśla dzieci. - Sara powiesiła ściereczkę, której używała. - Chyba zapytam, co sądzi Clay, jeżeli nie masz nic przeciw temu.

- Nie, proszę cię bardzo. Ja też właśnie przypominałam sobie coś, co powinnam zrobić. - Jeżeli jeden list miałby pomóc pannie Lucy, czemu nie dwa? pomyślała Phoebe. Lubiła pisać listy, ale ten będzie musiała podpisać nie swoim nazwiskiem. Przecież list od żony wydawcy mógłby się wydać nieszczery.

Sara poszła do salonu i przyłączyła się do Charlesa i Claya. Clay siedział naprzeciw ojca w bardzo podobnej jak on pozie i bacznie wpatrywał się w szachownicę pomiędzy nimi. Włosy miał ciemniejsze niż ojciec, uśmiech bardziej podobny do matczynego, a posturę niezgrabną, jak to wchodzący w dorosłość młodzik.

Usiadła na bocznym krześle z oparciem z listewek i przyglądała się, jak kończą grę. Sama próbowała kilkakrotnie grać w szachy, ale nie miała entuzjastycznego podejścia Charlesa. Jeden ze skoczków Claya znalazł się pomiędzy skoczkiem a laufrem jego ojca. Charlesowi zostało w grze sześć figur, a Clayowi dwa razy tyle. Charles pomamrotał coś, potarł brodę i wykonał ruch.

Jeszcze dwie kolejki i Clay powiedział:

- Szach i mat.

- Robi się dla mnie za dobry. - Charles popatrzył na Sarę. - Pewnie będę musiał zapomnieć, że to mój syn i następ-

nym razem porządnie go przetrzepać. - Roześmiał się cicho i pomógł poustawiać figury od nowa. - Może zagrałabyś partijkę, Saro? Jedną sympatyczną, przyjacielską grę.

- Nie, dziękuję ci. Myślę, że powinnam jeszcze popracować nad wywiadem z panem Prattem.

Clay popatrzył na nią.

- Ciocia poszła porozmawiać z panem Prattem?

- Dziś po południu. A teraz muszę napisać wywiad dla twojego ojca. - Z szachownicy stoczył się pionek. Podniosła go i podała Clayowi. - Jak on ci się podoba?

- Jest dosyć sprawiedliwy. Lepszy od pani Roberts. Nie wrzeszczy i opowiada o różnych miejscach, które zwiedził.

- Clay zaczął szurać nogami. - Chyba musiał się interesować wyrębem lasów. Uczy nas teraz, jak obliczyć, ile stóp desek jest w drzewie.

Charles parsknął i przesunął stolik z szachami w kąt pokoju.

Sara widziała myśli Charlesa jak na dłoni i chciała skierować rozmowę na inne tory niż wyrąb lasów.

- Mam nadzieję, że wyrazi również podziw dla urody kraju i drzew.

- Papo, czy będziesz jeszcze drukował te artykuły panny Lucy?

- Tak - Charles unikał spojrzenia Sary - jestem pewien, że ma jeszcze wiele rad, którymi się może z nami podzielić. A dlaczego pytasz?

- Pan Pratt powiedział, że powinniśmy jej następny artykuł przeczytać na głos w klasie. Żałuję, że nie zajmuje się szyciem zamiast pisaniem. - Zerknął na Sarę. - Przynajmniej twoje artykuły są śmieszne.

- Dziękuję, łaskawy panie. - Nie mogła się powstrzymać, żeby się do niego nie uśmiechnąć. - Zgodnie z moim zamysłem. - Był dobrym chłopcem i pewnie dokuczali mu z powodu jej artykułów.

- Taaa, wiem. Ale przynajmniej chłopaki je czytają. Jeden

nawet powiedział, że masz rację. - Clay wstał i przeciągnął się. - Dobranoc. Do zobaczenia rano.

Kiedy już wyszedł, Sara popatrzyła na Charlesa.

- Dziękuję, że mu nie powiedziałaś. Nie chcemy też, żeby dowiedziała się Cora. Ma zamiar napisać do panny Lucy.

- Powieniem być wiedzieć, że Phoebe sprowadzi moją córkę na złą drogę. - Uśmiechnął się i potrząsnął głową. - Jak poszedł wywiad z panem Pratem?

- Chyba będziesz z niego zadowolony. Jak skończę brudnopis, powiem ci, jakiej będzie w przybliżeniu długości. W tej chwili nie jestem pewna. - Sformułowała już kilka zdań, ale powinna zapełnić przynajmniej parę stron, żeby nie wydawało się, że pan Pratt jest nieinteresujący albo że niewiele da się o nim powiedzieć.

- Czy zdążysz przygotować tekst do bieżącego wydania?

- O, tak. Zaraz zacznę. - Po drodze do pokoju żałowała, że nie mogą zamieścić zdjęcia albo portretu rysunkowego pana Pratta, ale to było tylko marzenie, sposób na uniknięcie konieczności zapełnienia dwóch stron.

Phoebe przeczytała na przemian z Corą po dziesięć stron z *Małych kobietek*, potem pocałowała ją na dobranoc. Przebrała się w koszulę nocną i szlafrok, usiadła przy biurku i wyjęła arkusz gładkiego papieru listowego. Zanurzyła pióro w małym bursztynowym kałamarzu i napisała: „Droga Panno Lucy”.

Odwołała się do jej pierwszego artykułu i zapytała, czy to bardzo nieprzyzwoite, jeżeli kobieta odezwie się w miejscu publicznym pierwsza do mężczyzny, do takiego, którego w sekrecie podziwia. Nie mają żadnych wspólnych przyjaciół, którzy mogliby ich ze sobą zapoznać, a ona rozpaczliwie pragnie, by się nią zainteresował i podziwiał ją. Podpisała się: „Ostrożna”.

Przeczytała list jeszcze raz, złożyła papier i wsunęła go

do koperty. Zaadresowała ją i schowała w szufladzie pod stanicami. Mąż nie musiał o wszystkim wiedzieć.

Siedziała w łóżku i czytała, kiedy Charles położył się obok niej.

- Nie będzie ci przeszkadzać, jeżeli jeszcze przez chwilę nie zgaszę światła? - zapytała.

- Będzie. - Przytulił się do niej, wyciągnął rękę i podsunął w górę obrąbek nocnej koszuli.

- Oooh, Charles. - Książka się zamknęła. Phoebe odłożyła ją na stolik nocny i przykręciła knot w naftowej lampie. - Cała jestem twoja.

4

Kiedy Sara weszła do redakcji *Gazetce*, Charles zaczął przekładać papiery na swoim biurku.

- Ktoś zostawił tu liścik do panny Lucy.

- Kto to był?

- Ten ktoś wsunął go pod drzwi. - Odszukał list i podał jej-

Sara rozwinęła pojedynczą kartkę i przeczytała podpis.

- To od Cory. Mówiła wieczorem, że chce napisać do panny Lucy. Zapomniałam o tym.

- Nic dziwnego, że pismo wydawało mi się znajome. I cóż ona ma do powiedzenia naszej pannie Lucy?

- Chce - Sara szeroko się uśmiechnęła - żeby napisała chłopcom, żeby przestali być takimi tępakami.

- Brawo Cora. Masz zamiar jej odpowiedzieć?

- Panna Lucy jej odpowie, ale Cora nie będzie się spodziewała odpowiedzi dzisiaj. Wystarczy w przyszłym tygodniu. - Sara włożyła liścik do otwartego pudełka na swoim biurku. - Och, jeżeli zapyta, to powiedz jej, że przesłałeś go

pannie Lucy. Może słyszała, jak mówiłyśmy z Phoebe, że panna Lucy mieszka na Wschodzie.

- Jeżeli zapyta, powiem jej.

Sara zabrała się do roboty, żeby skończyć wywiad z panem Prattem. Wkrótce wręczyła go Charlesowi.

- Szpalta panny Lucy jest też niemalże gotowa.

- Dobrze. - Wprawnym okiem przebiegł artykuł. - Dokładnie to, czego chciałem. Złożę go na pierwszą stronę.

- Pan Pratt poczuje się zaskoczony.

Charles obejrzał się na nią.

- Był świadom tego, że piszesz o nim do gazety, prawda?

- Tak, ale chyba sądzi, że czytanie o *nim* nikogo nie zainteresuje.

- No to będzie miał nauczkę.

- Mam nadzieję, że nie bolesną. Przekonana jestem, że ceni sobie samotność, ale to tylko moje zdanie.

Zaczęła pisać ostateczną wersję artykułu panny Lucy, drugą część o manierach obowiązujących na ulicy. Włączyła do tekstu przykłady trzech różnych sytuacji. Pisała już ostatnią stronę, kiedy pojawiła się Phoebe.

Przyjaciółka otworzyła szeroko drzwi i energicznie weszła do pokoju.

- Taki śliczny dzień. Powinniście zostawiać drzwi otwarte, dopóki mamy taką ładną pogodę. Może przyjdź ostra zima.

Charles rzucił jej niezbyt przytomny uśmiech.

- Jaka będzie pogoda w przyszłym tygodniu?

- Słoneczne dni, chłodne noce, a niedługo deszcze. - Ucałowała męża w policzek. - Ale kokony muszki rośliniarki nie są jeszcze grube. - Podała mu pocztę i przeszła do Sary. - Mam parę listów do ciebie. - Podając jej listy mrugnęła do niej bezgłośnie, prosząc, by powstrzymała się od komentarzy.

Sara zerknęła na leżącą na wierzchu kopertę. Poznała pismo Phoebe, ale list zaadresowany był do panny Lucy.

- Co...?

Phoebe ściągnęła brwi i potrząsnęła głową, żeby uciszyć Sarę.

- Myślę, że lepiej na te listy odpowiesz niż Charles.

Sara rozsunęła koperty. Obydwa listy były zaadresowane do panny Lucy.

- Wygląda na to, że pozyskałaś sobie wielbicieli. - A przynajmniej jednego, dodała w myśli Phoebe. Ten drugi list, którego nie napisała, wzbudzał jej ciekawość.

List Phoebe był pierwszy, podpisany „Ostrożna”. Sara uśmiechnęła się do przyjaciółki i przeczytała pojedynczą stroniczkę.

Charles przyglądał się żonie i Sarze.

- Co was tak rozbawiło?

Sara nie odważyła się spojrzeć na Phoebe.

- Czytam list od jakiejś słodkiej kobietki, która prosi pannę Lucy o radę.

- Brzmi interesująco. Czy zechcesz się ze mną podzielić?

Sara odchrząknęła. Nie wolno jej się śmiać. W życiu by ich nie zrozumiał, a nie miała zamiaru niczego mu tłumaczyć.

Jest taki wspaniały dżentelmen, którego w sekrecie podziwiam już od lat. Nie zna go żaden z moich przyjaciół, którzy mogliby nas sobie przedstawić tak, jak to wypada. Czy byłoby bardzo nieprzyzwoicie z mojej strony, gdybym się do niego odezwała pierwsza? Jestem panną, panno Lucy i obawiam się, że na zawsze nią zostanę, jeżeli nie powiem do niego kilku słów.

Podpisano: *Ostrożna.*

Charles miał zakłopotaną minę i Sara ulitowała się nad nim.

- Myślałyśmy, że list będzie od mężczyzny.

- Och, biedulka - powiedziała Phoebe usiłując zachować zimną krew. - Odpowiesz jej chyba, prawda, Saro?

- Wolałabym - wzruszyła ramionami Sara - nie odpowiadać za to, co ta słodka kobietka może zrobić. - Zerknęła spod oka na Phoebe i dodała: - Poza tym, jeżeli się już kil-

ka razy do niego uśmiechnęła, to przecież ukłoniłby się jej, gdyby był zainteresowany?

Odwrócona plecami do męża Phoebe zmarszczyła brwi.

- To dobry pomysł, moja droga - zauważył Charles. Zamieść jej list i odpowiedź na swojej szpalcie, Saro. Może są jeszcze inne panienki, które usychają z tęsknoty za jakimś panem tylko dlatego, że nie zostały mu oficjalnie przedstawione. - Uśmiechnął się szeroko do żony. - Nas to nie powstrzymało, prawda?

- Nie na długo. Nie mogliśmy oderwać od siebie oczu.

- To musiało być dosyć niewygodne - mruknęła Sara spoglądając na Phoebe, która właśnie przypadkowo odwróciła wzrok. - Zobaczmy.

- Otwórz ten drugi list. - Phoebe obeszyła biurko Sary i zajrzała jej przez ramię.

Sara zerknęła na nią spod oka, a kąciki jej ust uniosły się w mimowolnym uśmiechu.

- Chciałabyś go przeczytać?

- Nie - powiedziała Phoebe kładąc jej dłoń na ramieniu. - Po prostu go otwórz.

Sara powoli otworzyła kopertę i wyciągnęła gładki, niezłożony arkusik papieru.

- *Droga.... Najdroższa panno Lucy...* - Przeniosła wzrok z Phoebe na Charlesa. - Czy jesteście pewni, że chcecie tego wysłuchać?

Phoebe zaczęła się śmiać, ale udało jej się wykrztusić:

- Żebyś mi się nie odważyła teraz przerwać.

- Dość tego droczenia się - dodał Charles. - Czytaj dalej, Saro.

Sara czuła się jak jakiś wścibinos, który przegląda cudze listy. A przecież tak nie było. List był adresowany do niej. Zaczęła czytać.

Pani artykuł był bardzo ujmujący, nawet jeżeli bezwiednie obrała sobie Pani mężczyzn za cel swoich uwag. Przekonany jestem, że najlepiej wstawi się za moją płcią wers

z Henryka VIII; *choć sytuacja nie była taka sama, mam wrażenie, że będzie pasował. „Cóż to za nagły gniew? czymżem na niego zasłużył?”*

*Z wyrazami szacunku
pan Brown*

- Szekspir - wybuchnął śmiechem Charles. Po dłuższej chwili potarł ręką usta, jakby próbował się opanować, i powiedział: - Twoi czytelnicy tworzą interesującą grupę, Saro.

Sara przewróciła oczami.

- Nie dobieierałam ich sobie. Ale zgodzę się z tobą, że ten jest jakiś inny. To pewnie tylko kawał.

- Nie jestem o tym przekonany. - Charles wzruszył ramionami. - Mnie to bardziej wygląda na wyzwanie.

Phoebe zacisnęła wargi i spokojnym krokiem podeszła do prasy drukarskiej. Czy ten dżentelmen mógł być świadkiem sceny pomiędzy Sarą a panem Perrym? Porządnie go zbeształa, a znając ją, jeżeli ktoś mógł ich widzieć, mógł ją również usłyszeć. Kiedy Phoebe uporała się z grożącym jej wybuchem śmiechu, odezwała się spokojnie:

- Ciekawa jestem, kim jest ten pan Brown.

- Nie mam pojęcia. - Sara skierowała spojrzenie na Charlesa. - Dosyć popularne nazwisko...

- To nie byłam ja - powiedział Charles wymachując ręką. - Jestem pewien, że uda ci się wkomponować list pana Browna w swoją szpaltę.

Sara pokręciła głową.

- Więcej takich listów, a moją szpaltę będą zapełniać czytelnicy. Mógłbyś zadawać pytanie tygodnia, a potem publikować reakcje czytelników.

- Jeżeli przestaniesz dla mnie pracować, może tak zrobię. Phoebe podeszła znowu do biurka Sary.

- Czy nie ciekawi cię chociaż trochę ten pan Brown?

Sara podniosła kopertę, popatrzyła na stempel i cichut-

ko westchnęła. Była zainteresowana, ale nie miała zamiaru podniecać ciekawości Phoebe.

- Czy został nadany w mieście?

- Nie. W Fenton's Crossing. - Sara podała kopertę Phoebe. - Wiesz, gdzie to jest?

Phoebe wzruszyła ramionami i zwróciła się do męża.

- Charles?

- Na północ od nas. W pobliżu rzeki Sandy. - Charles przyglądał się żonie i Sarze.

- Dość tych domysłów, Phoebe. Sara musi skończyć swoją szpaltę.

- Ostrożnie - powiedziała Sara z kpiącym uśmiechem. - Zaczynasz mówić jak stary zrzęda.

- Przecież musimy wydać gazetę.

Przyglądała mu się przez moment.

- Charlesie, czy aby na pewno nie ty napisałeś ten list?

- Dość miałem na głowie i bez tego - odparł. - Starczy mi już pisaniny. Czemu miałbym tracić czas na ten śmieszny list?

Phoebe tym razem nie zdołała się opanować i wybuchnęła śmiechem.

- Tak się zastanawiałam, czy nie napisał go ktoś z naszego miasta, ale nie pomyślałam o tobie, Charles.

Podeszła do męża, wzięła go pod rękę i przysunęła się do niego.

- Naprawdę go nie napisałeś, prawda?

- Nie, kochana Phoebe. Ty i Sara dość macie wyobraźni za nas wszystkich.

Rozmawiali przyciszonym głosem, a Sara w tym czasie czytała każdy list jeszcze raz. Nie będzie miała trudności z wykorzystaniem tych pytań na swojej szpalcie. Rozważyła panieńskie pytanie Phoebe i zaproponowała kobiecie śmiały krok. Otóż miała ona rozpocząć rozmowę; zaprosić mężczyznę na spotkanie towarzyskie; wziąć go pod rękę i zasugerować spacer po parku. Podała Phoebe stroniczkę tekstu.

- Myślisz, że będzie to natchnieniem dla „Ostrożnej”?

Phoebe przeczytała te kilka linijek i wybuchnęła śmiechem.

- Chyba tego naprawdę nie wykorzystasz, prawda?

Charles rzucił okiem na tekst.

- Nie, nie wykorzysta. Gdyby ta kobieta to przeczytała, na żadnego mężczyznę nie podniosłaby więcej oczu. - Odał kartkę z powrotem Sarze.

- Charles, nie masz w sobie krzty ducha przygody. - Sara wzięła do ręki list pana Browna.

Phoebe przytuliła rękę męża.

- Zostawię was dwoje, pracujcie sobie. Saro, baw się dobrze z panną Lucy.

- Dzięki. A jeżeli się z nią nie zgadzam?

- To jej posłuchaj - powiedział Charles i puścił oko do żony.

Sara patrzyła na list pana Browna ze zmarszczonymi brwiami. *Nagły gniew? Czymżem na niego zasłużył?* Jeżeli kobietę obrażono czy upokorzono, wystarczy to, by zachowała się nie całkiem tak, jak wypada. Jednak pan Brown, jeżeli rzeczywiście jakiś pan Brown ten list napisał, robił wrażenie dżentelmena. Wzięła ołówek i zaczęła pisać.

Najpierw podziękowała panu Brownowi, że podzielił się z nią swymi problemami i zasugerowała, że mężczyźni powinni dobierać sobie towarzyszek starannie, a jeżeli okaże się, że któryś z nich stanie się obiektem kobiecego gniewu w miejscu publicznym, powinien spokojnie poprosić ją, żeby dalszy ciąg dyskusji odbyli na terenie prywatnym. Jeżeli odmówi, dżentelmen powinien się z godnością wycofać i ufać, że kobieta zrobi to samo.

Jak również, dodała w myśli Sara, mieć nadzieję, że kobieta nie ruszy za nim biegiem, wrzeszcząc na całe gardło, tak żeby wszyscy mogli to usłyszeć, ale tej uwagi nie zamieściła. Niemniej zacytowała pewne przysłowie: Kto przebywa w towarzystwie wilka, nauczy się wyć.

Zakończyła tekst listem od „Ostrożnej” pisząc, że jeżeli nie ma nikogo, żadnego wspólnego znajomego, pastora czy urzędnika, który mógłby przedstawić jej tego mężczyznę,

może sama przedstawić się temu panu, zamienić z nim kilka słów i ruszyć dalej. Jeżeli dżentelmen będzie nią zainteresowany, ujawni to swoim zachowaniem. Wzięła czystą kartkę papieru i napisała wersję ostateczną.

Kiedy skończyła, wręczyła kartki Charlesowi.

- Lubię wyrażać własne zdanie, ale nie powinnam radzić obcym ludziom, jak mają postępować w osobistych sprawach.

- Ty i Phoebe ciągle mówicie, co ten czy tamten powinien był zrobić. - Charles uśmiechnął się do niej szeroko.

- Może to prawda, ale nie chodzę i nie mówię wszystkiego, co myślę. - A przynajmniej zwykle tego nie robię, no i nigdy nie zwracam się do obcych ludzi i nie pouczam ich, jak powinni postąpić.

Charles uniósł w górę tekst panny Lucy.

- Prawie że wystarczy za oba artykuły.

- Dobry Boże, może powinnam porozmawiać o tym z panną Lucy.

W sobotę rano, kiedy Clay Abbott roznosił *Gazette*, Gil czekał na niego.

- Dzień dobry, Clay.

- Dzień dobry panu.

- Wcześniej dziś jesteś.

- Tak, proszę pana. Wybieram się nad sadzawkę z przyjaciółmi.

Clay podał mu gazetę i oddalił się biegiem.

- Baw się dobrze!

Gil usiadł na ławce przed saloonem i rozłożył gazetę. Artykuł panny Lucy znalazł się na pierwszej stronie. Jego list powinien być przyjsć w poczcie z tego tygodnia, ale panna Lucy nie zdążyłaby na niego odpowiedzieć w tym wydaniu, chyba że mieszkała w tym samym mieście.

Rzucił okiem na jej szpaltę szukając jakiegś wzmianki

o swoim liście podpisanym „pan Brown”. Jeżeli jako panna Lucy pisze Sara Hampton, mogła zdążyć z odpowiedzią. Pod koniec tekstu znalazł odpowiedź. Jego podejrzenia okazały się uzasadnione.

To szczerza, nieokiełznana Sara Hampton pisała artykuły panny Lucy. Opuścił gazetę, popatrzył na drugą stronę ulicy na redakcję *Gazette* i wybuchnął śmiechem.

- Och, Saro, to może być świetna zabawa.

Jack wyszedł z saloonu i zagapił się na Gila.

- Jak mogę zsumować wczorajsze dochody, kiedy robisz tyle hałasu? - Zmierzył spojrzeniem miasto od jednego końca drogi do drugiego. - Co cię tak rozśmieszyło?

- Właśnie czytam, co powinienem zrobić, jeżeli zdarzy mi się wzbudzić gniew porywczej kobiety w miejscu publicznym. - Gil znowu się rozchichotał.

- Och, znowu ta Hampton. Odkąd Abbott zgodził się, żeby pisała do jego gazety, załóżę się, że zaczął zarabiać.

- Należy mu się za to, że znosi te wszystkie kpiny. A wiele jego kosztem. Tym razem to artykuł panny Lucy.

- Pisze jak matka. Sądzisz, że to matka Abbotta?

Gil zerknął na swojego przyjaciela, ale Jack nie uśmiechał się, mówił serio.

- Mało prawdopodobne. Ale kto wie? - Gil zauważył drugi artykuł Sary i zaczął go czytać.

Jack przyglądał mu się przez chwilę.

- No, pójdę skończyć rachunki.

Gil dowiedział się jeszcze więcej o radykalnych poglądach Victorii Woodhull na „kobiety-kobieciątka”, jak je nazywała. Ta kobieta chciała zrewolucjonizować w pełni męski rząd. Czy Sara naprawdę mogła wierzyć w jej majaczenia? Wydawała się mieć więcej rozsądku, ale przecież, upomniał sam siebie, tak naprawdę jej nie znał.

Następnego ranka, zanim zszedł na dół po schodach do saloonu, usiadł przy biurku, wziął kawałek papieru i zanurzył pióro w kałamarzu.

Najdroższa panno Lucy,

Pochlebia mi to, że zareagowała pani na moje uwagi. Wyraziłbym nadzieję, że i damy zwrócą uwagę na pani rady.

„Jej głos był zawsze spokojny, łagodny i cichy, jakże to doskonała zaleta u kobiety.” Mógłbym również dodać, że ujmująca. Wyobrażam sobie, że pani głos jest muzyką dla pani bliskich.

Ciekaw byłbym dowiedzieć się, czy pani i pisząca również w tej gazecie Sara Hampton wymieniacie poglądy. Dama ta namiętnie interesuje się sprawami, o których niewiele pań rozmawia, a może pozwala sobie szokować wrażliwość czytelnika? A może odsuwa od siebie potencjalnych konkurentów?

Mam nadzieję, że nie okazuję zbytnej śmiałości kontynuując naszą korespondencję.

*Z wyrazami szacunku
oddany pan Brown*

Przeczytał list jeszcze raz, zachichotał, wysuszył bibułą atrament. Ich umysłowy pojedynek szczerze go bawił. Kiedy adresował kopertę, zastanawiał się, ile czasu upłynie, zanim Sara Hampton zorientuje się, że wszystko to tylko żart, i natrze mu uszu.

Sara posmarowała grzanek jeżynowym dżemem Phoebe i ugryzła kawałek. Clay i Cora byli w szkole, w domu panowała cisza.

- Czy spodziewasz się w tym tygodniu następnego listu od „Ostrożnej”?

Phoebe potrząsnęła głową z uśmiechem.

- Chyba nawet nie zdążyła zastosować się do twojej rady po pierwszym liście.

- Nie powiedziałaś Charlesowi, że to ty pisałaś ten list, prawda?

- Podobała mu się myśl, że jakaś stara panna usycha z tęsknoty za mężczyzną, który nawet nie zwraca na nią uwagi. Rycerskość wciąż jeszcze żyje. Trzeba ją tylko od czasu do czasu ożywić szturchańcem. Poza tym - ciągnęła dalej Phoebe pociągając łyżeczkę kawy - gdyby wiedział, że to ja napisałam ten list, zlekceważyłby go i potraktował jako niemądrą intrygę.

Sara zagapiła się na Phoebe.

- Czy to ty napisałaś list od pana Browna?

- Nie. Cytowanie Szekspira to jedna z ostatnich rzeczy na jaką bym się zdobyła, ale wciąż chcę się dowiedzieć, kim jest pan Brown. - Phoebe rozpoznała figlarny wyraz twarzy Sary. Kiedy były dziećmi, oznaczał on na ogół, że będą kłopoty.

- Phoebe Abbott, jesteś przecież mężatką.

- Też coś. Jesteś równie ciekawa jak ja. Nie udawaj, że nie. - Dziwne, pomyślała Phoebe, zwykle to ja usiłuję przytłumić jej ciekawość.

- Jesteś ciekawa za nas obie. Pewnie więcej do nas nie napisze. - Zanim Sara skończyła jeść grzanekę, zapomniała już o panu Brownie i wróciła myślą do wcześniejszego problemu. - Byłaś ostatnio w wypożyczalni książek?

- Nie w tym miesiącu. Czy ktoś ofiarował jakieś nowe książki?

Sara zaprzeczyła.

- I dlatego musimy zebrać fundusze, żeby ich więcej kupić. Czy myślisz, że ludzie zgodziliby się płacić za udział w zabawie tanecznej?

- Co za cudowny pomysł. Wszyscy lubią tańczyć.

- A może powinniśmy zażądać, żeby panowie kupowali bilety, jeżeli chcą tańczyć z paniami.

- Ale byłaby zabawa. Gdzie te tańce miałyby się odbyć? - Phoebe dotknęła języka palcem, a potem zebrała okruszki z talerza. - Ławki w kościele zostały poprzybijane gwoździa-

mi po tym, jak biedny pan Billing przewrócił którąś z nich do tyłu zeszłej wiosny.

- A może na dworze? Pamiętasz letnie tańce? Nic tak nie ośmiela bojaźliwych mężczyzn i nieśmiałych kobiet jak baldachim z gwiazd i pełnia księżycą.

- Okazuje się, że nie wyleczyłaś się tak do końca z romantyzmu. Bardzo się cieszę. Ale nie możemy liczyć na pogodę, nie o tej porze roku.

- Jeżeli wieczór będzie chłodny, mężczyźni zyskają pretekst, żeby objąć ramieniem swoje ukochane. - Sara zakryła pokrywką miseczkę z dżemem. - A reszta z nas może włożyć ciepłe peleryny.

- Będzie ci potrzebne coś więcej niż ciepła peleryna, jeżeli znacznie padać. - Phoebe napełniła ponownie ich filiżanki. - Hol w hotelu nie jest wystarczająco duży. Wiem tylko o jednym miejscu, które świetnie by się nadawało, mam na myśli „Wedge”

Sara popatrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

- Chcesz, żebyśmy urządziły zabawę dobroczynną w sałoonie?

- Przynajmniej nie zabrakłoby nam partnerów. Ciekawe, czy pan Young pozwoliłby wykorzystać swój lokal przez jeden wieczór.

- Jeżeli nie dbasz o to jakich partnerów - powiedziała Sara sceptycznie - to pewnie masz rację.

- Kiedyś nie sądziłaś ich tak surowo.

- Nie mam nic przeciw temu, żeby ludzie się napili. Ale nie mogę znieść, jak mężczyźni piją bez umiaru... jak się zaproszą, mają w czubie, nogi im się płaczą, czy jak to zechcesz nazwać. - Sara popijała kawę.

Niekiedy zdawała sobie sprawę, że potrafi być bardzo nieustępliwa, zwłaszcza jeśli chodziło o alkohol, ale spędziwszy ostatnie cztery lata małżeństwa z mężczyzną, który rzadko bywał trzeźwy, nie miała wyrozumiałości dla opilstwa. Niemniej nie chciała psuć zabawy wszystkim innym. Tańce musiały się udać.

- Czy pan Young zgodziłby się nie sprzedawać mocnego alkoholu podczas tańców? Nie bardzo możemy tam zorganizować zabawę, na której mógłby zarobić.

- Nie wiem. - Phoebe uniosła filiżankę i zerknęła pijąc znad jej brzegu. - Rozmawiałam z nim tylko przelotnie.

- Ja z nim porozmawiam. Jeżeli nie pomoże zdrowy rozsądek, spróbuję go zauroczyć, co nie jest moją najmocniejszą stroną - powiedziała Sara krzywiąc się. - A jak to się nie uda, będę go męczyć i dręczyć.

- Będziemy potrzebowały pomocy, zwłaszcza w wieczór zabawy.

- W przyszłym tygodniu zamieścimy w gazecie ogłoszenie powiadamiające o zabawie. Możemy też poprosić o pomoc ochotników. Teraz musimy zdecydować się na dzień. W sobotę?

Phoebe sprawdziła daty w kalendarzyku, który wydrukował dla niej Charles.

- Do dwudziestego piątego miałybyśmy nieco ponad dwa tygodnie na zaplanowanie wszystkiego.

Sara zaniósła filiżankę i talerzyk do zlewu.

- Porozmawiam z panem Youngiem dziś rano.

Przetrząsnęła garderobę i wyciągnęła ciemnoniebieską popelinową suknię. Była to szykowna kreacja, kiedy uszyto ją dla niej z pięć czy sześć lat temu, powycinana w ząbki na brzegach, z plisowaną podspódnicą. Nadawała się świetnie i co najważniejsze, była wygodna.

Wyszczotkowała włosy i założyła suknię. Tak, pomyślała okręcając się przed niewielkim lustrem, mogę się ludziom pokazać, a nie wyglądam konwencjonalnie. Rzadko wkładała gorset i wołała nosić rozpuszczone włosy.

Było wczesne przedpołudnie, kiedy wyruszyła do saloonu „Wedge”. Najbezpieczniejsza pora na odwiedzinę w tym lokalu dla kobiety, jeżeli musiała go odwiedzić. Przeszła przez drogę, wstąpiła na drewniany chodnik na froncie i weszła do tego azylu mężczyzn. Sala była duża, mroczna, bo oświetlała

ją tylko paląca się na tyłach lampa i odrobina słońca, która wpadała przez otwarte drzwi. Sara widziała krzesła poustawiane wokół stołów, ale najbardziej uderzyły ją wszechobecne, unoszące się w powietrzu zapachy - piwa, nieświeżego dymu i jeszcze czegoś, czego nie potrafiła rozpoznać.

Kiedy jej wzrok przyzwyczaił się do półmroku, zobaczyła, że lada długiego baru została wypolerowana, czego nie można było powiedzieć o stołach. Potem zauważyła obraz za barem. Słyszała o takich obrazach, chociaż właściwie nigdy podobnego nie widziała.

Leśna sceneria była piękna, jednak uwagę widza przykuwała kobieta, która stała nad potokiem, a włosy powiewały jej za plecami, jakby unosił je silny wiatr. Jedynym kawałkiem ubrania na obrazie był jedwabście wyglądający szlafroczek, udrapowany na kłodzie drzewa. Malarz musiał uchwycić kobietę w pół kroku, kiedy spoglądała na niebo. Lekki uśmiech zmiękczał jej pełne, szerokie usta.

Ta zmysłowa kobieta najwyraźniej była miłośniczką natury.

Sara przełknęła, przemogła się i oderwała wzrok od osobliwie intrygującego obrazu. Przesunęła palcem wewnątrz kołnierzyka i ruszyła w kierunku drzwi przy drugim końcu baru. Wizerunek był bardzo nieprzyzwoity, ale niewielką częścią duszy zazdrościła modelce śmiałości.

- Proszę tak szybko nie uciekać, proszę pani - powiedział Gil rozpierając się na krześle.

Ten głos. Serce skoczyło jej do gardła, a policzki zapłonęły. Odwróciła się i przeszukiwała wzrokiem mrok.

- Nigdy nie sądziłem, że złoży nam pani wizytę, a przynajmniej nie tutaj. - Był równie zaszokowany jej widokiem, jak ona widokiem obrazu, w który wpatrywała się przez pełne dwie albo i trzy minuty, tego był pewien.

- Ja... - On się jej przyglądał! Wrogość zwyciężyła konsternację. - Co pan tu robi?

- Może to ja powinienem zadać to pytanie?

Postanowiła zignorować jego atak.

- Nie zauważyłam pana.

- Jakże mogła pani zauważyć? - Zrobił gest w kierunku obrazu. - To jest śliczna Lorinda. Fascynująca, nieprawdaz?

- Przypuszczam, że jej wdzięki mogą pociągać mężczyzn, którzy odwiedzają to miejsce. - Kogo chciała nabrać? Jaki mężczyzna nie doceniłby „uroków” Lorindy? Nawet w ubraniu zwracałaby na siebie uwagę.

Z punktu widzenia Gila Sara Hampton sama przedstawiała sobą ponętny widok.

- To ładna sukienka. Ale raczej powinna była pani założyć płócienny fartuch, zanim pani tu weszła. - Jej rozwiane wiatrem włosy i niebieska sukienka kusiły, żeby pochwalił je jakiś mężczyzna. Wszystkie te malutkie czarne guziczki po bokach rękawów i przez bujną pierś aż się prosiły, żeby je porozpinać... powoli. Bardzo powoli.

- Namoczyłam go w balii. - Odwróciła od niego wzrok, ale za późno, żeby nie zauważyć pospolitego uznania i niegodziwego uśmiechu. Poza tym odbijały się one też w lustrze przy końcu baru. Oczy mu lśniły, wargi rozchyliły się. Dlaczego nie miał poplamionych od tytoniu zębów? Albo chociaż pożółkłych, jak wielu innych mężczyzn?

Przesunęła ręką po rękawie.

- Przyszłam zobaczyć się z panem Youngiem. Czy go zastałam?

- Tak, proszę pani. - Gil podniósł się. Miał ochotę zobaczyć wyraz twarzy Jacka, kiedy ten ją ujrzy.

Usłyszała, jak krzesło zgrzytnęło o podłogę z desek i obejrzała się na niego.

- Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie jest, proszę pana. Sama trafię.

Pan Perry kiwnął głową, nie starając się ukryć rozbawienia.

- W swoim gabinecie, tym korytarzem proszę. - Jack nie-

mał nigdy nie zamykał drzwi i Gil nigdy się nie zastanawiał dlaczego. Ale teraz będzie mu łatwiej podsłuchiwać.

- Dziękuję panu. - Poszła na tyły saloonu i zatrzymała się przy otwartych drzwiach. Widywała go w mieście, lecz nie byli sobie przedstawieni. - Dzień dobry panu. - Włosy i wąsy miał ciemnoblonde, a na białej koszuli nosił brązową kamizelkę. Wyglądał jak każdy inny człowiek interesu.

Jack podniósł oczy, potem wstał.

- Czym mogę pani służyć?

Podeszła do jego biurka i wyciągnęła rękę.

- Nazywam się Sara Hampton, proszę pana. - Było oczywiste, że czuje się ogłuszony. Uśmiechnęła się do niego i potrząsnęła jego dłonią.

Jack pospiesznie przysunął jej krzesło.

- Phoebe Abbott i ja organizujemy zabawę dobroczynną, żeby zgromadzić fundusze na kupno książek dla wypożyczalni...

- Z przyjemnością złożę datek, proszę pani. - Jack pochylił się i otworzył dolną szufladę biurka.

- Dziękuję panu, w tej chwili nie kwestuję. Ale nie odmówię w czasie zabawy.

Jack zamknął szufladę.

- A czego pani potrzebuje?

- Chciałabym skorzystać z pana saloonu. Chcemy, żeby tańce odbyły się dwudziestego piątego, od tej soboty za dwa tygodnie.

Jack wpatrywał się w nią, a potem popatrzył za jej plecy na drzwi.

- Chce pani urządzić dobroczynne tańce tutaj?

Sara uśmiechnęła się.

- Wydaje się, że jest pan właścicielem jedyne lokalu na tyle dużego, żeby można w nim było urządzić publiczną zabawę.

- W soboty wieczorem mamy największy ruch. - Jack związał wąs po jednej stronie. - Poza tym, czy pani naprawdę sądzi, że damy z tego miasta przyjdą tańczyć w saloonie?

- Och tak, bez wątplenia. Widzi pan, ogłosimy, że bar bę-

dzie zamknięty. Będziemy podawać poncz i może coś na kolację. Powiedzmy pięć centów za porcję. I pewnie tyle samo będziemy pobierały od każdego dżentelmena, który zaprosi damę do tańca.

- Płatne tańce?

Sara kiwnęła głową.

- Potrzebujemy tych pieniędzy na książki, proszę pana. - Przyglądała mu się badawczo przez długą chwilę. Uświadomiła sobie, że może powinna pójść na ustępstwo, jeżeli ma uzyskać jego zgodę. - Oczywiście drwale będą również mile widziani - dodała. Przypomniała sobie uwagę, jaką wygłosiła do Phoebe na temat zauroczenia rozmówcy i uśmiechnęła się.

- Oni lubią popić, proszę pani, a poncz niekoniecznie jest tym napojem, na który będą mieli ochotę.

- Już od kilku miesięcy w mieście nie było żadnych tańców. Przekonana jestem, że zgodzą się zrezygnować z alkoholu na korzyść wieczoru spędzonego w towarzystwie dam.

Więcej nie chciała obiecywać.

Jack odchylił się na oparcie krzesła i wpatrywał w jakiś punkt poza nią.

- Przysłużyłby się pan całej społeczności. Wypożyczalnia książek rozpaczliwie potrzebuje nowych nabytków, a jej drzwi otwarte są dla każdego. - Minęła następna minuta i Sara właśnie zastanawiała się, czy go nie złapać za gors, kiedy uniósł ręce do góry.

- W porządku, proszę pani. Może pani tu urządzić swoje dobroczynne tańce.

- To cudownie. - Sara wstała i obeszła krzesło. - Och, jeszcze tylko jedno. Czy zgodzi się pan nie sprzedawać alkoholu w czasie tańców?

- Zgadza się, proszę pani.

Robił wrażenie niezbyt uszczęśliwionego, ale Sara była zachwycona. Wyciągnęła do niego rękę.

- Dziękuję panu.

Jack wahał się przez moment, potem potrząsnął jej dłonią.

- Wyprowadzę panią.

- Zamieścimy pierwsze ogłoszenie w *Gazette* w tym tygodniu. - Doszli do drewnianego chodnika i Sara zatrzymała się, zerkając przez ramię na obraz nad barem. - Jest jeden problem.

- Tak?

- Musi pan zdjąć ten obraz, ten za barem. Damy poczułyby się zdecydowanie dotknięte. - Z ciemności rozległ się wybuch śmiechu. Sara zacisnęła szczęki i rzuciła piorunujące spojrzenie w kierunku pana Perry'ego.

- Lorindę? - zachichotał Jack.

- Może się ukryć w moim pokoju, na górze, proszę pani - zawołał Gil. - Będzie ze mną bezpieczna.

- Jeżeli pan tak uważa, panie Perry.

Dobrali się w tym saloonie, on i ona. Zresztą, czegoż więcej mógłby chcieć mężczyzna?

5

Sara i Phoebe przygotowały afisz obwieszczający dobroczynną zabawę, a Charles wydrukował go w wielu egzemplarzach, kiedy Sara pisała anons do gazety. Potem obie z Phoebe odwiedziły wszystkie sklepy i urzędy w mieście, i w każdym zostawiły afisz do wywieszenia.

Phoebe wróciła do redakcji *Gazette* razem z Sarą.

- Musimy podjąć decyzję, czy Charles ma drukować bilety na zabawę, czy też wykorzystamy różnokolorowe kawałeczki papieru. Jak uważasz?

- Masz rację. Będziemy musiały panom wręczać coś, co mogliby wrzucać do miski, kiedy będą ruszali do tańca. Może przydałyby nam się ze dwie panie, które będą zbierały pieniądze za kolację? Panowie zapłacą za każdy taniec i będziemy pobierać opłatę za każdą porcję jedzenia. Co jeszcze?

- Skoro będą płacili za tańce i jedzenie, my powinniśmy dostarczyć poncz.

Sara uśmiechnęła się szeroko.

- Zgadzam się. A co z muzyką? Czy macie tu gdzieś w okolicy orkiestrę, która grywa na takich imprezach?

- Zeszłej zimy dogadało się kilku pracowników tartaku. - Phoebe obejrzała się na męża. - Charles, czy poprosiłbyś ich, żeby zagrali do tańca?

- Damy im kolację - dodała Sara.

Charles wyrzał zza gazety, którą właśnie czytał.

- Wpadnę dziś wieczorem do „Wedge” i poproszę.

Phoebe przewróciła oczami i pokiwała głową.

- Każdy pretekst jest dobry.

Sara zaczęła notować pomysły na arkuszu papieru. Umiała sporządzać listy. Problem w tym, żeby samych list nie zarzucić.

- Przypuszczam, że powinniśmy utworzyć komitet, który będzie wybierał książki dla biblioteki. Oczywiście Charles. - Sara podniosła oczy. - Wszyscy mają do niego zaufanie. Pan Pratt też powinien mieć coś do powiedzenia.

Phoebe skinęła głową.

- I wydaje mi się, że pan Riggs regularnie wypożycza książki. Może by jego też dołączyć?

- Kuźnia? Ależ oczywiście. Ktoś jeszcze?

- Czy w komitecie nie powinna znaleźć się nieparzysta liczba członków? - Phoebe zerknęła na męża. - Żeby była większość, gdyby nie wszyscy się zgadzali.

- Czy wy dwie będziecie w tym komitecie? - Charles odłożył gazetę.

Sara i Phoebe popatrzyły na siebie.

- Chciałabym mieć coś do powiedzenia przy wyborze książek. A ty nie, Phoebe?

- Wydawało mi się, że nie będziemy mile widziane. - Phoebe wzruszyła ramionami. - Ale jeżeli uważasz, że nie będzie sprzeciwu...

Charles uśmiechnął się do żony.

- Chciałem tylko wam obu poddać jeszcze jedną sprawę pod rozwagę.

- Na litość, czyżbyś był zdania, że w mieście powinno odbyć się ogólne głosowanie nad tym, kto ma być w komitecie? Może urządzimy je w czasie tańców.

- Jeżeli za bardzo wszystko skomplikujemy, niczego nie osiągniemy. - Sara znowu usiadła na krześle. - Mogłybyśmy przygotować kartkę, na którą wpisywałby się każdy, kto ma ochotę zasiadać w komitecie. - Popatrując to na Phoebe, to na Charlesa Sara myślała o imprezach dobroczynnych, w które przez lata się angażowała. - Ale większość ludzi reaguje z zadowoleniem, a nawet ulgą, jak ktoś inny zgłasza się do roboty.

- Masz rację. Jeżeli się ktoś sprzeciwi, możemy to przedyskutować.

Sara wykreśliła ten punkt ze swojej listy. Pomysł dobroczynnej imprezy został dobrze przyjęty. Pan Young zaproponował wykorzystanie saloonu, chociaż nie była pewna, czy interesuje go cel imprezy. Pozostawał jeszcze pan Perry. Jego pęd do sztuki ukierunkowany był na nagie kobiety, a nad innymi jego zainteresowaniami nie miała ochoty się zastanawiać.

Na zabawie barman do niczego nie był potrzebny, ale czy zechce wziąć w niej udział? Na niepokojące, wyraziste wspomnienie jego śmiechu i zarozumiałego wygięcia warg dreszcz przeszedł jej po plecach. W chwilę później pocieszyła się myślą, że jest tylko jednym z wielu mężczyzn w mieście.

Wracając z obozowiska drwali do miasteczka Gil zatrzymał się przy siedzibie Vonney. Przysadzisty dom z bali zbudowany tak, by opierał się ulewnym deszczom i ostrym zimom, stał wśród jodeł i sosen w pobliżu strumienia, w którym na ogół przez cały rok była woda. Z sypialni na piętrze rozciągał się poprzez drzewa widok na dolinę Willamette.

Oczywiście niewielu mężczyzn interesowało się krajobrazem, kiedy przebywali na górze z jedną z dziewcząt Vonney.

Przywiązał konia do poręczy na froncie i wszedł do domu. Ledwo zamknęły się za nim drzwi, a Vonney już go zobaczyła. Jej tycjanowsko rude loki były nieco bardziej sprężyste niż zwykle, ale brązowe oczy błyszczały jak zawsze. Nie malowała sobie twarzy, jak to robiły niektóre kobiety, ale też nie potrzebowała ukrywać żadnych wad, zaś wypukłości jej figury mogły zadowolić gusta każdego mężczyzny.

Wyrzucono ją razem z pozostałymi trzema kobietami z Silver Creek i spodobało im się to, że będą jedynymi kobietami oddalonymi o dzień drogi od obozowiska drwali. Później, kiedy Gridley rozrosło się w prawdziwe miasteczko, Gil zaproponował otwarcie domu w mieście, ale Vonney nie była zainteresowana.

- Hej, dziewczęta, spójrzcie, kogo tu mamy! - Vonney podbiegła i zarzuciła mu ramiona na szyję.

Gil okręcił ją dookoła i postawił na ziemi.

- Naprawdę ślicznie wyglądasz.

- Ale jak się czuję? - Wygięła się i ucałowała go z boku w szczękę.

- Lepiej niż na to zasługujesz i sama o tym wiesz. - Uśmiechnął się ciepło, objął ją w pasie ramieniem i odwrócił się do pozostałych dziewcząt: Frannie, Vi i Jessamine, do której zwracano się jednak na ogół Jessie. - Czy wy, panie, spędziłyście choć trochę czasu na zewnątrz, ciesząc się piękną pogodą?

- Od nadmiaru słońca robią mi się piegi i rudzieją włosy. - Jessie zmarszczyła nos.

Rzeczywiście, ma piękne, brązowe włosy, pomyślał.

- No to idź na spacer do lasu. Nie chcę, żebyś zaczęła chorować.

Vi wyprostowała się w ramionach, pierś wypięta do przodu i wysunęła biodro w bok.

Gil zachichotał. Była niepoprawną kokietką, ale wszystkie takie były. Tak postanowiły zarabiać na życie.

- Czy wyglądam mizernie?

Roześmiały się chórem, a Gil razem z nimi.

- Dbajcie o siebie. Chcę żebyście wszystkie były zdrowe, i wy, i mężczyźni.

- Dobrze się tymi panami opiekujemy, Gil. - Frannie zachichotała. - I chętnie bym ci pokazała jak. W każdej chwili.

- Będzie ci po prostu musiał uwierzyć na słowo - powiedziała Vonney. - A teraz zmykajcie. Ostatnio zbyt rzadko widywałam tego człowieka.

Rzuciła mu jeden ze swych zuchwałych uśmiechów nie pozostawiając żadnych wątpliwości, co ma na myśli. Był to ich zwyczajowy test na siłę woli. Ona wabiła go do swojego pokoju, a on odmawiał jej najłagodniej, jak w danych okolicznościach mógł.

- Masz może świeżą kawę? - Zażywał z nią rozkoszy w przeszłości, dopóki nie uświadomił sobie, że ona chce od niego więcej, niż był gotów jej dać.

- Ależ oczywiście. I upiekłam placek z jeżynami. Jeszcze jest ciepły. - Wzięła go za rękę i poprowadziła do kuchni.

- Nadal powtarzam, że powinnaś otworzyć sklep z wypiekami. - Wyjął rękę z jej dłoni i usiadł na stołku przy stole kuchennym.

Vonney zerknęła na niego.

- Czy naprawdę myślisz, że gdybym tak zrobiła, to kobiety z Gridley weszłyby do takiego sklepu albo kupiły jakiegokolwiek dzieło moich rąk?

- Istnieją całe setki małych miasteczek. Może gdzieś na zachód od Willamette? Bridgeport, Dallas i La Fayette to sympatyczne miejscowości. - Spojrzał jej w oczy. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że dobrze cię znają w każdym z tych miasteczek?

Jej jedyną reakcją był rubaszny śmiech. Cieszyła się, przekonana, że jej reputacja zatacza coraz szersze kręgi. Gil znał Vonney wystarczająco dobrze, żeby oswoić się z jej nad-

miernie rozdętą dumą, nieszkodliwą, chyba że nie pozwalała jej jasno myśleć. Postanowił przełożyć dyskusję na inny dzień i zmienił temat.

- Słyszałaś, żeby ktoś wspominał o pożarach w pobliżu obozowiska?

Vonney postawiła przed nim kubek.

- Jeden z mężczyzn mówił coś, ale wydawało mi się, że to nic ważnego. - Ukroiła kawałek ciasta i podała mu na widelcu. - Czy źle słyszałam?

- Oni tam są uważni. - Gil potrząsnął głową i spróbował gorącej kawy. - Zastanawiałem się tylko, czy inne obozowiska drwali miały jakieś kłopoty.

- Jak się czegoś dowiem, nie omieszkać cię powiadomić. - Nalała sobie kubek kawy i usiadła przy stole. - Czy Jack wciąż widuje się z tą dziewczyną Laytonów?

- Tak. Kazał cię pozdrowić. - Posmakował kęs ciasta.

Vonney wsunęła palec w sprężysty lok.

- Powiedz mu ode mnie, że powinien tu przyjechać i sam przemawiać w swoim imieniu.

- Z przyjemnością. - Dopił kawę i wyciągnął kubek. - Jeszcze?

- Czasami wydaje mi się, że odwiedzasz mnie tylko po to, żeby napełnić żołądek. - Napełniła oba kubki.

Gil przełknął kęs, który właśnie przeżuwał.

- Czyż nie jesteśmy przyjaciółmi?

- Kiedyś byliśmy czymś więcej. - Vonney przeciągle popatrzyła mu w oczy. - Czy dotrzymujesz towarzystwa komuś innemu?

Gil przechylił głowę na bok.

- Nie. Nie przypominam sobie nikogo takiego.

Zanurzając palec w jeżynowym soku na blaszce po placuku zapytała:

- Kiedy znowu otworzy się tartak? - Potem wylizała palec do czysta.

- Mam nadzieję - Gil popijał kawę ignorując jej niezbyt

delikatny gest - że z końcem miesiąca. Jeżeli nie, stracimy kilku dobrych ludzi.

- Jeżeli oni nie wrócą do pracy, może nawet zastosuję się do twojej rady co do sklepu z ciastami.

Przełykając ostatni kęs Gil usłyszał, jak dziewczęta pośpiesznie schodzą po schodach.

Jessie weszła do kuchni i rzuciła gazetę na stół w pobliżu Gila.

- Znasz tego całego wydawcę, tego Abbotta, nie?

- Chyba każdy w mieście go zna. A co?

- Ciągle tylko drzewa i drzewa, czemu bez przerwy czepia się tych drzew? Są wszędzie dookoła. Nigdy ich się wszystkich nie pościna, nawet jakby się chciało.

- Ma prawo do własnego zdania. Dopóki nie ruszył na mnie ze strzelbą, nie robi mi krzywdy.

- Nie? A wiesz, że on nie chce, żeby otworzyć tartak? To podle. Naprawdę podle. - Jessie podparła się pod boki. - Myślisz, że spróbuje coś zrobić, żeby go nie można było otworzyć?

- Bronią Abbotta są słowa. Nie będzie się bil. - Gil był przekonany, że ten człowiek nie uciekłby się do przemocy. Tam do diabła, lubił i szanował Abbotta.

Jessie postukała palcem w gazetę po prawej stronie.

- Za to podoba mi się panna Lucy. Przypomina mi moją mamę.

- Jessie - zawołała Vi z frontowego pokoju. - Henry przyszedł!

- Do zobaczenia później, Gil. - Jessamine uśmiechnęła się na pożegnanie.

Gil odwzajemnił uśmiech.

- Niewątpliwie podchodzi z dużym entuzjazmem do swojej pracy.

- To dla Henry'ego. - Vonney potrząsnęła głową.

Podnosząc się Sara patrzyła, jak dwa wyschłe liście topoli płyną z prądem potoku. Podmuch chłodnego wiatru zmierwił jej włosy i zakołysał spódnicą. W powietrzu pachniało jesienią, czuła jego rzeźkość. Minęły tylko trzy krótkie miesiące, a wiedziała już, że znalazła się tam, gdzie chciała żyć.

Brzeg rzeki na wschodnim skraju miasta był jednym z jej ulubionych miejsc, gdzie marzyła czy zastanawiała się nad pomysłami na artykuły. Dzisiaj robiła jedno i drugie. Strzepnęła ze spódnicy resztki traw i gałązek i ruszyła drogą.

Pogrążona w myślach Sara zrobiła nie więcej niż pół tuzina kroków, kiedy usłyszała za sobą tupot końskich kopyt. Nie zatrzymując się zeszła na skraj drogi.

Jak tylko Gil zobaczył jej bujne brązowe włosy trzepoczące się na wietrze, zwolnił. To musiała być Sara Hampton. Podjechał do niej i dostosował się do żwawego tempa Sary.

- Witam panią. - Dotknął runda swojego starego kapelusza i uśmiechnął się.

Tyłu jest mężczyzn na świecie, że też to musiał być właśnie on. Spojrzała na niego z ukosa nie zwalniając kroku. Gil pokazał zęby w bezsensownym uśmiechu, jakby spodziewał się, że wynagrodzi w ten sposób swoje wcześniejsze grzechy, to że obsypał jej ubranie śmieciami z saloonu i że tak sobie niedawno dowcipkował.

- Miły dzień na spacer.

- To dlatego tu jestem - odpowiedziała cicho.

Pochylił się w jej stronę.

- Co pani powiedziała?

Sara zacięła zęby i patrzyła prosto przed siebie.

- Będzie pani musiała mówić głośniej. Nie dosłyszałem, co pani powiedziała. - Cóż to za zdeterminowana dama. Kiedy jednak zauważył jej coraz silniej różowiejące policzki, zrozumiał, że nie jest tak pogrążona w myślach, jak udaje.

Sara zatrzymała się na rogu przy kuźni i czekała, żeby przejechał, bo chciała przejść na drugą stronę. A ponieważ on był człowiekiem przekornym, zatrzymał swojego wierzchowca tuż przed nią, przez co na poziomie oczu miała jego muskularne udo. Aż tak się z nim nie miała zamiaru spoufalać.

- Będziemy to musieli powtórzyć.

Sara głęboko wciągnęła powietrze i zaczęła obchodzić konia dookoła.

Podziwiał jej opanowanie, ale nie powstrzymało go to od żartów.

- Następnym razem proszę zabrać ze sobą wędkę. Zrobimy sobie piknik.

- Jak się w Hadesie zaczęła bić na śnieżki.

- Nigdy nie można być pewnym, kiedy do tego dojdzie, droga pani. - Dotknął runda kapelusza i odjechał o kilka stóp dalej w kierunku stajni, gdzie zostawiał konia. Przyglądał się, jak Sara idzie drogą; plecy miała wyprostowane niczym stylisko siekiery. Jak może brzmieć jej śmiech? Ktoregoś dnia może go usłyszy, ale na pewno nie stanie się to dziś, pomyślał.

Sara weszła do redakcji i usiadła przy biurku. Co to się porobiło, że zawsze przed tym człowiekiem ucieka? Spędziła w Gridley mniej więcej czternaście tygodni i widziała go zaledwie dwa lub trzy razy - tylko na odległość - i dopiero ostatnio trafiała na niego jakoś częściej. Phoebe mówiła, że to nieuniknione i że on należy do „przyzwoitych ludzi” . Były najbliższymi przyjaciółkami, ale niekoniecznie musiały się we wszystkim zgadzać.

- Saro - odezwał się Charles podnosząc oczy znad gazety na biurku. - Mam pomysł na serię artykułów.

Sara popatrzyła na niego pytająco.

- Phoebe wpadła, żeby mi powiedzieć, że ludziom podoba się twój wywiad z panem Pratem.

Pełnym zadowolenia uśmiechem dawał jej do zrozumienia, że chce powiedzieć: a nie mówiłem. Odezwała się:

- Jest tutaj od niedawna. Miałeś rację. Ludzie byli nim zainteresowani.

- Mhm. - Przyglądał się jej. - Co tydzień będziemy drukowali wywiad z jakimś człowiekiem interesu. Przez cały czas sprowadzają się tu nowe rodziny. Artykuły zapoznają czytelników z właścicielami biznesów, a także będą służyły jako ich reklama.

- I wszyscy będą kupowali gazetę, żeby poczytać o swoich przyjaciołach albo o sobie. - Sara spojrzała na niego z ukosa. - Z kim przeprowadzisz wywiad w tym tygodniu?

- Gilem Perrym. Martwił się, że ktoś rozpala ogień w pobliżu jego obozowiska. Powiedziałem mu, że napomknimy o tym w artykule.

- Już zrobiłeś z nim wywiad?

- Nie, nie - odrzekł Charles kręcąc głową - nie ja. To twoje zadanie.

- Moje? - Sara okręciła się na drewnianym krześle i zapatrzyła się w okno.

- Powiedziałem mu, że wspomnisz też o ostatnich pożarach. To może pomóc w znalezieniu podpalacza.

- Nie rozumiem, jak on może kierować obozowiskiem drwali, a jeszcze mniej, jak może je posiadać na własność. Zdrowego rozsądku ma tyle co siedmiolatek. Nie mogę tego zrobić.

- Może będziesz miała niespodziankę.

- Poczytam sobie o niej w gazecie.

- Stać cię na więcej. - Charles cicho się roześmiał. - Zrobisz ten wywiad. - Podniósł leżącą na biurku gazetę, rozłożył ją i usiadł znowu na krześle.

Sara popatrzyła na niego spode łba, ale Abbott oczywiście już schronił się za gazetą. Na ogół prawil jej dusery, dopóki nie doszli do porozumienia, ale tym razem było inaczej. Rzadko się przy czymś upierał; kiedy się jednak uparł, przepadł.

Czy to, że nie miała ochoty pisać tego artykułu, było wystarczająco ważne, żeby zrezygnować z pracy, a przynajmniej zagrozić, że zrezygnuje? Nie. Chociaż sam pomysł

wydawał jej się odpychający, nie miała zamiaru pozwolić, by nastawienie do pana Perry'ego zmusiło ją do zrobienia czegoś, czego będzie żałowała. Niełatwo zdławić własną dumę, ale przebrnie przez ten wywiad, napisze go i zabierze się do pracy nad następnym artykułem.

- W porządku, Charlesie, porozmawiam z panem Perrym. Charles opuścił gazetę i kiwnął głową.

- Tak myślałem.

- Czy zaaranżowałeś spotkanie?

- Jutro rano. W saloonie powinno być pusto.

Tego już za wiele. Zerwała się z krzesła i oparła obie dłonie na blacie biurka.

- Nie! Może muszę z tym człowiekiem przeprowadzić wywiad, ale nie zrobię tego w saloonie. Jak możesz nawet coś takiego proponować?

- Pewnie nikogo tam nie będzie. - Charles wzruszył ramionami. - Uznałem, że to nie wypada, żebyś go odwiedzała w jego pokoju na górze nad saloonem. A gdzie jeszcze mogłabyś się z nim spotkać?

- W bibliotece. Ponieważ ty to załatwiałeś, możesz go powiadomić. Moja noga nie postanie w tamtym miejscu.

- Nawet na zabawę taneczną nie przyjdiesz?

Sara tylko na niego patrzyła.

- W porządku. Biblioteka to sensowna propozycja. Wpadnę do saloonu po drodze do domu. - Uśmiechnął się z zadowoleniem i dodał: - Nie zapomnij powiedzieć Phoebe, że to był twój pomysł.

- Dobrze, dobrze.

Później ułoży sobie listę pytań dla pana Perry'ego, ale najpierw chciała przemyśleć do końca drugi artykuł. Kiedy skończyła, zwróciła uwagę na leżące na biurku listy. Rzeczywiście zaczynała być zajęta.

Gil przyszedł do wypożyczalni wcześniej. W pierwszej chwili, kiedy Charles zaproponował mu wywiad, wątpił, czy Sara zechce się zgodzić. Wypatrzył najnowsze wydanie *Oregon Statesman* i usadowił się na wyściełanym fotelu, żeby czekać na Sarę Hampton.

Sara weszła pospiesznie do hotelu. Miała zamiar być już w bibliotece, kiedy pojawi się pan Perry. Niestety zatrzymała ją pani Seaton, żeby porozmawiać o zabawie. Sara zerknęła na zegar w holu. Dochodziła dziesiąta. Przynajmniej się nie spóźniła. A może to on się spóźni.

Wyszła zza rogu i zobaczyła, że Gil siedzi przy stole i czyta. Stała jak wryta. No dobrze, więc przyszedł pierwszy. Przez moment czuła się wytrącona z równowagi i niepewna; po chwili przypomniała sobie, że to on chciał, żeby wywiad został opublikowany w *Gazette* i że była mu potrzebna, by go napisać.

- Dzień dobry panu.

Gil wstał i zaczął się w nią wpatrywać.

- Dzień dobry pani.

W porównaniu z ładną sukienką, którą miała na sobie w saloonie w zeszłym tygodniu, ubranie, jakie założyła tego ranka, nadawałoby się na okres żałoby: źle dopasowana, praktyczna, bura bluzka z wysokim kołnierzykiem, a do tego nieciekawa, brązowa spódnica.

Uśmiechnął się do siebie. Charles ostrzegał go, że Sara nie chciała przeprowadzić z nim wywiadu. Poczucie humoru pewnie podpowiedziało jej, że na tę okazję odpowiedni będzie właśnie taki strój.

- Proszę usiąść tutaj. Będzie pani wygodnie na tym fotelu.

- Nie... dziękuję panu. - Te ostatnie słowa wypowiedziała cicho. - Wolę krzesło z drewnianym oparciem. - Nadmiar

komfortu w jego towarzystwie ustawiłby ją na zdecydowanie niekorzystnej pozycji.

Gil przysunął dla niej jedno z bocznych krzeseł w pobliżu stolika.

- Lubi pani spacerować. Może przeszlibyśmy się nad rzekę?

- To nie jest towarzyska wizyta, proszę pana. Pan Abbott powiedział, że życzy pan sobie, bym przeprowadziła ten wywiad. Jeżeli zmienił pan zdanie i wolałby pan tego nie robić, zrozumieć to. - Nie przyszła tu na pogaduszki i on o tym wiedział. Stała obok krzesła i czekała na odpowiedź.

- To mi odpowiada, pani Hampton. - Gil usiadł znowu i oparł się wygodnie. Wydawało mu się przez moment, że Sara nieco się rozluźniła.

Usiadła naprzeciwko przy stole, ułożyła przed sobą papier i popatrzyła na niego.

- Pracuje pan jako barman w „Wedge”, a powiedziano mi, że jest pan właścicielem kompanii zajmującej się wyрубem lasu. Czy to prawda?

Skinął głową.

- Czy jest pan też właścicielem saloonu?

- Właścicielem jest Jack Young, ale to pani powinna wiedzieć.

- Mógłby pan być jego partnerem.

Gil roześmiał się cicho i potrząsnął głową.

- Cieszę się, że to pana bawi. Ponieważ mieszkam tu stosunkowo od niedawna, nie jest mi znana pana przeszłość.

- Co chciałaby pani wiedzieć?

- Dlaczego pracuje pan w saloonie? Czy pana przedsiębiorstwo ma kłopoty?

- Czy to do artykułu, czy naprawdę chce pani wiedzieć?

- Jedno i drugie... - Ołówek wysunął jej się z palców i potoczył się po stole.

Gil podniósł go, a Sara wyciągnęła rękę. Nie zwróciła wcześniej uwagi na jego palce. Nie były zaczerwienione ani szorstkie od pracy, nie były też blade, jakby służyły tylko

do trzymania filiżanki z herbatą. Były lekko ogorzałe od słońca, paznokcie miały zaokrąglone i gładkie. Kiedy brała ołówek, czubkami palców musnęła jego dłoń; poczuła miękkość i chłód.

Ołówek zachował odrobinę ciepła jego palców. Sara podniosła na Gila oczy, a on puścił ołówek. Przez moment robił wrażenie człowieka łagodnego. W chwilę później w jego oczach pojawił się znowu błysk pewności siebie. Dziwne, ale poczuła się za to wdzięczna; zajrzała do swoich notatek.

- Od jak dawna mieszka pan w Gridley?

Gil uniósł w górę jedną brew, jakby zaskoczony tym pytaniem, ale Sara postanowiła, że nie da mu się zastraszyć.

- Już od jakiegoś czasu.

- A na ile miasto się zmieniło, od kiedy pan tu przybył?

- Dużo więcej ludzi.

- I farm, domów i bydła, jak przypuszczam. - Odhaczyła pierwsze pytanie. - Od jak dawna zajmuje się pan wyrębem?

- Od kilku lat.

Sara postawiła znak zapytania przy swoich notatkach i usiłowała nie pokazać po sobie frustracji.

- Pan Abbot mówił mi, że martwią pana te ogniska, które ktoś ostatnio rozpałał w pobliżu obozowiska. Czy było ich wiele?

- Wiem o dwóch. Czy pani słyszała o jeszcze jakichś?

- Nie, ale Charles śledzi wszystko, co dzieje się gdzie indziej. Jestem pewna, że powiedziała by panu. Czy komuś stała się krzywda?

- Bardziej to uprzykrzone, niż niebezpieczne. - Gil potrząsnął głową.

- Sądziłabym, że kogoś obcego zauważono by w tej okolicy. A może to któryś z drwali ma do pana jakieś pretensje?

Gil popatrzył na nią z namysłem.

- Widuję się z tymi ludźmi co tydzień. Mówią o wszystkim, co ich martwi.

Musi to być interesujące, pomyślała i zajrzała do notatek.

- Jak rozumiem, niedługo ma ruszyć tartak. Czy jest pan w tę sprawę zaangażowany?

- Co pani ma na myśli?

- Musi pan coś ze swoim drewnem robić. Wydaje mi się, że tartak mógłby być dobrą inwestycją.

- Tak, myślę, że byłby. - Przyglądała się, jak Sara zaciska zęby. - Czy miałyby pani ochotę zostać współwłaścicielką części tartaku?

- Ja? Nie. Gdybym... - Przerwała i machnęła ręką, odsuwając tę myśl od siebie.

Gil pochylił się w przód, oparł przedramię na kolanie. - Gdyby pani co?

- Przepraszam pana?

- Ciekaw jestem, co miała pani zamiar powiedzieć. „Gdybym...” - Patrzył jej jeszcze przez chwilę w oczy.

Sara poprawiła się na drewnianym krześle.

- Ten artykuł ma być o panu, a nie o mnie. A teraz..

- Czy nie może pani porozmawiać ze mną nie zapisując każdego słowa?

- Oczywiście, ale to jest wywiad dla *Gazette*. O panu, nie o mnie. - I dzięki Bogu, pomyślała. Nie chciała pytać z jego strony. - Proszę opowiedzieć mi coś o przedsiębiorstwie zajmującym się wyrębem lasów.

- Nazwa mówi sama za siebie. - Wzruszył ramionami. - Jestem bardzo nieskomplikowanym człowiekiem.

Przekonana była o tym, kiedy wchodziła do biblioteki; ale teraz nie była już taka pewna.

- Czy jest jeszcze coś, co chciałby pan zobaczyć w artykule, a czego mi pan nie powiedział?

- Niczego nie potrafię wymyślić.

- Mam jeszcze jedno pytanie, którego zapomniałam zadać. Czy jest pan żonaty?

- Zdecydowanie nie - odpowiedział zastanawiając się, co jeszcze będzie chciała o nim wiedzieć. - Czy ta informacja znajdzie się w pani artykule?

- Ależ tak, oczywiście...

Gil skrzywił się, potem wzruszył ramionami. Nie powinien mieć mu za złe, że teraz odwróci sytuację.

- Czy często widuje się pani z panną Lucy?

- Nie... - Rzuciła okiem na notatki. - Jak rozumiem, ona mieszka na Wschodzie. A dlaczego pan pyta?

- Podobało mi się to, co odpowiedziała Corze Abbott. Małą Corę też to musiało uszczęśliwić.

Sara przyglądała się jego oczom i ustom. Czy mówił serio, czy tylko się z nią droczył?

- Tak, bardzo była podniecona.

On czyta szpalty panny Lucy. Osłupiała, ale przecież swoje porady pisała dla mężczyzn, a zwłaszcza dla niego.

- No, jeżeli pani skończyła - powiedział wstając - to będę wracał do pracy.

- Tak, skończyłam. - Sara podniosła na niego oczy. - Artykuł pojawi się w następnym wydaniu.

Gil uśmiechnął się przyjaźnie.

- Pewnie będę go musiał przeczytać, żeby dowiedzieć się, co mówiłem. - Lekko skłonił głowę. - Do zobaczenia, pani Hampton.

6

Napisanie wywiadu z Gilem Perrym okazało się mniej trudne, niż Sara się spodziewała. Albo jej artykuły miały na niego dobry wpływ, albo nie zawsze był tak nieokrzesany, jak jej się z początku wydawało. Najpewniej prawdą było to pierwsze. W piątek w południe wręczyła Charlesowi ukończony wywiad.

- Niezły. Wcale niezły. Nikt by się po nim nie domyślił, co naprawdę sądzisz o Gilu. - Charles upuścił dwie kartki na biurko. - Powinien mu się spodobać.

- Przecież wywiady powinny być też swego rodzaju reklamą. Obrażanie tego człowieka w druku niczemu by nie służyło. - Sara usiłowała po prostu trzymać w ryzach osobiste, niewykluczone że cyniczne opinie.

Charles uniósł jedną krzaczastą brew do góry.

- Ciekawe, że to ty tak mówisz.

- Szpalta panny Lucy jest już też niemal gotowa. - Sara podeszła do okna i wyjrzała na drogę. - Czy Phoebe nie powinna już się pojawić z pocztą?

- Pewnie odwiedziła dziś panią Seaton. Czekasz na coś szczególnego?

- Nie... - Ale tak naprawdę to czekała. Pan Brown napisał dwa razy i nic na to nie mogła poradzić, że ciekawa była, czy przyjdzie i trzeci list.

Wyszła na zewnątrz na drewniany chodnik i popatrzyła w kierunku składu towarów mieszanych. Silny wiatr podwiewał jej spódnicę od przodu i Sara usiłowała ją przytrzymać. Jakaś kobieta wyszła z banku, ale nie była to Phoebe. Kiedy Sara odwróciła się, zobaczyła Gila Perry'ego, który stał w drzwiach saloonu. Czy ten człowiek nie miał nic lepszego do roboty?

Gil pomachał do niej i zawołał:

- Wybiera się pani na spacer, zanim zaczniesz padać?

Zerknęła w kierunku góry Hood. Ośnieżony szczyt widać było wyraźnie, na tle idealnie bezchmurnego nieba. Popatrzyła na niego i pokazała do góry. Może powinien sobie sprawić okulary.

Potrząsnął głową i pokazał na południowy zachód, za dach nad redakcją gazety. Sara spojrzała na niego marszcząc brwi i ruszyła w kierunku wejścia do redakcji, potem zawałała się i wyszła za róg budynku. Może była uparta, ale jak większość kobiet była również ciekawska.

Popatrzyła nad korony drzew. Niebo było szare i na własne oczy zobaczyła napływające nad miasto chmury. Chwyciła oburącz za spódnicę, okręciła się, wzruszyła ramionami w stronę

Gila Perry'ego, a potem biegiem wpadła do domu. W Gridley, jeżeli pogoda miała się zmienić, zmieniała się szybko.

W kilka minut później do redakcji pospiesznie weszła Phoebe.

- Saro, mamy dwie ochotniczki, które chcą nam pomagać na zabawie. Panią Seaton i panią Myers.

- Cudownie. A co z Elsie North?

- Nie widziałam się z nią, od kiedy dałyśmy jej afisz.

- Zajrzę do jej pensjonatu, jak skończę, i porozmawiam z nią.

Phoebe podeszła do męża i pocałowała go w policzek.

- Czy już masz wszystko gotowe do druku?

Poklepał ją po ramieniu.

- Muszę jeszcze skończyć artykuł wstępny. - Obejrzał się na Sarę. - Jest dziś do nas jakaś poczta?

Phoebe podała mu trzy listy i jedną gazetę.

- Saro, coś mi się zdaje, że „pan poeta” znowu do ciebie napisał. - Podeszła do jej biurka wymachując kopertą.

- „Pan poeta”?

- Wykazuje pewne skłonności do poezji. - Phoebe uśmiechnęła się.

Sara chwyciła list.

- Naprawdę, Phoebe, nie mamy po szesnaście lat.

Pismo było to samo, podobnie jak stempel, nadawcy brakowało.

- No cóż - powiedziała Phoebe opierając się o biurko - otwórz go.

Sara uniosła brzeg koperty. „Pan poeta”, też coś. *Najdroższa panno Lucy*, przeczytała i uśmiechnęła się. Tak uroczo to brzmiało.

- Przeczytaj na głos, Saro - popędzała ją Phoebe.

- Czekala na ten list - pokiwał głową Charles. - Niech przeczyta go w spokoju.

Phoebe zakryła dłonią uśmiechniętą figlarnie twarz.

- Tak, kochanie. - A więc mimo wszystko Sara nie mogła

doczekać się na list pana Browna, pomyślała spacerując po pokoju. Przynajmniej tym mężczyzną się zainteresowała.

- Nie martw się, Phoebe. Możesz go przeczytać w drugiej kolejności.

Sara czytała dalej.

Jakże to pięknie z pani strony, że w taki sposób wyraża się pani o pani Hampton. Poglądy pań nie różnią się aż tak bardzo. Tym co je dzieli, jest sposób wystawiania się. Pani dzieli się swą mądrością jak przyjaciółka, a ona jak wojownicza Amazonka.

Mężczyźni i kobiety od dawna już borykają się z problemem wzajemnego zrozumienia. Pewien dżentelmen, jeden z wielu, najlepiej wyraził to, czego mężczyzna szuka u swojej partnerki: „Roztańczonej sylwetki, radosnego obrazu, co nawiedzi, zaskoczy i zwabi.”

Bardzo byłoby ciekawym dowiedzieć się, czego w głębi serca pragną kobiety.

*Z wyrazami szacunku
oddany pan Brown*

Sara powachlowała twarz listem. „Była zjawą rozkoszną.” Tym razem zacytował kilka linijek z wiersza, którego strzegła jak skarbu w czasach swej romantycznej młodości.

Phoebe nie była już w stanie dłużej czekać.

- Musi to być nie byle co, że się tak rumienisz. - Wyciągnęła rękę. - Daj, teraz moja kolej.

- Możesz się rozczarować. - Sara podała jej list i przyglądała się jej oczom.

Kiedy Phoebe skończyła czytać, przesłała przyjaciółce uśmiech taki jak wtedy, kiedy były jeszcze w szkole i miały jakiś wspólny, smakowity sekret.

- No, no, no. Nie jest to coś, co by się nadawało do druku. Dosyć to... osobiste. - Phoebe złożyła list i oddała go Sarze.

Charles podszedł do ich biurka.

- Pozwolisz, że na to popatrzę, Saro?

Podawała mu list.

- Mogę spróbować zaspokoić jego ciekawość. - Uśmiechnęła się do Phoebe. - A co ty byś mu powiedziała?

- Hmm... - Phoebe miała niewiele sekretów, ale niektóre myśli kobieta musi zachować dla siebie. - Żaden ze mnie William Wordsworth, ale powiedziałabym, że kobiety pragną mężczyzny delikatnego, z poczuciem humoru, dużego, mocnego i lubiącego przygody. - Uśmiechnęła się szeroko do Charlesa, chociaż on tego nie zauważył. - No i musi cudownie tańczyć.

- Tak - przytaknęła ze śmiechem Sara. - Chyba najbardziej romantycznym przeżyciem jest tańczyć w ramionach mężczyzny... - Zerknęła na Charlesa i potrząsnęła głową.

- No cóż... - Charles podał jej list - zgadzam się z Phoebe. Wygląda, że ów Brown się w tobie zadurzył.

- Jakże by to się mogło stać? Przecież nie zna ani mnie, ani panny Lucy. Nigdy z nim nie korespondowałam. - Sara marszcząc brwi popatrzyła na kartkę. Czuła się zaintrygowana, a jego zainteresowanie jej pochlebiało.

- Proponowałbym, żebyś do niego nie pisała, chyba że my... ty... dowiesz się o nim czegoś więcej. - Charles poskrobał się w potylicę. - To pewnie jakiś samotny pan, który lepiej się czuje w towarzystwie książek niż ludzi.

- Jest ocytany. - Phoebe zerknęła na jeden z afiszów. - Ciekawe, czy przyjdzie na zabawę.

- Wspomnę w moim artykule o balach, kotylionach i tańcach. Zasugeruję, że to dobre miejsce, żeby kogoś poznać. - Sara nie potrafiła stłumić w sobie nadziei, że pan Brown weźmie udział w zabawie. Nikt inny oprócz niego nie będzie pytał o pannę Lucy.

- Saro, może zaprzyjaźnisz się z kilkoma z tych drwali, których obrażałaś, żeby miał cię kto bronić.

- Charlesie! Nie strasz jej. Czy widziałeś kiedyś poetę, który przypominałby zbira?

Charles wzruszył ramionami i podszedł do prasy drukarskiej.

Phoebe nachyliła się do Sary.

- Jak masz zamiar odpowiedzieć „panu pocie”?

Nagle Sara poczuła, że jest zdenerwowana. Wstała i wsunęła swoje krzesło pod biurko.

- Muszę się przejść i pomyśleć.

Zarzuciła sobie szal na ramiona i wyszła z redakcji. Nie wiedziała co ją opętało, ale popatrzyła na drugą stronę drogi w kierunku saloonu. Tam do licha, pomyślała, co się ze mną dzieje?

Pomaszerowała wzdłuż ulicy. Kim była, żeby decydować, czego inna kobieta może oczekiwać po mężczyźnie? Wiele kobiet szukało u nich opieki i ochrony. Inne pracowały u boku swojego męża. Nie pragnęła wyjść znowu za mąż, ale gdyby miała wziąć taką możliwość pod uwagę, to uczciwie mówiąc nie potrafiłaby powiedzieć, jaki typ mężczyzny ją pociągał.

Była natomiast pewna, na kogo by nawet nie spojrzała drugi raz; tu obejrzała się ponownie na saloon.

Następne dwa tygodnie mijały na krzątaniu związanej z przygotowaniem do zabawy dobroczynnej na rzecz biblioteki. Sara przeprowadziła wywiad z Charlesem do cyklu artykułów o biznesmenach, a w następnym tygodniu z panem Youngiem. Większość czasu spędzała jednak z Phoebe, Jane Myers, Elsie North i Ruby Jean Drake, matką przyjaciółki Cory.

Robiły serpentyny, które miały zawiesić na sali, załatwiały muzykę, werbowały kobiety do pomocy w przygotowywaniu jedzenia, przygotowywały karnety dla dam i wycinały bilety, które mieli kupować mężczyźni. W wolnych chwilach kobiety wybierały suknie dla siebie i czyściły i prasowały wizytowe garnitury swoich mężów. W sobotę rano, w dzień zabawy, Sara i Phoebe przybyły do saloonu o dziesiątej; każda z nich niosła pudło wypełnione różnymi niezbędnymi rzeczami.

Gil stał za barem, kiedy Sara i pani Abbott weszły do środka.

- Witam w „Wedge”. - Postawił dwie czyste szklanki na ladzie. - Czego się panie napiją?

Zerkając spod oka na Sarę, Phoebe postąpiła krok do przodu i uśmiechnęła się.

- Dzień dobry panu. Może szklanek lemoniady... później... - Przytulając na wszelki wypadek pudło do siebie, zagapiła się na obraz za barem. Nic na to nie mogła poradzić. Ta kobieta była kompletnie nieubrana! Naga jak nowo narodzone dziecko. Sara nic jej o tym nie mówiła.

Kiedy Phoebe zająknęła się i zamilkła, Sara zerknęła na nią, potem podążyła za jej spojrzeniem. Następnie spiorunowała Gila wzrokiem i rąbnęła pudłem o najbliższy stół.

- Proszę pana. Umówiliśmy się. Mieli panowie zdjąć ten obraz.

- Zdejmę ją przed dzisiejszym wieczorem. - Przechylił głowę na bok i spojrzał na Sarę. - Czy nie za wcześnie przyszła pani na zabawę?

Phoebe cofała się, aż wpadła na stolik. Niechętnie postawiła na nim pudło i rozejrzała się po sali. A więc to tutaj Charles popijał ze swoimi przyjaciółmi. Pachniało tu okropnie, ale przynajmniej nie widziała żadnych tancerek albo może było jeszcze na to za wcześnie.

- Przyszłyśmy zawiesić dekoracje. Panie Myers i Drake wkrótce też tu przyjdą. - Sara rozejrzała się dookoła. Jakiś mężczyzna popijał przy drugim końcu baru, dwaj inni grali przy stoliku w karty. - Miło wiedzieć, że będziemy miały dodatkowych pomocników.

Gil uśmiechnął się złośliwie i odstawił szklanki z powrotem za bar.

- Lepiej niech panie na nich nie liczą.

Sara rzuciła na panów groźne spojrzenie. Do niczego się nie nadawali. Co więcej, Gil Perry i pan Young zarabiali na takich właśnie ludziach.

- Kiedy zamknie pan saloon?

- Jack nie mówił.

Mężczyzna na końcu baru popchnął po gładkiej ladzie pustą szklankę w kierunku Gila. - Wynajmujesz ekstra dziewczynki, żeby nam dotrzymały towarzystwa?

- Les, to są damy.

- Więc czemu wpuszczasz tu kobiety? Czy nie ma już niczego świętego?

Gil utoczył kufel piwa i zaniósł go Lesowi, który miał już za bardzo w czubie, żeby cokolwiek zrozumieć.

- Dziś wieczorem zamykamy przed wielką zabawą tańieczną.

- Panie Perry... - Sara zaczęła postukiwać stopą.

- Hej, Gil - zawołał od stolika jeden z mężczyzn przerywając jej. - Ta zabawa to będzie dla wszystkich?

- No pewno. Właściwie to te damy przyszły, żeby udekorować salę. - Przyjrzał się Sarze. - W ogłoszeniu w *Gazette* stało napisane, że zabawa zacznie się o siódmej.

- Tygodnia trzeba, żeby ten lokal porządnie wywietrzyć - powiedziała Sara; jej mina wyrażała dokładnie to, co ona sama czuła - a mamy niecałe dziewięć godzin.

Gil przeniósł spojrzenie z Sary na panią Abbott i wzruszył ramionami.

- Tak sobie myślałem, że zamknę bar gdzieś koło szóstej, potem może zmienię koszulę i zejdę na dół na tę waszą potańcówkę.

- Potańcówkę!?! - Sara niemal wrzasnęła. On jest niemożliwy! Zmieni koszulę. Fuj... jakby czysta koszula mogła zrobić jakąś różnicę.

Phoebe natychmiast położyła Sarze rękę na ramieniu, a potem podeszła do baru.

- Proszę pana, czy ma pan może drabinę, z której mogłybyśmy skorzystać?

- Tak, proszę pani. Jest drabina w pokoju na tyłach. - Uśmiechnął się do niej. - Zaraz pani przyniosę.

Jak tylko wyszedł zza baru, Sara napadła na Phoebe.

- Jak możesz być taka słodka dla tego... tego idioty!

- Czy nie widzisz, że on się z tobą droczy? - Phoebe nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Cieszę się, że się dobrze bawisz, ale on się wcale nie droczy. I pewnie koszule zmienia tylko co drugą sobotę. - Zastanowiwszy się Sara doszła do wniosku, że nie można odmówić mu nawet pewnego sprytu. W końcu wyprowadził Charlesa w pole, co było sztuką nie lada.

Gil wrócił niosąc drabinę.

- Gdzie mam ją postawić, proszę pani?

- O, przy tamtych drzwiach będzie dobrze. Dziękuję panu. - Phoebe zwróciła się do Sary. - Możemy poustawiać jedzenie na jednym końcu baru, a poncz na drugim. Tak będzie idealnie.

- Bardzo wygodnie. Mężczyźni bez trudu znajdą coś do picia. - Sara zaczęła rozpakowywać przyniesione przez siebie pudło. - Musimy coś zrobić z tym smrodem. Będziemy potrzebowały kilka kociołków, cytryn, cynamonu... wszystkich pachnących ziół, jakie ci przyjdą na myśl.

- Pomogłaby też woda z limonkami. - Phoebe popatrzyła na Gila. - Czy możemy skorzystać z pana pasty do mebli? Tym stołom naprawdę przydałoby się porządne czyszczenie.

- Przykro mi, proszę pani. - Gil odchrząknął, żeby się nie roześmiać. - Nie polerujemy stołów.

- Phoebe, czy ty naprawdę sądzisz, że ci mężczyźni zadają sobie trud, żeby cokolwiek wypolerować? - Sara szurnęła noskiem buta po deskach. - Szkoda, że nie możemy posypać tej podłogi mielonymi goździkami. - Potrząsając głową zdjęła z ramion szal. - Czy myślisz, że jakbyśmy tu zagotowały trochę dzikiej mięty, odświeżyłoby to powietrze? - Powinna się była tutaj porządnie rozejrzeć dwa tygodnie temu. Jednak nie zrobiła tego i teraz będą sobie jakoś musiały poradzić.

- Pójdę do domu po resztę zapasów i poproszę Corę, żeby nazbierała mięty.

Phoebe wysunęła głowę zza jej ramienia i popatrzyła na obraz.

- Wyjdź ze mną na zewnątrz. - Poszła przodem i zatrzymała się na skraju chodnika. - Nie wspominałaś o tym obrazie. Czemu mi nie powiedziałaś?

- Obiecał, że schowa go do siebie do pokoju.

- Nigdy się nikomu innemu do tego nie przyznam - zachichotała Phoebe - ale cieszę się, że go nie schował. Możesz to sobie wyobrazić, żeby tak stać w lesie? - Przeszedł ją dreszcz. - Nigdy nie widziałam całego mojego ciała bez ubrania. A ty?

Sara odskłoniła się pannie Layton po drugiej stronie ulicy.

- Nie, nigdy nie chodziłam nago ani stawałam w ten sposób przed lustrem, ale może byłoby zabawnie zobaczyć, jak to jest.

- O tej porze roku dostałabyś gęziej skórki.

- Przecież nie chodziłabym tak na spacer. - Sara zachichotała. - Wiesz, jak ona ma na imię?

- Kto?

- Ta kobieta z obrazu.

- Oni jej nadali imię?

- Lorinda. Śliczna Lorinda.

- Ojej.

- Może to nawet jej prawdziwe imię. - Sara zerknęła na drugą stronę ulicy na fronton redakcji *Gazette*. - Czemu nie miałabyś zapytać o to Charlesa?

Phoebe uśmiechnęła się do niej.

- Może tak zrobię.

Sara stała niemal na czubku drabinki schodkowej z młotkiem i gwoździem w jednej ręce, a drugą przyciskała serpentynę nad drzwiami.

- Jane, czy to nie powinno iść niżej?

- Tak jest dobrze. Założę się, że panowie nie widzieli jeszcze serpentyn w saloonie.

- Cieszę się - dołączyła do nich Elsie - że pomyślałaś

o kwiatach, Jane. Mnie zostały już tylko dmuchawce, ale wiatr je wszystkie wczoraj zdmuchnął.

Sara przybiła gwoździem serpentynę do ściany i odchyliła się, żeby obejrzeć swoje dzieło.

- Takie to jakieś bezbarwne.

Kiedy Gil zobaczył, że drabina zaczyna się chwiać, ruszył biegiem przez saloon.

- Saro, uważaj!

Sara upuściła młotek i uczepiła się rozkołysanej na boki drabiny.

- A niech to! - wykrzyknęła zaciskając oczy. - Proszę, niech ją ktoś podeprze. - I nagle ktoś to zrobił. Czyjeś mocne ręce ujęły ją w pasie i ustabilizowały drabinę. To musiała być Jane Myers. Ona była najsilniej zbudowana.

- Och, dzięki ci, Jane. Byłam pewna, że...

- To nie Jane. - Gil szeroko się do niej uśmiechnął. - Proszę otworzyć oczy.

Gil Perry! Sara gwałtownie otworzyła oczy. Od bardzo dawna żaden mężczyzna nie dotykał jej tak intymnie.

Gil cicho się roześmiał. Cera Sary zmieniła kolor z ziemisto bladej na sympatycznie różową.

- Może pani puścić drabinę, chyba że chce pani tam na górze zostać. - Wymknęło mu się jej imię, ale był pewien, że tego nie usłyszała.

- Jeżeli zabierze pan ręce, z radością zejść na dół.

- Tak, proszę pani. - Puścił ją i zrobił krok w bok, żeby przytrzymać drabinę. - Coś mi się zdaje, że niezły musiał być z pani urwis w dzieciństwie.

- Pan... - Sara zauważyła szeroki uśmiech Phoebe i zła-godniała - pan wcale tak bardzo się nie myli. Ale nie wspinałam się na drzewa.

- Tak powinno być.

Phoebe odezwała się, zanim Sarę znowu poniosł temperament.

- Co pan teraz myśli o saloonie, panie Perry?

- Naprawdę ładnie. Chłopcy go nie poznają. - Gil musiał przyznać, że wygląda on niewątpliwie bardziej odświeżenie.

Elsie kiwnęła głową.

- Na to właśnie miałyśmy nadzieję, prawda, drogie panie?

- Bez wątplenia - przytaknęła Ruby Jean Drake.

Nawet Sara była zdumiona. Wyczyszczone do połysku blaty stołów lśniły, okna błyszcząły, a kociołek napełniony wodą i obfitą porcją różnych przypraw perkotał na piecyku na węgiel. No i tak długo nie dawała spokoju Gilowi Perry'emu, dopóki nie wyczyścił wszystkich spluwaczek.

- No, panie - powiedziała Ruby Jean wycierając ręce w ręcznik - powiedziałabym, że czas do domu, żeby przygotować się na tańce.

- Masz rację. Musimy przyjść wcześniej, żeby porozstawić jedzenie i poncz. - Sara otrzepała dłonie i wzięła szal.

Jane zaczęła już wychodzić, ale przystanęła w drzwiach, żeby zarzucić szal na głowę.

- Znowu pada.

- Suknie nam wyschną podczas tańca. Pomyśl o tych wszystkich pieniądzach, które zbierzemy dla wypożyczalni.

- Dziękujemy panu. - Phoebe zwróciła się do Gila. - Doceniamy to, jak pan nam pomógł.

- Bardzo proszę, pani Abbott. Do zobaczenia wieczorem. - Spojrzał Sarze w oczy. - Mam nadzieję zobaczyć panią również, pani Hampton.

Sara kiwnęła głową i pospiesznie wyszła. Miała bardzo dziwne wrażenie, że chciał zwrócić się do niej po imieniu - ale przecież nie ośmieliłby się chyba. Naciągając szal na głowę pomknęła do domu razem z Phoebe.

Gil założył wyczyszczone do połysku buty i wyrzął przez boczne okno swojego pokoju. Przed godziną przestało padać. Droga była błotnista, ale z dachów już nie kapa-

ło. Nie potrafił sobie przypomnieć, żeby kiedyś widział tyłu ludzi na raz w mieście.

Stali mieszkańcy schodzili się na zabawę od półgodziny. Timothy Farmer, fryzjer i właściciel łaźni, miał u siebie duży ruch przez ostatnie kilka godzin. Jeżeli tylko panowie będą chcieli tańczyć, to według Gila dobroczynna zabawa zakończy się sukcesem.

Jack wetknął głowę w drzwi.

- Gotowy wreszcie?

- Mniej więcej. - Gil przyglądał się Jackowi biorąc kamizelkę. - Aleś się wypucował do czysta. Zmieniłeś płyn do włosów?

- Niedźwiedzie sadło nie cieszy się wielką popularnością u dam.

- Postaram się o tym pamiętać. - Gil założył kamizelkę. - Czy nie miałeś pójść po pannę Layton dziś wieczorem?

- Już właśnie idę. - Jack szarpnął sztywny kołnierzyk koszuli. - A co z tobą?

- Będę na dole. Idź, przyprowadź swoją dziewczynę, zanim się udusisz w tym kołnierzyku.

- Jak się będziesz ociagał, to karnety pań będą pełne, zanim dojdiesz na zabawę.

- Nie martw się o mnie. Dopilnuj tylko, żeby twoje nazwisko znalazło się na karnecie panny Layton.

Gil spryskał szczotkę do włosów odrobiną płynu i przeciągnął nią po swojej czuprynie. Włożył marynarkę, zszedł po zewnętrznych schodach i poszedł na front budynku. Ze środka dobiegały śmiechy i pomruk głosów.

Zatrzymał się czekając, aż zgiełk przycichnie, potem wszedł. Sara stała przy drzwiach i witała wchodzących. Miała na sobie suknię z szerokim, śmiałym wycięciem przy szyi, a kiedy się poruszała, światło wydobywało z materiału złocisty połysk.

- Pięknie się pani dziś ubrała, pani Hampton. - Kiedy drwale ją zobaczą, pomyślał, mogą jej nawet wybaczyć większość afrontów.

Sara zaczynała już sądzić, że Gil Perry zrezygnował z udziału w tańcach. Odwróciła się na jego głos. Zmienił coś więcej niż samą koszulę. Dużo więcej i mimo woli zagapiła się na niego. Przecież na tym jego czarnym garniturze nie ma ani jednej zmarszczki. Można by nawet powiedzieć, że wygląda elegancko, a jego korzenny płyn do włosów tak cudownie pachnie.

- Dobry wieczór panu. Ktoś o pana niedawno pytał.

- Jakaś młoda dama? - Uśmiechnął się i przyjrzał jej kuszącemu dekoltowi, z przyjemnością wachając perfumy.

- Nie... to był jakiś mężczyzna. Tak mi się zdaje, że jakiś drwal. - Unikała patrzenia mu w oczy. - Przepraszam pana. Ludzie napływali ciągłym strumieniem.

- Całkiem spory tłum. - Pokazał na bar. - Wygląda na to, że przygotowały panie niezłą kolację.

- Panie już od kilku dni gotowały, żeby tylko nie zabrakło jedzenia. Każda porcja kosztuje pięć centów. Poncz jest na drugim końcu baru.

- Wszystko w dobrej sprawie. Sami drwale powinni zjeść tyle, że wystarczy na kilka książek.

Sara przyglądała mu się spod oka.

- Miałam nadzieję, że nie poczują się tak bardzo rozgniewani moimi artykułami, by nie zgodzili się wziąć udziału w zabawie.

- Rozgniewani? - Gil zaczął się śmiać. - Proszę się tym nie martwić. Kto wie. Któryś z nich może nawet panią poprosić do tańca. - Konsternacja Sary aż się rzucała w oczy. - Zwykle nie zachowują długo urazy.

- To dobrze. - Kiedy błysnął ku niej swoim zarozumiałym uśmiechem, zastanawiała się, ile tańców zdobędzie mu ten uśmiech. Pocieszyła się myślą, że jej na pewno nie poprosi. - No to ja się też postaram. - Chociaż nie zawsze mi się udaje.

- Po ile jest poncz?

- Poncz jest za darmo, proszę pana. Proszę pić, ile pan sobie życzy. Jest całkiem dobry, przyrządziła go Elsie North.

Pojawił się pan Young z panną Layton i ustawili się w ko-

lejsze za Gilem Perrym. Panna Layton była ładniutką młodą damą o jasnoblond włosach, oczach jak łania i słodkim uśmiechem.

- Umie pani zachwalać. - Gil zachichotał.

Sara chwyciła jeden z czerwonych kawałków papieru z grubsza wymiaru kieszonkowego zegarka.

- To są bilety na tańce. Po pięć centów i można za taki bilet przetańczyć jeden taniec z wybraną przez siebie partnerką.

- Jak by pani proponowała, ile powinienem kupić?

- Co najmniej tuzin. - Wzruszyła ramionami. - Więcej, jeżeli jest pan dziś w szczególnie romantycznym nastroju.

Gil wybuchnął śmiechem. Kilka osób odwróciło głowy w ich kierunku i Sarze zrobiło się trochę nieprzyjemnie.

- Czy muszę się zdecydować już teraz?

- Nie. Bilety będą w sprzedaży przez cały wieczór, proszę pana. - Ależ on się lubi przekomarzać, pomyślała.

Uśmiechnęła się do pana Younga i panny Layton, którzy szeptem rozmawiali za plecami Gila Perry'ego; on z kolei zachowywał się tak, jakby za nim nie tworzyła się żadna kolejka.

- Hej, Gil, co to tak długo trwa? Nie możesz zatańczyć i pogadać z panią Hampton później? - Jack Young puścił do Gila oko. - Jesteśmy głodni.

Sara jęknęła w duchu i wzięła karnet i ołówek dla panny Layton. Sama wybrała sobie stanowisko przy drzwiach, żeby widzieć każdego przychodzącego mężczyznę. Szansa, że pojawi się pan Brown, była niewielka, ale chciała mieć pewność, że będzie go miała okazję poznać.

- Ta dama nie ma karnetu. - Gil przyglądał się przegubowi Sary. - Albo już jest pełen, albo nie chce tańczyć.

Sara zignorowała go i uśmiechnęła się do panny Layton.

- Oto pani karnet.

Kremowe karty z jednej strony miały obrazek przedstawiający wachlarz z książek. Druga strona była poliniowana, a z rogu zwisała czerwona jedwabna wstążeczka.

- Dziękuję pani, pani Hampton. - Panna Layton przesunęła lewą dłoń przez czerwoną pętlę wstążeczki.

Sara zauważyła nieśmiały uśmiech, którym dziewczyna obdarzyła pana Younga, a potem zwróciła uwagę, że Gil Perry przyglądał się jej, Sarze, bardzo osobliwym spojrzeniem. Nie zwracaj na niego uwagi, powiedziała sobie chwytając bilety do tańca.

- Proszę pana, to jest...

- Przepraszam panią - Gil wychylił się przed Jacka - czy powinienem o dzisiejszym wieczorze wiedzieć coś więcej?

Jeżeli nawet nie jest idiotą, świetnie potrafi idiotę udawać.

- Proszę krążyć po sali. Proszę zjeść kolację. Proszę porozmawiać z przyjaciółmi albo dotrzymać towarzystwa Lorindzie, żeby nie czuła się samotna. - Uśmiechnęła się do niego tak słodko, jak tylko potrafiła.

7

Phoebe podała Sarze szklaneczkę ponczu i wyjrzała na zewnątrz.

- Nie musisz stać przez cały wieczór przy drzwiach. Wygląda na to, że zeszło się już niemal całe miasto. - Muzykan-ci zaczęli grać *Wait for the Wagon* i Phoebe postukiwała pantofelkiem w podłogę. - Ależ wszyscy pięknie wyglądają. Kobiety tak się cieszyły, że mają wreszcie powód, by założyć swoje najlepsze suknie.

- Na mężczyzn też przyjemnie jest popatrzeć, w tych sztywnych kołnierzykach, czarnych krawatach i wyprasowanych garniturach. W pierwszej chwili nie poznałam drwali. - Zwłaszcza Gila Perry'ego, pomyślała Sara. Robił wrażenie kompletnie innego człowieka, ale zachowywał się tak jak zawsze.

- Widzisz, wywarłaś na nich dobry wpływ swoimi artykułami.

Sara przypomniała sobie kpiącą uwagę Gila Perry'ego i potrząsnęła głową.

- Wątpię. - Gil pojawił się na moment w jej polu widzenia; zafascynowana była swobodą tego człowieka. Rozmawiał z Beth Kenton i jej mężem. Powiedział coś, a Beth zatrzepotała wachlarzem i uśmiechnęła się wstydliwie. Sara potrząsnęła głową. - Jakim cudem ten człowiek potrafi z taką łatwością oczarować kobiety?

Phoebe odwróciła się do niej.

- Kto?

- Pan Perry. Wystarczy, że się uśmiechnie, a dama zaczyna się wdzięczyć. - Sara wzbraniała się patrzeć na niego choćby o jedną chwilę dłużej. - To nieprzyzwoite. Jestem zaskoczona, że pan Kenton na to pozwala.

- Ależ Saro, brzmi to tak, jakbyś była odrobinę zazdrośna. - Phoebe przyjrzała jej się z namysłem.

- Akurat.

- Ostrożnie... - Phoebe roześmiała się patrząc na tłum. - Niewielu żonatych panów tańczy. Może nie mają ochoty płacić za taniec z własną żoną.

- To możliwe, ale pewnie poproszą żony innych... później. - Sara szeroko się do niej uśmiechnęła. - Nie martw się. Żonaci mężczyźni tradycyjnie najpierw piją i napełniają sobie żołądki, a dopiero później zwracają uwagę na kobiety. A może poprosiłabyś Charlesa do tańca? Na dobry początek.

- A co z tobą? Trafiałaś już na „pana poetę”?

- Nie mam pojęcia. Ale mogę stanowczo powiedzieć, że nie rozmawiałam z żadnym panem, który przemawiałby tak, jak sobie wyobrażam, że będzie przemawiał pan Brown.

- Są tu panowie, których nigdy na oczy nie widziałam. Mógłby być którymś z nich. - Phoebe spojrzała spod oka na Sarę. - Ten, który rozmawia z Elsie, popatruje na ciebie. Może byś się do niego uśmiechnęła? Założę się, że poprosiłby cię do tańca.

- Nikogo takiego nie zauważyłam.

- Nigdy nie zauważasz. - Phoebe wyrzuciła w górę ręce. - Kilku panów okazywało tobą zainteresowanie, ale z miejsca zmroziłaś ich spojrzeniem i pewnie nawet o tym nie wiedziałaś.

- Bzdury. Niczego takiego nie robię.

- A właśnie że tak. Widywałam w twoich oczach ten nieobecny wyraz, kiedy pogrążasz się w myślach nad następnym artykułem czy czymś innym.

Sara wzruszyła ramionami.

- Nie mam zamiaru odgrywać nieśmiałej panienki przy każdym panu, którego zobaczę. - Skinęła na Jane Myers. - Phoebe, idź zatańczyć z Charlesem, zanim poczuje się zobowiązany poprosić kogoś innego.

Phoebe przyjrzała się jej bacznie. Przed ślubem Sara uwielbiała tańczyć i karnet miała zawsze wypełniony do ostatniej linijki.

- No, spróbuj się dziś wieczorem dobrze bawić i nie myśleć o książkach i „panu poecie” przez cały wieczór. - Ostatnie kilka lat małżeństwa i śmierć męża zmieniły Sarę i to nie koniecznie na lepsze.

Jane podeszła do Sary, kiedy Phoebe oddalała się w poszukiwaniu Charlesa.

- Wszyscy się świetnie bawią.

- Cieszę się. Czy sprzedałaś dużo biletów?

- Większość z tych, które miałam. Drwale i pracownicy tartaku kupują po pięć albo po dziesięć na raz. - Jane uniosła ściągany woreczek do góry. - Widzisz, jaki się robi ciężki?

- Chciałabym, żeby wykorzystali je wszystkie. - Sara podała jej następne bilety. - Znajdę jakieś pudełko na te monety, zanim zarwiesz się pod ich ciężarem.

- Och, widzę dwóch panów, którzy wyglądają tak, jakby chcieli tańczyć. Pójdę lepiej zobaczyć, czy nie uda mi się sprzedać więcej biletów.

Sara znalazła puszkę, w której mogły przechować monety za sprzedaż biletów do tańca, i ulżyła Jane. Później przy-

gotowała sobie do spróbowania różne kolacyjne dania i powędrowała z talerzem do kąta, gdzie był spokój. Muzycy wydawali się równie zadowoleni z uroczystości, jak pozostali goście.

Rozejrzała się po sali i napotkała wzrok Gila Perry'ego. Błysnął ku niej uśmiechem i skinął głową; Sara dalej przyglądała się tłumom. Pewnie nawet nie wiedział, że to ona. Był przecież barmanem, więc musi z przyzwyczajenia uśmiechać się do ludzi bez żadnego powodu, wywnioskowała.

Zafascynowało ją to, jak ludzie nawiązywali stosunki towarzyskie. Kobiety, które zwykle zachowywały się z rezerwą, uśmiechały się i rozmawiały swobodnie. To na pewno dzięki muzyce. Nawet panowie wydawali się zadowoleni, a przecież nie podano ani kropli alkoholu. Niektóre z dzieci bawiły się przy drzwiach, kilkoro starszych tańczyło, a maluchy spały owinięte w koce.

Charles i Phoebe tańczyli w pobliżu. Phoebe była równie ładna i niemal równie szczupła, jak wtedy, kiedy się pobierali. Charles wciąż wyglądał na oczarowanego przez nią. Pan Young i panna Layton również tańczyli, podobnie jak pan Pratt i jakaś kobieta, której Sara nie znała.

Skończyła jeść i ponownie napełniła szklaneczkę ponczem. Był naprawdę pyszny. Podeszła do Jane z następnym plikiem biletów.

- Zastąpię cię teraz. Musi ci się chcieć pić.

- Dzięki. Masz tu woreczek. - Jane podała jej czarną, ściąganą na sznureczki torebkę. - Panie składały bilety od panów i też je tu wkładały.

Sara założyła sobie sznurki na rękę, potem wypita łyk ponczu i odstawiła szklaneczkę na pobliski stolik. Muzyka przestała grać i otoczyli ją panowie.

- Ile biletów dla pana, panie Farmer?

- Chwilowo dziesięć, proszę pani. - Pan Farmer sięgnął do kieszeni.

Dała mu bilety za półdolarową monetę.

- Niech się pan dobrze bawi. - Wrzuciła monetę do woreczka. - Kto następny, panowie?

- Pięć dla mnie.

- Ja wezmę piętnaście. Nie chciałbym opuścić żadnego tańca.

Sara skinęła głową. To ostatnie powiedział jeden z drwali. Później naprawdę już straciła orientację. Szorstkie dłonie, niektóre ogorzałe od słońca, wyciągały się do niej z pieniędzmi i najszybciej jak potrafiła, zabierała monety i wydawała bilety. Zaczęła grać muzyka i Sara szybko obsłużyła ostatnich dwóch panów. Pospieszyli poszukać sobie partnerek, a ona zastanawiała się, czy którymś z nich mógł być pan Brown.

Sięgnęła po swój poncz i dopiła go do końca. Torba była ciężka. W głowie wirowały jej tytuły książek, które chętnie widziałyaby w bibliotece: *Poezje wybrane* Tennysona, wydanie oprawne w płótno, za dolara; *The Adventures of Philip Thackeraya* za półtora dolara; *Ma/e kobiety* Louisy May Alcott; i *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi* Juliusza Verne'a...

Poniosło ją. W małej torebce było pewnie za mało pieniędzy, żeby kupić wszystkie te książki, ale może wystarczy na trzy. Spojrzała potem na jedzenie na barze, na wiele pustych półmisek i podwoiła tę ilość. To będzie dobry początek.

- Pani Hampton...?

- Tak? - zareagowała spontanicznie, patrząc w prawo. - Pan Pratt. Czy dobrze się pan bawi?

- Świetnie. Pani i pozostałe damy dokonałyście wspaniałego dzieła, organizując tę imprezę.

- To bardzo uprzejmie z pana strony. - Uśmiechnęła się do nauczyciela. Zachowywał się bardzo oficjalnie, całkiem inaczej niż pozostali mężczyźni z miasteczka.

Wyciągnął w jej kierunku bilet.

- Czy mogę prosić panią o ten taniec?

- Z przyjemnością, proszę pana. - Złożyła bilet na pół, wsunęła go do torebki i ujęła jego dłoń. - Czy może pan zaproponować, jakie książki powinna kupić wypożyczalnia?

- Jest tak wielu wybitnych poetów, John Donne, John Keats, lord Alfred Tennyson, William Butler Yeats... - Zatoczył z nią powolne kolo. - I nie powinniśmy zapominać o najszacowniejszym z nich, Williamie Szekspirze.

Sara skinęła głową. Przeszedł ją dreszcz. Czy to, że wymienił poetów, a zwłaszcza tych poetów, mogło być zbiegiem okoliczności? A może to on był „panem poetą”? Wydawał się taki odcytany i niewątpliwie był bardziej wytworny niż wielu innych panów w miasteczku.

- Przepraszam. Wydaje mi się niekiedy, że powinienem pracować w bibliotece. Życia by nie starczyło, żeby przeczytać i przestudiować wszystkie wybitne dzieła.

Nie, to raczej nie mógł być „pan poeta”. Nie wydawał się wielbicielem płci pięknej.

- Powinien pan sporządzić listę.

- Och, nie pozwoliłbym sobie sugerować, które książki należałoby zakupić. - Puścił jej dłoń i przesunął ręką po boku marynarki. - Obawiam się, że moje gusta nie przemawiałyby do większości ludzi.

- Nie zgadzam się z panem. Cieszy mnie odkrywanie nowych autorów i książek, których wcześniej nie czytałam. - Muzyka skończyła grać. - Jestem pewna, że innych też by to cieszyło.

Pan Pratt wykrztusił:

- Czy mogę mieć przyjemność zatańczenia z panią tej polki? - Podał jej rękę.

Sara usiłowała nie pokazać po sobie zdziwienia. Nie brała pod uwagę... Skinęła głową i położyła dłoń na jego ręce. Pan Pratt podał jej następny bilet i w chwilę później poprowadził ją na parkiet.

Jak na nieśmiałego dżentelmena pan Pratt był niespodziewanie zręcznym tancerzem. Znał odpowiednie kroki, ale taki był sztywny i oficjalny. Może spodziewała się i miała nadzieję, że „pan poeta” okaże się beztroskim, eleganckim mężczyzną z jej dziewczęcych marzeń, przy którym zabraknie jej tchu w piersi, a serce będzie łomotać.

Gil przyglądał się, jak Pratt okręca Sarę na parkiecie. Kiedy ujął jej dłoń, wyglądała na tak zaskoczoną jak rudzik, którego złapał w paszczę kot. Polka skończyła się i Sara sprzedała jeszcze trochę biletów. Jess Drake zagrał akord na skrzypcach i zapowiedział kontredansa. Ku zdumieniu Gila Henry, jego nadzorca, stanął do tańca na jednym boku kwadratu razem z Sarą.

Melodia była żywa. Trzy kwadraty dorosłych stosowały się do okrzyków wodzireja, a w kącie pokoju Gil zauważył córki Abbottów i Drake'ów, które wzięły się pod rękę i podskakiwały w kółeczku. Kilku chłopców, którzy wyrosli z wieku zabaw z młodszymi dziećmi, a jeszcze nie zainteresowali się dziewczętami, bawiło się w rzucanie nożem na drewnianym chodniku przed saloonem. Nagły wybuch śmiechu zwrócił uwagę Gila na jeden z tańczących kwadratów.

Henry okręcił Sarę dookoła i jej suknia się rozwiąła. Gil przelotnie ujrzał kostki nóg, ale jego uwagę przykuł szeroki uśmiech na twarzy Sary. Kiedy się uśmiechała, była piękna. Będzie musiał postawić swojemu nadzorcy drinka; należał mu się.

Muzyka umilkła. Gil napełnił dwie szklaneczki ponczem, podszedł do Sary i podał jej jedną.

- Chce się pani pić? - Kiwnął nadzorcy głową i ten zostawił ich samych.

- Och, tak... - Sara przestała wachlować twarz i przyjęła chłodną szklaneczkę. - Dziękuję panu. - Pociągnęła duży łyk i uśmiechnęła się.

- Gratuluję pani. Powiedziałbym, że dzisiejszy wieczór to wielki sukces. - Popatrzył na muzykantów.

- Chyba wszyscy się dobrze bawią. Więcej widziałam dziś wieczorem uśmiechniętych ludzi niż normalnie przez miesiąc. - Wypiła jeszcze łyk ponczu i osuszyła szklaneczkę. - Będę musiała poprosić o przepis na ten poncz. Jest pyszny.

Gil odstawił swoją szklaneczkę na sąsiedni stolik.

- Chciałbym kupić kilka biletów na tańce. - Sięgnął do kieszeni i podał jej monetę dwudziestopięciocentową.

- Czy to wystarczy? - Sara wręczyła mu pięć biletów. - Nie widziałam, żeby pan tańczył. - Kiedyś mnie ta moja wielka buzia wykończy, pomyślała modląc się, żeby Gil nie zwrócił uwagi na jej słowa.

- Jeżeli będę potrzebował więcej, zwrócę się do pani. - Wetknął bilety do kieszeni marynarki i popatrzył na jej przegub. - Nie ma pani karnetu?

Sara spojrzała na swój przegub i zrobiło jej się dosyć głupio.

- Taka byłam zajęta i zapomniałam. - Na szczęście muzykanci zaczęli akurat grać następną melodię, *Beautiful Dreamer*. - Nie miała pojęcia, dlaczego się jej nie udaje z nim normalnie porozmawiać. W końcu był całkiem miły.

Gil wyciągnął rękę i udawał, że zagląda do jej nieistniejącego karnetu.

- Widzę, że ma pani wolny następny taniec. - Podał jej bilet ze słowami: - Czy zaszczyca mnie pani?

- Ja? - pisnęła Sara. Do licha, teraz głos odmawia współpracy.

- To przecież dla wypożyczalni, czyż nie?

Kiwnęła głową, ale nie zdołała wykrztusić uprzejmego „z przyjemnością”, ponieważ nie miała ochoty być jego partnerką. Ani czuć, jak obejmuje ją ramionami.

- To jest walc. Nie wolałby pan raczej zaczekać na taniec szkocki?

- Ten mi całkiem odpowiada. - Trzymał rękę o włos od jej dłoni i czekał.

- Tak, oczywiście - powiedziała ujmując dłoń Gila. Chodziło przecież o dobroczynność, a poza tym taniec nie będzie trwał aż tak długo. Nagle Gil objął ją w pasie ramieniem, jego mocna dłoń leżała płasko i ciepło na jej plecach i oto tańczyli, aż Sara zmyliła krok i niemal go wyrzuciła. Okazał się jednak zdumiewająco zręczny i okręcił ją dookoła nie wypadając z rytmu.

Widział, że w pierwszej chwili Sara była spłoszona, ale kiedy już weszła w rytm tańca, poruszała się lekko.

- To piękna suknia. Błękitnieją w niej pani ramiona... Oczom nadaje złocisty połysk... - Do diabła, cóż mu to tak opornie idzie. Nigdy nie twierdził, że jest bystry, ale zwykle nie zachowywał się jak bełkoczący smarkacz.

Sara poczuła się osobliwie podniesiona na duchu tym, że Gil może być równie zmieszany jak ona i uśmiechnęła się promiennie.

- Pan również się pięknie doprowadził do porządku - chlapanęła. - Prawie pana w pierwszej chwili nie poznałam. - Panie Boże, zabierz mnie w tej chwili albo daj mi zemdleć. Gil roześmiał się i Sara poczuła wdzięczność. Ten grzmiący odgłos pomógł zamaskować jej zażenowanie.

- Czyż to nie dziwne, że kobieta godzi się tańczyć z mężczyzną, którego nie zna? - Pokazał w uśmiechu zęby. - Dziwaczny zwyczaj, ale całkiem niezły.

W chwili kiedy na niego spojrzała, Gil okręcił ją gwałtownie. Instynktownie przytrzymała się go i przypomniała sobie słowa do tego akurat fragmentu melodii: „Patrz, jak się staram o twoje względy.” Poczowała zapach jego płynu do włosów i głęboko wciągnęła powietrze.

- Podobnie jak w przypadku większości zwyczajów towarzyskich, mężczyźni utrzymują kobiety w roli podporządkowanej.

- Nie wszyscy mężczyźni.

Sarą wzruszyła ramionami.

-Jeżeli kobieta odmówi zapraszającemu ją do tańca mężczyźnie, musi ten taniec przesiedzieć. Gdyby ta zasada stosowała się tak samo do panów, ciekawe jak długo by trwało, zanim by ją anulowali.

- Rozumiem pani punkt widzenia. - Gil lekko się roześmiał. - Ale musi pani przyznać, że istnieje też wiele kobiet, które na to przytykają oczy.

Sara uśmiechnęła się do niego.

- Zgodzę się, że istnieje wielu takich ludzi. - Gil przyciągnął ją bliżej i wykonał nieznaną jej pas. Poczowała się tak, jakby płynęła w powietrzu; bardzo miłe uczucie. - Posiadanie złych cech charakteru nie jest zastrzeżone dla jednej płci.

- Na przykład nieokrzeseanie? - Gil uniósł brew do góry.

- Ależ tak. - Spojrzała mu w oczy i przymrużyła powieki. - Czy teraz rozmawiamy o moich artykułach? - Starła się nie zwracać uwagi na głęboki głos, który śpiewał: „Piękna marzycielko, obudź się dla mnie...”

Gil uśmiechnął się do niej.

- Nie trudno się domyślić, że nie nazbyt lubi pani mężczyzn, którzy tu przychodzą. - Poczował, jak pod jego dłonią plecy Sary zeszytniały, i pogładził ją kciukiem.

Sara zatrzymała się, opuściła ręce i cofnęła się o krok od niego.

- Pijacy są hałaśliwi, niechlujni, śmierdzący i sfiksowani na punkcie pierwszej... albo każdej kobiety, która im wpadnie w oko.

Gil rozejrzał się dookoła i odwrócił do niej.

- Ostrożnie, pani Hampton. - Pokazał w bok.

Zerknęła w tamtym kierunku i uświadomiła sobie, że staje się ośrodkiem zainteresowania i że muzyka przestała grać.

- Czy dokłada pan wszelkich starań, żeby ludzi denerwować, czy też to pana cecha wrodzona?

- Wydawało mi się, że po prostu rozmawiamy. Wygląda na to, że się pomyliłem. - Wziął ją pod rękę z zamiarem sprowadzenia z parkietu.

Sara wyszarpnęła się i podeszła do wazy z ponczem. Niemal jednym haustem wychyliła szklaneczkę i znowu ją napełniła. Kiedy się odwracała, zbliżyła się do niej Phoebe.

- Saro, co cię opętało, żeby się tak odezwać do pana Perry'ego? - Phoebe nalała sobie chochelkę ponczu i pociągnęła łyk.

- Poruszył sprawę moich artykułów... uznał, że może sobie pozwolić, żeby mnie obrażać publicznie. - Pociągnęła

jeszcze jeden haust ponczu i popatrzyła w drugą stronę sali na niego. - Niemalże wprowadził mnie w błąd... - Jego oczy, głos... to, jak tańczył...

- No cóż, pisząc o drwalach nie wyrażałaś się bardzo sympatycznie. - Phoebe popijała poncz. - Dziwnie smakuje.

- Uważam, że jest pyszny.

- Może mi się tylko zdaje. - Muzyka zaczęła grać i Phoebe przez chwilę przyglądała się Sarze. - Czy ty się dobrze czujesz?

- A czemu nie? Wszyscy się świetnie bawią i zbieramy pieniądze na książki. - Sara roześmiała się. - Jakaś się taka zrobiłaś poważna. Co z tobą?

Do wazy z ponczem podeszło kilku drwali, Phoebe dotknęła ręki Sary i odstańczyły na bok.

- Robi się późno. Może powinniśmy już pomyśleć o powrocie.

- Czuję się świetnie. Cora śpi, a Clay... no, gdzieś tu jest. Może poprosiłabyś Charlesa do tego tańca?

- Chyba tak zrobię. - Kiedy Phoebe przeciskała się przez tłum do Charlesa, zauważyła, że wszyscy są w bardzo wesołym nastroju. Wzięła męża pod ramię i uśmiechnęła się do panów, z którymi rozmawiał. - Czy piłeś poncz po kolacji?

- Właśnie skończyłem.

- Czy był w porządku?

Charles poklepał ją po ręce.

- Tak, kochanie. Był bardzo dobry.

- Spróbuj tego. - Podniosła szklaneczkę. - Chyba się zepsuł. Ale przecież poncz się nie psuje. Nie w ciągu kilku godzin.

Charles pociągnął łyk, roześmiał się i oddał jej szklaneczkę.

- Powiedziałbym, że któryś z chłopców musiał go przyprawić.

- Whiskey? - Phoebe aż zapało dech.

- Czy ktoś się skarżył?

- Raczej nie - odparła. - Muszę powiedzieć Sarze...

- Nie rób sceny, moja droga. Jak się nie dowie, będzie da-

lej zadowolona. - Poszukał jej wzrokiem. - Wygląda całkiem radośnie. Daj jej spokój.

- Ale ona to popija jak wodę.

- No więc może nie najlepiej czuć się rano. - Wyciągnął z kieszeni bilet i wcisnął jej do ręki. - Czy to nie nasz taniec?

Phoebe odstawiła szklaneczkę szukając wzrokiem Sary.

- Pewnie kilka minut nie zrobi żadnej różnicy.

- Promenada, parami proszę...

Gil przyglądał się, jak Sara tańczy z Charlesem. Była roześmiana, rozbawiona i najwyraźniej minęło jej zdenerwowanie. Podeszedł do baru, przy którym kilku co młodszych drwali przykładało się do opróżnienia wazy z ponczem.

- Cześć, szefie. Widzieliśmy, jak tańczysz. - Willie wyszczerzył zęby i przełknął swój poncz.

- A jak tam z wami, chłopaki? Zachowujecie się porządnie w obecności dam? - Gil przyglądał się Willie'emu. Mieli trochę za dobry humor. Ale już od kilku miesięcy nie było zabawy tanecznej, więc może dlatego.

- Tak, szefie. - Jake roześmiał się i dał Willie'emu sójkę w bok. - Prawdziwi z nas dżentelmeni, nie?

- Wychodzimy. - Gil zmarszczył brwi. - Teraz, chłopaki. - Wyszedł za nimi przed saloon. - Gdzie macie butelkę?

Jake poklepał się po kieszeni i wyszczerzył zęby.

- Nie ma. Jakaś musi stać za barem, co, Willie?

- Powinna. Ja też nie mam. Chce pan...?

- Wy głupcy, popiliście się. Skąd wzięliście butelkę?

- Zapłacimy za nią. - Willie zerknął na Jake'a. - Proszę - powiedział i wcisnął Gilowi w dłoń dwie monety.

- Gdzie ona jest?

Willie pokazał na Jake'a.

Jake dodał dwie monety do pieniędzy Willie'ego.

- W wazie z ponczem - powiedział i ryknął śmiechem. -
Widział pan, jak ta nadęta pani Hampton żłopała?

- I wcale się nie skarżyła.

Gil potrząsnął głową.

- Odeśpijcie to w wozie. - Więc stąd zaczerwienione policzki Sary i zmiana nastroju.

- Hej - Willie popatrzył na Jake'a - przecież jesteśmy trzeźwi jak grabarze, nie?

Gil chwycił każdego z nich za rękę i poprowadził drogą w kierunku stajni.

- Możecie poczekać w wozie i zabrać się z powrotem do obozu albo możecie ruszyć na piechotę. Wybór należy do was. - Jake chciał się wyrwać, ale Gil trzymał go mocno.

- Nie może nam pan rozkazywać...

- Zapomnieliście, że jestem waszym szefem. To ja płacę pensje. Ponieważ nie ma tu twojego tatusia, żeby ci nos wytarł, muszę to zrobić za niego. - Gil zatrzymał się przed stajnią. - Co wybieracie, sen czy spacer?

Willie i Jake zatoczyli się w kierunku stajni i wdrapali na wóz.

Gil wrócił do saloonu. Kiedy wchodził, panowie śpiewali *Dobranoc paniom*. Tańczyły wszystkie kobiety. Jedno spojrzenie na wazę z ponczem wystarczyło: będą się rano skarżyć na ból głowy.

Sara cofnęła się o krok od partnera, okręciła na obcasie i znalazła się twarzą w twarz z Gilem Perrym.

- He... ej. Wie pan, że to oształni taniec? - Znowu się do niej uśmiechał, taki miał miły uśmiech, pomyślała opierając dłonie o jego pierś, żeby utrzymać równowagę.

- Tak mi się wydawało. Czy dobrze się pani bawi?

- Och, tak - powiedziała i machnęła z rozmachem jedną ręką. - Chce pan że mną skończyć ten taniec?

- Z największą przyjemnością. - Wygrzebał bilet z kieszeni i podał jej.

Sara dwa razy usiłowała wcisnąć go sobie za dekolt, udało jej się dopiero za trzecim.

- Powinien być tam bezpieczny.

- Niewątpliwie powinien. - Wziął ją w ramiona, a ona zachwiała się i oparła o niego. Gdyby choć trochę bardziej była taka na trzeźwo, mogłaby doprowadzić go do szaleństwa.

Odchyliła się do tyłu, bezpieczna w jego objęciach, i pogroziła mu palcem.

- Jeżeli chce pan ode mnie dostać podwyżkę, to nic z tego. - Przytuliła się bliżej do niego i pozwoliła się prowadzić. Naprawdę był najlepszym ze wszystkich tancerzy, z jakimi kiedykolwiek tańczyła, i tak cudownie pachniał.

Kiedy muzyka się skończyła, stała nadal w kręgu jego ramion i lekko się chwiała. Gil uśmiechnął się do niej.

- Chyba lepiej odprowadzę cię do domu, Saro.

- Mhm, to byłoby miło. - Czuła się tak sennie i rozkosznie.

- Czy możemy w domu zatańczyć? Tak cudownie tańczysz. Nie przypuszczała, żeby pamiętała o tym rano.

- Czy miałaś ze sobą pelerynę?

- Jest ździeś tam. - Machnęła ręką w kierunku baru.

Gil przełożył jej rękę przez swoją.

- Pomogę ci ją znaleźć. - Ignorował zaciekawione spojrzenia, dopóki nie podeszła do nich pani Abbott.

Phoebe nie mogła uwierzyć własnym oczom: Sara opiera się o pana Perry'ego, na twarzy ma rozmarzony uśmiech.

- Saro, czy dobrze się czujesz?

- Naprawdę... w życiu lepiej.

- Czy zechciałaby pani przynieść jej pelerynę? Odprowadzę ją do domu. Nie sądzę, żeby na wiele się paniom dziś wieczorem przydała.

- Trochę za łagodnie pan to określił. - Znalazła pelerynę Sary i podała mu. - Wypiła dużo ponczu. Czy wie pan, kto dolał do niego whiskey?

- Dwóch winowajców odsypia swoją przewinę w stajni. Są młodzi i uważali, że to świetny kawał.

- No, mam nadzieję, że będą się rano czuli równie fatalnie, jak, obawiam się, Sara.

- Niech się pani nie martwi. - Gil roześmiał się cicho. - Będą.

Podszedł do nich Charles.

- Gil, wygląda na to, że masz. pełne ręce roboty.

Sara na moment otworzyła oczy i popatrzyła na Gila.

- Naprawdę?

- Odprowadzę ją do domu. - Zerknął na głowę Sary wtuloną w swoje ramię.

Phoebe położyła dłoń na rękę męża.

- Nie sądzisz, że powinniśmy ją odprowadzić?

- Jest w dobrych rękach. - Charles objął żonę i odciągnął ją na bok. - Do zobaczenia później, Gil.

Gil otulił ramiona Sary peleryną.

- Chodźmy. - Sara wtuliła się w jego bok. - Żałuję, że nikt nie zrobi nam teraz fotografii. W życiu w to nie uwierzysz.

Wyprowadził ją na zewnątrz. Wiatr był chłodny i świeży, ale ona nie zwracała na nic uwagi. Gil objął ją za ramiona i tak przeszli krótki dystans do domu Abbottów. Kiedy doszli do werandy, Gil otworzył drzwi.

- Jesteś w domu, Saro. - Opuścił ręce na talię kobiety i odwrócił ją twarzą do siebie. - Śpij dobrze.

Sara położyła mu obie ręce na ramionach.

- Już idziesz?

- Lepiej żebym poszedł, albo gotów wybuchnąć skandal.

Podtrzymał ją i wpatrzył się w jej śliczne półprzytomne niebieskie oczy. Wspaniała z niej była dama. Miękka i ciepłutka, kłująca jak jeżyny i tak świetnie można się z nią było sprzeczać. Właśnie popychał lekko Sarę, żeby skłonić ją do wejścia do domu, kiedy zarzuciła mu ręce na szyję.

Na odgłos jej urywanego oddechu przysunął się bliżej. Promień księżyca przebił się przez chmury i zdążył oświetlić płomienne spojrzenie i rozchylone wargi Sary. Pragnął poczuć jej wargi na swoich. Ignorując podszepty sumienia pochylił się i powoli przesunął ustami po jej ustach.

- Och... - zamruczała Sara, przyciskając wargi do jego jędrnej brody. - Pocałuj mnie.

Właśnie to pragnął zrobić. Sara przesunęła czubeczką języka po skraju jego podbródka i fala oszałamiającego pożądania niemal zbiła Gila z nóg. W wieku dwudziestu dziewięciu lat doświadczać tak gwałtownego przyływu pragnienia? Pieścił palcami jej kark. Jeden pocałunek, postanowił, a potem pójdę.

Objął ją ramionami w pasie, łagodnie przywarł ustami do jej ust i polizał delikatne, wilgotne wnętrze warg. Nigdy jeszcze z takim wysiłkiem nie musiał utrzymywać reszty swej anatomii w ryzach. Była jak atlas, jak jedwab, jak delikatny letni powiew.

Czuła, jak podtrzymuje ją twarde ciało, jak pulsuje przytulone do niej, jak jej własne ciało zdaje się topnieć w odpowiedzi. Kolano samo wsunęło się między jego nogi. Gdzieś poniżej brzucha wezbrała, zawirowała fala pragnienia i Sara przywarła mocniej do mężczyzny.

Wstrząsnęła nim naga, iskrząca między nimi intymność. Przerwał pocałunek, cofnął się o krok trzymając ją za ramiona, żeby nie straciła równowagi. Napełnił płuca chłodnym, nocnym powietrzem i mgłą przysłaniająca odrętwiały z pożądania umysł zaczęła się rozpraszać. Po ulicy niesły się czyjeś głosy.

Opuścił ramiona.

- Słodkich snów, Saro. - Poprawił marynarkę i odszedł, dopóki jeszcze starczało mu na to siły i woli.

Sara trzymała się oburącz futryny i opierała policzek o chłodne drewno.

- Dobranoc, Gil. - Na ustach czuła jeszcze ciepło i rozkoszny dotyk jego warg...

8

Sara zawiązała szarfę przy szlafroku i przycisnęła chłodne dłonie do pulsujących skroni. W ustach jej zaschło, czuła jakiś obrzydliwy posmak i miała wrażenie, że głowa rozpadnie się jej na kawałki. Poczłapała do kuchni i ruszyła prosto do dzbanka z kawą na piecu.

Phoebe przyglądała jej się z drugiego końca kuchni.

- Dzień dobry. Chce ci się pić?

- Nie krzycz - powiedziała Sara przytłumionym głosem. - Nie jestem głucha. - Sięgnęła do drzwiczek szafki.

Phoebe stanęła za nią i podała jej zawczasu przygotowany kubek.

- Marnie wyglądasz. Źle spałaś?

- Chyba tak. - Sara potarła czoło.

- Siadaj. Należę ci kawy.

Sara wysunęła krzesło spod stołu i opadła na nie.

- Gdzie są wszyscy?

- Charles zabrał dzieci na przejażdżkę konną. - Phoebe napełniła kubek i postawiła go przed Sarą. - Zabawa się udała. Nie przeliczyliśmy pieniędzy wczoraj wieczorem, ale woreczek był pełny.

- To miło. - Sara ujęła kubek rękoma, podniosła do warg i pociągnęła łyczek.

- Powiedziałam wszystkim, że przeliczymy pieniądze i jutro złożymy je w banku.

- W porządku - powiedziała Sara wyglądając znad brzegu kubka - ale czy możemy to zrobić później? - Panie Boże, ależ ją bolała głowa. Kawa wcale nie pomagała.

- Nie musimy w tej chwili.

- Dobrze.

- Minęliśmy się z panem Perrym, kiedy wracał stąd wczoraj wieczorem, ale kiedy weszliśmy do środka, ty byłaś już w swoim pokoju. - Phoebe pociągnęła łyczek kawy. - Gdybym na własne oczy nie widziała, że wyszłaś razem z nim, nie uwierzyłabym.

Sara wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami. Powoli odstawiła kubek na stół.

- Widziałas, że ja co zrobiłam?

- Wyszłaś z zabawy razem z panem Perrym.

- Phoebe, jest za wcześnie na żarty, a ja się okropnie czuję.

- Wcale się nie dziwię.

- Czemu mówisz zagadkami? - Sara zmarszczyła brwi.

- Czy pamiętasz, ile ponczu wypijałaś?

- Nie liczyłam.

- Mówiłam ci, że dziwnie smakuje. Była w nim whiskey. Jeden Pan Bóg wie, ile jej tam dolali.

- Chcesz powiedzieć, że się upiłam? - Sara przełknęła resztkę kawy. - Czemu mi nie powiedziałaś?! Och - jęknęła łapiąc się za głowę.

- Dowiedziałam się dopiero, jak waza już była pusta. Wówczas... wówczas szkoda mówić... kręciło ci się w głowie.

- Zabiję Gila Perry'ego! Zabiję! - Skrzywiła się i przyciszyła głos. - Nie powinnam mu była ufać, ale nigdy nie myślałam, że doleje czegoś do ponczu.

- I nie dolał. Zrobiło to dwóch młodych drwali... taki psikus.

Sara oparła głowę na rękach.

- I tak on jest za to odpowiedzialny. - Zamknęła oczy żalując, że nie może wrócić do łóżka i obudzić się wczoraj rano. - Nie zrobiłam chyba nic, czego bym się musiała wstydzić?

- Powiedzmy że zaskoczyłaś parę osób. Bardzo byłaś radosna. - Phoebe ponownie napełniła kubki. - Poza jedną chwilą, kiedy... - Naprawdę było jej żal Sary. Wszyscy, którzy czytali jej artykuły, wiedzieli, co myśli o ludziach pijących.

- Kiedy ja co? - Sara wpatrywała się w nią.

Phoebe zerknęła na nią i starała się nie uśmiechać.

- Tańczyłaś akurat z panem Perrym i pokłóciliście się. A przynajmniej na to wyglądało.

- Proszę, powiedz mi, że nie dałam przedstawienia. Sta-
nę się pośmiewiskiem całego miasta.

- Nikt się nie zdziwił, że się sprzecacie. Nie jestem na-
wet pewna, czy wtedy w ponczu już była whiskey.

- Pamiętam, że dwa razy tańczyłam z panem Prattem... - Sa-
ra wyprostowała się na krześle. - A potem z panem Perrym...
chyba walca.

Phoebe nigdy w życiu nie wypła więcej alkoholu niż łyk
czy dwa. Była pewna, że Sara też, zwłaszcza że była zdecy-
dowaną przeciwniczką picia mężczyzn.

- Bardzo dobrze wam się razem tańczyło.

Sara wbiła wzrok w pusty talerzyk na stole, powoli wra-
cała jej pamięć.

- Zostało bardzo niewiele jedzenia i sprzedałyśmy niemal
wszystkie bilety do tańca. - Skończyła kawę i blado się
uśmiechnęła. - Panowie tańczyli ze swoimi żonami.

- Tak, tańczyli. Gdyby tego nie zrobili, miałybyśmy
w mieście rewolucję. - Phoebe wlała resztkę kawy do kubka
Sary. - Ostatni taniec był szczególnie interesujący.

- Czy nie tańczyłaś z Charlesem?

Phoebe skinęła głową i zachichotała.

- Jeden z drwali poprowadził cię na parkiet.

- Który to był? - Sara zastanawiała się przez chwilę, ale
daremnie.

- Nie znam jego nazwiska, ale nie skończyłaś z nim tań-
ca.

Sara jęknęła.

- Po prostu opowiedz mi, co się stało.

- Gdzieś w połowie tańca cofnęłaś się od niego o krok
i okręciłaś się dookoła. Weszłaś prosto w ramiona pana Per-
ry'ego i z nim skończyłaś taniec.

- Ja?

- Niezbyt się pewnie trzymałaś na nogach, więc zaproponował, że odprowadzi cię do domu.

- Faj, a ja myślałam, że to koszmarne sen.

- Czy w twoim śnie wydarzyło się coś jeszcze?

- Niewiele. On powiedział „śpij dobrze” czy coś takiego, a ja powiedziałam „dobranoc”. - Sara potarła czoło. - Nie jestem nawet pewna, kto to był, tyle że ładnie pachniał. - Nie bardzo jej się podobał szeroki uśmiech Phoebe. - Co cię tak rozbawiło?

- Kiedy zbliżaliśmy się do domu, obejmował cię.

- Musiałaś się pomylić. Nie lubię tego człowieka. Dlaczego miałabym mu pozwalać na takie poufałości? - Sara zaczęła kręcić głową, ale natychmiast przestała. - Musiałaś się na pewno pomylić. To ostatni człowiek, któremu bym... - Nawet nie dokończyła tej myśli, nie mówiąc już, żeby ją miała wypowiedzieć na głos. Oparła się mocno rękami o stół i wstała. - Chyba wypiję szklanek herbaty rumiankowej i położę się na chwilę. I będę miała nadzieję, że nikt nie zapamiętał ostatniego wieczoru.

W niedzielny poranek miasteczko zdawało się dochodzić do siebie po zabawie. Droga prowadząca przez nie była pusta, podobnie jak saloon, w którym pojawił się tylko Gil. Pierwsze co zrobił, to zawiesił nad barem Lorinę na przynależnym jej miejscu. Nie potrzebował dużo czasu, żeby przetrzeć bar, pozamiatać podłogę i przestawić poustawiane przez damy krzesła i stoły.

Kiedy Jack wszedł do saloonu późnym popołudniem, Gil gotów był do wyjścia.

- Musiałeś wracać z panną Layton okrężną drogą z kościoła do domu.

Jack popatrzył na niego rozpromieniony.

- Zrobiliśmy sobie piknik w zakolu rzeki. - Poluzował

krawat i zdjął go, a potem zrobił to samo z kołnierzykiem.

- Nie było błota?

- Siedzieliśmy razem na kłodzie. - Jack rozpiął górne guziki koszuli. - Po wczorajszym wieczorze sądziłem, że będziesz już w odwiedzinach u pani Hampton.

- Chciałbym jeszcze pożyć. - Gil był diabelnie ciekaw, czy ona będzie pamiętać, że go całowała. Nie było to coś, o czym potrafiłby zapomnieć.

- Wybierasz się dziś do obozowiska?

- Nie ma powodu. Widziałem się z ludźmi wczoraj. Ale chyba się przejadę.

- Ucałuj ode mnie Vonney.

- Nie tym razem.

Gil poszedł do swojego pokoju, włożył list do kieszeni i skierował się do stajni. Porządna przejażdżka powinna mu pomóc wybić sobie Sarę z głowy - zapomnieć, jak to było, kiedy ją trzymał w ramionach, zapomnieć o jej gardłowym westchnieniu, o tym, jak jej palce poruszały się po jego karku, kiedy go całowała.

Zatrzymał się przed stajnią. Może lepiej będzie pójść do Fenton's Crossing na piechotę, żeby uśmierzyć tę przewleklą udrękę.

W poniedziałek rano, kiedy Phoebe kończyła wykrawać sukienkę, którą szyła Corze na Boże Narodzenie, usłyszała, jak zamykają się drzwi sypialni Sary i zawołała do niej.

Sara weszła do kuchni.

- Ładnie to będzie wyglądało na Corze. Mam nadzieję, że jej się spodoba.

- Ja również. - Phoebe złożyła czerwoną wełnianą spódnice. - Czy idziesz do redakcji?

- Tak. Chcę napisać artykuł o zabawie.

- Czy mogłabyś wpaść do banku i wpłacić to? Pan Greb-

by powiedział, że otworzy nam konto na pieniądze, które zebrałyśmy. - Postawiła przed nią wypchaną torebkę.

- Na wagę - Sara uniosła ją do góry - jest tu więcej niż osiemnaście dolarów.

- Zebrałybyśmy jeszcze więcej, gdybyśmy wiedziały, że chłopcy dolali whiskey do ponczu. Liczyłybyśmy po dwadzieścia centów za porcję.

- Nie przypominaj mi. - Sara zarzuciła róg miękkiego, wełnianego szala na ramię i wyszła z ciężką torbą na dwór.

Pogoda zrobiła się znowu wietrzna, a na górze Hood leżało więcej śniegu. Będzie musiała wyjąć dziś wieczorem flanelowe halki z kufra, postanowiła wchodząc pośpiesznie do banku. Przez całą salę biegł masywny kontuar, a sejf znajdował się w rogu.

Pan Grebby, właściciel banku, pracował akurat jako kasjer. Sara stanęła w kolejce za fryzjerem, panem Farmerem. Oboje czekali, a pan Grebby obsługiwał innego klienta, pana Satterleya. Z każdą mijającą minutą torba wydawała się Sarze coraz cięższa. Wzięła ją na chwilę pod lewą pachę, a potem przełożyła z powrotem na prawą stronę.

Pan Farmer uśmiechnął się do niej.

- Pani Hampton, proszę, niech pani przejdzie przede mną. Ja się nie spieszę.

- Dziękuję panu, ale mogę poczekać. - Drzwi otworzyły się i Sara niedbale obejrzała się przez ramię. Gil Perry. Nie. Wiedziała, że musi do tego dojść, że będzie go widywała w mieście, ale nie była przygotowana na tak szybkie spotkanie z nim twarzą w twarz. Patrzyła na pana Grebby'ego i w myśli błagała go, żeby się pośpieszył.

Gil zajął miejsce w kolejce za Sarą.

- Dzień dobry, Saro. Bardzo dziś pani ślicznie wygląda. - Pokazał na trzymaną przez nią torbę. - Czy to pieniądze zebrane w czasie zabawy?

Saro?! Jak on śmie?

- Tak - odpowiedziała zduszonym głosem, a potem po-

czuła zapach płynu do włosów. Jej sen. Phoebe przysięgała, że widziała, jak się obejmowali. Sarze dreszcz przeszedł po plecach. To nie mogła być prawda, a jednak...

- Powinno wam teraz wystarczyć na zakup kilku książek. Czy będzie je pani wybierała?

- O tym zadecyduje komitet. - Sara wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana.

- A pani będzie w Komitecie, Saro?

- Ja... - Zaskoczona powoli wypuściła powietrze. Zakładła, że będzie, ale nic jeszcze nie było postanowione. Że też ze wszystkich ludzi w mieście właśnie on musiał ją o to zapytać. - Nie jestem pewna, panie Perry.

- Powinna pani być. - Uśmiechnął się do niej. - Ciągle zachodzi pani do biblioteki.

- Skąd...? - zaczęła bez zastanowienia.

Gil zachichotał.

- Raczej trudno pani nie zauważyć. - Pan Satterley wyszedł, a pan Farmer podszedł do kontuaru. Pan Grebby uśmiechnął się do Gila, a Gil mu pomachał. - W naszym miasteczku jest niewiele niezamężnych dam i niemal żadna z nich nie biega ciągle do hotelu.

- Jak... - zaczęła znowu Sara, a potem przyciszyła głos - jak pan śmie sugerować, że ja... że ja... Niech się pan natychmiast przestanie tak uśmiechać, panie Perry.

- Tak jest, szanowna pani. - Usiłował przestać, ale nie bardzo mu się to udawało.

- Ty pajacu, może być... - Nagle drzwi się gwałtownie otworzyły i grzmotnęły o ścianę. Sara wzdrygnęła się i silnie ścisnęła torbę. Do środka wpadło dwóch mężczyzn. Jeden miał melonik i elegancki płaszcz dżentelmena, szalik podciągnął do góry, żeby zasłonić usta. Twarz drugiego niemal całkowicie zasłaniała gęsta czarna broda; miał na sobie robocze spodnie, bardzo znoszony wełniany płaszcz i stary poplamiony, filcowy kapelusz.

- Panowie i pani, proszę się nie ruszać ani nie próbować

żadnych bohaterskich czynów. Pan - powiedział mężczyzna w szaliku do pana Grebby'ego - napełni tę torbę zaczynając od gotówki z sejfu. - Skinął głową na swego partnera, który podał panu Grebby'emu wielką płócienną torbę.

Jak tylko bandyci skierowali wzrok na pana Grebby'ego, Gil przysunął się do Sary. Objął ją lewą ręką, mocno przytrzymał i szepnął:

- Zasłoń powoli torbę szalem. - Przez ostatnie kilka lat w Gridley panował taki spokój, że zrezygnował z noszenia pistoletu przy sobie, chyba że wyjeżdżał z miasta.

- Hej, wy, żadnego gadania. - Brodaty zatoczył bronią luk. - Buzie na kłódkę.

Sara zawrzała gniewem.

- Kim wy...

- Szanowna damo, proszę się nie odzywać - powiedział zamaskowany bandyta. - Mój przyjaciel może nie umie wyrażać się poprawnie, ale potrafi strzelać i mogę panią zapewnić, że z tej odległości nie chybi, a ja również w panią trafię.

Chłód, z jakim to powiedział, skłonił Sarę do posłuchania rady Gila. Zwilżyła zaschłe wargi, ale w środku wciąż kipiała. Wtedy Gil uścisnął ją za rękę delikatnie, ale stanowczo i Sara skinęła głową. Jego uścisk dodawał otuchy. To, że musiała milczeć, wręcz przeciwnie.

Zamaskowany popatrzył na pana Farmera.

Sara wpatrywała się w niego i usiłowała zapamiętać jego wygląd. Jeżeli ucieknie, dopilnuje, żeby jego rysopis pojawił się w bieżącym wydaniu gazety.

- Hej, ty, nie mamy całego dnia.

Gil poczuł ulgę, że Sara zachowuje się rozsądnie i milczy. Bandyci stanowili dziwną parę. Brodaty robił wrażenie głupawego, ale zdaniem Gila bardziej zabójczy z nich dwóch był ten, który się tak wykwinął wyrażał.

Zegar na ścianie zaczął bić. Brodaty rabuś odwrócił się i strzelił w zegar.

Pan Grebby padł na podłogę.

- Ruszaj się, staruchu.

Pan Farmer cofał się chwiejnie, dopóki brodaty nie strzelił w jego kierunku.

- Przestańcie! - wrzasnęła Sara szarpiąc się z Gilem, który usiłował ją pohamować, i wbiła wzrok w bandytę w szaliku. - Czy nie może pan go powstrzymać?

Gil przyciągnął ją mocno do swego boku i syknął:

- Doprowadzisz tylko do tego, że cię zabije.

- Proszę go słuchać, droga damo. - Rabuś w szaliku podszedł o krok bliżej do kontuaru. - Słuchaj no, kasjerze, jeżeli ta torba nie zostanie napełniona i wręczona mojemu przyjacielowi w ciągu najbliższych trzydziestu sekund, to zastrzelę tę damę.

Pan Grebby rzucił się do sejfu.

Brodaty bandyta powoli podszedł do Sary i wyszczerzył do niej zęby.

- Całkiem jesteś ładniutka - powiedział i wyciągnął rękę w kierunku jej włosów.

Nie miała najmniejszego zamiaru pozwolić, żeby ten niechlujny zbir jej dotykał. Gil nie miał przy sobie broni, ale ona miała za to ciężką torbę z monetami ukrytą pod szalem. Zacisnęła na niej rękę. Jak tylko broń bandyty znalazła się wystarczająco blisko, zamachnęła się torbą w górę i wytrąciła mu ją z ręki.

Zadziałała tak szybko, że Gil nie zdążył zapobiec jej pochopnemu ruchowi, ale udało mu się podtrzymać ją, żeby nie przewróciła się na opryszka. W następnej chwili usłyszał cichy odgłos odwodzonego kurka. Objął ją drugą ręką przez pierś i odwrócił do siebie.

Rozległ się ogłuszający strzał. Sara poczuła, jak Gil się wzdrygnął, a potem upadł na nią. Zaskoczona straciła równowagę i poleciała do tyłu. Upadła na podłogę, przygwożdżona jego ciałem; tyłem głowy opierał się o jej policzek.

Dobry Boże, zastrzelili go.

- Ty przekłety osle! Zabiłeś ją!

9

Zagrzmiał następny dudniący strzał. Sara usłyszała łoskot, a potem odgłos oddalających się kroków. Gryzący dym piekł ją w nosie. Wyciągnęła szyję i zobaczyła, że pan Farmer kuli się w rogu plecami do sali, ale nie widziała ani pana Grebby'ego, ani bandytów.

- Gil - syknęła mu do ucha, modląc się, żeby to było tylko omdlenie. - Obudź się!

Gil nie poruszył się ani nie wydał żadnego dźwięku, i tak było od momentu, kiedy się na nią wywrócił. Przygwoździł ją do podłogi. Nie mogła się poruszyć, żeby nim nie wstrząsnąć, a ponieważ nie była pewna, jaką odniósł ranę, nie bardzo mogła go po prostu z siebie zepchnąć.

- Gil, powiedz coś!

- Saro - odezwał się Gil; ból w boku z każdą chwilą stawał się bardziej dojmujący. - Nie jestem pewien... czy zdołam się... poruszyć. - Cholerny świat, czuł się tak, jakby mu bok rozłupano siekierą.

- Dzięki Bogu, że żyjesz.

- Czy nic ci... nie jest? - Zakaszłał i okropny ból przeszył jego bok. Kiedy odzyskał dech, przesunął prawą rękę, żeby się podeprzeć, ale podłoga była śliska. - Saro, nie dam rady...

- Gil! - Wolną ręką mogła tylko dotknąć jego pleców. Leżał całkowicie bez ruchu, oddychał z wysiłkiem. - Panie Grebby! Pomocy! Panie Farmer! Niech nam ktoś pomoże!

Ręka zaczynała jej drętwieć, była jakoś dziwnie ciepła.

Bała się czekać dłużej, więc wierciła się dotąd, aż udało jej się wysunąć spod niego całkowicie, poza jedną ręką. Uklękała przy jego plecach; wreszcie mogła swobodnie zobaczyć, jak

poważnie był ranny. Potem zobaczyła krew. Nie była czerwona, ale brązowawa w kolorze i wypływała spod niego.

Udało jej się delikatnie wyciągnąć przygniecioną rękę i popatrzyła na nią ze zgrozą. Rękaw był przesiąknięty krwią, podobnie jak jej ubranie i szal po lewej stronie. Przyjrzała się bacznie Gilowi i zauważyła, że krew tryska spod koszuli na plecach.

Pan Grebby wyszedł zza kontuaru i stanął jak wryty, wpatrując się w Gila.

- Dobry Boże w niebiesiech! Czy on nie żyje?

- Nie! Żyje!

- Co mam zrobić?

Sara popęzła na drugą stronę, by zajrzeć Gilowi w twarz. Był blady i z każdą chwilą wydawał się blednąć coraz bardziej, niemal szarzeć.

- Charles Abbott. Niech pan sprowadzi jego i Phoebe. Szybko!

Charles był korespondentem gazety w czasie wojny i spędził te lata w wojsku. Przypomniała sobie, jak opowiadał, że niekiedy pomagał chirurgom przy rannych. W mieście nie było lekarza, na nikogo innego nie mogła liczyć. Z oporami myślała o dotykaniu Gila, nie mówiąc już o odwróceniu go na plecy, ale wiedziała, że jeżeli nie powstrzyma krwawienia, Gil niedługo umrze.

- Czy już poszli? - zapytał z kąta pan Farmer.

- Co? O, tak. Jak się pan czuje?

- W porządku, jak mi się zdaje. - Pan Farmer wstał i rozejrzał się. - Ten brodaty leży na podłodze. A ten w szaliku zdołał uciec.

- Czy ten drugi nie żyje?

- Nie wiem.

Sara zerknęła na pana Farmera.

- Niech pan weźmie jego pistolet, na wszelki wypadek, gdyby jeszcze żył.

Zaczynała się gorączkować. Pochyliła się i przytknęła swój

policzek do policzka Gila. Jęknął i otworzył oczy. Dobry Boże, robił się chłodny. Z każdym oddechem było z nim coraz gorzej. Narastająca w niej panika groziła, że straci panowanie nad sobą, ale zaczerpnęła głęboko powietrza i jak najdelikatniej obróciła Gila na bok. Był cały pokryty krwią. Krew tryskała również z drugiej rany na przodzie. Kula przebiła go na wylot.

Sarze żołądek podszedł do gardła. Zakręciło jej się w głowie. Musiała jakoś powstrzymać to krwawienie. Urwała dwa pasy materiału z własnej halki i odchyliła mu koszulę, żeby jej nie przeszkadzała. Rany nie były wielkie, ale na Boga, wyglądały paskudnie. Zebrała się na odwagę i wepchnęła zwitek materiału w każdą z nich.

Gil ryknął.

- Och, Gil, tak mi przykro. Ale muszę powstrzymać to krwawienie.

Każdemu oddechowi towarzyszył ból i fala zawrotów głowy.

- Boli... od... dycham.

- Nie mów teraz nic. - Odsunęła dłonie tak, że dotykała go tylko palcami. - Panie Farmer, jak daleko jest do najbliższego lekarza?

Pan Farmer potarł szczękę.

- Damascus, tak mi się przynajmniej wydaje. Gdzieś z godzinę konno. Wozem dłużej.

- Nie przeżyłby tego. - Patrzyła na krew spływającą jej po palcach. Ile krwi mogło być w ciele? Ile można było stracić, zanim...? - Będą mi potrzebne bandaże. Wystarczą przecieradła... byle czyste. Niech pan czegoś poszuka!

- Tak, proszę pani.

Przyciskając palce do rany, jakby tylko to mogło powstrzymać upływ krwi, siłą woli nakłaniała Gila do życia.

- Nie umieraj. Słyszysz mnie? Nie wolno ci umierać!

Zwiesiła głowę i zamknęła oczy. Tańczyła z nim. Śmiali się razem i byli w przyjaznych stosunkach. Poczuli, jak po policzkach spływają jej łzy i uświadomiła sobie, że płacze.

- Spró... bu... ję... - Jej dotknięcie było takie delikatne. Może już umarł i tylko śni... ale ból w boku nie pozwalał mu tak myśleć.

Charles wpadł pędem do banku i stanął jak wryty u boku Sary. - Boże w niebiesiech... - Przełknął z wysiłkiem. - Czy ciebie też postrzelili?

Sara potrząsnęła głową.

- To jego krew... To wszystko jego krew. - Podniosła oczy na Charlesa. - Tak dużo... I wcale nie czerwona. Nie wiem, dlaczego...

- Spróbuję sobie przypomnieć, co widziałem w czasie wojny. - Przyjrzał się bliżej. - Ale wydaje mi się, że tam jest wątroba. Kula musiała ją przebić na wylot. Przypominam sobie, jak chirurg mówił coś, że od żółci krew robi się brązowa, ale mogę się mylić. To już tak dawno.

- Na ogół masz dobrą pamięć. Czy myślisz, że zostało mu dość krwi?

- Trudno powiedzieć, ale musimy powstrzymać krwawienie.

- Jak? Próbowałam wepchnąć do dziur zwitki materiału, ale kapie z nich krew, a kiedy uciskałam ranę, było to za bardzo bolesne.

- Może mieć złamane jedno albo dwa żebra. Ktoś będzie musiał wysondować rany i poszukać odłamków kości, kawałeczków materiału i odprysków metalu.

- Musiałeś widzieć, jak to się robi. Ty to zrób.

Charles podsunął jej przed oczy potężną dłoń.

- Chcesz, żebym mu wetknął któryś z tych paluchów w pierś? - Potrząsnął głową. - Nie będzie to łatwe, Saro, ale myślę, że ty to musisz zrobić.

- Jak mogłabym... - zagryzła wargi, usiłując powstrzymać łzy - przyczynić mu bólu?

- Chirurgdzy używali chloroformu. - Westchnął ciężko. - Nie mamy go ani trochę, ale w saloonie jest mnóstwo whiskey. Musimy go tam przenieść.

Sara wpatrywała się w dłoń Gila, bieluteńką na tle brązowej, lepkiej krwi.

- Ta kula przeznaczona była dla mnie... To ja ich rozżółściłam.

Charles energicznie uściśnął jej ramię.

- Przyniosę butelkę najlepszej, jaką mają - powiedział i wybiegł na zewnątrz.

Sara miała wrażenie, że upłynęła cała wieczność, zanim Charles wrócił niosąc butelkę i trzymając jeden koniec drzwi. Pan Young trzymał drugi i koc. Pochyliła głowę, musnęła policzkiem włosy Gila i szepnęła:

- Charles przyniósł dla ciebie whiskey.

Gil usiłował się uśmiechnąć. Diabelnie wielkie ustępstwo z jej strony. Musi być bliski śmierci. Albo może zwariował. Doszedł do wniosku, że bardziej prawdopodobne jest to drugie.

- Gil, pan Young też jest tutaj.

- Przyniosłem koc - powiedział Jack wpatrując się w Gila. - Ale pewnie w tej chwili nie będzie mu potrzebny.

- Jack, chodź tu ze swoim końcem. - Charles popatrzył na Sarę. - Będziesz się musiała posunąć, żebyśmy go mogli położyć na drzwiach. Przydadzą się jako nosze.

Phoebe wbiegła do banku i padła na kolana przy boku Sary.

- Na litość!

- Powiedziałaś - Sara odepchnęła od siebie rękę Charlesa - że chcesz, żebym obmacała jego ranę od środka. - Położyła dłoń na ramieniu Gila. - Powinno się to zrobić teraz, zanim go stąd ruszycie.

- Masz rację. Lepiej sobie podciągnij rękawy.

- Gil, czy zdołasz przełknąć parę łyków whiskey? - Sara rozpięła guziczki na rękawie i podwinęła go do góry.

Coś takiego musiało jej się zdarzyć pierwszy raz, pomyślała.

- Mhm.

- Lepiej go przytrzymam za ramiona. - Jack opadł na kolana w pobliżu głowy Gila.

- Ja go będę trzymał za nogi - powiedział Charles. - Usiądę na nich, jak będę musiał. - Przykląkł na jedno kolano przed Gilem i odkorkował butelkę. - Gil, wypij tyle whiskey, ile tylko zdołasz. - Zerknął na Sarę. - Sara chyba nie będzie ci miała za złe.

- Do... obrze. - Gil poczuł czyjaś dłoń pod karkiem, druga dłoń uniosła mu głowę. Nagle przy ustach miał butelkę. Nigdy jeszcze nie był taki bezradny ani słaby. Pociągnął łyk i skrzywił się.

- Musi cię cholernie boleć, ale to jeszcze nic w porównaniu z tym, jak ci Sara wetknie palce w bok. Jack, unieś go trochę do góry, żeby mógł pić. - Charles pochylił butelkę do jego ust.

Kiedy Gilowi udało się przełknąć połowę zawartości butelki, Sara opuściła jego głowę i skinęła na Charlesa, żeby z nią wyszedł na zewnątrz.

- Polej mi trochę tego na rękę.

Charles patrzył na nią, jakby straciła rozum.

- To jest dobra whiskey do picia. Za dobra, żeby ją marnować.

- Mam ręce pokrwawione i brudne. Może whiskey pomoże też znieczulić go od środka. - Wyciągnęła ręce nad ziemią. - Lej.

Charles pociągnął potężny łyk i dopiero potem zrobił to, o co prosiła.

- Dziękuję ci. - Otrzepała ręce i weszła z powrotem do środka.

Uklęka bez słowa przy Gilu i podciągnęła mu koszulę do góry. Zaognione ciało spuchło i zacisnęło ranę. Gdyby tylko tam była dziura, mogłaby w nią zajrzeć. Napotkała strapione spojrzenie Phoebe.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, jak bardzo to będzie bolało.

Phoebe położyła dłoń na ramieniu Sary.

- Trzeba to zrobić. Czy wolisz, żebym ja spróbowała?

- Nie. - Sara uzbroiła się w odwagę przed tym, co ją czeka: będzie musiała dotykać części jego ciała, których nie widywała nawet w wyobraźni - i wcisnęła palec wskazujący w rozdarte ciało na plecach.

Gil krzyknął i szarpnął się, a przynajmniej próbował to zrobić, ale coś go trzymało. Do diabła! Zabolało potwornie.

- Gil, nie ruszaj się. Jeżeli się szarpniesz, mogę dźgnąć palcem w coś, w co nie powinnam.

- Dooobrze. - Nagle Gil poczuł, że ktoś unosi mu głowę i wlewa whiskey do ust. Udało mu się przełknąć trzy łyki; odepchnął butelkę językiem.

Charles napotkał spojrzenie Sary.

- To pomoże mu się odprężyć.

Sara doszła palcem do czegoś gładkiego i przypominającego linę. Jej palec wślizgnął się w dziurę. Dziurę po kuli? Coś zacisnęło się na jej palcu. Mięsień? Wepchnęła palec głębiej i poczuła coś, co musiało być kością. Przesunęła po niej kawałeczek palcem i trafiła na szparę.

- Chyba ma złamane żebro.

- I wcale się nie dziwię. - Charles obserwował twarz Sary. - Musisz pomacać dookoła i znaleźć odpryski kości i metalu, i strzępy materiału z koszuli.

- Próbuję. - Kiedy odwracała dłoń, palcem musnęła coś ostrego. Gil ryknął i jego mięśnie natychmiast się napięły. Panie Boże dopomóż, modliła się w myślach.

Jack nie puszczał Gila.

- Pani Hampton, nic pani nie jest?

Nie chciała, żeby Gila przestraszył jej lęk, gdyby przypadkiem zdołał ją usłyszeć.

- Czuję się dobrze - powiedziała cicho i z przekonaniem, którego wcale nie czuła.

- Gil - odezwała się, gładząc go wolną ręką po policzku - spróbuj się... - Chciała powiedzieć: odprężyć, ale to było niemożliwe. - Spróbuj się nie szarpać.

Usłyszała, jak westchnął. Kiedy wsunęła środkowy palec

w głąb jego ciała, mięśnie się rozluźniły, tylko że wytrysnęło jeszcze więcej krwi. Pomacała, chwyciła ostry odłamek w palce i wyciągnęła go.

- Phoebe, urwij, proszę, następny kawałek mojej halki. Chcę na nim kłaść wszystko, co wyjmę.

Phoebe podeszła i sięgnęła pod koszulę Sary.

- Czy to ma znaczenie z której?

- Już zaczęłam drzeć wierzchnią.

Phoebe oddarła trzy pasy od tyłu i dwa z nich przedarła na pół. Położyła jeden na prawo od Sary, drugi wsunęła sobie do rękawa, a pozostałe umieściła na kontuarze. - Czego jeszcze ci trzeba?

- Doświadczenia i wiedzy - Sara spojrzała jej prosto w oczy - ale teraz na to za późno. Zadowolę się odwagą.

Phoebe wyciągnęła do Sary rękę i cofnęła ją, zanim dotknęła przyjaciółki.

- Robisz coś, czego żadne z nas nie chciałoby ani nie potrafiłoby zrobić.

- Dziękuję ci. - Sara potarła zakrwawionymi palcami o oddarty materiał, żeby pozbyć się drzazgi. - Charlesie, zechciałbyś to sprawdzić? Jest ostra. - Wsunęła znowu palce w plecy Gila i krew zaczęła się sączyć na jej rękę.

Charles wytarł mały odłamek rogiem materiału.

- Kość. Szukaj dalej.

- Skąd mam wiedzieć, czy znalazłam strzępy albo nici? Wszystko jest wilgotne i śliskie.

- Ten problem zostawiałem chirurgom. - Charles wzruszył ramionami.

- Och, trafiłam na coś, co jest gładkie i jędrne. Fuj - powiedziała i dreszcz jej przeszedł po plecach. - Jeszcze jedna dziura.

- Może to wątroba. Ostrożnie teraz.

Skinęła głową, wpatrując się w bok Gila.

- Czuję krew i coś gęstszego, jakby syrop, ale nie czuję już żadnych więcej odłamków - powiedziała wysuwając palce na zewnątrz. - Phoebe... - Wyciągnęła rękę. Phoebe po-

dała jej pół oddanego pasa halki i Sara lekko przycisnęła go do rany.

- Masz. - Phoebe podała jej jeszcze jeden kawałek. - Skończyłaś?

Sara wytarła sobie ręce i obeszła Gila, żeby popatrzeć mu w twarz.

- Będę musiała to samo zrobić z raną na piersi, ale najpierw musimy go przenieść. Nie mogę kękać w tej... krwi. - W jego krwi. Tak się cieszył życiem; modliła się, żeby nie skończyło się ono tu, na podłodze banku.

Phoebe chwyciła za koc.

- Czy nie byłoby łatwiej podsunąć pod niego koc i na kocu przenieść go na drzwi?

- Dużo łatwiej - przytaknęła Sara. - Dobry pomysł.

- Może lepiej zmyję tu trochę, zanim ktoś się poślizgnie - powiedział pan Grebby i popędził do pokoju na tyłach.

Sara przykucnęła przy ramieniu Gila i przesunęła mu przedramieniem po czole.

- Gil, słyszysz mnie?

- Mhm.

- Chcesz jeszcze whiskey?

Gil oblizał wargi. W głowie mu się kręciło.

- Do.. śś. - W głowie pływały mu różne słowa, ale nie mógł ich wyartykułować. Poruszył ręką, wyciągnął ją do niej. - Sar.. pocałuj... zanim... umrę...

Sara przez moment wpatrywała się w jego dłoń, zaskoczona, potem ujęła ją w obie ręce.

- Nie umrzesz. Ja...

- Obie.... cajt.

Pochyliła się i przytuliła policzek do jego policzka.

- Obiecuję, Gil. - Mało brakowało, a byłaby go pocałowała; potem uświadomiła sobie, że nie rozumiałby, że to tylko ze zmartwienia. - Niedługo znajdziesz się we własnym łóżku. - Poczuła, jak kciukiem pogładził ją po palcach.

Jack i Phoebe rozłożyli koc za jego plecami.

- No dobrze, chłopcy, zróbcie to naprawdę delikatnie, żeby go nie bolało.

- Jeżeli uda się wam unieść go odrobinę do góry, podsunę pod niego koc. - Sara wcisnęła spódnice pomiędzy kolana i mocno chwyciła koc. - Podtrzymajcie mu biodra. Mogły w nim jeszcze zostać jakieś odłamki kości.

Phoebe ukłękła po drugiej stronie kałuży krwi i przytrzymała koc. Kiwnęła zachęcająco głową do męża i po chwili pan Perry już leżał na kocu. Martwiło ją to, że Sara tak się zmieniła na twarzy. Policzki miała niemal równie blade jak pan Perry.

- Czy chcesz, żebym to ja skończyła?

- Ja dokończę. - Sara popatrzyła na Phoebe. - Nie przypomina to w niczym czasów, kiedy byłyśmy położnymi Esmee i Linnet, prawda?

- Zapomniałam. - Phoebe potrząsnęła głową. - Graniczy z cudem, że nasze lalki to przetrwały.

Sara ukłękła przy Gilu.

Krew nadal płynęła z rany na piersi. Nie dając sobie ani chwili więcej czasu do namysłu nad tym, co musi zrobić, zaczęła wprowadzać palce do rany. Gil zawył i zeszytniał, ale mężczyźni go utrzymali.

I w tejże chwili Sara drgnęła i trafiła palcem na poszarpany kawałek kości. Wyciągnęła palce i zagapiła się na długo na pół cala rozcięcie na środkowym palcu.

- Ta kość może go całego pokaleczyć od środka.

- Pomogę ci zabandażować żebra, jak skończysz. - Charles poklepał ją po ramieniu.

Popatrzyła w łagodnie oczy Charlesa i zapytała cicho:

- A jeżeli go zabiję?

- Przestań! - syknął. - Jeżeli nic nie zrobisz, to on już jest trup.

- Próbuję...

Kiedy przesunęła palce za mięsień, jeden z nich ześlizgnął się za żebro i trafił w jakąś gładką, śliską powierzchnię. Marszcząc w skupieniu brwi przesunęła palce bardziej

w bok. Gil krzyknął raz, a potem dzięki Bogu stracił przytomność.

- Nie wiem, co on tam ma za żebrami, ale coś z tego czegoś 'wystaje.

- Dobrze. Wiedziałem, że sobie poradzisz. - Charles obdarzył ją pełnym zaufania skinieniem głowy.

Zanim skończyła, wyciągnęła małe fragmenty kości, metalu z kuli i nawet kawałeczek materiału z koszuli.

Przeszła za kontuar i gestem przywołała Phoebe.

- Zdejmij ze mnie halkę i podrzyj ją na pasy. Będziemy musieli zabandażować jego rany i opasać żebra.

Kiedy Phoebe robiła bandażę, Sara mówiła do Gila, chociaż ten był nieprzytomny.

- Już prawie skończyliśmy. Oby Bóg ci nie pozwolił niczego z tego zapamiętać. - Ona również nie chciała pamiętać, ale to już nie było możliwe.

- Chirurdzy bardzo wiele ran opatrywali szarpkami - odezwał się Charles.

- Szarpie? - Sara zagapiła się na niego. - Na otwartą ranę?

- Tak jest. Ale nie pamiętam dlaczego.

- Powinno się usunąć nici, a przyłożyć szarpie? To nie ma sensu. - Sara obejrzała się na Phoebe. - Skąd my mamy wziąć te szarpie?

- Ze sklepu bławatnego? Zobaczę, czy nie mogłaby nam pomóc pani Seaton. - Phoebe oddarła ostatni pasek i popatrzyła na kontuar. - Tu masz odrobinę szarpi. - Podała je Sarze i przebiegła na drugą stronę drogi.

Sara popatrzyła na Charłesa.

- A jak ja mam się później pozbyć tych strzępków? - Spojrzała na rękę, ale szarpie już zatonęły we krwi.

- Aż tak wiele czasu z chirurgami nie spędzałem. - Charles potrząsnął głową.

Pan Grebby wrzucił przesiąknięte krwią szmaty do wiadra i przymrużonymi oczami wpatrywał się w płamę na podłodze.

- Popatrzcie, czy to nie kula, która przebiła pana Perry'ego?

Sara odwróciła się i usiłowała ją podnieść.

- Wbiła się w podłogę.

- Zostaw ją tam, żeby wszyscy wiedzieli - zawołał ktoś.

- Nie. - Jack wyjął z kieszeni nóż i podważył kulę. - On już ma pamiątkę po tym, co się stało.

Sara wytarła dłoń o spódnicę i wyciągnęła do niego rękę.

- Czy mogę prosić?

Jack upuścił kulę na jej dłoń, a ona schowała ją do kieszeni, żeby później obejrzeć.

Phoebe wpadła z powrotem do banku z wałkiem szarpi.

- To wszystko, co udało nam się zebrać. - Dołożyła je do kłaczek w dłoni Sary. - Czy wystarczy?

- Będzie musiało. - Sara podzieliła puszyste strzępki na połowę i z pomocą Phoebe szybko zabandażowała rany Gila. Miał płytki oddech. Oderwała jeszcze kawałek halki i otarła mu twarz. - Musimy go oczyścić.

- To może poczekać - powiedział Jack.

Sara potarła ręką czoło, a potem przeczesała łagodnie palcami gęste włosy Gila. Wyglądał młodo, a taki był bliski śmierci, choć o tym nie chciała nawet myśleć. Uratował jej życie. Chyba nie będzie musiał za to zapłacić swoim.

- Można go już zabrać do jego pokoju. - Kierowała Charlesem i panem Youngiem, kiedy unosili koc, na którym leżał Gil, i delikatnie opuszczali go na drzwi. - Nie wstrząśajcie nim. Jego żebra...

Jack kiwnął głową.

- Będziemy ostrożni, proszę pani.

- Ktoś powinien wyprawić się za tym zbirem. - Pan Grebby wpatrywał się w Gila.

Jack rozejrzał się.

- Kto pojedzie ze mną?

Charles położył dłoń na ramieniu Phoebe.

- Ja pojedę. - A widząc lęk w jej oczach, pogładził ją po ręce. - Muszę, kochanie. Wszystko będzie dobrze.

Sara uważała, że bandyta powinien zapłacić za swoją zbrodnię, ale nie chciała, żeby jej przyjaciel skończył tak jak Gil.

- Charles, ten bandyta nie jest głupi. Jest zimny i wychowany. Bądźcie bardzo ostrożni.

Phoebe łkając wstała i objęła męża. Nie mogła mu powiedzieć, żeby nie jechał, ale dobry Boże, gdyby mu się coś stało...

Jack dotknął ręki Sary.

- Czy może nam pani opisać tego sukinsyna?

10

Sara umyła się i przebrała, a potem pospieszyła znowu do saloonu. Była w połowie schodów, kiedy pan Grebby i pan Farmer akurat ruszali na dół.

- Jak tam z panem Perrym?

- Nie daje za wygraną - powiedział pan Farmer.

- Proszę pani, nie powinno pani tu być - powiedział pan Grebby.

Sara weszła na następny stopień.

- Nie chcę, żeby przeze mnie umarł. - Znowu weszła o stopień wyżej. - Przepraszam panów. - Szła dalej po schodach, a panowie zeszli jej z drogi.

Przeszła przez korytarz do jedynych otwartych drzwi. Charles i pan Young stali w nogach łóżka.

- Wciąż jest nieprzytomny?

Obydwaj wzdrygnęli się i odwrócili z posępnym wyrazem twarzy.

- Daj Boże - kiwnął głową Charles - żeby nie obudził się przez najbliższe dwie doby albo dłużej.

Jack obejrzał się przez ramię na Gila.

- To cud, że nie umarł, jak go przenosiliśmy.

Sara sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła buteleczkę rozmiarów dłoni.

- Kupiłam butelkę syropu doktora Mosebeya na reumatyzm, zapalenie dziąseł i bóle pleców. Pani Seaton mówi, że ten specyfik ma swoich zagorzałych zwolenników.

Charles wbił wzrok w ciemnobursztynową buteleczkę i wyciągnął rękę.

- Mogę zobaczyć?

- Czy coś nie tak? - Sara podała mu butelkę.

Charles przeczytał etykietę, odkorkował butelkę i powąchał jej zawartość.

- Ostrożnie z tym, Saro. Taka dawka morfiny nawet niedźwiedzia grizzly mogłaby pozbawić przytomności. - Oddał jej butelkę.

- Będę ostrożna - powiedziała przyglądając się lekarstwu.

Jack popatrzył jeszcze raz twardo na Gila i ruszył do drzwi.

- Jadę za tym sukinsynem. Jedziesz ze mną, Charles?

- Przygotuj konie. Zejdę zaraz za tobą. - Charles przyglądał się Sarze badawczo. - Powinnaś namówić pana Farmera, żeby przy nim posiedział. Zajmuje się niekiedy wrywaniem zębów i leczeniem.

- Kochany jesteś. - Stała na palcach i pocałowała go w miękki policzek. - Nie daj się zastrzelić. Ten bandyta to istny diabeł.

- Nauczyłem się naprawdę dobrze uchylać w czasie wojny. - Poklepał ją po ramieniu i wyszedł.

Sara zamknęła drzwi do pokoju Gila i zdjęła szal. Zastłony były ciemnozielone; łóżko o niskich słupkach wykonano chyba z tego samego ciemnego, orzechowego drewna co komodę i umywalnię; zauważyła też porządną piecyk na drewno. Pokój robił miłe wrażenie. A powietrze było świeże od zapachu płynu do włosów Gila.

Zawiesiła szal na oparciu skórzanego fotela, postawiła butelkę na stoliku w pobliżu łóżka i stanęła przy nim. Wyglądało na to, że Charles i pan Young położyli Gila na łóżku

mniej więcej w tej samej pozycji, w jakiej leżał na podłodze w banku, przykryli go po szyję kocem i wytarli mu twarz.

Wyjęła roztrzaskaną kulę z kieszeni i wbiła w nią wzrok. Ten kawałeczek metalu poszarpał mu wewnątrz. Popatrzyła na Gila obracając kulę w palcach, potem wrzuciła ją z powrotem do kieszeni. Powędrowała spojrzeniem wzdłuż jego ciała aż do stóp. Czy zdjęli mu buty? Wyciągnęła nieśmiało rękę i dotknęła obcasa.

- Tak myślałam.

Odrzuciła koc z butów z cholewką, sprawdziła, czy ranny się nie obudził, i zsunęła jego nogę za brzeg łóżka. Przez moment przypatrywała się jej, potem podwinęła spódnicę, stanęła okrakiem nad butem i zawahała się.

Nie po raz pierwszy zdejmowała mężczyźnie wysokie buty. Aż nadto często musiała pomagać w tym swojemu świętej pamięci mężowi, ale to nie był jej mąż. To był Gil, Gil Perry, i wcale nie był pijany, tylko ranny. Z jej winy.

Chwyciła but oburącz. Kolanami ścisnęła łydkę, poluzowała but i ściągnęła go. Zanim zdążyła się odsunąć, Gil zgiął stopę.

- Och... - kwiknęła Sara i przeskoczyła przez jego nogę. Potem przycisnęła dłoń do ust i z tłukącym się w piersi sercem nadśluchiwała. Na paluszkach podeszła do wezgowia, pochyliła się i zajrzała mu w twarz.

Gil westchnął i poruszył dłonią.

Sara wyprostowała się. Mężczyzna, który wypił pół butelki whiskey, nie ma się prawa szybko obudzić, przypomniała sobie.

Kiedy już zdjęła mu drugi but i dołożyła dREW do piecyka, zaczęła zastanawiać się, gdzie on może trzymać zapasowe kocy. W dolnej szufladzie komody? Uchyliła ją na tyle, że zobaczyła poskładane spodnie. Nie miała ochoty grzebać w jego rzeczach, ale zmusiła się, żeby zajrzeć do następnej szuflady.

- Ty przecież nawet nie wiesz, że ja tu jestem, więc pew-

nie nie zatęsknisz za mną, kiedy pójde przynieść dla ciebie więcej koców.

Nikt jej nie odpowiedział, ale gdyby Gil się odezwał, Sara poczułaby się mocno zaskoczona. Chwytiła szal i cichutko wyszła z pokoju. Spiesznie schodząc po schodach układała w myśli listę rzeczy, które chciała przynieść ze sobą.

Phoebe zamknęła drzwi do redakcji gazety i modliła się, żeby Charles wrócił do domu i mógł je sam jak zwykle rano owożyć. Po wcześniejszym zamieszaniu droga przez miasteczko kompletnie opustoszała. Wieści o napadzie na bank szybko się rozeszły i mężczyźni wyprawili się w pościg za bandytą razem z Charlesem i panem Youngiem.

Było dopiero południe. Dzieci nie wrócą ze szkoły przed czwartą. Niespokojna i zmartwiona weszła do domu i zaczęła sprzątać. Zrobiła porządek w salonie, odkurzyła, napełniła pojemniki i umyła wszystkie szkła od lamp. Kiedy usłyszała, że otwierają się drzwi frontowe, pobiegła zobaczyć, czy to wraca Charles.

Sara akurat zamykała za sobą drzwi, kiedy zza rogu korytarza wybiegła Phoebe.

- Co się stało? - zapytała Sara. Czy nie dość jeszcze kłopotów jak na jeden dzień?

- To ty.

- A kogo się spodziewałaś? - Sara zarzuciła szal na kołczek w pobliżu drzwi.

- Bardziej miałam nadzieję. Jeszcze za wcześnie, żeby spodziewać się naszych panów, ale Charles nigdy dotychczas nie uczestniczył w pościgu za bandytą.

Sara objęła Phoebe za ramiona.

- Przetrwał wojnę i jest ostrożny. Wróci bezpiecznie do domu.

- Lepiej żeby wrócił. - Phoebe strzepnęła energicznie

spódnicę rękoma i popatrzyła na Sarę. - Wydawało mi się, że masz zamiar posiedzieć przy panu Perrym.

- Wróciłam po kilka rzeczy.

- Pomogę ci. Czego potrzebujesz?

- Kołdry i koca. Zapasowe leżą w moim pokoju. Ręczników, trochę octu, kilku kubków, rondla do grzania wody... bandaży.

- I więcej szarpi? - Phoebe nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Nie brzmi to bardzo praktycznie, prawda? Ciekawe, skąd chirurdzy brali te wszystkie szarpie. - Sara ruszyła do swojej sypialni. - I czyste szmatki do opatrunków na rany. Wezmę też papier i ołówek. Równie dobrze mogę zająć się pisaniem. Nie mogę tak siedzieć i wpatrywać się w niego.

Phoebe wzięła się do roboty i przygotowała rzeczy kuchenne, dokładając do nich niewielki czajnik na kawę oraz herbatę, kawę i miód, i zapakowała wszystko w niewielką skrzynkę. Uświadomiła sobie, że Sara zgłodnieje, więc ukroiła parę plasterków wołowiny na zimno i chleba, i dołożyła jeszcze słoik własnej zupy fasolowej i kilka pierniczków.

Sara zniosła na dół do salonu całe naręczce pościeli i wróciła po przybory do pisania. Popatrzyła na stos rzeczy, które będzie musiała zanieść do saloonu; daj Boże, żeby Gil nie obudził się przed jej powrotem.

- Muszę wracać. Zabiorę ze sobą tyle, ile zdołam, a resztę wezmę za trochę.

- Nie ma potrzeby, żebyś chodziła dwa razy. Ja wezmę skrzynkę. - Phoebe otworzyła drzwi frontowe i wyniosła ją na zewnątrz.

Sara poszła za nią i zatrzasnęła drzwi stopą.

- Zdajesz sobie sprawę, że przy kolacji wszyscy już będą plotkowali na nasz temat.

- Świetnie. - Phoebe uśmiechnęła się. - Zawsze byłam ciekawa, jak wyglądają pokoje nad saloonem. - Zerknęła na Sarę. - A ty nie? Chociaż troszkę?

Sara z uśmiechem wyższości powiedziała:

- Oczywiście, że tak, ale pokój Gila jest sympatyczny, nie całkiem taki jak się spodziewałam.

- Gila?

- Skoro mu już wtykałam palce między żebra - Sara nie-
dbale wzruszyła jednym ramieniem - to chyba „pan Perry”
brzmi za bardzo oficjalnie. Nie sądzisz?

- Nie będę się z tobą sprzeczać. Zaryzykowałabym twier-
dzenie, że niewiele żon miało aż tak bliski kontakt ze swo-
imi mężami.

- Boże, mam nadzieję, że nie! - Sara zatrzymała się przed
saloonem i zerknęła do środka. - Wciąż pusto.

- Pójdźmy tylnymi schodami - powiedziała Phoebe ob-
chodząc budynek.

Sara pospieszyła, żeby dotrzymać jej kroku.

- Skąd wiesz o tylnych schodach?

- Nigdy nie chodziłaś na spacer wzdłuż rzeki i nie patrzy-
łaś na budynki od tyłu?

- Nie. Może zrobię to, jak będę chciała rozprostować nogi.

Dotarli do schodów. Sara poszła przodem. Przeszła
przez drzwi na korytarz i dalej do pokoju Gila. Poprawiła
sobie pościel na ręku i uchyliła drzwi.

- Wciąż jeszcze śpi? - szepnęła Phoebe.

Sara przytaknęła, podeszła do krytego skórą fotela i poło-
żyła na siedzeniu przykrycia. Kiedy do środka weszła Phoe-
be, jej przyjaciółka zamknęła drzwi i zbliżyła się do łóżka.
Gil nie poruszył się. Uniosła koc, żeby sprawdzić ranę; jej
obawy okazały się uzasadnione. Na pościeli była świeża krew.

- Phoebe, musimy powstrzymać to krwawienie. Czy nie
wiesz, co mogłoby pomóc?

- Ałun powstrzymuje krwawienie z niewielkich rozcięć
czy zadraśnięć, a na głębokie rany kładzie się czasami paję-
czyny. Nie jestem pewna, co się robi z ranami od kuli.

- Mogłoby pomóc przyżeganie, ale chyba nie byłabym
w stanie zrobić mu tego.

- A może byś wypróbowała krwawnik? Nazywają go niekiedy zielem na rany. Wielu żołnierzy nosi jego liście w plecakach... żeby leczyć rany! Czemu sobie o tym wcześniej nie przypomniałam?

- Masz krwawnik?

- Tak się składa, że mam. Zaraz wracam.

Phoebe wyszła, a Sara popatrzyła znowu na rany Gila i zauważyła, że pasek od spodni wydaje się je uciskać. Gil nadal był nieprzytomny. Sara rozejrzała się po pokoju jakby w obawie, że nie jest sama.

- Mogę to zrobić - powiedziała dodając sobie odwagi. Oparła się jedną ręką o łóżko, a drugą wsuwała pod niego, aż dotknęła klamry. Odpinała właśnie pasek, kiedy Gil jęknął i zawarczał. Sara wyszarpnęła rękę i czekała, czy coś powie.

Gil westchnął, ale się nie obudził.

Przyjrzała mu się i doszła do wniosku, że może mu bezpiecznie zdjąć pasek. Powoli przeciągnęła go przez szlufki i odłożyła na komodę. Kiedy znowu sprawdziła jego rany, z ulgą stwierdziła, że krew sączy się nieco wolniej. Opuściła koc.

- Pospiesz się, Phoebe. - Sara chodziła tam i z powrotem po pokoju. Pajęczyny. To nie mogło zaszkodzić. Zaczęła szukać. Z sufitu zwisało jedno pasmo, ale to za mało. Wyszła na korytarz i znalazła więcej strzępów pajęczyny. Wszystkie razem mogły najwyżej utworzyć kulkę wielkości małej perełki.

W końcu usłyszała, że ktoś biegnie korytarzem. Otworzyła drzwi, kiedy Phoebe z poślizgiem hamowała.

- Znalazłaś ten swój krwawnik?

- Tak - powiedziała Phoebe wpychając jej w ręce płócienny woreczek i usiłując złapać dech.

Sara rozsunęła wiązadła.

- Co jeszcze jest nam potrzebne?

- Pajęczyny - dodała Phoebe wymachując płóciennym ręcznikiem. - Stare pnąca są nimi pokryte.

- Dzięki Bogu. Ja znalazłam ich tyle co kot napłakał. - Sara położyła woreczek na podłodze przy łóżku i odwinęła

koc. - Zdejmę bandażę. Powinnam była pomyśleć, żeby przynieść wiadro.

Phoebe podniosła miednicę z umywalni i trzymała ją, kiedy Sara odwijiała bandażę.

- Czy krwawienie chociaż trochę się zmniejszyło?

- Nie wygląda na to. - Sara usunęła ostatni kawałek materiału i wrzuciła go do miednicy. - Ma cały bok zakrwawiony. Powinnam wszystko zmyć octem, zanim opatrzymy mu rany.

- Myślisz, że się zdziwi, jak się ocknie i zobaczy nas tutaj? - Phoebe postawiła dzbanuszek z octem na stoliku.

Sara zacisnęła dłoń na uchu dzbanka i odwróciła się do Phoebe.

- Pewnie tak go będzie bolała głowa, że wydamy mu się twojami wyobraźni. Wypił prawie trzy czwarte butelki whiskey.

- Pójdę do domu i przygotuję mu trochę herbaty z żywokostu.

- To dobry pomysł, ale osłódź ją. Coś mi się zdaje, że ten specyfik, który mu przyniosłam, będzie gorzki. - Sara nalała octu na czystą szmatkę i przyłożyła ją do rany na plecach. Ocet był zimny, ale nie miała czasu go zagrzać.

Gil wzdrygnął się i cicho krzyknął.

- Zaczynij się złościć, Gil. Nie poddawaj się.

Pracowała szybko; upewniła się, że krew wypłukała całe szarpie z rany i dopiero wtedy nałożyła do każdej z nich po połowie pajęczyn. Na wierzch przyłożyła wysuszony, zmiełony krwawnik i założyła świeże bandażę.

Taki wyglądał blady, taki słaby i taki młody. Przesunęła palcami po jego włosach, a on coś cicho zamruczał. Położyła mu dłoń na czole. Nie było ani gorące, ani zimne.

- Dobrze. Nie dajesz za wygraną.

Gila piekielnie bolała głowa, w ustach miał posmak równie obrzydliwy jak zapach nocnika i czuł się tak, jakby go

muł przerzucił kopniakiem w bok na drugą stronę ulicy.

- To musiała być diabelnie dobra bijatyka - wymamrotał. Kłopot w tym, że w ogóle jej nie pamiętał.

Powieki wydawały się ważyć tonę każda, ale z pomocą palca i kciuka rozchylił je. Leżał w swoim własnym łóżku. Czy zostawił zapaloną lampę? Nie spał się tak od lat i nie planował tego więcej robić.

Położył dłoń na łóżku w pobliżu ramienia i zaparł się nią, żeby się unieść do góry. Jego policzek oderwał się od łóżka, ale nie miał siły podnieść głowy. Rozluźnił mięśnie i opadł z powrotem na poduszkę. Która mogła być godzina? Popatrzył na blat komody, ale przed niewielkim zegarem stał jakiś dzbanek.

- Kto tu u diabła był? - zapytał, ale wydał z siebie tylko ochrypły szept.

Sara wyprostowała się gwałtownie na skórzanym fotelu. Musiała przysnąć, ale co przerwało sen? W pokoju panowała cisza. Odłożyła kartkę, na której robiła notatki, podeszła do drzwi i otworzyła je. Na korytarzu było pusto.

Wcale sobie tego nie wyobraził. Ktoś krążył ukradkiem po jego pokoju.

- Kto tu jest? - Tym razem głos miał mocniejszy.

Sara okręciła się jak fryga.

- Gil? - Podeszła chyłkiem do łóżka. Miał otwarte oczy! - Od jak dawna nie śpisz? - Zbliżyła się do jego głowy.

- Sara?!

- Tak, Gilu? - Przykucnęła przy łóżku. - Jestem tutaj.

- Co...? - W głowie mu się kręciło i zamknął oczy, żeby się połapać w sytuacji. - Co... ty... tutaj... robisz?

Sara wiedziała, że kiedy ktoś budzi się z głębokiego snu, nie zawsze jest całkiem przytomny, a ponieważ spili go whiskey, nie spodziewała się, żeby napad na bank pamiętał równie wyraźnie jak ona.

- Nie chciałam, żebyś był sam, jak się obudzisz. - Nie podobało jej się, że ma taką zaczerwienioną skórę, i położyła mu rękę na czole. Gorączka. - Pewnie chcesz pić. Podgrzeję herbatę.

- Co się stało...? - Potarł czołem o łóżko. - Taki słaby...
Sara postawiła rondel z herbatą żywakostową na piecyku.

- Czy pamiętasz, jak poszedłeś do banku?

- Do banku? - Przez myśl przelatowały mu dziwne obrazy, ale nie umiał ich ze sobą powiązać. - Jaki dziś mamy dzień?

Sara zerknęła na zegar.

- Poniedziałek wieczór. - Zamieszała herbatę w rondelku i znowu postawiła go na piecu. - Poszedłeś do banku dziś rano.

Gil miał wrażenie, że jej słowa są jak kawałki układanki, której nie umie ułożyć.

- Czy ktoś się... pobił? Czuję się... okropnie.

- Nie, nikt się nie bił. Był napad na bank. - Napełniła do połowy kubek ciepłą herbatą. Teraz, kiedy się już obudził, będą mieli mnóstwo czasu, żeby porozmawiać o tym, co się stało. - Czy lubisz herbatę z miodem?

- Nie pijam herbaty.

- Przyda ci się na ból głowy. - Dodała odrobinę miodu do kubeczka, postawiła go przy łóżku, wzięła buteleczkę z lekarstwem i łyżeczkę.

- Skąd wiesz?

- Jak ktoś wypije butelkę whiskey, musi odczuwać skutki. Pozwól, że ci pomogę.

- W banku? - To musi być jakiś koszmarny sen, zdecydował. Musi. Nie powinien być nigdy do niej pisać. - Byłaś tam?

- Tak, byłam.

- I nie wytrąciłaś mi butelki z ręki? Saro, jestem zdumiony.

- W zaistniałych okolicznościach uważałam, że tak będzie najlepiej. A teraz musisz zażyć lekarstwo i napić się herbaty. Spróbuj przekrócić się na lewy bok. Podtrzymam cię za ramiona.

- Spróbuj? - Poruszył prawym ramieniem i jego ciało przeszył ostry ból.

Sara odwinęła koc. Bandaż splamiła świeża krew, ale nie przesiąkła na podkład na łóżku. Wsunęła rękę pod jego prawą nogę.

- Może będzie ci łatwiej, jak podsuniesz kolano do góry. Pomogę ci.

- Sam ruszę... nogę. - Gil zacisnął szczęki.

- W porządku. - Kiedy mu się nie udawało, podciągnęła mu lekko nogę do góry.

Gil popatrzył na nią spode łba.

- Co się u diabła stało?

- Jeden z bandytów cię postrzelił.

Nalała lekarstwa na łyżeczkę i przysunęła mu ją do ust.

- Połknij to.

Ledwo rozchylił wargi, a już Sara wlała mu obrzydliwy lek do ust.

- Co to było?

Pokazała mu ciemnobursztynową buteleczkę.

- Syrop na reumatyzm, zapalenie dziąseł i bóle pleców doktora Moseleya.

- Bóle pleców? Po co ty mi to u diabła dałaś?

- Powinno uśmierzyć ból.

- Co w tym jest?

- Charles mówił, że morfina.

- Co? Dobry Boże, kobieto... - Zamknął na chwilę oczy. - To bardzo silne lekarstwo. Dotąd twierdziłaś, że używek nie lubisz, a tu nagle wcale ich nie ską... pisz.

- Jedna łyżeczką co kilka godzin powinna najwyżej złagodzić ból.

Usiadła w głowach łóżka i objęła go z zamiarem podtrzymania.

- Zostaw mnie... w spokoju.

Sara przyłożyła mu kubek do warg.

- Odświeży ci to usta. A może nawet poprawi humor.

Gil zaciął zęby i czekał, aż ból trochę zelżeje. Herbata niepięknie pachniała, w przeciwieństwie do Sary. Pociągnął

jeden łyk, potem drugi i jeszcze jeden. Była słodka i lepsza niż lekarstwo, ale teraz przewracało mu się w żołądku.

- Daj mi już spokój. - Wyprostował zgiętą nogę, poczuł skurcz żołądka, a kiedy zakrył usta, przyszła fala zawrotów głowy.

- Spróbuj skończyć herbatę, a potem możesz odpocząć.

- Nie... e - powiedział słabo. - Boli. Niedo... brze.

Sara opuściła go na łóżko i wstała.

- Nie wyjdę stąd, dopóki nie będziesz sobie w stanie sam radzić.

Gil otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie udało mu się.

- Śpij dobrze. Jestem tu, gdybyś mnie potrzebował.

Okryła go kołdrą i przytępała się na tym, że się pochyła, by pocałować go w policzek. Dobry Boże, pomyślała cofając się. O czym ja myślę? Przecież to nie Clay ani Cora. To mężczyzna, zarozumiały, irytujący i niekiedy również nawet... uroczy, na swój sposób.

Kiedy wczesnym rankiem słońce zaświeciło w okna sypialni, Phoebe obudziła się nagle i usiadła. Wciąż była sama w łóżku. Podciągnęła kolana do góry i pochyliła głowę do przodu. To była pierwsza noc, jaką przespała bez męża, odkąd powrócił z wojny.

Ten sam lęk i ta sama frustracja wróciły ze zdwojoną siłą. Jakaś jej część miała ochotę nakryć się z głową i spać, aż mąż ją obudzi, ale Phoebe nie mogła tego zrobić. Charles ufał jej, liczył na to, że wytrwa w obowiązkach; liczył też na nią dzieci.

- Mamo?

Phoebe przetarła palcami oczy i usiłowała ukryć zaskanie.

- Wejdz, słoneczko.

Cora otworzyła drzwi i wpatrzyła się w ojcowską stronę łóżka, a potem podbiegła do matki.

- Gdzie jest papa?

- Jeszcze nie wrócił. Chcesz wejść do mnie do łóżka? Za wcześniej wstawać do szkoły.

- Ciągle się budziłam. - Cora przeszła przez matkę i wsunęła się obok niej pod przykrycia. - Zajrzałam do pokoju cioci Sary, ale jej nie ma. Czy ona pojechała razem z papą?

Phoebe objęła córkę za ramiona.

- Nie. Opiekuje się panem Perrym. Zranili go wczoraj.

- Czy to prawda, że strzelali do niego i że zakrwawił cały bank?

- Och, słoneczko, czyżbyś o niczym innym nie myślała?

- Wszyscy chłopcy tylko o tym mówili.

- Tak, został postrzelony.

- A papa pojechał w pogoń za tym kimś, kto strzelał do pana Perry'ego?

- Nie pojechał sam. Jest w towarzystwie jeszcze innych panów.

Cora przytuliła się do boku matki i położyła jej rękę na brzuchu.

- Mamo, czy boisz się o papę?

- Mhm, ale wiem, że nic mu się nie stanie. - Phoebe ucałowała córkę w czubek głowy. - Jest mądry i wie, jak bardzo go potrzebujemy i jak bardzo chcemy, żeby do nas wrócił. - Pocięsała się świadomością, że Charles zwykł polegać na swoim rozumie, nie zaś na mięśniach.

- A czy ciocia Sara musiała zostać na całą noc z panem Perrym? - Cora odchyliła głowę do tyłu i popatrzyła na matkę.

- Tak. Spał bardzo głęboko i ma gorączkę.

- Czy ciocia Sara wie, co robić?

- Jestem przekonana, że wie. Dlaczego pytasz?

- Pamiętasz, jak Clayowi zrobiło się niedobrze w kuchni? Zrobiła się wtedy trochę żółta na buzi.

Phoebe uśmiechnęła się.

- To co innego.
- Czy ona go lubi?
- Przykro jej, że został ranny. - Phoebe zerknęła na córkę. - Skąd te wszystkie pytania?
- Tak się tylko zastanawiałam, czy ona go lubi tak, jak ty papę.
- Nie, są po prostu przyjaciółmi. - A przynajmniej Phoebe miała nadzieję, że mogliby być, gdyby tylko Sara dała mu szansę.
- Cora ziewnęła.
- On się często uśmiecha.
- Czy znasz pana Perry'ego?
- Nie. Ale go czasami widuję. - Cora znowu ziewnęła i zamknęła oczy. - On się przyglądał... cioci Sarze... na zabawie...
- Phoebe przypomniała sobie, jak stali objęci przy frontowych drzwiach. Sara wcale się z nim wtedy nie kłóciła. Przyknęła oczy i podciągnęła kolana do góry. Charles, proszę, wróć dzisiaj. Jesteś mi potrzebny.

11

Gil obudził się po północy. Sara dała mu następną dawkę specyfiku i wlała po odrobinie jeszcze trochę herbaty do ust. Przypomniała sobie ostrzeżenie Charlesa i postanowiła, że nie da mu więcej lekarstwa, chyba że ból stanie się nie do zniesienia.

Zanim słońce wzniosło się nad górę Hood, zaparzyła trochę kawy i rozkoszowała się pierwszym łykiem. Po spędzonej na fotelu nocy powinna wymoczyć się w wannie pełnej gorącej wody, żeby rozprostować zastałe kości. Dziś wieczorem przygotowuje sobie siennik i położy się do snu w kącie pokoju.

Sprawdziła bandażę. Z rany wciąż ciekło, ale krwawiła

już mniej. Jednak Gil dygotał, a skórę miał rozpaloną i spocną. Krwawnik nie działał, a jeżeli działał, to wbrew jej oczekiwaniom za wolno. Na gorączkę zwykle pomagała kora wierzbowa. Tej spróbuje w następnej kolejności.

Nie chciała zostawiać go samego, ale żadne z dwóch okien w pokoju Gila nie wychodziło na ulicę i nie miała jak kogośkolwiek wezwać. Zwilżyła gałganek i przetarła mu czoło.

- Niedługo wrócę - powiedziała wiedząc, że nie może jej usłyszeć.

Napisała króciutką notkę i postawiła tam, gdzie powinien ją zobaczyć, jak się obudzi, a potem pospieszyła na dół. Przeszukała magazynek, wyszła z saloonu z wiadrem i dużym nożem, i wyprawiła się po korę z wierzb, które rosły tuż na zachód od miasta.

Wróciła po trzydziestu minutach, zadyszana, ale z wiaderkiem pełnym kory wierzbowej. Gil był niespokojny i wciąż miał dreszcze, ale nie odzyskał przytomności. Zeskrobała wewnętrzną warstwę kory do rondelka i podgrzała wywar. Skończyła już parzyć korę, a Gil wciąż jeszcze się nie obudził.

Zwilżyła ściereczkę i przetarła mu twarz.

- Gilu, obudź się. No proszę, otwórz oczy.

Dłaczego nie chciała zostawić go w spokoju. Jej głos brzmiał tak, jakby nawoływała go ze skraj miasta. Uniesienie powiek było ponad jego siły. Jęknął i nawet to okazało się wysiłkiem.

Patrzyła, jak wargi mu drgają. Miała okropne uczucie, że jeżeli nie obudzi go siłą, to Gil może się już nigdy nie obudzić.

- Gil! Obudź się i to już!

Nie zareagował.

- Czy chcesz umrzeć? - Czekwała i patrzyła. - Żebyś mi się nie ośmielił...

- Sa... - Usiłował poruszyć ręką, wyciągnąć ją do niej.

- Och, Gilu, Bogu niech będą dzięki. - Znowu przemyła mu twarz. - Podtrzymam cię, tylko na chwilkę, żebyś się napił.

Szybko nalała trochę wywaru do kubka i usiadła w gło-

wach łóżka. Lekko przycisnęła łyżeczkę do jego dolnej wargi i sączyła mu herbatę do ust.

Gorąca ciecz miała ohydny smak i Gil wzdrygnął się.

- Spróbuj, Gilu. Po jednym łyżku.

Nie chciał jej wystraszyć, ale w jej głosie słychać było lęk, a to wystarczyło, żeby zachęcić go do następnego łyżka.

Kiedy przełknął niemal trzy łyżeczki naparu, odstawiła kubek.

- Teraz odpocznij.

Zdesperowana i przerażona, że Gil jej się wymyka, postanowiła polać odrobiną wywaru jego rany. Nie zdołał zażył doustnie tyle, żeby mu to mogło bardzo pomóc. Zdjęła okład i po kropelce nakapała ciepłego płynu prosto na rany.

Gil jęknął i zgiał palec. Nie szamotał się, co ją jeszcze bardziej zaniepokoiło. Uklękła przy łóżku i wsunęła rękę pod jego dłoń.

- Gilu, nie chciałam narazić cię na niebezpieczeństwo. Tak bardzo jest mi przykro... i tak mi się z tobą dobrze tańczyło. - Oczy jej napełniły się łzami, kiedy musnęła wargami rozpalone, aksamitne ciało po zewnętrznej stronie jego dłoni.

- Nie zasługujesz na to. To powinnam była być ja. - Łagodnie wysunęła dłoń i wstała.

Jego biurko stało przodem do okna. Wybraziła go sobie, jak tam siedział i wyglądał na rzekę. Sprawdziła gorączkę i uświadomiła sobie, że musi wyjść na dwór. Jak będzie się w niego ciągle wpatrywała, nie pomoże to ani jemu, ani jej.

Przeszła przed korytarz w kierunku podestu tylnych schodów. Wiatr szarpnął jej spódnicą i rozmierzwiał włosy. To było cudowne uczucie.

Kiedy stała na podeście, zauważyła jakiegoś człowieka, który łowił ryby trochę dalej w górę rzeki i przypomniały jej się lata, kiedy obie z Phoebe spędzały gorące popołudnia brodząc w strumieniu, żeby się ochłodzić. Przecierała Gilowi twarz, ale może powinna zrobić to samo z jego plecami

i ramionami. Pospiesznie napełniła wiadro i dzban przy studni i wróciła szybko do pokoju.

Wrzuciła trzy kawałki materiału do miednicy z zimną wodą, potem ściągnęła przykrycia z Gila. Zdjęcie z niego koszuli okazało się wcale nieproste. W pierwszej chwili robiła to ostrożnie. Ale potem przypomniała sobie, że przecież jest nieprzytomny i skończyło się na tym, że niemal ją z niego zdarła. Dzięki Bogu nie miał na sobie nic pod spodem. Usłyszała, jak dzwoni zębami i zawahała się na chwilę, ale potem zdecydowanie zabrała się znowu do roboty i wyjęła pierwszy kawałek materiału.

Jak tylko lodowata szmatka dotknęła rozpalonych pleców Gila, ten szarpnął się i słabo zakrzyczał, ale potem, kiedy zaczęła zimnym, wilgotnym materiałem przecierać jego skórę, uspokoił się. Szmatka szybko zrobiła się ciepła. Sara wrzuciła ją do miednicy i wzięła następną.

Plecy miał lekko opalone i gładkie niczym jedwab. Jak tylko poczuła, że szmatka robi się ciepła, wymieniała ją na zimną. W pewnym momencie namoczyła ręcznik i rozłożyła mu go na plecach, przecierając w tym czasie ramiona, twarz i kark. Nie miała pojęcia, od jak dawna próbuje go ochłodzić, kiedy ktoś zastukał do drzwi.

Phoebe uchyliła je i wsunęła głowę do środka. Zobaczyła, że Sara myje nagie plecy panu Perry'emu, pospiesznie weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

- Saro, czy on...? Czy on umarł?

- Zbyt bliska jesteś prawdy. Czy pomogłabyś mi go ochłodzić?

Odstawiając koszyk Phoebe patrzyła przerażona.

- Przecież on trzęsie się z zimna. Co ty z nim wyprawiasz?

- Krwawnik nie zadziałał i zdołałam podać mu tylko kilka łyków herbaty. - Sara wrzuciła ciepłą ściereczkę do miednicy i przesunęła ręką po czole.

- To musi potrwać, zanim gorączka opadnie.

- On płonął. - Sara przez długą chwilę patrzyła na Gila. - Pamiętaj, jak nam się robiło chłodno, kiedy brodziłyśmy w strumieniu?

- Tak, ale...

- Może należałoby posadzić go w wannie, ale nie możemy tego zrobić. - Sara zwinęła pościel w nogach łóżka i rzuciła ją na fotel.

- Panie Boże, Charles będzie miał wiele do powiedzenia na temat kąpania pana Perry'ego.

- Po co mu o tym mówić? Poza tym nie będziemy go kąpać w prawdziwym sensie tego słowa. - Sara popatrzyła na spodnie, ale się rozmyśliła: nie będzie ich zdejmować przy Phoebe. - Jeżeli to sobie przypomni, powinien być nam wdzięczny. - Podniosła nóż, za pomocą którego obdzierała korę z wierzb.

Phoebe aż otworzyła usta, kiedy Sara rozcięła nogawkę do samej góry.

- A teraz co robisz?!

- Im bardziej uda nam się go ochłodzić, tym większa szansa na to, że zbijemy temperaturę. No, chodź. Wykręć szmatkę, aż przestanie z niej kapać.

- Co on powie, jak zobaczy, co ty zrobiłaś?

- Mam nadzieję, że będzie ryczał jak wszyscy diabli.

- Całkiem prawdopodobne, że twoje życzenie się spełni. - Phoebe wzięła szmatkę. - Zajmę się jego plecami i ramionami.

Sara uśmiechnęła się do niej szeroko.

- W przyszłe lato możesz to wypróbować na Charlesie.

- Masz w sobie niegodziwą żyłkę, Sara Hampton. - Phoebe wyduła wargi, ale nie potrafiła zachować surowości. - To ty wpadłaś na pomysł, żeby mu przecierać nogi. Więc bierz się lepiej do roboty.

- Pamiętaj, że ma połamane zębra. Nie naciskaj go. - Sara lekko wykręciła szmatkę i zaczęła od kostek u nóg.

Pocierała mu nogę oboma rękami, w górę po łydce i pod

kolanem, aż do muskularnego uda. Odwracając głowę wsunęła szmatkę pod skraj spodni. I niespodzianie jej palce zsunęły się z materiału prosto na jego pośladki.

Serce jej skoczyło w piersi i szarpnęła obie ręce do tyłu. Poczowała coś, czego nie widziała oczami. Usiłując wymazać wrażenie z pamięci, upuściła szmatkę i wytarła sobie ręce o spódnicę.

- O mój Boże, jesteś purpurowa na twarzy. - Phoebe uśmiechnęła się i przetarła leżącą na wierzchu rękę Gila.

- Nigdy się tak nie spoufalalam z żadnym mężczyzną. - Sara zerknęła na Phoebe. - A ty?

- Też nie. Nigdy nie było powodu... - Phoebe wrzuciła materiał do miednicy i otarła ręce o spódnicę. - Ma takie straszne dreszcze. Czy jesteś pewna, że to pomoże?

- Tak naprawdę nie jestem, ale trząśł się już, zanim zaczęłam. - Sara zanurzyła materiał w wodzie, wykręciła go i zabrała się do schładzania mu stóp. - Szkoda, że nie pomyślałam o przyniesieniu ceraty. Koce się robią wilgotne, a nie możemy go ruszyć.

- Mogłybyśmy razem zmienić mu pościel. - Phoebe uniosła skraj przykrycia. - Nie powinno to być za trudne, dopóki jest półprzytomny.

Sara wrzuciła szmatkę do miednicy i wyprostowała się.

- Czy mogłabyś z nim posiedzieć? Chciałabym przynieść ceratę, zanim go ruszymy.

- Idź. Poradzimy sobie.

Sara odwróciła się i niemal potknęła o koszyk.

- Co to jest? - Postawiła go po drugiej stronie drzwi.

- Ponieważ nie wróciłaś wczoraj wieczorem do domu, pomyślałam, że możesz być głodna.

- Zawsze się wszystkim opiekujesz - powiedziała Sara wracając przez pokój do boku Phoebe. - A co z tobą? Spałaś ostatniej nocy?

- To zasypiałam, to się budziłam. - Phoebe wzruszyła ramionami. - Zapomniałam już, jak samotnie można się czuć w łóżku.

Nagle na jej twarzy pojawił się wyraz przerażenia identycznego z tym, jakie czuła Sara.

- Charles nie będzie głupio ryzykował. - Przyjaciółka objęła ją. - Wróci niedługo do domu.

Phoebe kiwnęła głową.

- Powtarzam to sobie, ale kiedy pomyślę o tych ludziach, każdy ze strzelbą... - Dreszcz przeszedł jej po plecach. - Wypadki się zdarzają...

Sara objęła ramiona Phoebe mocnym uściskiem i cofnęła się.

- Nie wolno ci tak myśleć! Charles lada dzień wróci do miasta, a Gil wyzdrowieje. Musimy w nich wierzyć.

- Wierzę... - Phoebe uśmiechnęła się - przez większość czasu.

- Dobrze. - Sara ciepło się do niej uśmiechnęła. - Jak już ułożymy Gila, zacznę umierać z głodu. - Podeszła do drzwi i zatrzymała się patrząc na niego. - Będzie żył... po prostu musi żyć. - Będziemy też musiały zmienić mu opatrunek.

Phoebe zobaczyła ból we wzroku Sary.

- Nie jesteś odpowiedzialna za to, co mu się stało.

- Gdybym nie uderzyła tego bandyty...

- Saro, o tym mi nie mówiłaś.

- Wymachiwał mi pistoletem przy twarzy. Zamachnęłam się torbą z pieniędzmi i wytrąciłam mu broń. - Sara otworzyła drzwi. - Tak mnie rozzłościł... Gil odwrócił się do mnie. Nie jestem pewna, co miał zamiar zrobić. I wtedy ten drugi bandyta strzelił mu w plecy.

Wpatrzyła się w Phoebe.

- Widzisz, to było przez mnie.

Sara spędziła resztę wtorku i następne dwa dni robiąc Gilowi chłodne okłady i zmieniając kompresy.

Chociaż był półprzytomny, zdołała wsaczyć mu do ust troszkę herbaty. Późnym popołudniem w piątek napełniła

ponownie wiadro i właśnie miała go znowu zacząć nacierać, kiedy zauważyła, że ma chłodniejszą skórę.

Przetrwiał gorączkę.

Okryła go kołdrą i uśmiechnęła się.

- Teraz jestem naprawdę głodna.

Zjadła resztę chleba, zupy i pieczonego kurczaka, którego Phoebe przyniosła jej na lunch. Później napełniła kubek herbatą z kory wierzbowej i usiadła w głowach łóżka.

- Czas już na kolację, śpiochu. - Przegarnęła palcami włosów Gila usiłując go łagodnie obudzić. Miał lepszą cerę.

Głos Sary przesiał przez gęstą mgłę zalegającą w głowie rannego. Czuł się tak, jakby przespał kilka dni, a może nawet tygodni.

Sara podsunęła rękę pod ramiona Gila i uniosła go nieco.

- Może uda ci się teraz wypić kilka łyków z kubka, chociaż się nie chcesz obudzić.

Przycisnęła kubek do jego dolnej wagi i wsoczyła mu odrobinę herbaty do ust. Przełknął, ale zanim więcej wypił, zaczęło mu się zbierać na wymioty.

- Gil, czy mnie słyszysz?

Odstawiła kubek, zanurzyła palce w wiadrze i przetarła mu twarz.

- Otwórz oczy, Gilu. Popatrz na mnie. Chociaż raz. - Naprawdę było mu lepiej. Miała ochotę krzyczeć z radości. Po raz pierwszy od czterech dni miała wrażenie, że trzyma w ramionach żywego człowieka.

- Mmm. - Ciepło i siła obejmującego go ramienia były takie miłe. - Otarł się o nią policzkiem. - Sar...?

- Tak, Gilu, jestem tutaj. Och, jak dobrze usłyszeć twój głos. - Patrzyła, jak podejmuje walkę. Powieki zatrzepotały, potem otworzył oczy. - Witaj po powrocie. - Przycisnęła wargi do jego czoła; było dużo chłodniejsze.

- G... gdzie ja byłem?

- Odpoczywałeś. Spałeś. - Nie mogła się przestać uśmiechać.

Gil usiłował się poruszyć i ból przeszył mu bok.

- Bank... Napad...

- Zostałeś postrzelony - przypomniała mu.

Spuścił wzrok i przekonał się, że wpatruje się we własną rękę.

- Gdzie moja koszula?

- Musiałam ją z ciebie zdjąć, żeby ci zbić gorączkę.

Nie brzmiało to sensownie, ale w tym momencie było mu wszystko jedno.

- Pić...

- Przyniosę szklanekę wody.

Odsunęła się od niego delikatnie, jakby był niemowlęciem, i przez krótką chwilę Gil zastanawiał się, co naprawdę mu się stało. Kiedy o tym myślał, uświadomił sobie, że jest słaby jak kocię. Czekając na picie, usiłował się poruszyć. Ręce go nie bolały, ale ruch prawej wywołał przeraźliwie ostry ból w boku.

Sara postawiła kubek herbaty na podłodze.

- Czy jeżeli cię podtrzymam, myślisz, że uda ci się odwrócić trochę tak, żebyś brodę położył na skraju łóżka?

- Dlaczego nie mogę usiąść?

Sara uklękła przy łóżku, żeby móc widzieć jego twarz.

- Kula przebiła ci plecy i wyszła bokiem przez pierś. Złamała ci co najmniej dwa żebra i straciłeś potężną ilość krwi. Nie powinieneś się ruszać, chyba że cię nie boli. - Pomogła mu podpełznąć bliżej brzegu łóżka i przysunęła szklanekę do ust.

Wypił tylko dwa małe łyki, zanim odsunęła szklanekę.

- Dlaczego nie mogę wypić do końca?

- Za dużo na raz i może ci się zrobić niedobrze.

- Jak czuję mdłości, to przestanę pić.

- W porządku. Ale tylko trochę.

Wypił łakomie dwa łyki i nagle zapytał.

- Ile krwi?

- Co? - zapytała Sara zdezorientowana, a potem przypomniała sobie wątek ich rozmowy. - Duża kałuża na podło-

dze w banku - powiedziała rozkładając ręce, żeby miał pojęcie o jej powierzchni. - Pełny duży dzbanek? I przemoczyłeś liczne opatrunki, ale krwawienie chyba ustało. To jeden z powodów, dla których nie chcę, żebyś się zbyt wiele ruszał.

- Pewnie będę tu tkwił przez jakiś czas. - Uśmiechnął się do niej krzywo. - Ty mnie uratowałaś?

Sara potrząsnęła głową.

- Wszyscy pomagali. To Charles wiedział, co trzeba zrobić. Jestem pewna, że gdyby nie on, już byś nie żył.

- Podziękuję mu następnym razem, jak go zobaczę. A gdzie jest Jack?

- Ściga z resztą tutejszych mężczyzn bandytę z banku, tego, który udawał dżentelmena.

- Obawiam się, że na razie niewiele pamiętam. Jak długo byłem... spałem?

- Postrzelili cię w poniedziałek rano. Teraz jest piątek wieczór. Przez ten cały czas przytomny byłeś tylko chwilaми, po kilka minut. - Podniosła kubek do jego warg i dała mu się napić.

Tak mu się chciało pić, że nie poczuł goryczy, dopóki nie skończył.

- Co to za wywar?

- Herbata z kory wierzbowej, na gorączkę.

- Ale teraz już jej nie mam, czy mógłbym dostać kawę? Nigdy nie lubiłem herbaty.

- Jak ci ją podałam pierwszy raz - Sara uśmiechnęła się - to powiedziałeś, że herbaty nie pijasz. - Wylała herbatę do nocnika i nalała mu kawy.

Gil wciągnął zapach pary, uśmiechnął się i pociągnął łyk. Nagle na zewnątrz dała się słyszeć wrzawa.

- Co się dzieje?

Sara pospiesznie podeszła do okna.

- Nic stąd nie widzę, słyszę tylko głosy. - Odwróciła się do niego. - Będziesz w porządku, jak pójde zobaczyć?

- Odpocznę. Nie mogę nic innego robić.

- Proszę cię, nie próbuj wstawać. Żebra ci się jeszcze nie zrosły i jestem pewna, że wątroba też nie jest w porządku.

- Wątroba? Co ty wiesz o mojej wątrobie?

- Charles powiedział, że wydaje mu się, że powinieneś tam mieć wątrobę - pokazała na jego żebra - tam, pod żebrami.

- Nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć, dlaczego w ogóle cię interesowało, gdzie ją mam.

- Chciałam wiedzieć, co czuję... - Na zewnątrz podniosły się głośne wiwaty i Sara pomknęła do drzwi. - Będziemy mieli czas porozmawiać o tym później.

- Jestem cholernie pewny, że będziemy. - A więc, pomyślał, zaznajomiła się z moim ciałem. Nie miałem przyjemności cieszyć się jej eksploracją.

Sara pędem zbiegła do saloonu i wypadła na ulicę. Wrócili! Psy czekały, dzieci wiwatowały, a kobiety biegły do swoich mężczyzn. Zauważyła Charlesa w chwili, kiedy brał Phoebe w ramiona, Clay i Cora przywarli do nich. Pan Young oderwał się od tłumu i skierował w stronę „Wedge”, a Sara podbiegła do niego.

- Proszę pana, czy złapaliście go?

- Tak, proszę pani.

- I gdzie teraz jest? W więzieniu?

- Nie żyje. - Jack wyminął ją i wszedł do saloonu.

Sara rzuciła się za nim.

- Proszę mi powiedzieć, co się stało! Proszę, niech pan mi powie. Czekaliśmy tyle dni bez żadnych wieści.

Jack wszedł za bar, chwycił butelkę whiskey i szklankę, którą napełnił bursztynowym trunkiem.

- Złapaliśmy go przed Umintilla.

Sara uderzyła ręką w bar, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

- A co stało się potem?

Jack wlał sobie w gardło pół szklanki trunku.

- Ten zarozumiały sukinsyn podwinął ogon pod siebie

i w nogi. Trafiłem go w plecy. - Dopił whiskey. - Sprawiedliwie, no nie?

Sara pokiwała głową wstrząśnięta, że powiedział to tak po prostu.

- Przypuszczam, że tak. - Słyszała opowieści o wymierzaniu sprawiedliwości na Zachodzie, ale rzeczywistość była całkiem inna.

- Nic pani nie jest?

- Nic. - Przełknęła i ruszyła w kierunku schodów, potem zatrzymała się. - Czy komuś jeszcze coś się stało?

- Nie, szanowna pani. Tylko temu sukinsynowi.

- Co... co zrobiliście z nim... z jego ciałem?

- Ja byłem za tym, żeby je zostawić dla sępów. Niektórzy mówili, że to nieprzyzwoicie w stosunku do ptaków. Pogrzebaliśmy go, a w nogach daliśmy tabliczkę: TU LEŻY ZŁODZIEJ I MORDERCA. - Nalał sobie jeszcze jedną szklaneeczkę i opróżnił ją jednym haustem. - Jak tam z Gilem?

- Obudził się kilka minut temu. Nie może doczekać się, żeby się z panem zobaczyć.

- Wciąż leży plackiem?

- Proszę pana - powiedziała Sara podchodząc do baru - Gil miał bardzo wysoką gorączkę i był nieprzytomny od chwili, kiedy panowie odjechaliście. Mało brakowało, a byłby umarł.

Jack ruszył w kierunku schodów.

- Ale teraz...?

- Tak - powiedziała Sara i dogoniła go. - Ale jest bardzo słaby. Tak słaby, że nie jest w stanie się poruszać. - Chwyła Jacka za rękę. - Czy pan rozumie? Nie pozwolę panu go denerwować.

- Pani co? - Jack wybuchnął śmiechem. - A niech mnie wszyscy diabli.

Sara położyła dłoń na czole Gila i westchnęła. Spoglądając na pana Younga pokręciła głową i pokazała na drzwi. Kiedy wyszli na korytarz, podprowadziła go do schodów i zatrzymała się.

- Dzięki Bogu, tylko śpi. Dam panu znać, kiedy się obudzi. Jack skinął głową.

- Pójdę odwiedzić pannę Layton. Później będę za barem.

- Proszę zająć tutaj, jak będzie pan wracał. Może nie będzie spał.

- Zайдę. Dziękuję pani.

Sara wróciła do pokoju Gila i delikatnie zamknęła drzwi. Teraz mogła dokończyć opowiadanie o napadzie na bank. Phoebe mówiła, że nie chce wydawać gazety, dopóki nie będzie wiedziała, czy Charles jest bezpieczny. Gazeta ukaże się z kilkudniowym opóźnieniem, ale Sara przekonana była, że nikt nie będzie się na to skarżył.

Rozległo się ciche pukanie i do pokoju weszli Phoebe i Charles.

- Jak z nim? - szepnęła Phoebe.

Sara przeszła do okna na tyłach pokoju, a oni poszli za nią.

- Gorączka spadła. Wypił trochę wody, łyk herbaty i odrobinę kawy. Słaby jest jak nowo narodzone kocię, ale śpi spokojnie.

Charles obejrzał się na Gila.

- Phoebe opowiadała mi o jego gorączce. Powiedziałbym, że zaczyna wracać do siebie, dzięki tobie, Saro. A jak tam z tobą?

- Teraz, jak już wiem, że wyzdrowieje, będzie ze mną dobrze.

- Ten człowiek niewątpliwie ma szczęście. Większość ludzi nie przeżyłaby takiej rany.

Sara rzuciła mu jadowne spojrzenie.

- Charlesie - syknęła - tego mi nie mówiłeś.

- I bez tego miałaś się czym martwić. Kiedyś będziesz mi musiała powiedzieć, jak to zrobiłaś.

- Szarpie to był zły pomysł. - Sara uśmiechnęła się do Phoebe. - Zresztą Phoebe może ci opowiedzieć o wszystkim. Bardzo mi pomagała.

Charles przeniósł wzrok z Phoebe na Sarę.

- Wy dwie się nigdy nie zmienicie, prawda? - Przyciągnął żonę do swojego boku. - I pewnie nic w tym złego.

- Ugotowałam na kolację rosół z wołowiny - powiedziała Phoebe uśmiechając się od ucha do ucha. - Przyślę wam przez Claya trochę dla was obojga.

Charles zagapił się na nie.

- O czym ty mówisz?

- Ona musi coś jeść, Charlesie, a opiekując się panem Per-rym ma i tak pełne ręce roboty, nawet jeżeli nie musi gotować sobie na tym małym piecyku. - Phoebe założyła sobie koszyk na rękę i czekała, żeby udać się z mężem do domu.

- To ty z nim tu byłaś przez cały czas, Saro? Przez całą noc? Sara wzruszyła ramionami.

- Pewnie Phoebe by mnie zmieniała, ale sądziłyśmy, że tobie może się to nie spodobać.

- Pan Young albo pan Farmer mogą teraz przejąć wasze obowiązki.

- Nie - powiedziała Sara stawiając Charlesowi czoło równie nieustępliwie jak zwykle. - Przeprowadziłam go przez najgorszy okres i dopilnuję, żeby wyzdrowiał.

- Ależ Saro, to...

Phoebe pociągnęła go za rękę i popatrzyła mu w oczy.

- To jej decyzja, Charles. Dzieci na ciebie czekają. - Usiłowała nakłonić go, żeby nie nalegał, przynajmniej dopóki nie wyjaśni mu sytuacji w cztery oczy.

- Tak, kochanie. - Popatrzył na Sarę. - Wrócę tu później z kolacją.

- Dziękuję ci. Może Gil nie będzie wtedy spał. Wiem, że chce się z tobą zobaczyć.

Phoebe ruszyła do wyjścia, potem przypomniała sobie o liście.

- Byłabym zapomniała. - Wyciągnęła kopertę z kieszeni spódnicy i podała ją Sarze. - List do panny Lucy przyszedł z dzisiejszą pocztą.

- Od pana Browna? - Biorąc kopertę Sara poczuła dreszcz radosnego oczekiwania i serce jej załomotało. Tyle się wydarzyło, że niemal o nim zapomniała.

- Pismo wygląda tak samo. - Phoebe uśmiechnęła się i wyszła razem z Charlesem. Miała nadzieję, że list oderwie myśli Sary od pana Perry'ego choć na kilka minut.

Kiedy Gil się obudził, w pokoju panowała cisza. Czy Sara wyszła? Nie wyobrażał sobie, że aż takiego wysiłku może wymagać odwrócenie głowy w kierunku drugiej części pokoju. Była tam, siedziała na jego fotelu i czytała. Jej wargi wygięły się w uśmiechu i leniwie nawijała pasemka włosów na palec. Jak miło się zbudzić i zobaczyć taki widok.

- List z domu?

- O, nie - powiedziała drgnąwszy na jego głos. Szybko złożyła kartkę i wepchnęła ją do kieszeni spódnicy. - Lepiej się czujesz?

- Przynajmniej nie mąci mi się w głowie. Kiedy będę mógł wstać?

- Nie jestem pewna. Za kilka dni. A może dopiero za tydzień albo dłużej. - Podeszła do łóżka i odchyliła przykrycia. - Jak się ma twój bok?

- Boli jak... diabli. Czy masz na to jakieś lekarstwo?

- Tylko syrop z morfiną. Mogłabym ci dać pół dawki. Może to wystarczy, żeby uśmierzyć ból, a nie uśpi cię.

Gil poruszył lewą ręką i próbował przekręcić się na plecy. Potworny ból jak rozpalony do czerwoności pogrzebacz przeszył jego prawy bok aż do krocza. Ryknął. Po twarzy

ściekał mu kroplisty pot. Zaciął zęby i czekał, aż męczarnia się skończy.

Sara chwyciła butelkę ze specyfikiem i łyżeczkę. Nalała pół łyżeczki i włożyła mu do ust.

- Powinno niedługo zadziałać. - Otarła mu twarz chłodną szmatką i sprawdziła bandaż. - Żebyś mi się więcej tak gwałtownie nie ruszał. Niewykluczone, że znowu zacząłeś krwawić.

- Do... brze. - Ból wydawał się nasilać, kiedy chwycił powietrze, więc skupił się na powolnym oddychaniu.

- Tak lepiej. Musisz pomyśleć, zanim się ruszysz.

- Yhm. - Poczul fałę ulgi, kiedy ból zaczął przycichać. - Ponieważ nigdzie się nie wybieram, może opowiedziałabyś mi o mojej wątrobie?

Sara wzięła koc ze swojego siennika po drugiej stronie pokoju, złożyła go i usiadła na poduszce na podłodze przy jego łóżku.

- Krew musiała z ciebie wypływać od chwili, kiedy do ciebie strzelili. Nie potrafiłam jej zatamować. Charles przyglądał się w czasie wojny chirurgom przy pracy, więc przywiązywałam wielką uwagę do tego, co mówił. Powiedział, że w ranie mogą być kawałki kości, odłamki kuli i strzępy materiału z twojej koszuli i że trzeba je koniecznie usunąć.

Gil miał teraz oczy szeroko otwarte.

- Nie przerywaj.

Udało jej się wcześniej odsunąć to wspomnienie gdzieś na samo dno pamięci, ale teraz przywołała je dla niego.

- Musiałam ci wepchnąć palce do środka... tylko dwa... w ten kanał po kuli. To wtedy dotknęłam twojej wątroby, a właściwie przepchnęłam się przez nią na wylot i stąd wiem, że masz złamane żebra.

- Czy znalazłaś coś jeszcze? - Gil potarł czołem o przykrycie. - Poza moją wątrobą?

Sara uśmiechnęła się.

- Tak, i powyjmowałam odłamki, głównie z twojej wątroby.

- Znałem takich lekarzy, którym za nic nie pozwoliłbym

grzebać sobie w środku. - Powoli docierało do niego to, co mówiła, i kiedy wreszcie zrozumiał, poczuł się nieco nieswojo.

- Co ci jest? Czy ci niedobrze?

- Nie - powiedział cicho. - Naprawdę wepchnęłaś palce w tę dziurę po kuli? Aż na drugą stronę?

- Z obu stron. Charles dał ci whiskey, najlepszą jaką macie, tak mówił, ale wiem, że bolało. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Musiałam to zrobić, Gilu, ale starałam się być możliwie delikatna.

- Dziękuję ci, Saro. - Zamknął na moment oczy i lekko skinął głową. - Na to trzeba było odwagi - powiedział patrząc jej w oczy.

- To nie była odwaga, tylko desperacja. - Sięgnęła do kieszeni i wyjęła kulę. Podniosła ją tak, żeby mógł się jej przyjrzeć i powiedziała: - Przeznaczona była dla mnie. Nie dla ciebie.

Gil rzucił tylko okiem na kulę; przyglądał się, jak jej piękne, niebieskie oczy napełniają się łzami. Nigdy nie czuł się tak kompletnie bezradny, zbyt słaby, żeby chociaż wyciągnąć rękę i otrzeć jej łzy.

- Tego nie możesz wiedzieć.

- Och, ale wiem. - Gniewnie otarła oczy wierzchem dłoni. - Ty też będziesz wiedział, jak ci wróci pamięć. - Czy będzie ją winił za swoją ranę? A może po prostu nie będzie więcej chciał z nią mieć do czynienia? Całą sobą pragnęła, żeby wrócił do zdrowia, zanim to się stanie.

- Czy mogłabyś mi pomóc założyć koszulę? Trochę mi teraz chłodno.

12

Phoebe spakowała do koszyka miskę, łyżkę, serwetkę i gliniany garnek pełen gorącego rosołu.

- Czy jesteś pewien, że chcesz karmić pana Perry'ego? Nie będzie to łatwe. Przyglądałam się, jak Sara to robi.

Charles ucałował ją w policzek.

- Myślę, że sobie poradzę. Sara musi na trochę stamtąd wyjść. Zapytam Timothy'ego Farmera, czy posiedzi z Gilem dziś w nocy.

Phoebe okręciła się i położyła mu płasko dłonie na piersi.

- Niech pan mnie posłucha, panie Abbott. Sara potrzebuje tego i chce pielęgnować jego rany. Czuje się odpowiedzialna.

- To nonsens. Nie miała szans, żeby od czegokolwiek powstrzymać tego zbira-mordercę.

- Nie przekonasz jej, więc proszę, nie próbuj.

- Moja droga, wiesz, co ludzie będą mówili. - Przesunął dłoń po włosach. - Tam do diabła, pewnie już o niej plotkują.

- Jeżeli spróbujesz zakazać Sarze wstępu do jego pokoju, Charles, lepiej dziś wieczorem nie wracaj do domu.

- Słuchaj, Phoebe, kochanie, zanim zaprosiłaś Sarę, żeby się do nas sprowadziła, powiedziałaś, że nie stanie ona między nami.

- To ty ją tam stawiasz - zwróciła mu uwagę Phoebe. - Denerwowałeś się na nią, bo wydawało ci się, że w jej artykułach można wyczuć antypatię do pana Perry'ego. Jest oczywiste, że zmieniła zdanie. Czy nie wolałbyś, żeby byli w przyjaznych stosunkach?

- Zaczekam, aż dowiem się, co myśli o tym Gil. Teraz, kiedy już się obudził, może czuć się zażenowany, że kobieta gmerała w jego ciele.

Phoebe wybuchnęła śmiechem.

- Rzeczywiście od dawna jesteśmy małżeństwem, prawda? - Podała mu koszyk. - Jeżeli go nakarmisz niedługo, rosół będzie jeszcze wystarczająco ciepły. Jeżeli nie, będziesz musiał go odrobinę podgrzać na piecyku. I nie zapomnij powiedzieć Sarze, że podgrzewam dla niej kolację.

- Tak, kochanie. - Objął ją i mocno przytulił. - Bardzo za tobą tęskniłem.

- To dobrze - wymruczała wtulona w jego pierś. - Możesz mi później pokazać, jak bardzo.

- Mam taki zamiar. - Ucałował ją i ruszył do salonu. Kiedy doszedł do drzwi Gila, chwycił za klamkę i zawahał się. Stał tam przez chwilę, potem zapukał.

Sara otworzyła drzwi i uśmiechnęła się.

- Wejdz. Dobrze mu zrobisz. - Wyciągnęła rękę po kocyk, który przyniósł Charles. - Jak ładnie pachnie.

- Cieszę się, że tak uważasz. - Uśmiechnął się do niej. - Phoebe podgrzewa dla ciebie talerz. - Popatrzył na Gila, który leżał na łóżku twarzą do dołu.

- Co Phoebe przysłała?

- Gorący rosół. - Charles wysunął rękę i nie pozwolił jej zamknąć drzwi. - Idź zjeść w domu. Gil i ja nie potrzebujemy, żeby ktoś nami dyrygował.

- On nie jest w stanie sam jeść - powiedziała Sara cicho. - A więcej niż kilka łyżek na raz wywołuje u niego mdłości.

- Poradzimy sobie. Idź. Phoebe czeka.

- Hej, wy dwoje. Nie bijcie się o mnie. - Gil chciał się roześmiać, ale tylko zakrakał. - Zostaw nas na trochę, Saro. Przyda ci się odrobina świeżego powietrza.

- Przyda się? - zapytała obchodząc łóżko, żeby stanąć z nim twarzą w twarz.

- Zarumienią ci się znowu policzki. Poza tym musisz mieć już dość tego pokoju. Obiecuję, że będę tu czekał, aż wrócisz. - Zakładał, że wróci, ale nie mógł być tego pewien.

- W porządku. - Sara chwyciła szal z wieszaka. Rzeczywiście była błada. - Nie pij za szybko. Jak ci się zaczniesz odbijać, nie zrobi to dobrze twoim ranom.

Gil zakrakał znowu.

- Czy to nie najśrodsze słowa, jakie w życiu słyszałeś, Charles?

Sara zarzuciła szal na ramiona i wyszła. Mężczyźni. Zezła po tylnych schodach i przeszła się brzegiem rzeki. Było ciemno choć oko wykol, ale szum płynącej wody i wia-

tru dodawał jej ducha. Była zmęczona i z radością przespa-
łaby jedną całą noc, gdyby nie musiała się bez przerwy oba-
wiać, że obudzi się i zobaczy, iż Gil cichutko umarł we śnie.

Może to dlatego mu docinała. A może on ją z rozmysłem
prowokował? Wiedziała, że takie rzeczy go bawia.

Został ranny, kiedy jej bronił, ale był dalej tym samym
człowiekiem i nie miała powodów spodziewać się, że będzie
choć trochę inny, jak wyzdrowieje. Przeszedł ją dreszcz
i otuliła się szelniej szalem. Łzy pociekły jej po policzkach.
Zrozumienie sytuacji powinno było jej ulżyć.

Ale nie ulżyło.

Gil znowu spróbował poruszyć prawą ręką i nie udało
mu się.

- Przykro mi, ale nie dam rady wstać. Przysuń sobie krze-
sło. Nie ma powodu, żebyś siedział na podłodze.

Charles postawił koszyk przy łóżku i stopą odsunął koc,
na którym siadywała Sara.

- Masz ty, chłopie, szczęście. Byłem pewien, że będę ci
musiał złożyć wyrazy uszanowania na cmentarzu.

- Cieszę się, że się pomyliłeś. - Gil wsunął sobie dłoń pod
policzek przesuwając pole widzenia trochę w górę.

Charles ustawił krzesło w pobliżu łóżka i usiadł.

- Głodny? Phoebe przysłała trochę rosołu. Myślisz, że
uda ci się go nie zwrócić?

Gil zmarszczył brwi.

- Przepraszam. - Charles roześmiał się. - Za dużo czasu
spędziłem w towarzystwie wojskowych chirurgów.

- Gdybyś go spędzał w innym towarzystwie, to jak ro-
zumiem, nie byłoby mnie tutaj. Dzięki. Pachnie cholernie
ładnie.

Charles wyjął garnek z koszyka.

- Czy Sara uciąła trzcinkę, przez którą mógłbyś pić?

- Dopiero niedawno się obudziłem. Kawę i herbatę dawała mi łyżeczką. Masz tam trochę chleba i mięsa?

Charles otworzył garnek i wlał część rosółu do miski.

- Ponieważ od pięciu dni nic nie jadłeś, wojskowi chirurdzy trzymaliby cię przez jakiś czas na płynnej diecie.

- Sara mówiła mi, że ty, Jack i inni pojechaliście za drugim bandytą. Co się stało?

Charles zanurzył łyżkę w rosole i przytknął ją Gilowi do warg.

- Ben widział, jak ten zbir przejeżdżał przez rzekę Mili i kierował się na północ. Półtora dnia szukaliśmy, aż w końcu natrafiliśmy na jego ślad w pobliżu Columbii.

- Próbował się przepawić?

- Nie. Wyglądało na to, że zna okolicę. Jechaliśmy rozproszeni przez cały dzień, zanim natknęliśmy się na wystygłe obozowisko.

Gil przełknął następny łyk rosółu.

- Czy ktoś jeszcze został ranny?

- Tylko ten bandyta. Wypalił do nas parę razy i w nogi. Jack go trafił.

- Żałuję, że nie mnie spotkała ta przyjemność. - Gil przełknął następny łyk. Chwilowo rosół nie wywoływał żadnych sensacji żołądkowych.

- Już nigdy nikomu nie zagrozi. - Charles zanurzył łyżkę w rosole. - No a jak ci się podoba Sara w roli pielęgniarki?

Gil uśmiechnął się.

- Gra niemal warta była świeczki. Pewnie nie powinienem mówić jej, żeby wyszła. Na ogół droczę się z nią, a ona mi się odcina. Ale chyba ją trochę rozżłościłem.

- Dobrze zrobiłeś. Powinna była wyjść na trochę.

- Tak mi się wydawało. Siedziała tu ze mną przez cały tydzień.

Charles zamieszał rosół.

- Och, byłbym zapomniał. Po drodze do miasta rozmawialiśmy o tym, żeby wybrać radę miejską.

- Pewnie już pora na to. Ale bardzo bym nie chciał wiedzieć, jak Gridley zmienia się w miasto. Popatrz, co się zrobiło z Portland. - Gil przełknął następną pełną łyżkę rosółu. - Jeżeli nie masz nic przeciw temu, to trochę odpocznię.

- Ależ odpoczywaj. - Charles przelał rosół z powrotem do garnka. - Postawię zupę przy piecu.

- Dzięki. Nigdy nie sądziłem, że zmęczy mnie przełykanie.

- Założę się, że również nigdy nie przypuszczałeś, że kula przewietrzy ci wnętrzności. Odpoczywaj sobie. - Charles wstał. - Przyniosę ci gazetę. Będzie o parę dni spóźniona.

- Nigdzie się nie wybieram. Dzięki, Charlesie. Doceniam twoją pomoc.

- Zawsze do usług.

- Jestem pewna, że poczułaś się lepiej, jak się już umyłaś i przebrałaś - powiedziała Phoebe odkrawając kawałek miodeownika - ale czy nie miałabyś ochoty przespać dzisiejszej nocy we własnym łóżku? - Postawiła piernik przed Sarą.

- Oczywiście, że miałabym. Ten siennik jest niemal równie twardy jak podłoga, ale nie mogę spać tutaj, dopóki nie mam pewności, że z nim jest wszystko w porządku. Że nie zacznie krwawić, jeżeli się obróci z boku na bok. Jakże się będę cieszyła, kiedy już usiądzie, przekręci się na bok albo będzie miał siłę sam jeść.

Phoebe patrzyła na nią oniemiała. Od lat już nie widziała Sary takiej przygnębionej.

- Gorączka mu spadła. Powinien teraz dochodzić do siebie. Sara uniosła w górę dwa palce prawej dłoni.

- Wbiłam mu te dwa palce między żebra i w środek wątroby. - Przez moment widziała na nich krew, widziała je takimi, jak wyglądały po poszukiwaniu odłamków w ciele Gila.

- Nie myśl o tym. Dzięki Bogu masz to już za sobą.

Sara chwyciła widelec i wbiła w piernik.

- Mmm, ale dobre.

Phoebe przyglądała się, jak Sara pochłania ciasto niemal je atakując.

- Czy Charles powiedział przy panu Perrym coś, co cię zdenerwowało?

Sara potrząsnęła głową i przełknęła ostatni kęs.

- Nie. Dlaczego?

- Jakaś jesteś nieswoja. Kiedy ostatni raz widziałam cię w takim nastroju, właśnie przyłapałaś Johna na tym, że przetańczył o jeden taniec za wiele z Penelopą Broderick.

Sara zastanawiała się przez moment, potem się uśmiechnęła.

- Złote loczki i oczy jak zielone jabłuszko. Ciekawe, kogo teraz czaruje.

- Biorąc pod uwagę jej usługowość - Phoebe uśmiechnęła się z wyższością - pewnie pierwszego mężczyznę, jaki pojawił się w polu widzenia. - Zjadła okruszek z blachy. - Powiesz mi, co się stało?

Sara odniosła talerze po kolacji do zmywalni i zaczęła myć je w miednicy z mydlinami.

- Chyba ucierpiała moja próżność. - Tak, zdała sobie sprawę, że chodzi o tę jej przeklętą dumę.

- O czym ty mówisz?

- Przypomniano mi, że Gil to nadal Gil. Rany nie odmieniły go. - Sara wzruszyła ramionami. - Zapomniałam o tym.

- Oczywiście, że jest sobą. A kogo się spodziewałaś?

Sara potrząsnęła głową.

- Może to nie on się zmienił - rzuciła Phoebe.

- Tylko ja? - Sara popatrzyła na nią. - Czy myślisz, że to ja się zmieniłam?

- Sama musisz sobie na to odpowiedzieć. - Phoebe była pewna, że ludzie zauważą różnicę i chciała, żeby Sara uświadomiła ją sobie pierwsza. - Gdyby nie było napadu na bank, czy obchodziłoby cię choć trochę, jak się czuje pan Perry?

Sara popatrzyła na swoją najdroższą przyjaciółkę i pokiwała głową.

- Masz absolutną rację, jak zwykle. Dziękuję ci. Zobaczę, jak sobie radzą Gil i Charles.

- Przyślij tego mojego do domu.

- Dobrze.

Sara wróciła do pokoju Gila tylnymi schodami. Zastukała i zajrzała do środka. U Gila był pan Young.

- Dobry wieczór.

- Dobry wieczór pani. - Jack wstał. - Ja już będę szedł.

- Nie. Proszę zostać. Szukałam Charlesa... pana Abbotta.

- Wyszedł już jakiś czas temu - powiedział Gil.

- Zaraz wrócę.

Poszła w kierunku schodów prowadzących do saloonu i schodziła stopień po stopniu, aż miała na widoku cały bar. Nie zobaczyła Charlesa i wróciła na górę. W korytarzu minęła się z Jackiem, a równocześnie przy tylnych drzwiach pojawił się Charles.

- Cieszę się, że wróciłaś - powiedział natknąwszy się na nią przed pokojem Gila. - Ponieważ Gil nie jest w stanie usiąść, żeby się napić, pomyślałem, że bardzo by mu pomogła słomka. - Podał jej trzcinki. - Czułbym się jak niemowlę, gdyby Phoebe musiała podawać mi łyżeczką kawę do ust.

- Na pewno będzie ci wdzięczny. - Opuściła rękę z trzcinkami i napotkała jego wzrok. - Phoebe czeka na ciebie. - Jego policzki pociemniały odrobinę, ale nie skomentowała tego. To nawet ujmujące, pomyślała otwierając drzwi do pokoju Gila.

Charles przyglądał jej się, jakby się nad czymś zastanawiał.

- To ładna sukienka.

- Dziękuję ci. - Zerknęła na miękką brązową, wełnianą sukienkę zastanawiając się, dlaczego zwrócił uwagę na to, że się przebrała. Sukienka była stara, luźna i wygodna. Idealna do spania, skoro już nie mogła kładąc się założyć koszuli nocnej.

- Nie zapomnij ich wysuszyć - powiedział Charles pokazując na trzcinki.

- Nie zapomnę. Cieszę się, że wróciłeś i że nikomu nic się nie stało. Napiszesz o swoim przeżyciu w gazecie, prawda?

Charles kiwnął głową i uśmiechnął się szeroko.

-Jutro. Będę oczekiwał tego samego od ciebie.

-Już prawie skończyłam. Dobranoc, Charlesie. - Zamknęła drzwi i rozłożyła trzcinki w pobliżu pieca. Gil leżał w prawie takiej samej pozycji, w jakiej zostawiła go wychodząc, ale spał.

Odпочywał spokojnie, policzek miał chłodny.

- Spij dobrze.

Gil wzdrygnął się i obudził. Sara przykręciła lampę. W pokoju było ciepło. Sara leżała na swoim sienniku i spała. Parsknęła i westchnęła przez sen. Szum deszczu spowodował, że Gil poczuł się niewyraźnie. Cholera. Musiał się wysikać, ale wiedział, że w żadnym wypadku nie uda mu się wstać.

I co teraz? Przyszło mu nagle na myśl pytanie, jak sobie radził, kiedy był nieprzytomny. Czy Sara wzywała Jacka na pomoc? Nie, przecież go nie było. Żadnego z mężczyzn nie było w miasteczku. O rany...

Musiała opiekować się nim jak małym dzieckiem, karmić go łyżeczką, a teraz to. Czy jego upokorzeniom nie będzie końca? Pomacał pod łóżkiem w poszukiwaniu nocnika. Musiała to cholerstwo trzymać gdzieś na podorędziu, ale nie mógł go znaleźć w zasięgu ręki. A nie sądził, żeby mu się udało powstrzymywać dużo dłużej.

Podkurczył jedno kolano, potem drugie i przechylił się na bok. Kiedy sięgnął do pasa spodni, okazało się że trzy pierwsze guziki są rozpięte. Musiała mu wcześniej pomagać. Nie było innego wyjścia. Trzeba ją obudzić.

- Saro... śpisz?

Sara wymamrotała coś przez sen.

- Saro - powiedział nieco głośniej niż poprzednio. -
Obudź się!... Saro!

Usiadła z szeroko otwartymi oczami, jeszcze zanim się
na dobre obudziła.

- Gil? - szepnęła.

- Tak. Potrzebuję pomocy.

Odrzuciła przykrycie i pospieszyła do niego.

- Czy ci niedobrze?

- Zaraz się zleję do łóżka. Zawołaj Jacka... albo mi pomóż.

- Och! - pisnęła Sara. - Zaraz zawołam pana Younga. - Po-
spieszyła do drzwi. - Który jest jego pokój?

- Po drugiej stronie korytarza przy frontowych schodach.

Sara popędziła do drzwi Jacka i zapukała. Ze środka nie
dobiegał żaden dźwięk. Zapukała ponownie.

- Proszę pana, Gil potrzebuje pana pomocy. - Czy on
tam był? Och, proszę, jęknęła w duchu i uderzyła w drzwi
pięścią. - Panie Young!

Nic.

- Przepraszam pana, ale jestem w desperacji - powiedzia-
ła otwierając drzwi. W pokoju było kompletnie ciemno. To
musi być koszmarny sen, doszła do wniosku wchodząc do
środku. - Proszę pana! Musi się pan obudzić. - Potknęła się
o coś i niewiele brakowało, a byłaby się wywróciła na łóż-
ko. - Proszę pana, musi pan pomóc Gilowi. - Przykrycia na-
wet nie zaszeleściły.

Zacinając zęby wyciągnęła rękę, żeby nim mocno potrzą-
snąć. Wymacała koc... i nic więcej. Nie było go tam!

Wróciła biegiem do pokoju Gila.

- Nie ma go. Ja... będę ci musiała pomóc.

- Podkręć lampę... nie, może lepiej nie. - To było dla niego
całkiem nowe przeżycie. - Czego używałaś ostatnim razem?

- Ostatnim razem? Nie było jeszcze takiej potrzeby.

Uświadomił sobie, że musiał być bliski śmierci.

- Gdzieś tu powinien być stary emaliowany dzbanek. Po-

szukaj w kącie. Wydaje mi się, że tam go Charles odstawił.
- Co za piekielna sytuacja... Sara Hampton będzie mu pomagała się wysikać.

Sara podkręciła lampę, znalazła emaliowany dzbanek i przykręciła znowu knot w lampie tak, że z trudem mogła zobaczyć łóżko.

- Gdzie mam go postawić?

- Będziesz tu musiała podejść.

Ściskając obiema rękami dzbanek obeszła łóżko dookoła.

- Czy mam ci go przytrzymać?

- Najpierw pomóż mi przesunąć się na skraj łóżka.

Sara postawiła dzbanek na podłodze i wpatrywała się w ciemny zarys ciała.

- Czy dasz radę się oprzeć na łokciach, troszeczkę?

Gil przesunął ręce w przód.

- Jestem gotów.

Sara ściągnęła z niego przykrycie.

- Kiedy uniosę ci biodra, oprzyj się na rękach i spróbuj trzymać się prosto. - Położyła jedną dłoń po każdej stronie bioder i napięła mięśnie, ale nie starczyło jej sił.

Gil zacisnął szczęki i czekał. Oddałby wszystko, żeby mieć w łóżku dziurę.

- Będę się musiała oprzeć kolanem o łóżko. - Uniosła spódnice na tyle, żeby wsunąć kolano pomiędzy jego kolana na łóżku. Po plecach przeszedł jej niesamowity dreszcz. Nigdy jeszcze nie była w tak osobliwej sytuacji z mężczyzną, ale przynajmniej w pokoju było ciemno i Gil nie mógł zobaczyć, jaka jest zażenowana. - W porządku. Spróbujemy jeszcze raz.

Gil odprężył się odrobinę. Przez jedną krótką chwilę obawiał się, że Sara przygniecie mu klejnoty rodzinne do łóżka. Gdyby nie to, że było mu tak pilno, poczułby się rozbaawiony sytuacją.

Sara oparła swój ciężar na kolanie, objęła go ramionami za biodra i uniosła. Zadziałało. Opuściła jego biodra na skraj łóżka.

- Nie widzę twojej twarzy, więc nie wiem, czy cię boli. Będziesz mi musiał powiedzieć, kiedy boli.

- Wszystko jest... w porządku. A przynajmniej będzie. - Wyprostował lewą rękę wzdłuż boku i zgiął prawą nogę w kolanie. - Obróć mnie na bok.

Sara wysunęła kolano spomiędzy jego kolan i położyła mu jedną rękę na biodrze, a drugą na ramieniu. Odniosła wrażenie, że niewiele mu zostało wyściółki na kościach. Wbrew własnej woli wyraźnie przypomniała sobie, jak stał przed nią z pewnym siebie uśmiechem. Pociśnęła mocniej, Gil trochę dopomógł i zdołała jakoś przeturlać go na bok.

- I jak?

- Nieźle.

- A teraz co?

- Przynies dzbanek. - Sięgnął do spodni. - Przytrzymaj go przy brzegu łóżka.

Sara przytrzymała dzbanek w pobliżu miejsca, gdzie - jak sobie wyobrażała - powinna się znaleźć jego ręka, i zamknęła oczy.

- Nie patrzę. Powinieneś sprawdzić, czy dzbanek jest tam, gdzie powinien być.

- Pewnie powinienem. - Było na tyle jasno, że widział, jak z całych sił zaciska oczy. Poczuł, że brzeg dzbanka napiera na łóżko. - Lepiej trzymaj dno niżej niż górę.

Sara przechyliła dzbanek, przycisnęła jego brzeg do skrajny materaca i w myśli błagała go, żeby się pospieszył.

Gil z wysiłkiem przesunął biodra do przodu, zaciął zęby, żeby wytrzymać ból i w końcu się załatwił. Cholera, co za wspaniałe uczucie. Niewiele brakowało, a byłby się utopił.

Miała wrażenie, że to trwa bardzo długo. Biedaczysko, pomyślała ściskając dzbanek oburącz. Potem wydało jej się, że trącił bok dzbanka. Czy już skończył? Doszła do wniosku, że nie da się tego delikatnie sformułować.

- Skończyłeś?

- Tak. - Zapiął z przodu kalesony i spodnie, i odetchnął

z ulgą. - Dziękuję ci, Saro. Jutro zacznę pracować nad siadaniem.

Sara przykryła go kocem i postawiła dzbanek przy drzwiach.

- Czy mogę ci coś podać?

- Trochę wody? Rosołu? Pić mi się chce.

- Coś mi się wydaje, że to nieuniknione - wymamrotała podchodząc do piecyka.

Gil zaczął się śmiać, co skończyło się tym, że chwycił się za bok.

- Jak już dostanę pić, to się prześpię. Jeżeli chcesz iść do domu, idź.

Sara trzasnęła drzwiczkami od pieca nieco silniej, niż miała zamiar, i skrzywiła się.

- Może wolałbyś, żeby się tu do ciebie wprowadził Jack, albo mogłabym ci dać dzwonek, żebyś mógł go wzywać.

Odwrocił głowę w jej stronę, ale nie miał siły na nic więcej.

- Cholera, nienawidzę tego.

Sara skończyła nalewać wodę do szklanki i podała mu ją.

- Trzcinki nie wyschły jeszcze na tyle, żebyś mógł ich użyć, ale jestem pewna, że sobie bez nich poradzisz.

Kiedy brał od niej szklankę, musnął palcami jej palce. Sara gwałtownie cofnęła rękę oblewając mu wodą dłoń.

- Czemu mi nie zaproponowałaś kąpieli? - zapytał.

- Jak śmiesz...? - Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Gil zrobił minę małego chłopca. Sara podniosła oczy do sufitu i potrząsnęła głową. - Ty pajacu. To silniejsze od ciebie, prawda?

Gil uniósł szklankę w toaście.

- Nie potrafię ci się oprzeć. - Usiłował się napić i niemalże wylał sobie wodę na twarz.

Sara spiorunowała go wzrokiem i podeszła do swego sieniaka; jakaś jej częśćka gorąco pragnęła, żeby to co powiedział, było prawdą. W końcu każda chyba kobieta pragnie być bardziej pociągająca niż na przykład taki muchomor.

Gil przyjrzał się jej i doszedł do wniosku, że posunął się za daleko.

- Saro, która dokładnie uwaga tak cię rozzłościła?

- Która? Masz na myśli że jedna? - Sara okręciła się i popatrzyła na niego spode łba.

- Dwie? To do ciebie niepodobne, żebyś nie wygarnęła mi prawdy.

- Ty... - Jak mu odpowiedzieć, żeby nie wyjść na jeszcze większego głuptasa? Albo co gorsza nie popaść w rzewny ton. - Powiedziałeś, że mogę sobie pójść. I to właśnie próbuję zrobić.

- Myślałem, że jesteś zmęczona. - Przyglądał się jej oczom i ustom. Posunął się za daleko. - Nie chcę, żebyś odeszła. Czy naprawdę sądzisz, że Jack mógłby zająć twoje miejsce?

Popatrzyła mu w oczy.

- Nie, ale nie jesteś moim... Teraz jesteś przytomny i może ci pomagać każdy, kogo sobie wybierzesz.

- Dobrze sobie radzisz, Saro. - Uśmiechnął się do niej. - Zostaniesz?

- Dopóki nie będziesz mógł sam siedzieć i jeść i... i poradzić sobie ze swoimi osobistymi potrzebami.

- Dobrze. - Podsunął dłoń pod szklankę i przechylił ją sobie do ust. Woda nigdy jeszcze nie była taka pyszna. Kiedy skończył pić, położył głowę na łóżku.

- Czy ciągle masz ochotę na rosół?

- Jeżeli ci to nie przeszkadza.

Potrząsnęła głową.

- Dwadzieścia cztery godziny temu wszystko byłabym dała, żeby usłyszeć twój żartobliwy ton. - Postawiła rondel na piecyku i nalała rosółu.

- Naprawdę?

Odbierając szklankę popatrzyła na niego.

- Gil, cieszę się, że lepiej się czujesz. Naprawdę. - Uśmiechnęła się blade. - Może chciałbyś do kogoś napisać? Powiadomić, co się stało, i zapewnić, że wszystko będzie z tobą do-

brze? - Zastanowił się nad propozycją, a ona w tym czasie rozważała, o kim mógł myśleć.

Był taki list, który powinien napisać, ale tego akurat listu Sara nie mogła za niego wysłać.

- Nie teraz. Moja rodzina się o tym nie dowie. Napiszę do nich później.

- Z radością napiszę list pod twoje dyktando, jeżeli się rozmyślisz.

- Powiadomię cię. - Uśmiechnął się.

Sara napełniła do połowy szklankę rosółem.

- Pomyślałam, że pewnie będziesz wolał się napić, niż że-
bym cię karmiła łyżeczką.

- Rzeczywiście czułem się jak mały chłopiec w krótkich porteczkach.

Podawała mu szklankę.

- Wyglądasz jak mały chłopiec, kiedy śpisz.

Gil zacisnął szczęki i skrzywił się. Kiedy przeszła mu chęć do śmiechu, popatrzył na nią.

- Proszę cię, nie rozśmieszaj mnie. To boli.

- Nigdy się sobie nie wydawałam szczególnie zabawna.

- Mylisz się, Saro. Zdecydowanie zdarza ci się to od czasu do czasu. - Powoli przechylił szklankę do ust i zaczął łykać rosół.

- Pochlebiasz mi... - Przyglądała mu się zafascynowana jego grydką. Podskakiwała za każdym razem, kiedy przełykał. Jak skończył, napełniła ponownie szklankę. Wciąż wyglądał tak młodo. - Ile masz lat?

- Dwadzieścia dziewięć. A dlaczego pytasz?

- Bez powodu. Myślałam, że jesteś starszy. - Ściągnęła brwi. - Wyglądasz na starszego, jak nie leżysz chory w łóżku. - Zabrzmiało to idiotycznie.

Gil pokazał zęby w uśmiechu.

- Nie będę pytał, ale nie wyglądasz mi na taką staruszkę, żeby dwadzieścia dziewięć lat mogło ci się wydawać bardzo młodym wiekiem.

- Wszystko zależy od tego, co wydarzyło się przez cztery lata. - Po ostatnim tygodniu czuła się o dziesięć lat starsza niż on.

- To prawie żadna różnica.

- Dzięki.

Drugą szklankę rosołu dopijał już wolniej.

- Myślę, że teraz będę mógł spać. A jak ty?

- Dzień był długi. - Wypłukała szklanke i postawiła ją na stole. - Czy będzie ci dość ciepło? Mam dodatkowo koc.

- Ty go weź. Jeżeli zrobi się za zimno, możemy się razem przykryć. - Oczy jej rozszerzyły się, a potem zwęziły. Gil uśmiechnął się do niej miło. - Słodkich snów, Saro.

13

Sara obudziła się następnego ranka później niż zwykle. Poprzedniego wieczoru przez dłuższy czas nie mogła zasnąć. Usłyszała szelest koców i odwróciła się w stronę Gila. Patrzyła na niego z drugiego końca pokoju, a to, że oboje leżeli przy tym na swoich posłaniach, wywoływało przedziwne łaskotanie w jej podbrzuszu. Jego oczy powoli otwały się i skupiły na niej.

Uśmiechnęła się niezobowiązująco.

- Długo już nie śpisz?

- Kilka minut. - Wystarczająco długo, żeby zobaczyć, jak przeciąga się niczym zadowolona kotka. - Ty mi się już przyglądałaś. Pomyślałem, że też powinienem skorzystać z okazji.

Sara wysunęła się z ciepłutkiego posłania, poukładała koce i odsłoniła zasłony. Potem rozpałała ogień i nastawiła kawę.

Kiedy ona zajmowała się działalnością praktyczną, on zastanawiał się, czy to jej druga natura, czy też chce w ten sposób przerwać intymny nastrój. Z rozmysłem czy bez, rezul-

tat był taki sam. Nie miał nic do roboty poza rozglądaniem się i zwrócił uwagę na subtelne zmiany w pokoju. Wyglądał niemal po domowemu.

- Czy zostało jeszcze trochę rosołu?

- Odrobinę. - Nalała resztkę rosołu do rondelka i postawiła go obok kawy. - Później ugotuję ci więcej - powiedziała oglądając się na niego. Ze zmierzwionymi włosami wyglądał ujmująco. - Czego jeszcze chciałbyś się napić?

- Czy mógłbym dostać coś do jedzenia?

- Na razie piłeś tylko troszkę więcej niż jeden kubek na raz. Zobaczymy, czy większa ilość nie rozstroi ci żołądka, a dopiero potem spróbujesz jeść.

- Jeżeli tak mówisz. - Naciągnął sobie przykrycie na ramię. - Jak będziesz miała czas, to chciałbym zmienić koszulę. Ta jest taka jakby trochę cienka.

- Ładnie ci będzie w tej zielonej flanelowej.

- Jeżeli tak mówisz. - Uśmiechnął się do siebie, kiedy wsuwał rękę pod koc i rozpiął guziki koszuli. - Tak bym chciał już móc obrócić się na bok albo usiąść w wannie.

- Nie zalecałabym tego, dopóki rany się nie zagoją. - Sara otworzyła szufladę i przesunęła rękami po miękkiej wełnianej koszuli na wierzchu. - Plecy, ręce i nogi masz całkiem czyste.

Popatrzył na nią.

- Skąd to możesz wiedzieć?

- Przemyczałam ci je wilgotnymi szmatkami.

- Kapałaś mnie, jak byłem nieprzytomny? A mnie cała zabawa ominęła?

- Przespałeś kąpiel, to prawda, ale nie jestem pewna, czy dobrze byś się przy niej bawił. - Za to gdybym ja nie była taka zmartwiona, mogłabym ją uznać za całkiem ekscytującą.

- Czy ty się czerwienisz, Saro? Co ty właściwie robiłaś?

- Absolutnie się nie czerwienię. - Oстрым ruchem strzepnęła koszulę. - Robiłam ci okłady z zimnych, mokrych kawałków materiału, a to dowodzi, jaki byłeś chory. Po pierw-

szym w ogóle przestałeś protestować. - Zaczęła rozpinąć koszulę. - Phoebe mi pomagała.

- Ale musiało być przedstawienie - powiedział przyglądając się jej. - Ile pań zaprosiłaś do pomocy?

Uśmiechnęła się.

- Żałuję, ale nie pomyślałam, żeby sprzedawać bilety. Mogłybyśmy się podzielić pieniędzmi, a jestem pewna, że damy z radością porównywałyby twoją posturę z posturą swoich mężów.

- Pewnie powinienem być ci wdzięczny za to zaniedbanie. - Wypchnął spod siebie boki koszuli, co wymagało więcej wysiłku, niż przypuszczał.

Sara odchyliła kołdrę i koc, i uśmiechnęła się na widok jego porozcinanych spodni. Ależ on ma ładne nogi, pomyślała.

- Może byłoby ci wygodniej w nocnej koszuli.

- Sypiam w koszuli tylko podczas mrozów.

- W nocy już robi się zimniej - powiedziała usiłując ściągnąć razem boki jednej nogawki - a ty nie możesz się ruszać, żeby się rozgrzać.

- Co ty robisz? - Poruszył nogą i poczuł coś dziwnego. - Co się stało z moimi spodniami?

- Rozcięłam ci nogawki.

- Zniszczyłaś mi parę dobrych spodni?

- Mówiłam ci, że musiałam ochłodzić jak największy kawałek twojego ciała. Phoebe mi pomagała, a nie chciałam urazić jej wrażliwości, zdejmując ci przy niej spodnie.

- Jej wrażliwości? - zapytał cicho. - Czyżbyś ty była bardziej przyzwyczajona do zdejmowania panom spodni niż ona?

Sara zignorowała jego zaczepkę.

- W tym czasie twoje życie wydawało się ważniejsze niż para spodni. Ale zdarzało mi się już wcześniej mylić.

- Naprawdę się martwiłaś, prawda?

- Nigdy jeszcze nie czułam się odpowiedzialna za śmierć człowieka. Nie chciałam zaczynać od ciebie.

- Cieszę się.

- Jak zmienimy koszulę, pomogę ci zmienić spodnie.

- Teraz to proponujesz, jak jestem na twojej łasce.

Sara uśmiechnęła się, ale powiedziała tylko:

- Jeżeli wyprostujesz ręce po bokach, wówczas zsunę z ciebie koszulę. - Oparła się pragnieniu, żeby go dotknąć, ale zwróciła uwagę na jego ruchy. - Czy boli cię prawa ręka?

- Boli mnie bok. Kiedy korzystam z tej ręki, czuję się tak, jakby mnie ktoś przebił nożem.

- Będę ostrożna. - Wsunęła palce pod kołnierzyk z tyłu i pociągnęła dół koszuli drugą ręką. Kiedy przesuwiała mu koszulę po łopatkach, muskała gładką, lekko opaloną skórę.

- Czy coś nie w porządku?

- Nie... wcale nie. - Poczowała się zażenowana, że przytapała ją na tym, jak mu się przygląda, i szybko ściągnęła mu lewy rękaw. Drugi dał się zsunąć z łatwością.

Kiedy upuściła koszulę na podłogę, zobaczył plamę krwi.

- Myślałem, że już przestałem krwawić.

- To tylko mała plamka. Jeżeli ruszasz się za dużo, to troszkę krwawisz. - Wsunęła mu prawy rękaw koszuli na rękę. - Wyprałam koszulę, tę z dziurami po kulach. Leży na biurku.

- Pamiątka? Założę ją w przyszłe lato. Jeżeli się okaże chłodniejsza, to może przestrzelę sobie jeszcze kilka koszul.

- Może to zbije z tropu następnego człowieka, który będzie do ciebie mierzył z pistoletu. - Założyła mu drugi rękaw, a potem wygładziła koszulę na plecach.

- Mmm, jak przyjemnie. Czy zdarza ci się zajmować masażem pleców? Ja się tam nawet nie mogę podrapać.

- Pewnie mogłabym cię pomasować, ale czy nie będą cię od tego bolały zebra?

- Mówiłaś, że nacierałaś mi plecy mokrymi szmatkami. Nie widzę powodu, dla którego przeciąganie po nich palcami miałoby mi w czymkolwiek zaszkodzić. - Próbował popatrzeć na nią kątem oka, ale był w stanie zobaczyć tylko jej bluzkę. - Jeżeli nie chcesz mi pomasować pleców, to przynajmniej zrób krok w bok, żebyś mnie mógł zobaczyć.

Zaledwie dotknęła jego pleców jedną ręką, Gil zamknął oczy. Dobrze, pomyślała, lepiej nie patrz. Przesunęła palcami w stronę jego karku.

- Naciskaj może troszkę mocniej, Saro. Teraz łaskoczesz.

- W porządku. - Trzymając dół koszuli w jednej ręce, potarła mu plecy nieco silniej. Gil wymamrotał coś głębokim głosem, niemal jakby mruzczał, więc kontynuowała bardziej pewnie.

- Jak miło...

Ona też tak uważała wodząc palcami po jego ramionach. Wymasowała mu kark. Włosy miał gęste i miękkie. Kiedy przesuwała rękami w dół, wyobraziła sobie, że on jej robi to samo. Niepokojący obraz wydał jej się niemal realny. Na samą myśl o tym, że jego wielkie dłonie dotykają jej pleców, Sarę przeszedł dreszcz.

Gil poczuł drżenie jej rąk i uśmiechnął się.

- To bardzo miłe uczucie. Musisz mieć wprawę.

- Dawno tego nie robiłam. - Uniosła dłonie, zgięła i rozprostowała palce, a serce biło jej w radosnym oczekiwaniu, którego już prawie nie pamiętała. - Czy łatwiej będzie zmienić ci spodnie, jak będziesz leżał na brzuchu, czy na plecach?

Naprawdę bardzo chciał, żeby nie stała poza jego polem widzenia.

- Chyba na brzuchu.

- Tak, może tak będzie najlepiej. - Położyła ręce na pasku jego spodni i zaczęła przesuwać każdą z nich do przodu.

- Co ty próbujesz zrobić?

Sara zamarła, pochylona nad nim; niemalże obejmowała go w pasie.

- Rozpiąć ci spodnie.

- Powinnaś była zapytać. - Ale cieszył się, że tego nie robiła. - Są rozpięte. Wsuń kciuki za pas i zsuniesz je z łatwością. - Ręce jej się trzęsły, a on uświadomił sobie, że jednak nie jest pozbawiony czucia poniżej pasa. Sara przesunęła spodnie aż do bioder i zatrzymała się. - Lepiej cię przykryję kocem.

- Jak chcesz - powiedział sucho.

Na pewno nie chcę, żeby prześladowało mnie wspomnienie jego siedzenia, pomyślała rozkładając na nim koc. Sięgnęła pod przykrycie, zsunęła mu spodnie z bioder i ud, i ściągnęła nogawki w dół.

- Żałuję, że nie mam żadnych luźnych spodni. Nigdy jeszcze nie leżałem w łóżku ubrany.

- Gdzie trzymasz spodnie?

- W trzeciej szufladzie. Wybierz najstarszą parę.

Sara znalazła parę miękkich, znoszonych płóciennych spodni.

- Te wyglądają na wygodne. - Podniosła je tak, żeby mógł zobaczyć.

- Dobry wybór.

Odkryła jego nogi, ale siedzenie zostawiła przykryte. Naciągnięcie nogawek na nogi tak, żeby nie poruszyć boku, trwało dłużej niż zdejmowanie, ale powoli podsunęła mu spodnie na siedzenie.

- No. Lepiej ci?

- Dużo. - Usiłował wyciągnąć szyję i popatrzeć na nią. - Czy widzisz jakiś powód, dla którego miałbym ciągle leżeć na brzuchu?

- Od kiedy się czujesz lepiej, właściwie nie.

- Dobrze. Wygląda na to, że niewiele jestem w stanie sam dla siebie zrobić. - Zebrał siły przed dotkliwym bólem, który, tego był pewien, zaraz nim wstrząśnie.

Sara przyglądała mu się bacznie przez chwilę.

- Wyprostuj ręce przy bokach. Przeturlam cię jak kłodę. - Ułożyła mu poduszki za plecami i przewróciła go do tyłu, a potem wyjęła poduszki.

Gil westchnął i uśmiechnął się do niej.

- Masz delikatny dotyk. - Uniósł jej dłoń. Palce Sary zdrząły, a on potarł kciukiem po kostkach.

- Lepiej przyniosę rosół. - Nie chciała czuć ciepła jego dotyku i wysunęła dłoń. - Pewnie jest już wrzący. - Przy piecyku nalała parującą ciec do kubka.

- Czy któraś z tych trzcinek wyschła na tyle, żeby można jej użyć?

Sara sprawdziła i wybrała jedną.

- Używałeś kiedyś takich trzcinek?

- W dzieciństwie. Strzelaliśmy z nich nasionami.

- Przynajmniej wiesz, że to działa. - Uśmiechnęła się. - Będziesz musiał poczekać, aż rosół przestygnie, inaczej trzcinka zmięknie. - Odcięła jeden segment, przyłożyła go do warg i dmuchnęła, żeby upewnić się czy jest drożna. - Co jeszcze robiłeś ze swoimi przyjaciółmi?

Gil wyszczerzył zęby.

- Raz włożyliśmy kierownikowi szkoły żywą rybę do kieszeni, raz przejechaliśmy przez miasteczko przebrani za Indian, a raz.. - zachichotał - zakradliśmy się... nie, o tym nie chciałybyś słuchać. - Były w życiu mężczyzny takie chwile, którymi nie można dzielić się z damą.

- Musiałeś też być dobrym gawędziarzem. - Podała mu kubek i słomkę. Rozległo się pukanie do drzwi. - Proszę.

Do środka wszedł Charles.

- Dzień dobry. Cieszę się, że żadne z was już nie śpi.

- Kontrolujesz mnie? - Sara nalała kawy do swojego kubka i dmuchnęła na gorący płyn.

- Gil, wyglądasz dużo lepiej.

- Będę ci musiał uwierzyć na słowo. - Gil zerknął w kierunku Sary. - Przynajmniej się obudziłem.

Sara zauważyła, że Charles przygląda jej się tak, jakby czymś się martwił. Wyprostowała się i w odpowiedzi zaczęła się bacznie przyglądać jemu.

Charles podszedł bliżej.

- Powinniśmy wydać gazetę i jesteś mi potrzebna. Oliver Grebby posiedzi trochę z Gilem.

- Chyba nie martwisz się o moją reputację - szepnęła.

- Wystarczająco długo tu byłaś. - Charles zwrócił się do Gila. - Czy zgadzasz się na to, Gil?

Pan Grebby wszedł i zdjął kapelusz.

- Dzień dobry pani, pani Hampton. Dzień dobry, panie Perry

- Miło cię zobaczyć, Oliverze, ale niepotrzebna mi pielęgniarka.

Sara uśmiechnęła się do pana Grebby'ego.

- Ma się nie ruszać. Niewiele trzeba, żeby znowu zaczął krwawić. Pokażę panu dłaczego.

Gil przycisnął koc mocno do boku.

- To nie jest konieczne.

- Nie zgadzam się. - Uniosła rękę, odchyliła koc i podciągnęła koszulę odkrywając bandaż. - Jeżeli zobaczy pan jego ranę, trudniej będzie mu namówić pana do wyjścia. - Przesunęła bandaż na tyle, żeby odsłonić ranę na przodzie. Pan Grebby zbladł i Sara wiedziała, że osiągnęła swój cel.

- Proszę się nie obawiać, proszę pani, nie zostawię go samego. - Pan Grebby cofnął się o krok. - Czy będę musiał... zmieniać opatrunek? Nie jestem pewien...

- Nie, proszę pana. Gil może wypić tyle rosołu, kawy i wody, ile będzie chciał. Przyślę jeszcze trochę rosołu. - Rzuciła spojrzenie na Charlesa i dodała: - Nie zostawiam pana na długo.

Charles podszedł do otwartych drzwi.

- Poradzą sobie świetnie, Saro. Chodźmy.

Sara delikatnie nasunęła bandaż na miejsce i obciągnęła Gilowi koszulę. Kiedy otuliła go kocem, napotkała jego spojrzenie.

- Zachowuj się przyzwoicie.

Gil przyłożył dłoń do boku i zachichotał.

- Chwilowo może powinienem.

Sara owinęła szalem ramiona, wzięła kartki ze swoim artykułem i przygotowane notatki, i wyszła z Charlesem. Po zastanowieniu uświadomiła sobie, że dobrze zgrali to w czasie. Gil prawdopodobnie znowu będzie potrzebował skorzystać z dzbanka, a ona z przyjemnością przekaże ten obowiązek panu Grebby'emu.

Sara przeczytała ponownie swoją relację z napadu na bank, położyła na biurku Charlesa i zajrzała mu przez ramię.

- Czy to twój artykuł wstępny?

- Właśnie go kończę. - Podniósł na nią zmęczony wzrok.

- A co z artykułem panny Lucy? Myślisz, że staruszka będzie coś dla nas miała w tym tygodniu?

- Staruszka? To brzmi tak, jakby mogła być za słaba, żeby cokolwiek napisać!

- Wystarczą ze dwie strony. Nie chciałbym, żeby wszystkie artykuły w gazecie miały za temat napad na bank.

- Zobaczę, co „ona” zdoła wymyślić. - Nie miała serca do pouczeń o formach towarzyskich. Podczas tańców mężczyźni zachowali się jak džentelmeni. Czy od tamtego wieczoru minął tylko tydzień?

- Czy mi się zdaje, czy miałaś jakiś list od pana Browna? Może go wykorzystasz.

- Zobaczę - powiedziała i dotknęła ręką kieszeni. - Jak go przeczytam jeszcze raz. - Przejrzała ponownie artykuł. - Rada miejska? O co tu chodzi?

- Po napadzie zaczęliśmy się zastanawiać, czy nie pora już wybrać radę miejską. Może powinniśmy nająć szeryfa albo kogoś, kto mógłby pełnić jego rolę, kiedy zajdzie potrzeba.

- Tak tu było spokojnie, niechętnie myślę o tym, że może nam być potrzebny szeryf.

Charles podniósł na nią oczy.

- Sądzę, że niektórzy nazwaliby to postępem.

- W jakim kierunku? - Potrząsnęła głową. - Nie zwracaj na mnie uwagi.

- Może byś się przeszła? To zawsze pomaga rozjaśnić umysł.

- Zrobię tak. - Zdjęła szal z oparcia krzesła. - Z kim chciałbyś, żebym przeprowadziła w tym tygodniu wywiad?

- Rzeczywiście! Zastanówmy się... Może by tak z Timothy Farmerem?

- W porządku. Do zobaczenia później. - Musiała załatwić pewną sprawę, zanim pójdzie na spacer.

Zajrzała do składu towarów mieszanych, kupiła pulchnego kurczaka i poszła do domu. W domu było pusto; zabrała się do roboty. Wkrótce w kociołku pełnym wody perkotał już na kuchennym piecu kurczak z ziołami. Zostawiła karteczkę dla Phoebe, założyła grubą pelerynę i wyszła na zewnątrz.

Od wschodu wiał rzeński wiatr; Sara energicznym krokiem poszła wzdłuż rzeki do małego strumyka, przy którym skręciła w las. Czuby wysokich świerków i czerwonych cedrów kołysały się malowniczo. Do strumyka ostrożnie zbliżyła się łania i Sara zatrzymała się, żeby na nią popatrzeć. Czuła się niemal winna ciesząc się tym pełnym spokojem obrazem, podczas gdy Gil leżał w łóżku i nie był w stanie nawet przekrócić się na bok bez czyjejs pomocy.

Zawinęła się szczelnie w pelerynę i idąc między drzewami przypominała sobie, jaki dźwięczny miał głos i jak czule tulił jej dłoń. Pamiętała nawet ciepło jego ramion, kiedy trzymał ją w swoich silnych objęciach podczas wspólnego tańca.

Przyspieszyła kroku. Ze wszystkiego żartował. Czy nie potrafił być poważny? Jej dłoń musnęła kieszeń przy spódnicy. Nie każdy uważał życie za wspaniałą zabawę. Zatrzymała się na tyle, żeby ponownie przeczytać list pana Browna. *Fiolek przy omszałym kamieniu, na wpół ukryty przed okiem! Piękny niczym gwiazda, gdy jedna tylko na niebie zaświeci.*

I znowu nie podał nazwiska na kopercie. Najwyraźniej nie życzył sobie nawiązania prywatnej korespondencji. Ciekawe. Odrobina tajemnicy może sytuacji dodać smaku ale jej nadmiar tylko ją frustrował.

Ruszyła z powrotem do miasta.

Wystarczy dwie stroniczki, o tyle Charles prosił. Jako panna Lucy. Sporządziła sobie już kiedyś listę tematów. Zajmie się następnym z listy i zakończy linijką czy dwoma do

pana Browna. Jeżeli rzeczywiście jest zainteresowany, może ten artykuł da mu odwagę, żeby się z nią zapoznać.

Pospiesznie wróciła do redakcji po papier i ołówek, a następnie udała się do zakładu fryzjerskiego, żeby przeprowadzić wywiad z panem Farmerem. W dwadzieścia minut później wyszła ze wszystkimi informacjami, jakie przymiliwszy się, udało jej się wycisnąć.

Jej przyjaciółka wróciła do redakcji *Gazette* i pomogła Charlesowi złożyć pierwszą stronę gazety.

- Phoebe, czy znalazłaś karteczkę, którą ci zostawiłam w domu?

- Cora ją znalazła. - Phoebe otarła ręce w szmatę i podeszła do Sary. - Skosztowała też rosołu i chce wiedzieć, jak go zrobiłaś.

- To urocze z jej strony. Szkoda, że nie zapisałam sobie, jakich użyłam składników. - Sara przeszukała notatki i znalazła listę tematów do artykułów panny Lucy.

- Nie wspomniałaś ani słowem o liście. Czy był od „pana poety”?

- Był i sama dobrze o tym wiesz. - Sara wyjęła z kieszeni list i podała go Phoebe. - Jeżeli napisze jeszcze raz, wybrałabyś się ze mną któregoś dnia do Fenton's Crossing?

- Nie, nie wybrałaby się - powiedział Charles patrząc na nie obie.

Phoebe nie zwróciła uwagi na męża i przeczytała list.

- Naprawdę robi takie wrażenie, jakby się w tobie zadurzył. Kiedy chcesz jechać?

- Powinnaś poczekać, aż Gil wstanie z łóżka. Poczekajmy, czy „pan poeta” jeszcze się odezwie.

- Nie sądzę, żeby miał teraz przestać. Zrobimy sobie piknik... pojedziemy na cały dzień. - Phoebe zerknęła spod oka na Charlesa. Nie chwycił przynęty. - Możemy założyć nasze najlepsze, niedzielne suknie i nawiązywać rozmowę z każdym z mężczyzn w mieście, dopóki nie trafimy na pana Browna.

- Powinno być zabawnie - powiedziała Sara pogrążona w myślach o artykule.

Phoebe spiorunowała wzrokiem Charlesa, potem Sarę.

- Prawdziwe z was dusze towarzystwa.

- Kochanie, im prędzej się gazeta ukaże...

- Wiem. - Podeszła do niego. - Czy chcesz, żebym zajęła się ogłoszeniami?

- Dziękuję ci, Phoebe. - Charles uśmiechnął się do niej.

Sara pracowała nad artykułem panny Lucy na temat sztuki konwersacji. Zakończyła radą dla dżentelmena, który szczególnie zainteresowany jest jakąś damą i czuje się niepewnie na myśl, że mógłby z nią rozpocząć korespondencję. Kiedy już zorientuje się w jej sympatiach, radziła, powinien zwrócić się do niej z większą pewnością. Zakończyła cytatem, który gdzieś kiedyś przeczytała: *Miłość nie patrzy oczami, lecz umysłem.*

Nie całkiem zgadzała się z tym cytatem, ale miała nadzieję, że doda on „panu pocie” odwagi. Napisała wersję ostateczną i podała ją Phoebe.

- Przeczytaj ostatni paragraf.

Phoebe przejrzała uważnie koniec artykułu i skinęła głową.

- Czy myślisz, że „pan poeta” zrozumie, o co ci chodziło?

- Kusi mnie - Sara wzruszyła ramionami - żeby na tej szpalcie dać mu znać, że chciałabym się z nim spotkać, ale to brzmi zbyt zuchwale, nawet jak na mnie.

- Zatrzymać prasę... mamy tytuł na pierwszą stronę!

- Charlesie Abbott, w ogóle nam nie pomagasz.

Charles potrząsnął głową.

- Dlaczego nie pozwolicie temu biednemu człowiekowi kierować swoimi sprawami na swój własny sposób?

- Jakimi sprawami? - Sara zachichotała.

- Kiedy Clay po raz pierwszy okaże zainteresowanie jakąś dziewczyną, będę z nim musiał odbyć dłuuuugą rozmowę. - Charles podszedł do Phoebe. - Czy to artykuł panny Lucy?

Podała mu kartki.

- Lepiej pójde zobaczyć, co robi Cora. Czy chciałbyś, że-
bym ci później przyszła pomóc?

- Nie, prawie już mogę zaczynać. Zobaczymy się w do-
mu, moja droga. - Czytając artykuł powędrował z powro-
tem do prasy drukarskiej.

- Czy możemy już wychodzić, Saro?

- Jeszcze tylko kilka minut. - Sara sięgnęła po notatki
z wywiadu z panem Farmerem i szybko napisała krótki
tekst. Położyła go na biurku Charlesa, schowała list „pana
poety” wraz z pozostałymi do szuflady, poukładała papiery
na biurku. - Jestem gotowa.

Phoebe obejrzała się na męża i wyszła razem z Sarą.

- Gdybym mu nie powiedziała, że wychodzę, nawet by
nie zauważył.

- Lubi tę pracę i dobrze ją wykonuje. - Sara wzięła Phoe-
be pod rękę. - Nie bądź dla niego za surowa. On cię uwielbia.

Phoebe uśmiechnęła się.

- To dlatego z nim wytrzymuję.

- Jest coś, co muszę kupić u Seatonów. Chcesz pójść ze
mną? To zajmie tylko parę minut.

Phoebe skinęła głową i poszły drewnianym chodnikiem
do składu towarów mieszanych.

- Nie zapominaj o rosole. Wciąż jeszcze się gotuje.

- Nie ośmieliłabym się. Zanim wyszłam, Gil narzekał na
brak jedzenia. - Weszły do środka i Sara podeszła do bocz-
nej ściany, pod którą na półkach poukładane były jedne na
drugich bele materiałów.

Phoebe podążyła za nią.

- Czego szukasz? Nagle zainteresowałaś się szyciem?

- Można by tak powiedzieć. - Sara przesunęła dłońią po
zwoju niebieskiej flaneli i zmierzyła wzrokiem czerwoną. -
Jeżeli każda kobieta powinna mieć czerwoną halkę, to czy
nie sądzisz, że Gilowi spodobałyby się czerwone spodnie do
spania?

Phoebe patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

- Gilowi? Masz zamiar uszyć mu flanelowe spodnie do spania?

- Będą miękkie i ciepłe. - Sara popatrzyła na przyjaciółkę. - I nikt ich nie będzie oglądał. Jak myślisz? Czerwone czy niebieskie?

- Myślę, że zwariowałaś.

- Czerwone. - Sara ściągnęła belę z półki i zaniósła ją na ladę.

Alice Seaton skończyła obsługiwać klientkę i podeszła do Sary.

- Prawda, że przyjemny ten wiśniowy kolor?

- Tak, bardzo.

- Czy chcecie, żeby wystarczyło na halkę?

Ponieważ jak dotąd Sara nigdy nie szyła męskich spodni, mogła się tylko domyślać, jaka długość będzie jej potrzebna.

- Powinny wystarczyć trzy jardy i pół, i poproszę o dwie igły i trochę nici. Pójdę wybrać guziki.

- Nie spiesz się, Saro.

Sara uśmiechnęła się do Alice, potem dotknęła ramienia Phoebe i podeszły do kaszty z guzikami.

- Ile guzików będzie trzeba?

- Już zapomniałaś? - Phoebe zniżyła głos. - Przecież to nie było tak dawno, prawda?

- Powinny wystarczyć trzy. Nie będzie w nich chodził po ulicy. - Sara wybrała guziki. - Czy pozwolisz, że użyję pary spodni Charlesa jako wzoru? Wykrojenie nie zajmie mi dużo czasu.

- Zrobię to za ciebie.

- Dziękuję ci, ale nie. To moja robota. - Jeżeli spodnie się nie udadzą, postanowiła Sara, przynajmniej zrobi się z nich całą stertę czerwonych szmatek do kurzu.

Sara zastukała do drzwi Gila obładowana materiałem, pudełkiem z szyciem i dwoma słoikami rosółu z kurczaka. Ponieważ było sobotnie popołudnie, w całym miasteczku trwała krzątanina i bieganina.

Pan Grebby otworzył drzwi i uśmiechnął się do niej.

- Akurat śpi - wyszeptał.

- Przepraszam pana - Sara weszła cicho i położyła tobołki - że tak długo to trwało.

- Wszystko z nim w porządku, tylko ciągle chce mu się pić - powiedział pan Grebby.

- Dziękuję, że dotrzymał mu pan towarzystwa. Jestem pewna, że Gil ucieszył się widząc pana.

Pan Grebby wyszedł na korytarz i skinął na Sarę, żeby się do niego przyłączyła. Kiedy to zrobiła, przymknął drzwi i szepnął:

- Jak długo będzie jeszcze tak leżał plackiem?

- Naprawdę nie jestem pewna. Myślałam, że Charles będzie wiedział, ale on mi tylko powiedział, że ludzie, którzy odnosili takie rany jak Gil, na ogół tego nie przyżywali.

- No, no. - Pan Grebby przesunął dłonią po podbródku. - Jeżeli będzie pani czegoś trzeba, proszę tylko dać mi znać.

- To miło z pana strony.

Kiedy Gil spał, wyprawiła się do studni po świeży zapas wody i zaczęła zszywać flanelowe spodnie. Ponieważ miał je nosić tylko w swoim pokoju, nie wszyła mu kieszeni. Szyjąc zerkała na niego i miała nadzieję, że będzie spał, dopóki nie skończy.

Nie było to mądre, ale nagle sama idea kałesonów do spa-

nia dla niego wydała jej się czymś niesłychanie intymnym, bardziej nawet niż wsuwanie mu palców między żebra. Skończyła boczne szwy i zaczęła zszywać szew środkowy, usiłując nie myśleć o tym, co będzie zakrywał.

Gil przełknął i potarł usta wierzchem dłoni. Czy tylko śniło mu się, że jadł kurczaka? Tak ślicznie pachniało, że niemal czuł jego smak w ustach. Ziewnął i potarł sobie twarz.

- Timothy... musiałem zasnąć.

Na dźwięk jego głosu Sara podskoczyła i wbiła igłę w sam środek krocza.

- Timothy wyszedł przed chwilą. - Upuściła kalesony na podłogę i podeszła do łóżka, a serce wciąż łomotało jej w piersi.

Oczy Gila otworzyły się gwałtownie i uśmiechnął się.

- Wróciłaś.

- Na to wygląda. Czy dobrze wypocząłeś? - Podeszła do piecyka i nalała mu kubek rosołu.

- Mhm. - Pociągnął nosem. - Wciąż mi tu pachnie kurczakiem. Chyba nigdy nie miałem takich realistycznych snów o jedzeniu.

Wiedziała, że się szeroko uśmiecha, ale nie mogła się oprzeć, żeby chociaż przelotnie na niego nie zerknąć.

- Musiałeś poczuć zapach rosołu.

- Jakie mam szanse, że znajdę w nim parę kęsów ptaszka?

- Niewielkie albo żadne. - Kiedy podała mu kubek i trzcinę, przesunął rękami po jej dłoniach. Nie umknęła z rękami.
- Jak twoje żebra?

- Bola.

Sara odchyliła przykrycia i koszulę. Na bandażach nie było świeżych plam, a to podniosło ją na duchu. Lekko nacisnęła gładką, ciepłą skórę i Gil się wzdrygnął.

- Za dzień albo dwa może będziesz mógł dostać trochę budyniu i może odrobinę siekanego mięsa w rosole.

Palce miała chłodne, ale na policzki wystąpiły jej chyba wypieki. Gil wyciągnął rękę i odgarnął jej do tyłu włosy. By-

ły równie miękkie, jak wyglądały, i nie miał ochoty opuścić ręki.

Popijał płyn przez słomkę i uśmiechał się do niej.

- Mm, smakuje równie dobrze, jak pachniało.

- Cieszę się, ale nie spodziewaj się, żeby następny rosół smakował tak samo. Nie korzystałam z przepisu.

- Masz zamiar dla mnie gotować?

- Ktoś musi. Ty nie dasz rady.

- Był tu wcześniej Jack. - Gil pociągnął następny łyk rosółu. - Widziałaś go?

Sara potrząsnęła głową.

- Pewnie nie miał żadnego powodu tu siedzieć, jak już zasnąłeś.

- Nie mam mu za złe. - Dopił do końca rosół z kubka. - Która jest godzina?

- Nie jestem pewna. A dlaczego?

- Moja załoga w soboty po południu zjeżdża się do miasteczka. Będę musiał dowiedzieć się, co się dzieje w obozowisku. - Zapatrzył się w okno. - Całkiem straciłem poczucie czasu leżąc tutaj.

Sara postawiła zegar z przodu na rogu komody, tarczą do Gila.

- Czy widzisz teraz zegar?

Gil obejrzał się na komodę i kiwnął głową.

- Dzięki. Czy Charles wydał już gazetę?

- Pewnie w tej chwili ją drukuje. Prawie była złożona i gotowa, kiedy wychodziłam z redakcji. - Masz ochotę na więcej?

Wyciągnął do niej kubek.

- Mam nadzieję, że ugotowałaś całe mnóstwo.

- Tyle, że powinno ci wystarczyć do jutra. - Napełniła ponownie kubek i podała mu go.

- Co zrobiłaś z kurczakiem?

- Co robiłam? - zapytała wzruszając ramionami. - Zostałam go na talerzu u Phoebe. Dlaczego pytasz?

- Bardzo bym go chciał dostać w swoje ręce na dwie minuty.

Sara roześmiała się, a potem postanowiła, że nie powinna go zachęcać.

- Jeżeli skończyłeś, zabiorę kubek.

Gil przytrzymał go oburącz i zrobił minę, która miała być groźna.

- Jeżeli cenisz swoje życie, nie rób tego.

- Cieszę się, że zrozumiałeś - powiedziała rozbawiona. - Rosół jest lepszy niż woda albo nic.

Przysłuchiwali się, jak drogą nadjeżdża jakiś wóz i zatrzymuje się przed saloonem.

Gil spojrzął znad brzegu kubka na zegar.

- To powinni być moi ludzie. Będziesz musiała poznać mojego nadzorcę, Henry'ego.

- Pójdę do domu na kola... to znaczy, zostawię cię, żebyś mógł sobie pogawędzić z twoimi przyjaciółmi.

Wyszczrzył do niej zęby.

- Zapomniałaś sobie przynieść kolacji?

Sara otwarcie stawiła mu czoło.

- Tak, zapomniałam.

- Chętnie się z tobą podzielę. Poczęstuj się kubkiem rosołu... ja stawiam.

- To bardzo wspaniałomyślnie z twojej strony, ale ja...

- Wolałabym zjeść coś bardziej konkretnego. - Uśmiechnął się z przymusem. - Ja zresztą też.

Na korytarzu zaczęło się jakieś hałaśliwe zamieszanie, a po chwili ktoś załomotał do drzwi. Sara przyjrzała się Gilowi.

- Twoi przyjaciele?

- Lepiej im otwórz - Gil szeroko się uśmiechnął - zanim zdejmą drzwi z zawiasów.

Sara szarpnęła drzwi, ale nie otworzyła ich na oścież, tylko uchyliła i stanęła w progu. Znalazła się twarzą w twarz z jakimś mocno zbudowanym mężczyzną; po jego obu stronach tłoczyli się dwaj inni.

- Dzień dobry panom.

Trzej mężczyźni natychmiast zamarli, potem wyprostowali się i zrobili nieco zażenowane miny.

Najstarszy i najniższy z trójki przepchnął się łokciem do przodu.

- Szanowna pani, my pracujemy dla Gila, w obozowisku. Moglibyśmy się z nim zobaczyć?

- Dugan, to ty?

- No. A jak myślałeś, kto by tak walił do drzwi?

- Wpuść ich, Saro. Znam tych kawalarzy.

- Wejdźcie, panowie, proszę. - Otworzyła drzwi szeroko i odstąpiła o krok. Dugan, o szorstkiej twarzy, w nieokreślonym wieku i niewiele wyższy od Sary, skinął głową mijając ją, a ona uśmiechnęła się do niego. Reszta poszła za przykładem Dugana.

Gil usiłował trochę się podnieść na łóżku, ale bezzwłocznie zrezygnował.

- Saro, chciałbym, żebyś poznała niektórych pracowników z obozowiska drwali. Dugan to najlepszy parzygnat na zachód od Mississipi. Henry jest nadzorcą, a Beal pracuje na wysokościach. Panowie, to jest pani Hampton, mój osobisty chirurg.

- Panowie, miło mi panów poznać.

- Jak się pani ma, pani Hampton - powiedzieli trzej mężczyźni unisono.

Sara popatrzyła na Beala.

- Czy zechciałby pan powiedzieć mi, co to znaczy praca na wysokościach? Nie słyszałam tego wyrażenia.

- Wspinam się na wierzchołki drzew, proszę pani.

- To brzmi niebezpiecznie.

- Obozowiska drwali nie są dla ludzi o tchórzliwych sercach, Saro.

Gil powiedział to łagodnie, a potem zwrócił się do swoich pracowników.

- Henry, jak ci się udało wydłubać Dugana z obozowiska? Dugan spojrzął na Gila spode łba.

- Nikt mnie tu siłą ciągnąć nie musiał.
- Vonney. - Henry zbliżył się o krok do łóżka od strony nóg.
- Wczoraj wieczorem dowiedziała się, że cię postrzelili. Ten flisak, który jej powiedział, nie wiedział, czy żyjesz, czy nie.
- Cholera. - Gil zerknął na Sarę. - Jak tam z nią?
- Dugan stanął przy boku łóżka.
- Pytanie, jak tam z tobą?
- Było gorzej, ale dzięki pani Hampton już niedługo będziecie mnie mieli na karku.
- Beal wyjął z tylnej kieszeni butelkę, wyciągnął rękę i pokazał ją Gilowi.
- Założę się, że przydałby ci się łyk czy dwa.
- Sara bacznie spojrzała na Gila i nieznacznie potrząsnęła głową. Wystarczająco dużo sprawiał kłopotów na trzeźwo. Nie miała ochoty przekonać się, jak by się zachowywał, gdyby sobie podchmielił.
- Gil wzruszył ramionami.
- Dzięki. Ja nie powinienem, ale nie ma powodu, żebyście wy nie mieli wypić za moje zdrowie.
- Sara zwinęła w kłębek flanelowe kalessony i wepchnęła do koszyczka z szyciem. Wzięła pusty dzbanek, zarzuciła sobie szal na ramię i przeprosiła panów. Zakładała, że Gil musi porozmawiać ze swoimi ludźmi i że będzie zadowolony mogąc to zrobić bez świadków.
- Gil obserwował, jak jego ludzie przyglądają się znikającej za drzwiami Sarze i wcale nie miał im tego za złe. Sam również z przyjemnością na nią patrzył, a do tego przeważnie na twarzy Sary jednoznacznie malowały się uczucia. Kiedy drzwi się zamknęły, mężczyźni odwrócili się znowu do niego.
- Beal szeroko się uśmiechnął, przełknął haust whiskey i przekazał butelkę Duganowi.
- Jakżeś se załatwił taką ładną pielęgniarkę, szefie?
- Miałem szczęście. - Gil popatrzył na Henry'ego. - Co się działo w obozowisku? Były jeszcze jakieś pożary?

- Nic, czym trzeba by się było martwić. Tyle padało, że wszystko zrobiło się mokre.

Dugan podał butelkę Henry'emu i przysunął się bliżej do łóżka.

- Doszło do nas, że cię postrzelili w bok. Jeszcze nie słyzałem, żeby się po czymś takim ktoś pozbierał.

- Wcale się nie pozbierałem. Musieli mnie tu przynieść. - Gil położył rękę na swoich ranach i przekręcił się na zdrowy bok. - Żebra mi się jeszcze nie całkiem wygoiły.

Dugan potrząsnął głową.

- I nie spodziewaj się, że szybko do tego dojdzie.

- Co mam powiedzieć Vonney? - Henry popatrzył na sienik w drugim końcu pokoju. - Ona naprawdę się o ciebie martwi, Gil, ale tak sobie pomyślała, że pewnie nie chciałbyś, żeby przyjechała tu. - Pociągnął z butelki i podał ją znowu Bealowi.

Gil wyobraził sobie reakcję Sary na Vonney i zachichotał.

- Jeszcze przez jakiś czas nie będę jeździł konno, ale powiedz jej, że jak już wsiądę na konia, to zajadę do niej. Czy skończyliście z wyrębem tamtego kawałka?

- No. Przenieśliśmy się z robotą dalej na południe.

- Zrobiło się zimno. Lada dzień może spaść śnieg - dodał Beal.

Gil przytaknął.

- Czy przywieźliście księgi rachunkowe?

- Pomyśleliśmy, że pewnie nie będziesz ich chciał oglądać, dopóki ci się nie polepszy. Zostawiliśmy je w biurze Jacka - powiedział Dugan. - Przyniosę je na górę później, jak będziesz chciał.

- Byłbym ci wdzięczny, Dugan. I najlepiej będzie, jak jeszcze kupisz zapasy u Seatonów. - Gil popatrzył na Henry'ego. - Będziesz się tym musiał zająć zamiast mnie.

- Już ty się nie martw. Załatwimy zapasy.

Gil skinął głową.

- Musi się wam, chłopcy, chcieć pić. Lepiej zróbcie dobry początek, zanim was inni ubiegną.

- Wypijemy też parę za ciebie, szefie - powiedział Beal idąc do drzwi.

- Zróbcie tak. - Rozległo się pukanie. Gil gestem poprosił Beala, żeby otworzył. Wszedł Charles wymachując najnowszym wydaniem *Gridley Gazette* i podał je Gilowi. - Teraz będziesz się mógł dowiedzieć, co się działo, jak byłeś nieprzytomny. - Popatrzył na pozostałych. - Nie wiedziałem, że jesteście tu na górze. W saloonie mam więcej gazet.

- I dobrze - powiedział Henry. - Lepiej sobie jedną wezmę, zanim się skończą. Do zobaczenia jutro, Gil.

- Dzięki, że wpadliście. - Gil zerknął na gazetę, kiedy jego ludzie wychodzili.

- Myślałem, że zastanę tu Sarę.

- Wyszła na chwilę, kiedy chłopcy przyszli.

- Lepiej pójdę roznieść gazety. - Charles otworzył drzwi i obejrzał się na Gila. - Cieszę się, że ci lepiej. Nigdy nie lubiłem artykułów wstępnych o pogrzebach.

- Ja również nie. - Gil umiechnął się. - Zwłaszcza o moim własnym.

Zjadłszy pospiesznie posiłek w domu Sara wróciła do pokoju Gila. Kiedy on czytał *Gazette*, ona pracowała nad flanelowymi kalesonami. Przeciągając nitkę przez materiał zerknęła na niego i zobaczyła, jak się uśmiecha.

- Nie sądziłam, że w tym wydaniu znajdzie się cokolwiek do śmiechu.

- Zabawny wydał mi się opis Charlesa i reszty, jak tropili naszego opryszka. - Podniósł oczy znad gazety i zobaczył, że jej usta wygięły się w tęsknym uśmiechu. Gdyby nie tkwił jak kloc w tym łóżku, niech go diabli, jak nic by... Ale tkwił, i koniec. - Co sądzisz o tym artykule?

- Jeszcze nie czytałam. Kiedy skończyłam swój własny,

wysłałam z redakcji. - Zakończyła szew. - Czy przeprowadził wywiad z panem Farmerem i panem Grebbym?

- Tak, przytacza kilka wypowiedzi.

- I dobrze. Jestem pewna, że każde z nas widziało ten napad inaczej. - Pogrzebała w koszyku i znalazła długi kawałek sznura.

Gil po raz pierwszy zwrócił uwagę na coś, co wyglądało na bardzo długi rękaw, który zwisał z jej kolana. Co ty szyjesz?

Podniosła na niego oczy, jakby przyłapała ją z palcem w deserze.

- Kalesony... - Wstała i uniosła je w górę.

Przyjrzał im się sceptycznie.

- Czy nie będą na ciebie za duże?

- One są dla ciebie... do spania. - Podała mu jedną nogawkę do pomacania. - Flanela jest miękka. Powinny być ciepłe i, mam nadzieję, wygodne.

- Ty je uszyłeś dla mnie? - W życiu jeszcze nie widział pary takich workowatych, długich gaci. Bez zastanowienia położył sobie rękę na brzuchu. Czy naprawdę wyglądał aż tak tego?

- Będę musiała zmierzyć długość twoich spodni, zanim je obrębię.

- Ale jak one się utrzymają na górze? Przecież są w pasie...

- Och, ja je specjalnie skroiłam takie szerokie, żeby cię nie gnioły. Mam mocny sznur - powiedziała podnosząc go do góry. - Chyba da się je ściągnąć, nie uważasz?

- Jesteś pełna niespodzianek, nie? - Do diabła, co właściwie powinien powiedzieć? Zmieściliby się w nich oboje... co samo w sobie mogło być interesujące... nadawałyby się też na połowę kostiumu świętego Mikołaja. - Nie powinnaś była zadawać sobie tyle trudu, Saro. Jestem pewien, że u Seatonów można kupić nocne koszule.

Może nie powinna była uszyć tych kalesonów, ale je uszyła.

- Byłoby w niej trudniej sprawdzać twoje rany. - Przy-

mierzyła kalesony do pary jego starych spodni i zaznaczyła obrąbek.

- To prawda.

- Nie musisz ich nosić. - Odłożyła spodnie z powrotem do szuflady i zatrzasnęła ją. - Poza tym, kto cię w nich będzie oglądał?

- Nigdy nie wiadomo - powiedział z uśmiechem.

- Pewnie nie - powiedziała ignorując jego przekorny uśmiech. - A skoro czujesz się o tyle lepiej, może chciałbyś się wykapać?

- Milo by było, ale nie wydaje mi się, żebym zdołał dojść do Timothy'ego, a pewne to jak diabli, że zanieść się nie dam.

- Można i w łóżku. Nie będzie to takie miłe, jak siedzenie w wannie z gorącą wodą, ale przynajmniej lepiej się poczujesz. - Usiadła na krześle i zaczęła upinać obrąbek kalesonów. - Jeżeli nie masz ochoty na kąpiel, zmienię ci tylko bandażę i okład.

- Jestem gotów, jeżeli ty jesteś - odpowiedział z szerokim uśmiechem. Podkulił kolana i oparł sobie gazetę o nogi. - Czy Charles mówił, jak długo goją się żebra?

- Chyba nie. - Sara ucięła kawałek nitki. - Kilka lat temu jeden z sąsiadów spadł z konia i złamał sobie żebro. Minał tydzień albo coś koło tego, zanim mógł się bez większego bólu ruszyć.

- Nie mogę tu leżeć jeszcze przez tydzień! - Gil ponuro rozejrzał się po pokoju. - Przeliczyłem już wszystkie deski na trzech ścianach. - A żeby napisać do panny Lucy, potrzebuję książki, o którą nie ośmielę się ciebie poprosić, pomyślał. Szybko zerknął na biurko i odetchnął z ulgą. Nie zaniedbał odłożyć na miejsce tomu Szekspira ani książki Williama Wordswortha.

- Jeżeli nie masz siły wstać, będziesz musiał zostać w łóżku. - Sara przebijała materiał igłą i patrzyła na niego. - Ale przynajmniej żyjesz i możesz narzekać.

Przez moment poczuł się zaskoczony brutalnym stwierdzeniem.

- Masz rację, owszem, tylko cholernie dziwnie się czuję, ponieważ muszę tu tkwić nie mając nic do roboty.

Rozumiała jego frustrację, ale nie podobało się jej, że mówi „tkwić tutaj”, nawet jeżeli nie dodał, że z nią.

- Czy lubisz czytać? Mogę ci pożyczyć z biblioteki każdą książkę, na którą będziesz miał ochotę.

- Będę cię trzymał za słowo. Nie książkę. Nie będę tu leżał na tyle długo, żeby jakąś przeczytać do końca, ale miałbym ochotę rzucić okiem na najnowszy egzemplarz *Oregon Statesman*.

- Gazety powinny były przyjść w piątkowej poczcie. Sprawdzę jutro.

- Dziękuję ci. - Cholera, irytowało go dotkliwie, że jeżeli czegokolwiek chciał, był uzależniony od niej albo od kogoś innego. - Nie chciałbym ci sprawiać kłopotu, ale ten rosół tak ślicznie pachnie.

- Pochlebstwa nie są konieczne. - Sara dźgnęła igłą w kałesony i odłożyła je na bok, żeby nalać rosółu. - Czy tu na dole jest kuchnia?

- Jest kuchnia węglowa i kredens.

- Czy pan Young ma duży kociołek?

- Nie liczyłbym na to. Nie jestem całkiem pewien, czy zauważył, że ma tam na dole kuchnię.

- No to przyniosę z domu. - Sara podała mu kubek i słomkę. - Pij powoli.

Gil pociągnął łyk i niemal wypluł gorący płyn na łóżko.

- Jeżeli nie będę grzeczny, poparzę sobie usta.

Sara poszła do Phoebe, przygotowała wszystko, co było potrzebne do kąpieli, łącznie z dużym kociołkiem do grzania wody, i wróciła do saloonu. Zanim poszła na górę tylnymi schodami, zatrzymała się przy studni i napełniła kociołek. Wracając na górę modliła się w duchu, żeby mycie Gila okazało się równie proste, jak kąpanie Claya i Cory, kiedy byli malutcy.

Gil przyglądał się, jak Sara mozoli się z kociołkiem, i czuł się bezradny.

- Czy naprawdę potrzebujesz aż tyle wody?

- Prawdopodobnie nie, ale nie chciałam, żeby mi zabrakło, zanim skończę.

Postawiła kociołek na podłodze i rzuciła w nogach łóżka myjkę do twarzy, mydło i ręczniki.

- To ty mnie będziesz kąpała?

Ton jego głosu dawał dużo więcej do myślenia niż słowa; Sara zbeształa się, że nie poznała się na jednym z jego żartów.

- Myłam już Claya i Corę. Przekonana jestem, że sobie z tobą poradzę.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Ja to robiłem od lat.

- To wielkie osiągnięcie. - Sprzątnęła z piecyka, nastawiła kociołek do grzania i dołożyła drewna do ognia.

- Nabrałem całkiem niezłej wprawy, ale jeżeli nalegasz...

- Mam nadzieję, że podzielisz się ze mną swoim doświadczeniem. - Jedyna część jego ciała, której nie widziała w ciągu ostatniego tygodnia, mieściła się pomiędzy pasem a górą ud. Na samą myśl o tym poczuła niepożądane trzepotanie w żołądku i przycisnęła rękę do brzucha. Jeżeli tam też ma być umyty, będzie to musiał zrobić sam.

- Chciałbym przy zmienianiu bandaży zobaczyć, jak wyglądają dziury w moich bokach.

Sara podniosła flanelowe kalesony i usiadła na krześle.

- Niewiele jest tam teraz do zobaczenia. Sińce i dwie niewielkie ranki... tam, gdzie kula weszła i którą wyszła. Skóra i mięśnie musiały się już zrosnąć.

- Widywałem rany od kul, ale nigdy własne.

- Żałuję, że nie ma jakiegoś sposobu, żeby zobaczyć, czy ci się goi wątroba.

Gil zerknął na gazetę.

- Możesz tam zajrzeć, jeżeli chcesz. Z radością pozwolę ci się o nią martwić.

- Powinnaś była posłać po lekarza, kiedyśmy cię już tu ulokowali, ale jeszcze nie trafiłam na takiego, który miałby

nieznane Phoebe lekarstwo na gorączkę. Zresztą może teraz będziesz chciał po kogoś posłać.

- Większość lekarzy przecina wrzody, składa kości i w ostateczności zakłada kilka szwów. Wolę, żeby moje zdrowie pozostawało w twoich rękach.

- Dziękuję ci, ale jesteś pierwszą i pewnie ostatnią osobą, dla której to robię. - Wpatrywała się w niego, dopóki nie podniósł oczu. - Wdzięczna ci jestem, że tak wierzysz we mnie, ale stanowczo wolałabym tylko o tym pisać.

Gil przyglądał się jej dłoniom, jej długim palcom. Stanowczo chętniej wyobrażałby sobie, jak dokonują cudów z jego ciałem, niż jak grzebią mu między żebrami.

- Masz talent tak do jednego, jak do drugiego. - Wciąż jeszcze nosiła tę obrączkę. Czego potrzeba, żeby ją zdjęła i odrzuciła związane z nią wspomnienia? zastanawiał się.

- Co robiłeś, zanim zacząłeś zajmować się wyrębem?

Spojrzał na nią znad gazety.

- Przez jakiś czas sprzedawałem w górach różne potrzebne rzeczy, byłem przewodnikiem, najmowałem się do każdej roboty, za którą można było dostać stałą wypłatę. A ty?

- Ja? - Sara wpatrywała się w niego zakłopotana. Nikt jej wcześniej nie pytał, co robiła, i dobrze.

Gil zachichotał na jej zmieszanej minę.

- Do której gazety pisałaś na Wschodzie?

- Do żadnej. Kiedy jakiś artykuł czy czyjeś zdanie irytowały mnie, pisałam do wydawców gazet w Filadelfii. Wysłałam Phoebe kopię jednego z listów, a ona przekonała Charlesa, że mogłabym pisać dla *Gazette*. - Wzruszyła ramionami. - Może się czuje nabity w butelkę, ale wciąż mnie jeszcze nie zwolnił.

- Kilka twoich pomysłów zaszokowało niektórych ludzi, ale dałaś też czytelnikom coś, nad czym mogą się zastanowić. Nie ma w tym niczego złego.

Sara uniosła brew do góry.

- Odniosłam wrażenie, że nie należysz do grona zwolenników moich tekstów.

- Nie ze wszystkimi twoimi pomysłami się zgadzam, ale są interesujące.

Sara uznała tę uwagę za pochlebną, chociaż wiedziała, że Gil wyśmiewa się z jej artykułów. Z kociołka zaczęła unosić się para, więc zdjęła go z piecyka. Nalała gorącej wody do miednicy i dodała zimnej, żeby go nie poparzyć.

- Będę musiała zdjąć ci koszulę i spodnie. - Przypomniała sobie o ceracie i rozłożyła ją obok niego. - Jeżeli jest niewystarczająco ciepło, dołożę do ognia.

- Jest niemal tak ciepło, jak w lecie. - Zastanawiając się co będzie dalej, rozpiął koszulę i spodnie.

Sara pomogła mu ściągnąć koszulę, potem sięgnęła pod koc po spodnie. Ten etap był stanowczo łatwiejszy, kiedy Gil był nieprzytomny. Niezdarnie, po omacku usiłowała chwycić go za pas, a tymczasem jej palce musnęły jego spodnie z przodu. Wypukłość pod spodniami drgnęła i niewiele brakowało, a Sara wyskoczyłaby ze skóry. Zdecydowanie nie był to mały chłopiec. Ręce jej się tak trzęsły, że prawie ściągnęła mu kalesony razem ze spodniami.

Gil zdusił wzbierający w nim wybuch śmiechu oraz rozkoszne uczucie, jakie wzbudziło jej dotknięcie.

- Czy mogę coś zrobić, żeby ci pomóc?

- Nie - powiedziała nie podnosząc oczu i składając bardzo starannie spodnie. Chwyciła za mydło z mocnym postanowieniem, że odzyska panowanie nad sobą.

Zamoczyła myjkę, namydliła ją i zaczęła szorować mu twarz i szyję.

- Aaach. Jak dobrze.

- Cieszę się.

Wypłukała i wyżeła myjkę. Gil zamknął oczy, kiedy wycierała mu mydło z czoła. Rzęsy miał ciemne, długie i podwinięte na końcach. Przeciągnęła myjką po policzku i stanowczym podbródku, ale największą uwagą darzyła usta. Wiedziała, że z nim tańczyła, a Phoebe twierdziła z kolei, że odprowadził ją do domu, ale czy próbował ją pocałować?

I czy ona pozwoliła na to, żeby jej dotykał, żeby przyciskał swoje ciało do niej, żeby położył wargi na jej ustach?

Do diabła, po co ona wypijała na zabawie tyle ponczu?

Gil czuł, jak jej oddech owiewa mu wilgotny policzek, ale dłoń zatrzymała się.

- Coś nie w porządku?

- Nie... Zarost. Zaczęła ci rosnać broda. Jeżeli chciałbyś się ogolić, jestem pewna, że pan Farmer z radością to dla ciebie zrobi.

Kiedy otworzył oczy, wyprostowała się. Zupełnie jakby tego wcześniej nie zauważył, pomacał się po szczęce.

- Masz rację. Zajmiemy się tą sprawą rano. - Włosy rozsypały się jej na ramiona i kusząco zwisały, niemal prosząc się, żeby ich dotknął. - Usiądę, żebyś mi mogła umyć plecy.

- Pozwól, że najpierw umyję ci ręce. - Z twardym postanowieniem, że nie pozwoli sobie już więcej na rozproszenie uwagi, namydliła myjkę i zaczęła szorować jego ręce i włochatą pierś.

- Nie tak mocno. Przecież nie bawiłem się w błocie.

15

Gil nigdy jeszcze nie miał tak czystych rąk i szyi. Kiedy Sara płuwała myjkę, przesunął nogi za skraj łóżka i zsunął je na podłogę. Ból przeszył jego bok.

- Auuu!

- Co się stało? - zapytała odwracając się w jego stronę.

- Moje nogi... och, mój bok... - Kiedy fale bólu zaczęły zataczać coraz szersze kręgi, zacisnął zęby.

Sara uniosła jego nogi z powrotem na materac i ugięła je w kolanach. Gil twarz miał zbielełą, a czoło pokryte kroplistym potem. Wyjęła myjkę i wytarła mu twarz.

- Co ty próbowałeś zrobić?

- Usiąść... - Trzymał się za bok; ból ścisnął go poniżej pasa niczym obręcz ze stali.

- Mam nadzieję, że jeszcze przez kilka dni nie będziesz tego ponownie próbował. - Znalazła specyfik i nałała troszkę na łyżeczkę.

- Jeżeli to morfina, nie...

Sara przysunęła mu łyżeczkę do ust, ale on zacisnął wargi.

- Nie chcę ponosić winy, jeżeli sobie znowu pootwierasz rany.

Odepchnął jej rękę.

- Nie potrzebuję tego.

- No to leż spokojnie, żebyś mogła skończyć mycie.

- Niedobrze mi się robi od tego leżenia. - Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. - Saro, pomóż mi usiąść. Chyba nie proszę o wiele.

Nie miała mu za złe, że chce usiąść. To była taka prosta prośba.

- W porządku. Spróbuję.

Wsunęła rękę pod jego kolana.

- Połóż mi rękę na ramionach i przytrzymaj się mnie. Mam zamiar cię obrócić. Kiedy opuszczę ci nogi w dół, oprzyj się o mnie.

Ból łagodniał, było mu już lżej oddychać.

- To powinno być raczej proste.

Podtrzymując mu kolana ręką Sara wysunęła jego nogi za skraj łóżka i opuściła stopy na podłogę. Kiedy odwróciła głowę, żeby na niego popatrzeć, wargi Gila musnęły dół jej policzka. Zamarła.

- Uff. - Gil uniósł rękę i uśmiechnął się. - Byłoby mi lepiej, gdyby nie to, że strasznie mi się kręci w głowie.

Sara wyprostowała się nie puszczając jego rąk.

- Czy robi ci się niedobrze?

- Nie. - Objął rękami jej nogi i przywarł do niej. - Umyj mi plecy, jeżeli masz taki zamiar. Nie wytrzymam długo w tej pozycji.

Chwyciła myjkę i szybko umyła mu plecy, potem go wytarła.

- Byłoby teraz łatwiej założyć ci czystą koszulę. Czy dasz radę podeprzeć się zdrową ręką?

- Nie ruszę się. - Oczy miał zamknięte, żeby nie dopuścić do siebie widoku wirującego pokoju. Może jeżeli będzie udawał, że ją obejmuje, pokój przestanie się kręcić.

- Nie mogę dosięgnąć komody. - Sara szukała czegoś, czym mogłaby go podeprzeć. Poduszki były za miękkie, a trzymał ją tak kurczowo, że nie mogła poruszyć żadną nogą. Pogładziła go po miękkich włosach, ale chyba tego nawet nie zauważył.

- Gil, jeżeli zabierzesz lewą rękę, to myślę, że uda mi się otworzyć szufladę.

- W porządku. - Puścił jedną nogę i oparł policzek o jej udo. Był taki czas, kiedy na pewno nie byłaby mu poświęciła jednej wolnej chwili, a teraz czepiał się jej, jakby był małym chłopcem. A ona mu na to pozwalała. Tak bardzo się co do niej mylił.

Sarze udało się wyciągnąć tak, że palcami zahaczyła o brzeg szuflady. Chwyciła pierwszą z brzegu koszulę.

- Mam ją.

Gdyby nie to, że czuł się jak wirujący bąk, sprawiłoby mu przyjemność to, że go ubierała. Wkrótce już miał koszulę na sobie.

Dzięki.

- Chcesz już się położyć?

- Zdecydowanie. - Uśmiechnął się szeroko. - Chcesz się do mnie przyłączyć?

Sara wbiła spojrzenie w czubek jego głowy, zaskoczona, że się z nią tak beztrosko droczy... a przecież tak upojna wydała się myśl o obejmujących ją ramionach, o udach uwieczonych między jego udami, o...

- Ja... lepiej nie. - Potem postanowiła odpłacić mu pięknym za nadobne. - Jeszcze bym zasnęła. Co by pan Young

pomyślał, gdyby nas razem zastał w łóżku? Albo Charles?

Gil zaczął się śmiać.

- Mieliby chłopcy w mieście o czym marzyć.

- Prędzej by mieli koszmarny sny. - Pochyliła się, jedną ręką ujęła go za ramiona, drugą wsunęła mu pod kolana i delikatnie opuściła go w tył, unosząc równocześnie jego nogi.

Gil trzymał się jej opadając na materac i pociągnął ją w dół za sobą.

Przesunęła mu nogi na łóżko kolanem.

- Możesz już mnie puścić. - Szczecinka na jego brodzie wbijała jej się w policzek. Wargi znalazły się przy jej uchu.

- Jeszcze nie. - Przesunął rękę na jej kark i przeciągnął wargami po szczęce. - Od tamtej zabawy marzyłem, żeby to zrobić jeszcze raz. - Delikatnie dotknął jej ust i zanurzył ręce w jedwabiste włosy.

Sara nie oponowała. Chciała go pocałować. Przycupnęła na skraju materaca obok niego, rozchyliła wargi. Wielka dłoń tuliła jej głowę tak, jakby była czymś kruchym, a druga ręka gładziła ją po plecach i budziła namiętność.

Przez ostatnie kilka lat Sara żyła w uczuciowej próżni i od nagłej fali podniecenia zakręciło jej się w głowie. Słodczych pieszczot powodowała, że rozkoszne dreszcze chodziły po plecach, a ciało reagowało na niego tak, jakby już z nim było oswojone.

Kiedy całował ją pierwszy raz, jej opory osłabił zaprawiony trunkiem poncz, ale tym razem było inaczej. Otwierała się przed nim z pragnieniem równie silnym jak jego pragnienie. Może jednak powinien był zażyć dawkę syropu, żeby nie czuć bólu żeber, ale kiedy ją obejmował, działało to niemal tak samo.

Całował kącik jej ust, jej brodę.

- Już myślałem, że zapomniałaś, albo nie chciałaś pamiętać. - Musnął kostką u ręki jej policzek mówiąc: - Cieszę się, że się myliłem.

- Zapomniałam o czym? - zapytała Sara; czuła się trochę oszołomiona. - O czym ty mówisz?

- Oj. - Nie powinien był odrywać ust od jej warg.

- Powiedziałaś: „jeszcze raz”. Czy... czy my... się już całowaliśmy...? - zapytała. Wspomnienie było rozmyte, unosiło się tuż poza zasięgiem jej pamięci.

- Po zabawie, kiedy cię odprowadziłem do domu... - Nie spuszczał z niej oczu, chciał podzielić się z nią tym wspomnieniem, iskrą, od której załomotały ich serca, kiedy wargi się zetknęły... - Pocałowaliśmy się na dobranoc przy drzwiach.

Jego niski głos sam działał jak pieszczota. Powiedział jej prawdę. Czuła to w kościach.

- Ciekawe, czy Charles i Phoebe nas widzieli? - Do licha, jej ciało nie miało żadnych trudności z przypomnieniem sobie tego, czego ona sobie przypomnieć nie mogła.

- Minąłem się z nimi wracając tutaj. Mogli widzieć. - Zastanowił się. Nie zauważył żadnych uśmiezków ani dziwnych spojrzeń, które wzbudziłyby jego podejrzenia, że widzieli jak obejmował Sarę. - Byłem zajęty.

Sara wstała i z roztargnieniem przesunęła palcami po wargach.

- Odpocznij, a ja cię skończę myć. - Jej ciało niewątpliwie pamiętało jego pierwszą pieszczotę, ale wiedziała, że tym razem jej umysł też nie zapomni. Wciąż czuła na wargach jego smak.

Przyglądał jej się z uśmiechem. Miała na niego taki właśnie wpływ. Wyglądała na rozkojarzoną, sympatycznie rozkojarzoną. Ułożył się miło zaskoczony jej reakcją. Kiedy wylała zimną wodę z miednicy za okno na tyłach, zaczął zapinać koszulę, ale zatrzymał się po trzecim guziku.

- Czy nadal chcesz zmienić bandaż?

Sara zamknęła okno i podeszła do piecyka.

- To zrobię w następnej kolejności.

- Czy mogę popatrzeć?

- Nie widzę żadnego powodu, żebyś nie miał patrzeć. - Zerknęła na swój własny bok, ale nie bardzo mogła zobaczyć

miejsce, gdzie powinna znajdować się jego rana. - Czy masz lusterko?

- W górnej szufladzie.

Kiedy przygotowała już świeże bandaże i okład, podała mu ręczne lusterko. Za pomocą noża rozcięła bandaż, potem go zdjęła.

- Wciąż jeszcze się sący. - Delikatnie przemyła mu bok, ale kiedy go wytarła, wysięk z rany na piersi nie ustał.

Gil ustawił lusterko pod kątem i wpatrzył się w niewielkie siniaki na boku piersi.

- Wygląda, jakby mnie kopnął muł, a nie jakby mnie ktoś przestrzelił na wylot. Trudno uwierzyć, że zdołałaś tędy przepchnąć palce.

- Cieszę się że to pochwalasz. - Oparła się kolaniem na materacu i przeniosła na niego swój ciężar, żeby móc oczyścić drugą ranę. - Owijanie cię bandażem może być trochę niezręczne, ale chcę, żebyś się nawet nie poruszył.

- Tak, szanowna pani. - Znowu zachowywała się całkiem oficjalnie, uświadomił sobie.

Sara podsunęła jeden koniec bawełnianego pasa pod plecy Gila i przyłożyła świeży okład na każdą ranę, potem zaczęła owijać go pasami materiału.

- Czy nie byłoby łatwiej, gdybym usiadł?

- Może następnym razem. Skończyłam. - Zawiązała koniec bandaża i obciągnęła mu koszulę. - Lepiej ci?

- Tak. Ciepło.

- I tak powinno być. - Odwinęła koc i zaczęła mu ściągać skarpety.

Kiedy już rozłożyła pod jego nogami ceratę, namydliła myjkę. Takie ładne nogi, pomyślała i zaczęła mycie od stopy. Skóra była blada, gładka i miękka. Kostki miał szczupłe, niemal kościste, ale łydki jędrne i pokryte miękkimi, ciemnymi włosami. Myjka przesunęła się po kolanie, poczuła, jak udo sztywnieje pod jej palcami. Oddech jej uwiązł w gardle. To tylko części ciała, powtarzała sobie. To tylko części je-

go ciała i na razie wcale nie takie odmienne od jej własnych.

Usiłowała to sobie wmówić, ale palce jej drżały, a w ustach zasychało. Jeżeli sama siebie nie potrafi oszukać, co on sobie pomyśli? Przestań się zadrećzać. Zajmij się tylko myciem, zbeształa samą siebie.

Gil przytrzymał mocno koc na biodrach i ze wszystkich sił usiłował ignorować dotyk rąk Sary przez myjkę, która przesuwająca się coraz wyżej po jego nodze. Jak tylko wyzdrowieje, przyrzekł sobie, on ją umyje. Kiedy pocierała namydloną myjką wewnętrzną stronę jego uda, wbił pięści w materac i wybrażał sobie, jak myje namydłonymi dłońmi jej szczupłą szyję, nagie ramiona i pełne piersi. Objąły ją w pasie, przesunął dłońmi po gładkim brzuchu, zatopił palce w loczkach, które sobie wyobrażał...

- Skończyłam. - Wyjęła spod niego ceratę.

- Och, Saro...

Na jego głęboki, aksamitny głos przez brzuch Sary przeszło prowokacyjne drżenie. Jeszcze nigdy jej imię nie brzmiało tak pięknie. Musiała pewnie przysnąć i tylko jej się śniło.

- Które spodnie chcesz założyć?

- Oczywiście te czerwone.

Sara zebrała pobrudzone bandaże i ręczniki, i położyła je w korytarzu przy drzwiach.

- Nie myśl, że musisz. Jeżeli się zrobi dużo zimniej, może sama zechcę je założyć pod halki.

- Podzielę się z tobą. Ty możesz je nosić w dzień, a ja nocą.

- Więcej sensu ma uszycie drugiej pary. - Wzięła czerwone, flanelowe kalesony i wsuwała mu je na nogi, aż palce otarły się o jego biodra.

- To nie byłoby takie zabawne.

- Może powinieneś sam podciągnąć je do góry.

Gil z szerokim uśmiechem wsunął ręce pod koc, chwycił flanelę i podciągnął kalesony do pasa. Przypomniały mu się nocne wyprawy z okresu błędów młodości.

- Gdzie jest guzik? - Odrzucił koc na bok i podniósł koniec sznura.

- Zawiąż tylko ten sznur. Nie spadną ci. - Kalesony były luźne. A właściwie nawet workowate, ale nie będą go ciśnąć. Strzepnęła koc i czekała, aż Gil skończy wiązać sznur.

- Tak. Ten sznur jest mocny. - Przyglądał się oczom Sary, kiedy przykrywała go kocem. Jak tylko przykrycie opadło na jego pierś, chwycił ją za ręce. - Dziękuję ci za kąpiel.

Sara nie wiedziała co powiedzieć. I niestety poczuła, jak od rumieńca zaczynają jej płonąć policzki. Spojrzała mu w oczy i poczuła, że jej opory słabną. Stwierdzenie „mnie też było miło” nie wydawało się stosowną odpowiedzią. On zresztą już to wiedział.

- Może usiądziesz obok mnie? Poczytamy sobie razem gazetę.

Sara uśmiechnęła się i skinęła głową. Kiedy przycisnął wargi do grzbietu jej dłoni, poczuła pocałunek aż w palcach u nóg.

W niedzielę rano, kiedy przyjaciele Gila zaczęli wpadać do niego, żeby zobaczyć, jak się czuje, Sara wyszła na bardzo potrzebny jej spacer. Powędrowała nad rzekę, przeszła przez most do młyna i spacerowała po polach. Jej myśli pomykały to tu, to tam, niczym pszczoły na łące pełnej kwiatów.

Przez ostatni tydzień dowiedziała się bardzo wiele o Gilu i o sobie samej. Wytworzyła się między nimi więź, której nie da się zapomnieć. Nie zastanawiała się wcześniej poważnie, czy może dojść między nimi do czegoś więcej, ale nie mogła również ignorować tego, jak instynktownie na niego reagowała. Kiedy czytali razem gazetę, trzymał rękę na jej ramionach, a ona zauważyła, że Gil czyta szpaltę panny Lucy i poczuła ukłucie poczucia winy z powodu pana Browna.

Czy w ogóle można kochać dwóch mężczyzn naraz? A może po trzydziestce zrobiła się z niej płoża dzierlatka?

Lodowaty wiatr przewiał w końcu jej szal i poszła do domu. W domu było pusto, więc wykąpała się, przebrała i nastawiła następny garnek rosołu. Jak zwykle, kiedy czuła się nieswojo, zwróciła się do książek. Tym razem przejrzała uważnie książkę z przepisami Phoebe na jej ulubione dania. W kilka minut później postanowiła zrobić Gilowi budyń z tapioki.

Właśnie skończyła przygotowywać składniki, kiedy do kuchni weszła Phoebe i rozejrzała się z półprzymkniętym uśmiechem. A za nią Cora. Sara szybko zamknęła książkę kucharską.

- Wcześniej wychodziłaś.

- Tak naprawdę to nie. - Phoebe zwróciła się do Cory. - Idź się przebrać, kochanie.

- Hej, ciociu Saro. Czy znowu gotujesz rosołek z kurczaka?

- Tak, słoneczko. Czy skosztujesz później i powiesz mi, czy jest dobry?

- Mhm. - Cora ucałowała Sarę i wyszła z kuchni.

Sara uśmiechnęła się do Phoebe.

- Tęskniłam za tobą.

- Cieszę się, że pan Perry dużo lepiej się czuje i że jesteś w domu. - Phoebe objęła ją. - Charles też się ucieszy, że wróciłaś.

- Nie mogę tu zostać. Ale skoro teraz przyjmuje przyjaciół, postanowiłam przygotować mu kilka potraw. - Sara odstawiła książkę na miejsce.

- A więc spędzisz z nim następną noc.

- W tym samym pokoju. Nie w jego łóżku. - Sara zamieszła zupę i zerknęła na Phoebe. - Nie jest w stanie jeszcze się sobą zająć. Nie może sam nawet usiąść.

- A czemu miałyby się starać? Przecież go obsługujesz - zrzędziła Phoebe. - Johna aż tak nie rozpieszczająś.

- Nie było potrzeby. - Sara obejrzała się przez ramię na Phoebe. - To niepodobne do ciebie. Czy nie pamiętasz, ile krwi stracił Gil? Musi być jeszcze słaby przez kilka tygodni.

- Próbowałam zapomnieć, że widziałam, jak leżał na podłodze... Przepraszam. - Phoebe zadrżała. Boże, to chyba najgorszy widok, jakiego była świadkiem w całym swoim życiu. - Ty-

le że zachowujesz się jak rozkochana żona... a nie jesteś nią.

- Gdyby mnie nie zasłonił, już bym nie żyła. Czy to nie wystarczający powód?

- Pamiętaj, proszę, kim on jest. Przed zabawą z trudem udawało ci się być dla niego uprzejmą.

Sara potrząsnęła głową.

- Wczoraj wieczorem Gil usiłował usiąść, kiedy go myłam, ale zrobił sobie krzywdę. On naprawdę niechętnie...

- Nie zrobiłaś tego!

- Phoebe, zamknij buzię. - Sara przestawiła garnek na bok płyty. - A jak inaczej miał się umyć? Po kilku dniach gorączki kąpiel była mu potrzebna.

Phoebe nastawiła czajnik.

- Czy skończyłaś kalesony?

- Tak, i wczoraj wieczorem je założył. - Sara dodała troszkę soli i pieprzu do zupy. - Artykuł Charlesa był bardzo dobry.

- Twój też. - Phoebe postawiła dwa kubki na kuchennym stole. - Herbaty?

- Tak, proszę.

- Charles rozmawiał z połową mężczyzn z miasteczka. Wygląda na to, że wszystkim podoba się pomysł z radą miejską. Pan Seaton chce, żeby w tym tygodniu odbyło się w miasteczku zebranie, żebyśmy zdecydowali, jak poradzić sobie z wyborami.

- Dobry pomysł. - Sara usiadła przy stole. - Czy chciałaśbyś zasiadać w radzie?

- Ja? To mężczyźni głosują. Oni nie wybiorą żadnej kobiety. - Phoebe roześmiała się. - Naprawdę masz czasami ciekawe pomysły.

- To, że kobiety nie mogą głosować na prezydenta czy gubernatora, wcale nie znaczy, że nie powinnyśmy mieć nic do powiedzenia o tym, co dzieje się w naszym własnym miasteczku.

- Masz rację, ale jak zdołamy przekonać mężczyzn, żeby nam pozwolili głosować? Możemy się z nimi nie zgadzać.

- Będziemy musiały wziąć udział w tym zebraniu - powiedziała Sara z szerokim uśmiechem - i dopilnować, żeby inne kobiety też tak zrobiły.

Gil odstawił pustą miskę na łóżko przy swoich nogach.

- Zupa była naprawdę dobra. Po raz pierwszy od tygodnia czuję się najedzony. Dzięki.

- Cieszę się, że ci smakowała. - Uśmiechnęła się. Naprawdę musiał być głodny; zupa wcale nie była nadzwyczajna.

- Zdumiewające, jak dwa małe kawałeczki marchewki, kęs ziemniaka, jedna fasolka szparagowa i parę włókienek kurczaka mnie nasyciły.

- Ostatnio aż tyle nie jadałeś. - Postanowiła nie mówić mu o budyniu.

Gil przyglądał się obrąbkowi jej spódnicy.

- Czy chodziłaś dziś w tych czerwonych kalesonach?

- Włożyłam je dziś rano do skrzyni. - Sara roześmiała się i potrząsnęła głową. - Sprawdzę opatrunek i pomogę ci zmienić spodnie.

- Umowa stoi. - Rozpiął spodnie i podciągnął koszulę. - Zaczynam się do tego przyzwyczajać. Czy będziesz od czasu do czasu sprawdzała moją bliznę, jak już wyzdrowieję? W imię starych wspomnień?

Sara ukłękła przy łóżku.

- Naprawdę czujesz się lepiej. Jak tylko będziesz w stanie siedzieć, nie będę ci już potrzebna.

- Kto tak powiedział? - Przyzwyczał się, że dzieli z nią pokój. Nie było to tak sympatycznie, jakby dzielił z nią łóżko, ale jej towarzystwo bez wątpienia było miłe. - Jeżeli nie zdołam wstać, będę tu tkwił w tym łóżku. Samotnie.

Podniosła na niego oczy.

- Wyniosę się stąd na długo przedtem, zanim staniesz się na tyle silny, żeby przyjmować... w swoim pokoju.

Gil złapał się za żebra i zachichotał.

- Na bandażu jest plama. Czy próbowałeś dziś siadać?

- Nie, ale materac robi się z dnia na dzień coraz twardszy.

- Kiedy nie będziesz musiał spędzać w łóżku całego dnia, wyda ci się wygodniejszy. - Przygotowała okład i owinęła go świeżym bandażem.

- Jestem jak nowo narodzony.

- Dopóki rany są otwarte i sączy się z nich, zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że możesz znowu dostać gorączki.

- Obciągnęła mu koszulę. - Nie wiem jak ty, ale ja nie mam ochoty przeżywać czegoś takiego jeszcze raz.

- Ja też nie, ale miło wiedzieć, że się o mnie martwisz.

Wzruszyła ramionami.

- Nie tylko ja. Martwili się wszyscy, a zwłaszcza Jack. Zrobił się całkiem biały, kiedy zobaczył, ile twojej krwi wyciekło na podłogę w banku. - Wyjęła flanelowe kalesony i położyła na łóżku.

- Kiedyś przeciął sobie koniec palca i zrobiło mu się nie-dobrze. Biedny Jack. Pewnie jestem jego dłużnikiem. Nie-wątpliwie skomplikowałem mu życie towarzyskie.

Sara z uśmiechem odwinęła koc.

- Czemu nie miałyby na kilka wieczorów zamknąć saloo-nu? Mężczyźni nie muszą pić co wieczór.

- Dobry pomysł.

Ściągnęła mu spodnie i założyła flanelowe kalesony. - Czy ktoś mówił ci o zebraniu mieszkańców miasteczka?

- Tak. Myślą, że dzięki radzie w miasteczku utrzyma się spokój. - Potrząsnął głową. Zdaniem Jacka można było zagwarantować spokój tylko w jeden jedyny sposób: zamknąć bank. Jeżeli zniknie przynęta, bandyci nie będą się mieli czym interesować.

- Nie brzmisz bardzo entuzjastycznie.

- Powinienem być mieć przy sobie broń, ale od lat już nie mieliśmy żadnych kłopotów. Trzymam pistolet za barem. Bardzo mi to pomogło.

- Ten napad był okropny, ale miasteczko jest miłe. - Przykryła go kocem. - Bardzo bym nie chciała, żeby wszyscy zaczęli nosić broń i gotowi byli zastrzelić pierwszą osobę, która ich wystraszy.

- Podobnie jak ja. - Chwycił ją za rękę i przytrzymał. - Pójdiesz na to zebranie, prawda?

- Jeżeli nie poczujesz się gorzej, mam zamiar się tam pojawić.

- Dobrze. Możesz być moimi oczami i uszami. - Uścisnęła łagodnie jej dłoń. - Już ty nie pozwolisz, żeby komukolwiek cokolwiek uszło płazem. - Pociągnął ją w dół i otoczył ramionami.

- Och, bądź ostrożny. - Serce zaczęło jej walić. - Nie chcę urazić cię w bok.

- Nie urazisz, Saro - zapewnił ją głębokim głosem.

Nie była pewna, czy to Gil ją przyciąga bliżej do siebie, czy może to tylko jej pobożne życzenia, ale pochyliła się w przód i musnęła jego wargi swoimi. Lekkomyślność, ale było jej już wszystko jedno.

Lekko wessała jego dolną wargę i zaparła się dłońmi o materac, żeby się o niego nie oprzeć, ale dobry Boże, tak bardzo pragnęła, żeby ją mocno przytulił, żeby mogła poczuć, jak ich ciała przywierają do siebie. Kiedy jęknął i przesunął dłońmi po jej rękach, pocałowała go jeszcze głębiej, rozpaczliwie usiłując ulżyć pulsującemu w niej pożądaniu.

Gil z całej duszy pragnął ją zaspokoić, marzył o tym, ale nie mógł kochać jej tak, jak chciał... do końca, aż do zupełnego wyczerpania obojga. Pogładził otwartymi dłońmi jej piersi, leciutko ugryzł z boku w szyję. Doprowadzało go to do szaleństwa, było niemal torturą. Dość. Objął dłońmi jej śliczną twarz i całował coraz namiętniej, aż obojgu zaczęło brakować tchu.

Sarze kręciło się w głowie i robiło słabo; jedynie łaskotanie w podbrzuszu stawało się coraz silniejsze.

- Masz na mnie strasznie dziwny wpływ. - Widziała już jego kończyny, ale miała ochotę bez pośpiechu obejrzeć całe ciało.

- Ty też. - Cholera, nie potrafił przestać jej dotykać i patrzeć na rozkosz malującą się na twarzy Sary. Ucałował każdą pierś przez bluzkę, nakrył jej brzuch dłonią i lekko pocierał. Przesunął rękę na udo Sary.

Nigdy jeszcze nie miała takich wrażliwych piersi. Wnętrznosci w niej topniały, pulsowały pragnieniem wypełnienia. Był poezją i najśłodsza muzyką, jaką kiedykolwiek słyszała. Nagle zaniepokoiła ją jakaś cząstka pamięci... przypominając o panu Brownie. Zebrała całą siłę woli i przycisnęła dłoń Gila własną. - Nie... nie teraz.

Dygotała cała z pragnienia, a on chciał być tym, który je zaspokoi. Boże, pomyślał, co za męka. Teraz naprawdę zrozumiał wers z Williama Szekspira: *Niebo na ziemi twój ślub mi otworzył...*"

Sara przeczytała wydrukowaną przez Charlesa kartkę z zawiadomieniem o zebraniu, wyznaczonym na środę wieczorem w kościele.

- Wygląda świetnie, Charlesie, tylko że zapomniałeś o uwzględnieniu dam w swoim zaproszeniu.

- Kobiety, które przyjdą ze swoimi mężami, będą mile widziane. - Charles podrapał się po głowie. - Nie widzę żadnego powodu, żeby o tym wspominać.

- Jak to zwykle mężczyźni, ale chciałabym żebyś dodał „damy” albo skasował „panów”. Wybieram się na to zebranie podobnie jak Phoebe i zachęcamy pozostałe panie, żeby do nas dołączyły.

- O co tyle krzyku? Zbieramy się tylko po to, żeby porozmawiać o wyborach do rady. Nastawiamy się raczej na dyskusję.

* przekład Leona Ulricha

- Nie jestem mężatką. Podobnie jak Elsie North albo Tess Layton, żeby wymienić tylko kilka, a żony mogą nie zgadzać się z mężami. To jest również nasze miasteczko.

Charles jęknął.

- Dlaczego to brzmi tak, jakby zanosilo się na bunt?

- Bunt haleczek? - Uśmiechnęła się. - Dobry pomysł. Naprawdę jestem przekonana, że powinnyśmy mieć coś do powiedzenia o tym, jak rządzone będzie nasze miasteczko. Terytorium Wyoming udzieliło kobietom prawa do głosowania trzy lata temu.

- W porządku. Nikt nie powiedział, że panie nie będą mile widziane. - Zaczął na nowo składać stronę. - Chciałbym przekazać zawiadomienia możliwie największej ilości ludzi. Czy zechcesz je rozdawać w miasteczku? Ja pojedę na farmy i do młyna.

- Tak, pod warunkiem, że wprowadzisz tę zmianę. Jeżeli zostaną mi jakieś egzemplarze, rozdram je w szkole.

- Mogłabyś też kilka zostawić w saloonie.

- Nie martw się. Dopilnuję, żeby każde przedsiębiorstwo w mieście miało jedno zawiadomienie na wystawie, a drugie na ladzie. Wieści rozejdą się szybko.

Po krótkim czasie Sara wyszła z redakcji *Gazette* z naręczem zawiadomień. Najpierw zatrzymała się u Seatonów. Pan Seaton rozlepił trzy plakaty, w tym jeden w witrynie od frontu. Pan Kenton wziął dwa, a następne dwa zostawiła w bibliotece. Przechodziła z jednej strony drogi na drugą, rozdając zawiadomienia.

Zaszła do domu po następny słoć zupy i miskę z budyniem z tapioki i zaniósła je do saloonu. Pan Young siedział za stołem; podeszła do niego.

- Jak się pan dzisiaj ma?

- Wspaniale, proszę pani. Co tam pani przyniosła?

- Zawiadomienie o zebraniu mieszkańców miasteczka - powiedziała podając mu je. - Chciałabym zostawić jedno na barze. Zależy nam, żeby wszyscy wzięli w nim udział.

- Niech pani tak zrobi. Zamykam saloon. Za nic nie opuściłbym tego zebrania.

- Cieszę się, że się pan wybiera. Zobaczymy się tam.

Poszła na górę, zastukała do drzwi Gila i uchyliła je.

- Mogę wejść?

- Najwyższy czas.

Sara weszła i zamknęła drzwi.

- Cieszę się, że nie śpisz.

- Jestem już tym zmęczony. Gdybym miał kawałek papieru, napisałbym do panny Lucy i poprosił ją, żeby przyszła i zajęła się mną. - Uśmiechnął się do niej krzywo i zauważył przelotny wyraz zaskoczenia na jej twarzy.

Znowu się z nią droczy? To byłoby do niego podobne, ale przypomniała sobie, że przecież nie wie, nie może wiedzieć, że ona jest panną Lucy. Gdyby odkrył prawdę, wszyscy wyśmiewaliby się z niej tak, że musiałyby się wynieść z miasta. Bez końca by jej to wypominał.

- Myślisz, że ona nie ma nic innego do roboty?

- Wydaje się bardzo sympatyczną damą.

Sara położyła zawiadomienia w nogach łóżka, a kosz postawiła na podłodze.

- Mam nadzieję, że zanim ona mogłaby tu dojechać, ty już nikogo nie będziesz potrzebował na stałe.

- Nie bądź zbyt rozsądna, Saro. To odbiera całą przyjemność marzeniom.

- Niekoniecznie. - Zawiesiła pelerynę na oparciu fotela. - Głodny?

- Chociaż robisz taką dobrą zupę, jakoś niezbyt długo trzymaj mi się na żebrach.

- Przyniosłam ci więcej i jeszcze miseczkę budyniu z tapioki.

- Jesteś aniołem.

Sara nalała zupy do kubka i podała mu razem z łyżką. Postawiła miseczkę na niewielkim stoliku przy łóżku. - Rozdałam zawiadomienia już w całym mieście - powiedziała po-

dając mu jedno. - Charles zawiezie je na farmy i do młyna.

Szybko przeczytał ulotkę.

- Powinny ściągnąć całe tłumy. Czy naprawdę spodziewasz się, że przyjdzie wiele kobiet?

- Przecież tutaj mieszkają. Nie widzę powodu, żeby one... my... żebyśmy nie miały nic do powiedzenia na temat tego, co się dzieje.

-Jakoś wcale nie czuję się zaskoczony - uśmiechnął się Gil.

16

Phoebe szła bocznym przejściem za Sarą przez kościół.

- Nie idźmy już dalej do przodu. Jeżeli siądziemy w pierwszym rzędzie, będziemy przez cały czas musiały się odwracać, żeby zobaczyć, kto mówi.

- Nie będzie ci przeszkadzać, jak siądę przy przejściu? Nie zaszkodzi zrobić sobie dla pamięci notatek z tego zebrania.

Phoebe spojrzała na nią przenikliwie.

- Czy Charles prosił cię, żebyś o nim napisała?

- Nie, ale może przyda się w gazecie artykuł, który pomógłby nam wprowadzić do rady kobietę, jeżeli taka będzie decyzja ogółu.

- Widzę Elsie North. - Phoebe pomachała do niej i gestem poprosiła, żeby do nich dołączyła. - Ciekawe, czy zechciałaby zasiadać w radzie.

- Zapytaj ją. - Sara uśmiechnęła się do Elsie. - Przemyślałaś to sobie?

- Ja miałabym ochotę - zwierzyła się Phoebe. - Ale tak naprawdę nie sędzę, żebym miała szansę. Mężczyźni będą głosowali na mężczyzn.

- Hm. Nie rezygnuj jeszcze ze swojej kandydatury. - Sa-

ra podniosła oczy, kiedy Elsie podchodziła do nich. - Siadaj, proszę.

Elsie usiadła po drugiej stronie Phoebe.

- Alice i Beth stoją na zewnątrz ze swoimi mężami, więc będą tu dziś wieczorem oprócz nas jeszcze inne kobiety.

Sara popatrzyła na drzwi.

- Właśnie wszedł Ben Layton, ale nie widzę Tess.

- Jack Young stara się o jej względy. - Elsie pochyliła się w kierunku Phoebe i Sary. - Pewnie przyjdzie razem z nim.

- To dlatego Gil...

- O, widzę ją - przerwała jej Phoebe - z panem Youngiem. Ależ z nich sympatyczna para.

- To prawda. - Elsie postukała Sarę po kolanie. - Co mówiłaś o panu Perrym?

- Nic ważnego. - Nie na tyle, żeby o tym opowiadać, pomyślała Sara, ale wyjaśniło jej to uwagę Gila dotyczącą towarzyskiego życia Jacka.

- Nareszcie - powiedziała Elsie. - Ten chłód zagoni ich wszystkich do środka. - Postukała Sarę w rękę. - Kto został z Gilem Perrym?

- Jest sam. Mam nadzieję, że spotkanie nie będzie się ciągnęło za długo. Odpoczywał, kiedy wychodziłam.

- Popatrz - powiedziała Phoebe. - Przyszli Ryanowie i Udallowie.

- Oni mają farmy na południe od miasteczka, czyż nie? - Sara rozejrzała się po sali i uświadomiła sobie, że nie zna wielu z wypełniających ją ludzi.

- Tak. Jestem zdumiona, że tyle osób przyjechało w powszedni wieczór i to niemal bez uprzedzenia. - Phoebe odkłoniła się państwu Pace.

- Gdzie jest Charles? - zapytała Elsie. - Nie widzę go.

- On i George usiłują się przedostać do podium - powiedziała Alice Seaton zajmując miejsce za Sarą.

Sara rozmawiała z Alice, dopóki zebranych nie przywołano do porządku, chociaż było dopiero kilka minut po siód-

mej. Charles najpierw przedstawił siebie, a potem George'a Seatona. George z kolei krótko zaznajomił obecnych z poglądami, które doprowadziły do zwołania zebrania i poprosił o propozycje, jak zabrać się do wybierania rady miejskiej.

Jeden z mężczyzn zawołał:

- Może wystarczy przez podnoszenie rąk?

- Ja to chciałbym wiedzieć - jakiś mężczyzna na tyłach sali wystąpił do przodu - co by z tej rady miał Gil Perry.

Tu odezwał się George.

- Rada byłaby władna wydawać prawa i zaangażować seryfa, jeżeli okazałby się potrzebny. Dałaby nam przywódców. Mieliśmy szczęście, że kiedy Gil został postrzelony, kilku dobrych ludzi zgłosiło się na ochotnika. Następnym razem może się tak nie zdarzyć.

Sara rozejrzała się po sali w oczekiwaniu na pytanie, które jej wydawało się najbardziej oczywiste, ale którego nikt nie zadał.

- Czy wiadomo już, że większość ludzi chce mieć radę miejską?

- Nie, pani Hampton. - George zachichotał. - To dlatego tu dziś jesteście.

- No więc czy nie powinniśmy najpierw tego przegłosować?

Charles rzucił spojrzenie na George'a i wzruszył ramionami.

- Każdy, kto jest za przeprowadzeniem wyborów do rady miasta, niech uniesie rękę do góry.

Sara rozejrzała się i nie potrafiła znaleźć nikogo, kto nie miałby uniesionej w górę ręki. Kiwnęła głową do Charlesa.

- W takim razie zgłaszam kandydaturę pani Phoebe Abbott.

Alice zerwała się.

- A ja zgłaszam panią Elsie North.

- Ja zgłaszam Sarę Hampton - oznajmił pan Grebby z tyłu sali.

Wszyscy zaczęli mówić równocześnie. Charles wsunął dwa palce do ust i przeraźliwie gwizdnał. Tłum uspokoił się.

- Musicie mówić po kolei albo będziemy tu siedzieli przez cały przyszły tydzień.

- Czy to kto kiedy słyszał, żeby kobieta rządziła miastem? - zawołał jakiś mężczyzna.

- No... - Charles popatrzył na George'a.

George wpatrywał się w obserwujące go kobiety.

- Panie Seaton - odezwała się Alice. - Może by umieścić nazwiska kobiet na liście i pozwolić wyborcom zdecydować, kogo chcą mieć w radzie?

Phoebe wstała.

- Zgadzam się.

Wstał Vernon Riggs.

- Ja powiem: Gil Perry. To byłby dobry wybór.

Połowa osób na sali zgodziła się z nim. Sara się uśmiechnęła. Szkoda, że Gila tu nie ma, pomyślała, dopisując jego nazwisko do listy kandydatów.

Phoebe podniosła się.

- Chciałabym zgłosić kandydaturę Alice Seaton.

- Dziękuję ci, ale nie. - Alice gwałtownie potrząsnęła głową. - Mam wystarczająco dużo roboty.

Zanim skończyli zgłaszać kandydatury, Sara miała na liście siedmiu mężczyzn i cztery kobiety. Będzie trochę problemów z wyborem. Wstała znowu.

- Czy podjęliśmy już decyzję, z ilu osób będzie się składała rada?

George zerknął na Charlesa.

- Z nieparzystej liczby. Siedmiu?

- Lepiej z pięciu - powiedział podnosząc się Jack. - Sioódemka nigdy wspólnie niczego nie uradzi.

- Coś jest w tym, co mówisz, Jack - odezwał się Timothy Farmer.

Podniósł się Emmet Pratt.

- Proponowałbym, żeby pan Abbott napisał krótką biografie albo oświadczenie każdego z kandydatów i zamieścił je w *Gazetce*.

- To dobry pomysł - skinął głową Charles. - Czy wszyscy słyszeli? - Rozejrzył się po zatłoczonym kościele. - Każda z nominowanych osób powinna napisać coś o sobie i przynieść mi do redakcji albo umówić się ze mną, jeżeli woli, żebym ja to za nią napisał. Chciałbym mieć wszystko na piątek, do publikacji w bieżącym wydaniu.

- A może wydrukować by też kartki do tajnego głosowania? - zapytał George. - Każdy mógłby przynieść swoje głosy i wrzucić je do specjalnego pudła na pocztę.

Wstał pan Pace.

- Dlaczego nie mielibyśmy wszyscy głosować w mieście, tak jak podczas prawdziwych wyborów? Nie wszyscy czytają gazetę. Przykro mi, Charles.

- Nie ma problemu. - Charles rozejrzył się po sali. - Ci, którzy są za głosowaniem w mieście, proszę unieść ręce. - Charles i George przeliczyli je, a potem przez chwilę o czymś debatowali. - Ci, którzy są za głosowaniem na kartkach z gazety, proszę podnieść ręce.

- Zdaje się że będziemy mieli wybory w mieście - oznajmił George. - Teraz potrzebna nam będzie data.

Zanim zebrani uzgodnili, że głosować będą dwudziestego drugiego, w sobotę, przed Świętem Dziękczynienia, Sara miała już trzy strony notatek. Zebranie się skończyło; ludzie rozchodzili się powoli, a usta im się nie zamykały. Sara niecierpliwiła się już, żeby pójść do Gila i opowiedzieć mu o zebraniu.

Phoebe, Sara, Alice, Ruby Jean Drake i Elsie wyszły razem. U podnóża schodów Elsie zwróciła się do pozostałych pań.

- Myślę, że powinnyśmy się umówić i porozmawiać o tych wyborach. Może u mnie na lunchu?

- A o czym tu mówić? - Alice zerknęła na pozostałe panie. - Ludzie sami zadecydują.

Elsie potrząsnęła głową.

- Jest sprawa, o której nikt się ani nie zająknął, a mianowicie, czy kobiety będą mogły głosować. Powiadam wam,

powinnyśmy przeprowadzić kampanię i skłonić każdą kobietę w mieście do głosowania.

Phoebe przytaknęła.

- Wybierz dzień, a pojawimy się.

- Dobry pomysł. - Sara odwróciła się do Ruby Jean i Alice mówiąc: - Możecie na mnie liczyć.

- Kiedy jest ten lunch? - Ruby Jean pomachała do męża.

- W przyszły poniedziałek? - zaproponowała Elsie.

- Porozmawiam z panem Drake'iem. Jestem pewna, że nie będzie miał nic przeciw temu. - Ruby Jean odeszła, żeby przyłączyć się do męża.

Sara potrząsnęła głową.

- Połowa problemu może polegać na przekonaniu niektórych kobiet, żeby zaczęły myśleć samodzielnie.

- Już ty wymyślisz jakiś sposób - roześmiała się Phoebe. - Lepiej pójdę po Charlesa, albo będzie tu siedział całą noc. Do zobaczenia później.

Alice również pożegnała się i przyłączyła do męża.

Pan Pratt podszedł do Sary i Elsie.

- Dobry wieczór paniom. Miło widzieć, że tak dobrze pani wygląda, pani Hampton, zwłaszcza po tym, co zdarzyło się w zeszłym tygodniu.

- Pan Pratt. - Zaskoczona Sara miała nadzieję, że nie wygląda na zbyt spłoszoną. - Gratuluję nominacji.

- I wam, panie, obydwum. - Popatrzył na Sarę. - Chciałem panią zapytać o fundusz biblioteczny. Rozumiem, że była pani zajęta. Z radością pomógłbym państwu zdecydować, jakie książki zamówić, gdyby chcieli państwo skorzystać z mojej rady. A może fundusze zostały zrabowane podczas napadu?

- Pieniądze są całkiem bezpieczne, dziękuję panu. Będę musiała później powiadomić pana o zebraniu w sprawie wyboru książek.

- Bardzo bylibyśmy miło. - Uchylił kapelusza i odszedł.

Elsie zerknęła na Sarę.

- Coś mi się zdaje, że chodzi mu o coś więcej niż tylko książki dla biblioteki.

- Och, mam nadzieję, że się mylisz - odparła Sara. Razem z Elsie ruszyły w stronę miasta. Sara dodała: - Myślę, że na początek musimy napisać dobry życiorys dla każdej z kandydujących kobiet.

Elsie przeszedł dreszcz i mocniej otuliła się szalem.

- Pewnie ochrypniemy, zanim się to skończy.

Sara zaszła do Phoebe po resztę budyniu, a potem wróciła do pokoju Gila. W jego pokoju było niemal równie zimno jak na dworze. Piecyk był ledwo ciepły.

- Gil. - Wszystkie przykrycia leżały na nim w nieładzie. Sara szybko dołożyła do pieca.

- Niemal już zwątpiłem, czy przyjdiesz - powiedział odsuwając koce z twarzy. - Czuję się tu prawie jak w lodówce.

- Jestem pewna, że podłożyłam do ognia, zanim wyszłam. - Nastawiła świeży dzbanek kawy. - Jak ci się udało tym wszystkim przykryć?

- Nie było to proste. - Usiłował się poruszyć i skrzywił się.

- Pewnie już nie będę się musiała martwić o zmienianie prześcieradeł, co? - Pościagała z niego po kolei wszystkie koce i prześcieradła.

- Czemu byś się tym miała martwić? Przecież na nich nie leżałem. Byłem pod nimi. - Chwycił ostatni koc. - Chcesz, żebym zamarzł?

Sara położyła mu dłoń na czole.

- Przeżyjesz tych kilka minut. - Wyszarpnęła mu koc i przykryła go jednym z prześcieradeł od stóp do głów, łącznie z twarzą.

Leżał spokojnie, kiedy układała na nim koce i kołdrę bardziej porządnie, niż on to zrobił.

- Dobrze, że mam na sobie te flanelowe kalessy - po-

wiedział spod pościeli. - Ale szkoda, że nie ma koszuli do kompletu.

- Przykro mi, że tak zmarłeś. Następnym razem zanim wyjdę, upewnię się, czy w piecyku jest mnóstwo drewna.

Kawa była gotowa. Sara podała Gilowi miszkę z budyniem i nalała obojgu po kubku kawy.

- Żałuję, że nie mogłeś tam być dziś wieczorem. W ławach było pełno i ludzie stali w przejściu i z tyłu sali.

- Przynajmniej musiało wam być ciepło. - Było mu wszystko jedno, czy nie poparzy sobie warg parującą kawą, byle go tylko rozgrzała. Zjadł łyżkę budyniu i westchnął. - Nie sądziłem, że jest tu w okolicy dość ludzi, żeby wypełnić kościół. - I, dodał w myśli, pewny jestem jak wszyscy diabli, że nie miałbym ochoty tam na tej sali z nimi wszystkimi siedzieć.

- Wielu z nich nie znam, ale wciąż jestem nowa w tym mieście. - Popijała gorącą kawę.

- Czy masz zamiar opowiedzieć mi, co się działo? - Nabrał następną łyżkę budyniu. - Czy też będę musiał wysłuchać szczegółowej relacji z całego wieczoru?

- Jesteś w dobrym humorze, co? - Sara sięgnęła po notatki i spokojnie popatrzyła na leżącą na wierzchu kartkę. Jeżeli miał ochotę zachowywać się jak rozpuszczone dziecko, potraktuje go jak dziecko.

- Chcesz się ze mną zamienić? - Gil popatrzył na nią spode łba. - Poleż sobie tu przez kilka dni, zobaczysz, jak ci się to spodoba.

Sara uniosła w jego stronę jedną brew.

- Możesz sobie poczytać o tym zebraniu w gazecie. Będziesz miał na co się cieszyć.

- Och, Saro, cieszę się na tak wiele rzeczy. - Uśmiechnął się do niej promiennie. - Słuchanie o zebraniu znajduje się niemal na końcu listy.

Zerknęła na niego spod oka i poczuła, że robi jej się ciepło w policzki.

- Czy nie jesteś ciekawa, co znajduje się na jej początku?

Boże, ależ jej serce łomotało w piersi. Popatrzyła mu w oczy modląc się, żeby po jej twarzy nie było wyraźnie widać, czego oczekuje.

- A powinnam być?

Zaśmiał się tylko głębokim, bogatym, dwuznacznym śmiechem.

- Jak już będę w stanie, to ci pokażę.

Usiłował zmienić pozycję - wielki błąd. Skończyło się tym, że sobie coś naciągnął w boku. Zaciał zęby.

Sara przełknęła zastanawiając się, czy znowu go źle nie zrozumiała.

- No to oboje mamy się na co cieszyć - powiedziała napotykając jego przenikliwe spojrzenie.

- Tak, mamy. - Postawił miskę na stoliku przy łóżku. - Było kiedyś tak, żebyś musiała leżeć w łóżku i nie mogła absolutnie nic zrobić? Nawet dołożyć do pieca. - Machnął ręką w kierunku okna. - Nic stąd nie widzę. Cieszyłbym się, gdyby na oknie usiadł jakiś gawron.

- A może poprosić Jacka, żeby przesunął ci łóżko do okna? Widziałbyś rzekę albo ulicę.

- Kiedy wróci, poproszę go. - Popatrzył na nią. - Czy zdarza ci się nie mieć ostatniego słowa w dyskusji?

- Każdy się czasem myli. - Uśmiechnęła się ciepło. - Nawet ty.

Gil złapał się za bok i zachichotał.

- Ponieważ każesz mi zgadywać, powiem, że pewnie kilka osób nastawiało się na zasiadanie w radzie.

Sara przytaknęła.

- Zostało zgłoszonych jednaście kandydatur, a potem zdecydowano, że w radzie zasiądzie pięć osób. - Dołożyła jeszcze jedno polano do ognia.

- Kto znalazł się w tej szczęśliwej jedenastce? - Gil wziął miseczkę z budyniem i uniósł łyżkę do ust.

- Charles, George Seaton, Jack, pan Drake, pan Pratt, pan Riggs, Phoebe, pani North, pani Drake... ty i ja.

Gil zakrztusił się budyniem.

- Dobry Boże... tylko nie ja. Powiedz Charlesowi, żeby mnie wykreślił z listy.

- Nie wiem, czy to możliwe. Wszyscy wyrazili aprobatę dla twojej kandydatury, ale powiem mu. Ja również nie jestem pewna, czy mam ochotę kandydować w tajnym głosowaniu.

- Ależ się Jack musiał uśmieć. - Gil przełknął następną kęs. - W moim biurku leży papier. Czy dałabyś mi jeden arkusik i ołówek?

- W której szufladzie?

Nie tej po prawej stronie, rozkazał jej w myśli. Czy poznałaby papier, na którym pisane były listy pana Browna?

- Górna lewa. Wystarczy kawałek kartki. - Przyglądał się jej w nadziei, że w szufladzie nie znajdzie się nic, co mogłoby ją zainteresować.

Sara znalazła ołówek i kawałek czystego papieru na małej drewnianej szkatułce.

- Wystarczy taki?

Gil skinął głową.

- Zechcesz to za mnie napisać?

- Co mam napisać?

- Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć. Podkreśl: muszę. Wetknij to Jackowi w drzwi, dobrze?

- Wpada do ciebie co wieczór, zanim pójdzie do siebie. Dlaczego nie miałyby tego zrobić dziś?

- Nie chcę, żeby zapomniał.

- Och, oczywiście. - Poczuł się lepiej, więc pewnie żenuje go proszenie, żeby mu pomogła z dzbankiem. - W drzwi?

- Otwórz drzwi i wetknij kartkę pomiędzy drzwi i węgarrek... futrynę.

- W porządku.

Poszła korytarzem i zastukała do drzwi Jacka. Nikt nie odpowiedział, więc uchyliła je. W korytarzu nie paliło się światło. Jakim cudem miał w ciemnościach zobaczyć ten liścik?

Gil skończył jeść i zastanawiał się, dlaczego jeszcze nie wróciła.

- Co ty tam u diabła robisz? - zawołał.

Światło, które padało z pokoju Gila na korytarz, słabo rozpraszało mrok w pokoju Jacka, ale udało jej się zlokalizować lampę. Kiedy wetknęła liścik w drzwi, zapaliła lampę i zostawiła ją na podłodze w korytarzu.

- Czy mnie wolałeś? - Zamknęła za sobą drzwi i stanęła przy piecu grzejąc ręce.

Gil patrzył na nią przez długą chwilę, przypominając sobie, jak dobrze było trzymać ją w ramionach. Potem zauważył błysk światła na jej obrączce.

- Nic ważnego.

We czwartek rano Phoebe zapakowała śniadanie do koszyka i poszła osobiście dowiedzieć się, jak się czuje pan Perry. Chciała, żeby Sara była dla niego miła, ale miała wrażenie, że sytuacja przekroczyła już granice zwykłej uprzejmości. Akurat uniosła dłoń, żeby zastukać do drzwi, kiedy te otworzyły się.

- Zobaczą, czy Jack nie śpi - mówiła Sara wychodząc na korytarz i niemal wpadając na Phoebe. - Phoebe! Nie spodziewałam się, że cię tu zobaczę.

- Wczoraj wieczorem kilka dam pytało, czy dobrze się czujesz... mówiły, że mizernie wyglądasz... i uświadomiłam sobie, że pewnie od zeszłej soboty nie jadłaś porządnego posiłku. - Phoebe uniosła koszyk w górę. - Przyniosłam śniadanie dla ciebie i pana Perry'ego.

- Jak miło. Jestem bardzo głodna. Postaw je przy piecyku. Wróć za moment. - Sara zapukała do drzwi Jacka i wróciła do pokoju Gila. W chwilę później pojawił się Jack. Uśmiechnęła się do niego, potem zerknęła na Phoebe. - Chodź się ze mną przejść. Zaraz wrócimy.

Phoebe zeszła za Sarą do saloonu.

- Co my tu robimy?

- Jack pomaga się Gilowi... no...

- Och, nie pomyślałam o tym. Biedaczysko.

- Poradzi sobie z tym lepiej, kiedy będzie mógł usiąść na skraju łóżka. - Zatrzymała się przy końcu baru. - Czy Charles jest zadowolony z wczorajszego zebrania?

- Uważał, że poszło bardzo dobrze, ale coś mamrotał pod nosem o „buncie halek”. - Phoebe uśmiechnęła się do Sary. - Powiesz mi, o co mu chodziło?

- Sama nie wiem, czemu powiedziałam to na głos. Rozmawialiśmy o głosowaniu kobiet w wyborach i Charles stwierdził, że mu to wygląda na bunt.

Uśmiech Phoebe przygasł.

- Pod koniec dnia będziemy miały przeciw sobie wszystkich mężczyzn.

- To było z góry wiadomo. Cztery kobiety zostały zgłoszone jako kandydatki do rady. Nikt nie powinien mieć kłopotów z uświadomieniem sobie, że przynajmniej niektóre z kobiet zagłosują na kobiety.

- Popatrz na reakcję Charlesa. A wierz mi, że bardziej jest tolerancyjny niż wielu innych panów.

- Wczoraj wieczorem nikt nie narzekał, że nas zgłoszono. Spodziewałam się, że będzie o to kłótnia.

- Panowie są prawdopodobnie pewni, że mężczyźni będą głosowali na mężczyzn, a to zablokuje kobiety.

- A mnie przychodzi na myśl kilku panów, którzy pewnie powiedzą swoim żonom, że im nie wolno głosować... jeżeli ich żony w ogóle okażą zainteresowanie wyborami. - Sara usłyszała, jak drzwi otworzyły się i zamknęły. - Możemy wracać.

Phoebe zatrzymała się u stóp schodów i obejrzała się na malowidło nad barem. Jeszcze nie pytała Charlesa o nie. Może dziś wieczorem. Przycisnęła dłońią żołądek i uśmiechnęła się. Wyszczotkuje sobie włosy, poszczypie policzki, ubierze się do łóżka w koronkową koszulę i dopiero wtedy go zapyta.

Pospieszyła po schodach na górę i weszła do pokoju Gila za Sarą.

- Siadaj, Saro. Ja was obsłużę.

- Czy przyłączy się pani do mnie, panno Saro? - Gil uśmiechnął się zapraszająco i wzruszył jednym ramieniem.

- Bardzo pan łaskaw. Ciekawe, jakie dziś mamy danie specjalne. - Sara usiadła i przyglądała się Phoebe. - Nie musisz nas obsługiwać.

- Wykładam tylko jajka. - Phoebe postawiła miskę z kremem na talerzu i obsłużyła ich. - Czy pije pan kawę, czy herbatę?

Gil podał jej kubek.

- Kawę, proszę. Ten posiłek wygląda smakowicie.

- Tak, jest cudowny. - Sara porównała ich talerze. Phoebe dała jej kiełbaskę z jajecznicą, a Gilowi jajka i krem śmietankowy.

Phoebe napełniła ponownie ich kubki.

- Och, Saro, Charles prosi cię, żebyś dziś rano wpadła do redakcji. Wydaje mi się, że powinnyśmy dołożyć wszelkich starań, żeby oświadczenia kobiet znalazły się u niego na biurku na tyle wcześnie, by zdążył je zamieścić w bieżącym wydaniu gazety. Będzie łatwiej rozmawiać z paniami o... - tu przerwała zerkając na pana Perry'ego - ich udziale w głosowaniu, jeżeli o nas przeczytają.

- Masz rację. Czy napisałaś już swoje?

- Napiszę, jak wrócę do domu, ale może lepiej najpierw wpadnę do Elsie.

- No to ja zobaczę się z Ruby Jean, zanim pójde do redakcji. - Sara zgarnęła następną porcję jedzenia. Umierała wprost z głodu.

- Dobrze pani gotuje, pani Abbott - odezwał się Gil. Z przyjemnością zjadłby porcję kiełbaski i grzanek, ale nie narzekał. Przynajmniej teraz mógł już jeść, a nie tylko pić.

- Dołożyłam do kremu trochę cynamonu, żeby bardziej smakował jak śniadaniowe danie.

Gil zanurzył łyżkę w kremie i uśmiechnął się.

- Chętnie bym więcej tego zjadł.

- Nie bądź łakomczuchem - zauważyła Sara - albo znowu wrócisz na rosołkową dietę.

Gil popijał kawę.

- Tak jest, szanowna pani. - Uśmiechnął się do Phoebe. - Ależ ona się rządzi, co?

Phoebe nie potrafiła oprzeć się jego urokowi i też się uśmiechnęła. I w tej samej chwili zrozumiała, dlaczego Sara lubi przebywać w jego towarzystwie. Hultaj był z niego i kpiarz, ale uśmiech miał czarujący.

- No, lepiej wróć do pracy. Nie zapomnisz wpaść do *Gazette*, prawda?

- Tak czy owak miałam w planach spotkanie z Charlesem. - Sara wyczula ton dezaprobaty w głosie Phoebe i raczej nie poczuła się zaskoczona. Phoebe i Charles na ogół się ze sobą zgadzali. - Jeszcze raz dziękuję ci za śniadanie.

Kiedy Phoebe wyszła, Sara dokończyła jajka i kiełbasę.

- Mmm, to było pyszne.

- Dobrze było. - Uśmiechnął się do niej. - Każdy kolejny posiłek jest lepszy. Nie mogę się doczekać, co będziemy mieli na lunch.

- Przyniosę trochę zupy. Mam dużo pracy.

- Dobrze. A co z kolacją? - Uniósł kubek z kawą do ust i patrzył na Sarę znad jego skraju. - Nie będziesz siedziała w pracy przez całą kolację, prawda?

Och, ten jego uśmiech, pomyślała. Czy używa go w stosunku do mnie dlatego, że potrzebuje rozrywki?

- Nie martw się, Gilu. Nie zostaniesz głodny. - Będzie koniecznie musiała pamiętać, żeby wpaść do biblioteki i pożyczyć dla niego kilka gazet. Cokolwiek, żeby tylko przestał myśleć o jedzeniu.

- Phoebe i ja pomyślałyśmy - Sara uśmiechnęła się do Ruby Jean Drake - że może warto by zamieścić nasze oświadczenia w następnym wydaniu *Gazette*. Czy zastanawiałaś się, co chciałabyś w swoim napisać?

Ruby Jean miętoszyła chusteczkę w palcach.

- Miałam porozmawiać o tym z panem Drake'iem dziś wieczorem. To może być błąd. Co ja wiem o zasiadaniu w radzie miejskiej?

- Nauczysz się. Nie wiemy, czy którykolwiek z kandydatów ma jakieś doświadczenie. I chyba nikogo to nie martwi.

Ruby Jean przygryzła z boku wargę.

- Nie jestem pewna, co powinnam napisać.

- Z radością ci pomogę, jeżeli będziesz chciała.

- Och, jej, naprawdę nie wiem... - Ruby Jean skrzyła mocno chusteczkę. - Czego po nas oczekują?

Zachęcana łagodnie przez Sarę wyartykułowała w końcu kilka myśli i przeniosła je na papier. Sara odetchnęła z ulgą, kiedy Ruby Jean skończyła.

- Okazało się to w końcu nie takie straszne. Dziękuję ci, Saro. - Ruby Jean wysuszyła stronę bibułą i złożyła ją na pół. - Czy ty już napisałaś swoje oświadczenie?

- To jedna z rzeczy, które muszę zrobić dziś po południu.

Ruby Jean podała Sarze kartkę.

- Wdzięczna ci jestem za pomoc. Pan Drake będzie zaskoczony.

- I dumny z ciebie, jestem tego pewna. - Sara podeszła do drzwi. - Powodzenia na wyborach. Masz zamiar głosić, prawda?

- Głosować? My nie możemy głosować.

- Ja mam taki zamiar. Jeżeli możemy kandydować na urząd, powinniśmy też móc głosować. - Sara poklepała Ruby Jean po dłoni. - Zastanów się nad tym. Całkiem sporo z nas będzie głosowało. Mam nadzieję, że do nas dołączysz.

- Zobaczą. Czy nadal mamy spotkać się na lunchu u Elsie w poniedziałek?

- Tak. Zobaczymy się tam. - Idąc do redakcji Sara zastanawiała się nad własnym oświadczeniem.

Im głębiej zastanawiała się nad zasiadaniem w radzie, tym więcej miała wątpliwości. Zanim weszła do redakcji, wiedziała już jak sformułować tę krótką wypowiedź. Jeżeli kiedyś była pora na to, żeby ludzi zbulwersować, to właśnie teraz.

- Charlesie, Phoebe przekazała mi twoją wiadomość - powiedziała sadowiąc się przy swoim biurku.

- Potrzebuję twojej pomocy przy oświadczeniach kandydatów do rady. Emmett jest jedynym, który chce je sam napisać. George, Jess i Vernon poprosili mnie, żebym się zajął nimi w ich imieniu. Czy rozmawiałas z Jackiem o jego oświadczeniu?

- Nie, ale przyniosłam oświadczenie pani Drake. Phoebe najprawdopodobniej pracuje w tej chwili nad swoim, a moje będzie niedługo gotowe.

Położyła na blacie biurka kilka arkuszy papieru i zaczęła szkicować ołówkiem swój rys biograficzny. Pod koniec przedstawiła swoje poglądy na udział panów w pracach domowych, wolną miłość, spirytyzm i prawo kobiet do kandydowania do kongresu, senatu i na urząd Prezydenta Stanów Zjednoczonych. Uśmiechała się przy tym z zadowoleniem. Nawet kobiety by na nią nie głosowały.

Przepisała wersję ostateczną i wręczyła ją Charlesowi razem z oświadczeniem Ruby Jean.

- Mogłabym w tygodniu przeprowadzić wywiad do szpalty biznesowej z panem Kentonem. Jeżeli ci to pomoże, porozmawiam z panami Riggsem i Youngiem o ich oświadczeniach.

Charles podniósł oczy i uśmiechnął się.

- Miałem taką nadzieję. - Postukał w jej oświadczenie. - A to co za nonsens?

- Głosujący mają prawo poznać swoich kandydatów i ich zainteresowania. Czy nie o to ci chodziło?

Potrząsnął głową.

- Gdyby każdy polityk był równie uczciwy, niewiele byłoby skarg.

- Och, byłabym zapomniana. Gil powiedział, że chce, żeby wykreślić go z listy. - Uśmiechnęła się do siebie. - Nie interesuje go miejscowa polityka.

- Wcale się nie dziwię. Pewnie dostanie najwięcej głosów. - Charles przegarnął włosy ręką. - Porozmawiam z nim.

Sara wetknęła brudnopis swojego życiorysu do kieszeni.

- Zabiorę się teraz za wywiad. Ale czy mógłbyś pokazać mi twoje oświadczenie, żebym lepiej wiedziała, czego oczekujesz?

Charles przerzucił jakieś papiery i podał jej kartkę.

- Ludzie zapoznają się z moimi opiniami co tydzień. Niewiele mogłem dodać.

Jak zwykle doskonale wyważył w tekście część dotyczącą swojej przeszłości i swoich poglądów.

- To jest dobre - powiedziała oddając mu kartkę. - Wrócić dopiero, jak porozmawiam ze wszystkimi osobami z mojej listy.

- Dobrze powrócić do pracy? - uśmiechnął się Charles.

- Nigdy jej nie porzucałam.

Pozbierała papiery i ołówki, i udała się do hotelu Timbers. Kiedy weszła do środka, pan Kenton siedział za biurkiem i rozmawiał z jakimś człowiekiem w garniturze w żółto-brązową kratę. Komiwojażer, pomyślała zauważywszy jedną dużą i jedną małą walizę; i zastanawiała się, co takiego sprzedaje.

Kiedy mężczyzna niosąc walizy wszedł po schodach na górę, Sara podeszła do biurka.

- Dzień dobry panu, panie Kenton.

- Pani Hampton, jak miło panią znowu widzieć. W czym mogę pani pomóc?

- Przyszłam z ramienia *Gazette*. Publikujemy wywiady z lokalnymi biznesmenami i chciałabym przeprowadzić wywiad z panem do bieżącego wydania. Jeżeli oczywiście pan zechce. Taki wywiad służy również jako pewnego rodzaju reklama. - Nie zawiodła się na nim. Pan Kenton wyprostował się, jakby nieco urósł, uśmiechnął się i wypiął chudą pierś.

- Ależ tak. Dziękuję pani. Bardzo chętnie. - Wstawił do swego pokoju jakieś pudło i zamknął drzwi na klucz. - Może przeszlubyśmy do biblioteki? Tam powinien być spokój.

Sara przytaknęła i poszła przodem do wypożyczalni książek Harrisona. Kiedy pan Kenton przechodził przez hol, zatrzymała go jakaś dama. Podczas gdy rozmawiał, Sara znalazła dwa ostatnie numery *Oregon Statesman* dla Gila i odłożyła je pod przyniesione kartki.

- No więc - powiedział pan Kenton zajmując miejsce naprzeciw Sary przy małym stoliku - co chciałaby pani wiedzieć?

- Wprowadził pan wiele zmian w tym hotelu, od kiedy go pan kupił. Jest tu teraz o wiele jaśniej, a akwarele są śliczne.

- Pani Kenton z radością dowie się, że się pani podobały. Mówiłem jej, że dobrze maluje - powiedział wzruszając ramionami - no ale ja przecież jestem jej mężem.

- To pani Kenton namalowała wszystkie akwarele, tutaj i w holu?

- Tak, ona - powiedział serdecznie i z dumą. - Niedługo będziemy mieli po jednej w każdym pokoju.

- Jestem pewna, że pańscy hotelowi goście doceniają wprowadzone przez pana zmiany. - Zerknęła na swoje notatki. - Co sprowadziło państwa do Gridley?

- Słyszeliśmy wiele opowieści o Oregonie i chcieliśmy go zobaczyć na własne oczy. - Uśmiechnął się i odchylił do tyłu. - Pewnego wieczoru byłem w saloonie w Albany i nawiązałem rozmowę z tym właśnie komiwojażerem. Przyjechał wtedy prosto z Gridley, a należy do ludzi gadatliwych.

- Mieliśmy szczęście, że wybrał się pan do saloonu akurata w ten wieczór. - Bazgrała jak kura pazurem i miała tylko nadzieję, że zdoła później odczytać swoje notatki. - Jak się panu podoba życie tutaj?

- Jest pięknie, a ludzie są przyjaźni.

- Czy ma pan jakieś szczególne plany związane z tym hotelem?

- Trzy pokoje trzeba odmalować i należałoby popracować trochę nad dachem. - Wzruszył ramionami. - Chciałbym, żeby po prostu było tu czysto.

Podziękowała mu i wyszła z hotelu. Było południe i Gil prawdopodobnie martwił się o swój żołądek. Wpadła do domu, spakowała lunch i wróciła do jego pokoju.

Zastukała do drzwi i uchyliła je.

- Nie śpisz?

- Nie ma tu nikogo. Jakim cudem mógłbym się zmęczyć?

Zaparł się stopami i podsunął trochę wyżej na łożku. Sara weszła do pokoju energicznym krokiem, policzki miała zaróżowione, a włosy rozwiane przez wiatr. Och, gdyby tak mógł chwycić ją w ramiona, dumął, i całować ją, aż im obojgu zbraknie tchu, i kochać się z nią nago, aż zasną wtuleni w siebie.

Sara rzuciła plik kartek na łożko obok jego nóg.

- Dobrze wyglądasz. Przyniosłam ci coś. - Odsunęła swoje kartki i podała mu gazety.

- Dzięki. - Rzucił okiem na prasę i przeniósł wzrok z powrotem na nią. Kiedy Sara wyjdzie, będzie miał aż nadto czasu na czytanie. - Czego chciał Charles?

- Ma zamiar opublikować oświadczenia kandydatów w bieżącym wydaniu gazety, a ja musiałam przeprowadzić wywiad z biznesmenem. - Podała mu zupę i gorącą kawę.

- Kartoflanka. - Spróbował i uśmiechnął się. - Miałaś czas ją ugotować?

- Ale skąd - powiedziała patrząc, jak znad miski unosi się para. - Ugotowała ją Phoebe. - Postawiła miseczkę z upieczonym jabłkiem na małym stoliku. - To też ona. - Gil jadł

zupę z takim entuzjazmem, że aż jej własny żołądek zaburczał w proteście. - Czy potrzebujesz jeszcze czegoś?

- Nigdzie jeszcze nie idziesz. Siadaj tutaj i wypij kubek kawy. - To była Sara, którą zwykł widywać w mieście, daleka, myślą zawsze wybiegająca o krok w przód.

- Musiałam porozmawiać z kilkoma kandydatami. - Popatrzyła mu w oczy. Mogła zatrzymać się na kilka minut. Nalała kawy do kubka i usiadła. - Powiedziałam Charlesowi, że nie interesuje cię kandydowanie do rady.

- Dobrze. A więc załatwione.

Wzruszyła ramionami.

- On chce o tym z tobą porozmawiać.

- Po co są te wywiady? - Gil wymienił miskę po zupie na pieczone jabłko.

- Charles opublikuje krótkie oświadczenia każdego z kandydatów w bieżącym numerze. Miejmy nadzieję, że wyrówna to ich szanse i głosowanie nie zmieni się w konkurs popularności.

- Napisałaś swoje? - Wbił łyżkę w delikatne jabłko.

Sara kiwnęła głową i popijała dalej kawę.

Gil zauważył figlarny wyraz jej oczu.

- Mogę je przeczytać, zanim ukaże się gazeta?

- Czemu nie? - Spojrzała mu prosto w oczy. - Chciałabym usłyszeć twoje zdanie. - Wyciągnęła kartkę z kieszeni i podała mu ją.

Gil szybko przebiegł oczami tekst i popatrzył na nią z jedną brwią uniesioną w górę.

- Naprawdę chciałabyś zostać prezydentem?

Sara patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Ty w to wierzysz?

- Tak tu napisałaś - powiedział postukując w kartkę. - Jeżeli zależy ci na wielbicielach, wolna miłość powinna przykuć ich uwagę.

- Czy uważasz, że mnie o to właśnie chodziło? - Sara wpatrywała się w niego przerażona.

Gil uniósł jedno ramię w górę.

- Ale zapewne przysporzy ci głosów, czyż nie?

- Nie! Chciałam ich przekonać, do jakiego stopnia się nie nadaję... - Przekrzywiła głowę na bok. - Czy ty nigdy nie spoważniejesz?

- A nie jestem poważny?

- Boże, mam nadzieję, że nie. - Opadła z powrotem na krzesło. - Niekiedy jesteś wręcz niemożliwy.

- Jesteś za mądra, żeby tak mówić - powiedział cicho.

- Nie o to mi chodziło... - I minę, i głos ma zdecydowanie nieprzyzwoite, pomyślała usiłując opanować drżenie pełznące w dół po kręgosłupie.

- Nie martw się, Saro. - Zachichotał. - Czy nie łatwiej byłoby zrezygnować z kandydowania?

- Zgłosiłam kandydaturę Phoebe; poza tym zachęcałam inne kobiety do głosowania, więc jak mogłabym?

- Może się okazać, że to bardzo drażliwa sprawa. - Przeczytał jej oświadczenie jeszcze raz, kończąc jeść jabłko. - Może wykreśliłabyś ten fragment o pracach domowych. Czyżbyś nie popierała zasad Victorii Woodhull?

- Niektóre z jej pomysłów bez wątpienia, ale nie wszystkie.

- Kiedy o niej pisałaś, najbardziej cię krytykowano.

- To mi się podoba. - Sara uśmiechnęła się. - Dziękuję ci.

- Naprawdę niesprawiedliwie go osądziła. - Lepiej się wezmę już do roboty. - Napełniła ponownie kubek Gila, włożyła brudne naczynia do koszyka i dołożyła do pieca. - Czy poradzisz sobie?

Gil sięgnął po gazety, które mu przyniosła.

- Mam zajęcie. Do zobaczenia wieczorem.

Phoebe siedziała przy ogniu w salonie i pracowała nad śliwkowym swetrem dla Claya. Nikt nie zwracał uwagi na stukotanie drutów. Córa mozoliła się nad wyhaftowaniem de-

likatnego ściegu na próbce, a Charles i Clay grali w szachy.

Zerknąwszy na męża Phoebe uśmiechnęła się do siebie. Tego dnia zdarzały się chwile, kiedy zastanawiała się, czy wieczór kiedyś wreszcie nadejdzie.

- Charlesie, czy masz już oświadczenia wszystkich kandydatów?

Charles potrząsnął głową.

- Będę się widział z George'em i Jessem rano. - Przesunął wieżę. - Nie mam pewności co do Gila. Miałem z nim dziś po południu porozmawiać. Pewnie z nim również powinienem się jutro zobaczyć.

- Myślałam, że Sara napisze jego oświadczenie, jeżeli sam nie będzie chciał.

- Powiedziała, że nie interesuje go zasiadanie w radzie. - Charlesowi udało się zachować poważną minę, kiedy syn zbił mu konia.

- Dużo wycierpiał. - Phoebe wygładziła plecy swetra. - Mi nie jeszcze trochę czasu, zanim będzie w stanie brać udział w jakichkolwiek zebraniach.

- Zobaczymy. Jest spokojny, ale rozgarnięty, a właśnie kogoś takiego nam w radzie potrzeba. - Charles wpatrywał się w figury.

Phoebe z całego serca zapragnęła, żeby pan Perry wyzdrowiał jak najszybciej. Jeżeli nie będzie się tak często widywał z Sarą, jeżeli przestanie spędzać z nią niemal całe dnie, wówczas może uświadomi sobie, że jego zainteresowanie wyrsało z zaistniałej sytuacji. Z jakiejś przyczyny obdarzona zwykle zdrowym rozsądkiem Sara straciła go, kiedy był jej najbardziej potrzebny. Czuła się winna i odpowiedzialna za jego rany, więc zaniechała oporu i chwilowo zapomniała o tym, co wypada. Phoebe wykończyła sweter przy szyi i schowała robótkę do koszyka.

- Coro, czas do łóżka. - Uśmiechnęła się. Jej córka prawie już zasnęła.

Kiedy Cora pocałowała papę na dobranoc, Phoebe pomo-

gła jej się przebrać do snu, otuliła ją przykryciem i ucałowała. Potem wysłała Claya do jego pokoju i przysiadła na kominku przy krześle Charlesa.

- To był intensywny dzień.

- Jutrzejszy będzie nie lepszy. - Skinął głową nie podnosząc oczu znad książki. - Nie jestem pewien, kiedy wrócę do domu.

- Przyniosę ci kolację do redakcji. - Zobaczyła, że ziewa i sama też ziewnęła. - Chyba pójdę do łóżka. Jesteś gotów?

- Niedługo, kochanie. - Uśmiechnął się i poklepał ją po ręce. - Niedługo przyjdę.

Podniosła się i ucałowała go w policzek.

- Będę czekała - szepnęła mu do ucha.

Przez cały dzień nie schodził jej niemal z myśli wizerunek ślicznej Lorindy. Odwinęła przykrycia, zdjęła sukienkę i bieliznę, leciutko skropiła szyję różaną wodą toaletową. Włożyła tylko koronkową koszulę, wyszczotkowała długie włosy, przygasiła światło tak, że ledwie rozświetlało ciemności, i wsunęła się między zimne prześcieradła.

- Phoebe? - Charles szeroko otworzył drzwi do sypialni i zapatrzył się na łóżko.

Phoebe oparła się na łokciu; miała nadzieję, że jej poza go zaintryguje.

- Chodź do łóżka, kochany. - Odchyliła przykrycia po jego stronie i poklepała materac.

Charles podszedł do słabego światła i podkręcił knot. Zagapił się na nią, potem szeroko się uśmiechnął.

- Co to wszystko znaczy?

Phoebe zrobiło się trochę głupio, ale zdecydowana była doprowadzić swój plan do końca.

- Zdejmij ubranie, Charlesie.

Zdawał się spojrzeniem przebijać na wylot jedwabście miękkiej materiału koszuli. Pociągnęła za satynową wstążkę, którą związana była koszula, i dała mu zerknąć na swoją pierś. Widok małżonka, który zdzierał z siebie ubrania,

dał jej więcej satysfakcji, niż sobie potrafiła wyobrazić.

Charles rozebrał się do kalesonów i przykręcił knot w lampie.

- Nie będą ci potrzebne kalesony, Charlesie. - Serce waliło jej w piersi.

Charles rozpiął guziki kalesonów i zawahał się.

- Czyżbyś się napiła brandy? Przez te wszystkie wspólnie spędzone lata nigdy...

- Najwyższy czas, nie uważasz? - Uśmiechnęła się do niego uwodzicielsko. - Napij się brandy, jeżeli potrzebujesz.

- Nie będzie mi potrzebna. - Spuścił kalesony na podłogę i wsunął się do łóżka obok niej. - Och, moja najukochańsza - zamruczał i przylgnął ustami do nasady jej szyi.

Jeżeli jeszcze chwilę zaczekam, pomyślała, nic mnie to nie będzie obchodzić.

- Czy uważasz, że Lorinda jest piękna?

- Co? - Chwytał jej sutkę wargami przez cienki materiał, ręką ugniatając drugą pierś.

- Lorinda. Śliczna Lorinda. Czy uważasz, że jest piękna?

Charles oparł się czołem o jej pierś chwytając ustami powietrze.

- Dlaczego mnie pytasz? I to teraz?

- Widziałam ją, wisi w saloonie. Zastanawiałam się, czemu mi nigdy o niej nie wspomniałeś.

Uniósł głowę i wpatrzył się w nią.

- Ty jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem, ale diabelnie bym nie chciał, żeby twój wizerunek wisią w jakimkolwiek saloonie.

- Dziękuję ci. - Objęła go rękami za szyję. - Potrzebowałam, żebyś mi to powiedział. - Przesunęła mu ręką po biodrze. - Czy ona ma naprawdę na imię Lorinda?

- Skąd do diabła miałbym to wiedzieć? - jęknął Charles, a Phoebe uśmiechnęła się z zadowoleniem. - Dość już o tej cholernej Lorindzie.

Rozchyliła wargi, kiedy pochylił nad nią głowę.

- O Boże, Phoebe, czuję się, jakbym miał znowu osiemnaście lat... - Pospiesznie ściągnął z niej koszulę i obsypał pocałunkami nagie ciało żony.

Zawsze lubiła się z nim kochać, ale tym razem było inaczej, lepiej nawet niż w pierwszych dniach ich małżeństwa. Był pełen zapału, gwałtowny, skubał ją zębami i drażnił, a ona rozkoszowała się jego pieszczotami, aż doprowadził ją niemal do szaleństwa.

- Proszę... pragnę poczuć twój ciężar na sobie, w sobie...

Objął ją ramionami i przeturlał się na plecy z nią na górze.

- Dziś w nocy ja chcę ciebie poczuć na sobie.

- Och, czy myślisz... - Nagle wypełnił ją. W jednym cudownym momencie cała jej wrażliwość ześrodkowała się tam, gdzie ich ciała się połączyły. Krzyknęła cicho, potem aż zamiauczała, kiedy przepływały przez nią fale upojenia. Poczuła w pasie jego dłonie, kierował nią.

- Tak, och, tak... - Zaparła się dłońmi o ramiona Charlesa i poddała rytmowi jego ciała.

- Jeszcze nie... - wymamrotał. - Boże, nie...

Ostatek jej sił wyczerpał się w szaleńczej eksplozji spełnienia i Phoebe padła na męża. Kiedy złapała dech, obsypała pocałunkami jego ramię.

- Nic dziwnego, że lubisz być na wierzchu.

- Nie usłyszysz ode mnie żadnego narzekania, jak będziesz się chciała zamienić. - Odgarnął jej włosy do tyłu. - Kocham cię ponad życie, najdroższa Phoebe.

Sara pospieszyła do domu, żeby przygotować śniadanie. Tego ranka nie tylko Gil był głodny. Kiedy weszła, do jej uszu doszło pogwizdywanie. Charles gwizdał? Lekkim krokiem zbliżyła się do kuchni i zajrzała do środka. Stał przy piecu. Gotował? Co tu się...?

Cofnęła się o krok, poszła korytarzem do jego sypialni i zastukała do drzwi.

- Phoebe?

- Co ty tu robisz? - zapytała Phoebe wiążąc pasek przy szlafroku.

- Wciąż jeszcze tu mieszkam. Pomyślałam, że zrobię śniadanie, ale Charles mnie ubiegł. - Sara uśmiechnęła się szeroko, niemal złośliwie. - Czy dobrze spałeś? - Phoebe wciąż jeszcze miała rozczochrane włosy, a teraz się na dodatek rumieniła.

- Tak, bardzo. - Phoebe przelotnie ujrzała swoje odbicie w lusterku i chwyciła za szczotkę.

- Cieszę się. - Sara przyglądała się Phoebe i zastanawiała się, czy sama promieniała kiedyś tak, jak w tej chwili jej przyjaciółka. Tak pewnie działał na kobiety Gil, pomyślała.

Phoebe skończyła szczotkować włosy i wyszła na korytarz.

- Myślę, że pomogę Charlesowi.

- Gdzie są Clay i Cora? - Sara uśmiechnęła się znowu i poszła za nią do kuchni.

- W drodze do szkoły. - Charles podał Phoebe kubek herbaty, a Sarze kawy. - Macie ochotę na racuchy?

- Mmm, tak - powiedziała Sara zastanawiając się co przyrządzić dla Gila.

- Zrobię jajecznicę na bekonie. - Phoebe postawiła patelnię na blasze i ucałowała Charlesa w policzek przechodząc obok niego.

- Saro, czy powiedziałaś Gilowi, że wpadnę się z nim zobaczyć?

- Tak, ale stwierdził, że to na nic. Podjął już decyzję. - Sara napełniła miseczkę mussem jabłkowym dla Gila. - Co ludzie mówią o wyborach?

Charles obejrzał się na nią przez ramię.

- Niektórzy twierdzą, że to zakrawa na żart, żeby kobiety kandydowały do rady. Nie spodziewaj się wielu głosów.

- Dopóki ten, kto będzie liczył głosy, zrobi to uczciwie,

nie będziemy się skarżyć. - Phoebe odwróciła syczący bekon na patelni.

- Charles, nie przypominam sobie, żebyśmy wybrali komitet, który ma liczyć głosy. - Sara popatrzyła od Charlesa do Phoebe. - A ty?

- Też nie.

Phoebe rozkłóciła jajka w misce.

- Jest mnóstwo ludzi, którzy nie kandydują. Ilu nam potrzeba?

- No cóż, mógłbym polecić trzech... zamieścić to na pierwszej stronie i zobaczyć, jaka będzie reakcja. - Zachichotał. - Co oczywiście, jak się domyślamy, oznacza nieodpowiedzialne i granie z legalną stroną procesu wyborczego.

- Co myślicie o panu Grebbym? - zapytała Phoebe. - Powierzamy mu z zaufaniem nasze pieniądze.

Charles uśmiechnął się do niej.

- Dobry wybór. Ben Layton to następny porządny człowiek.

- Ja bym zaproponowała pannę Lucy, ale ona mieszka poza miastem. - Sara roześmiała się. - Alice Seaton dobrze sobie radzi z liczbami. W Komitecie powinna znaleźć się przynajmniej jedna kobieta.

- Zgadzam się - przytaknęła Phoebe.

Charles patrzył rozpromieniony na Phoebe, jakby nie chciał jej niczego odmawiać.

- Jeśli chodzi o mnie, w porządku.

Gil niemal nie zwrócił uwagi na talerz z jedzeniem, który przed nim postawiła Sara; chwycił ją za rękę.

- Wyglądasz, jakbyś nie miała zamiaru zatrzymać się na dłużej.

Kciukiem gładził jej przegub po wewnętrznej stronie i Sara przekonała się, że trudno jej zebrać myśli.

- Jest... tyle rzeczy do zrobienia... Przychodzi poczta... Charles drukuje w piątki...

- Dużo dostajesz listów? - zapytał cicho.

- Nie, nie dużo. Niekiedy pisze któryś z czytelników. - A kiedy przestaje pisać, dodała w myślach, to nie mam pojęcia dlaczego.

- A więc będziesz pracowała przez cały dzień. - Gładził po kolei jej palce.

- T... tak. - Czuła się jak zahipnotyzowana jego prowokacyjnym dotknięciem.

- Chodź tutaj - powiedział, łagodnie ściągając Sarę na swój poziom, przycisnął wargi do jej ust i czule wtargnął do wnętrza.

Potrzebowała całej siły woli, żeby nie zwinąć się przy nim w kłębuszek na łóżku. Wargi i język miał jeszcze bardziej przekonujące niż głos.

Pocałował ją w czubek nosa i uśmiechnął się.

- To żebyś o mnie nie zapomniała.

- Wątpię, czy kiedykolwiek miałaś z tą szczególną sprawą problemy - powiedziała i podniosła się. - Czy ktoś ci kiedyś mówił, że złotousty czort z ciebie?

- Ostatnio nie - powiedział ze śmiechem.

- Do zobaczenia później. - Założyła pelerynę i otworzyła drzwi.

- Saro, nie obawiaj się swoich uczuć. Nie możesz ciągle uciekać.

Popatrzyła na niego zaintrygowana i wyszła.

Długo po tym, jak Gil skończył jeść, rozległo się pukanie do drzwi i do środka wszedł Charles.

- Sara mówiła, że wpadniesz. Siadaj.

- Doszło do mnie, że ponoć nie chcesz kandydować w tajnych wyborach? - Charles okręcił krzesło i usiadł.

- Czy możesz uczciwie powiedzieć, że widzisz mnie w radzie? Wolałbym raczej trzymać pod ręką pistolet. - Gil poprawił się na łóżku. - Jak idą przygotowania do wyborów?

- Ciężko powiedzieć. Szkoda, że nie głosowaliśmy wtedy we środę, kiedy wszyscy byli na zebraniu. Może artykuły w gazecie ściągną wszystkich do miasta w dzień wyborów.

- Każdy lubi przedstawienie. Przyjadą zobaczyć, co się dzieje.

Charles skinął głową.

- Mam nadzieję, że nie zrobi się z tego jeden wielki cyrk.

- Gdzie mają się odbyć?

- Zależy od pogody. Jeżeli nie będzie padało, to na dworze. Inaczej możemy skończyć w stajni. - Charles pochylił się do przodu i oparł ręce na kolanach. - Wycofanie się z wyścigu stanowi pewien problem. Wydrukowałem już listy.

Gil potrząsnął głową.

- Przynieś mi je. Powykreślam własne nazwisko.

- Ja wiem, że nie chcesz, żeby wieści się rozeszły, ale to jest twoje miasto. Za dużo w nie włożyłeś, żeby się teraz odwracać plecami. Mówimy wciąż w cztery oczy. Nie mam zamiaru publikować artykułu o tym, że masz Gridley na własność. Do diabła, gdybym miał taki zamiar, zrobiłbym tak od razu, kiedy tylko się o tym dowiedziałem.

Gil wpatrywał się w Charlesa.

- Dzięki.

- Niech ludzie sami zadecydują, czego chcą. Jesteś tylko jednym z jedenastu. Może nie wygrasz. - Charles uśmiechnął się i wstał.

- Nie napiszę żadnego oświadczenia do twojej gazety.

- Nie musisz. Sara albo ja możemy to zrobić za ciebie.

- Nie. Żadnych oświadczeń.

Charles wzruszył ramionami.

- Jak sobie chcesz. - Zerknął na pusty kubek na małym stoliku. - Dolać ci kawy, zanim pójdę?

- Tak, byłbym wdzięczny.

18

Phoebe zaszła do Seatonów i wzięła pocztę. Przejrzała ją idąc po drewnianym chodniku do redakcji *Gazette*. Były listy, ale wciąż żadnego od „pana poety”. Weszła do środka i poczuła ulgę, kiedy nie zobaczyła Sary.

- Och, przepraszam. - Idący do swojego biurka Charles wpadł na nią. - Nie słyszałem, jak weszłaś.

Phoebe stanęła na palcach i pocałowała go w policzek.

- Gdybym ci nie stanęła na drodze, nadal byś nie wiedział, że przyszłam. - Kładąc jego pocztę na biurku zawahała się. - Nigdy tego nie znajdziesz - stwierdziła patrząc na masę papierów pokrywającą blat.

- Czego?

- Niczego - odpowiedziała z uśmiechem. Przeszukała materiały biurowe i w końcu trafiła na małe drewniane pudełko. Wrzuciła do środka pocztę, postawiła na jego biurku i ustawiła w środku wysoką kartkę sztywnego papieru, na której wypisała wyraz *listy*. Może dzięki temu je znajdzie.

Podeszła do stołu zawalonego masą papierzysk.

- Jak ci idzie? - zapytała.

- Jestem gotów zamienić się miejscami z żonglerem, którego widzieliśmy zeszłej wiosny. - Przeciągnął palcami po włosach i westchnął.

- Tak, kochanie, to oczywiste. - Przeszła wolno wzdłuż stołu trzymając ręce za plecami, żeby powstrzymać chęć uporządkowania bałaganu. - Będzie z tego wielka sprawa.

- Mhm.

Sara wpadła do redakcji jak burza.

- Będę miała ostatni wywiad gotowy za dziesięć minut.

Przepraszam, że to tak długo trwało. - Rzuciła kartki na biurko i zobaczyła Phoebe. - Czy poczta już przyszła?

- Są dwa listy do ciebie, właśnie je przykryłaś. - Phoebe podeszła do biurka. - „Pan poeta” nie napisał. Przykro mi.

- Nie napisał? No cóż, pewnie opacznie zrozumiałam jego intencje. - Sara opadła na krzesło. Jeżeli nie był zainteresowany, czemu użył właśnie takiego cytatu w swoim ostatnim liście? A może chodzi o jeden z jego ulubionych kawałków, nic więcej.

Phoebe położyła rękę na ramieniu Sary.

- Czy dobrze się czujesz?

- Czy aż tak się co do niego pomyliłam? - Jeżeli tak, pomyślała Sara, czy mogę ufać sobie, jeśli chodzi o innych mężczyzn? Co w takim razie z Gilem?

- Zachowałeś jego listy, prawda?

- Tak.

- Czy chciałabyś je przeczytać jeszcze raz? Kiedy już skończy się cały ten zamęt?

Sara kiwnęła głową.

- Dzięki. Zrobimy tak.

Wysunęła listy spod papierów. Obydwa zostały wysłane z Oregonu. Otworzyła ten, który został nadany w Salem przez jakiegoś pana Jenkinsa, i przeczytała go.

- Charles, sądzę, że spodobają ci się uwagi tego pana na temat wolnej miłości.

- Jest za czy przeciw?

- Chciałby mnie odwiedzić i prosi, żebym podała mu nazwiska innych kobiet uprawiających wolną miłość.

Charles przyglądał się jej.

- Ostrzegałem cię.

- Mężczyźni - powiedziała Phoebe. - A ten drugi?

- To od Sally Timmons z Albany - stwierdziła Sara wyjmując list. - „Bez wątpienia diabelskie z ciebie nasienie. Twoje plugawe zainteresowania to grzech wobec Boga. Okaż skruchę i módl się o Jego miłosierdzie.”

Zerknąwszy pospiesznie na męża Phoebe położyła rękę na ramieniu Sary.

- Myślę, że było rzeczą nieuniknioną, że przyjdą do ciebie jakieś listy od pomyleńców. Nic się nie martw.

- Pani Timmons powinna ograniczyć swą działalność do czytania Biblii. - Sara wzruszyła ramionami. - Warto było spróbować, ale teraz mam robotę.

Phoebe wiedziała, że Sara szuka zapomnienia w pracy i nie potrafiła jej winić. „Pan poeta”, jak się w końcu okazało, nie był dżentelmenem.

- Do zobaczenia później.

- Dobrze. - Sara sięgnęła po kartkę papieru i zaczęła spisywać oświadczenie pana Drake'a. Kiedy skończyła, wręczyła je Charlesowi. - Teraz zajmę się szpalną panną Lucy.

- Wstrzymaj się. Chyba nie będzie na nią miejsca w tym tygodniu.

- W porządku. - Przyglądała mu się rozważając w myśli układ gazety. - Czy chcesz, żebym zabrała się do ostatniej strony? - Co za ulga. Nie była pewna, czy zdołałaby wykrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu do tej pracy.

W sobotę rano Sara poczuła światło na powiekach i naciągnęła przykrycie na twarz. Zanim zaniósła do Gila kolację dla nich obojga, zrobiła się już niemal ósma, a potem do północy rozmawiali. Zapadła znowu w sen. Kiedy się obudziła następnym razem, usłyszała, że Gil się chyba załatwia.

Oczy jej się same otwały. Nie słyszała, żeby do pokoju wchodził Jack. Czekwała i słuchała. Odniosła wrażenie, że Gil chyba skończył. Zapanowała cisza. Wyjrzała spod przykrycia. Jacka nie było, a Gil siedział. Odwrócony plecami do niej podpierał się o bok łóżka!

Odrzuciła przykrycia i zerwała się z siennika.

- Od kiedy ty już siedzisz?

- Od kilku minut. - Obejrzał się przez ramię pospiesznie zapiając kalesony. - Dzień dobry. Przykro mi, że cię obudziłem.

- Nie obudziłeś mnie. - Podeszła do łóżka. - Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. - Kiedy zaczęłaś siadać na brzegu łóżka?

- Próbowałem od dwóch dni, ale dziś po raz pierwszy nie mam zawrotów głowy.

- To... cudownie. - Nic jej już nie usprawiedliwi. Żadnych więcej wymówek. Przeniesie swoje rzeczy do domu dziś rano. - Jak twój bok?

- Obolały. Wciąż boli mnie, jeżeli podniosę rękę albo za mocno nią coś przycisnę. - Położył rękę na materacu i nacisnął. Ból zaczął rozchodzić się jak fale na stawie i Gil się skrzywił.

- Przestań! - Rzuciła się do niego obiegając łóżko. - Nie psuj wszystkiego, cośmy osiągnęli. Daj sobie więcej czasu.

Kiedy ból zaczął przycichać, Gil skinął głową.

- Jeżeli tak uważasz.

- Czy próbowałeś wstawać?

- Jeszcze nie. - Podparł się dobrą ręką.

- Lepiej sprawdzę opatrunek.

Podciągnął skraj koszuli i czekał, aż poczuje jej palce na obolałym boku.

Sara bardzo powoli zsunęła bandaż.

- Wygląda dobrze. - Podciągnęła bandaż na miejsce i wygładziła go.

- Jesteś dobrym doktorem.

- Znowu zaczyna ci się kręcić w głowie. Lepiej się połóż.

- Chyba masz rację. - Osunął się na poduszkę. - Pomogłabyś mi? Moje nogi. Kiedy próbuję podnieść prawą, boli mnie w boku.

Sara pomogła mu przesunąć nogi.

- Zaparzę ci trochę kawy. - Nastawiwszy czajnik poszła korytarzem do Jacka i zastukała do jego drzwi. - Jack, to tylko ja, Sara.

Jack otworzył drzwi.

- Co się stało?

- Nic. Czy Gil prosił cię, żeby przesunąć jego łóżko?

- Chyba nie. - Jack podrapał się po głowie.

- Czy mógłbyś dzisiaj wziąć któregoś z panów do pomocy i przestawić łóżko Gila pod boczne okno? Może już teraz siadać i pewnie z przyjemnością popatrzyłby sobie na drogę i na rzekę.

- Pewno.

- Dziękuję ci. - Wróciła do pokoju Gila i zaczęła składać przykrycia na swoim sienniku.

- Co robisz?

- Sprzątam.

- Po prawie dwóch tygodniach postanowiłaś pościelić łóżko? - Patrzył na nią spode łba. - Rozmawiałaś z panną Lucy?

- Gdybym z nią porozmawiała, pewnie już w zeszłym tygodniu dzieliłbyś pokój z Jackiem. - Położyła poskładaną pościel przy drzwiach.

- O czym ty mówisz?

- Możesz już siadać i zatroszczyć się o swoje osobiste potrzeby. Nie wymagasz już tyle opieki, ale nie martw się. Nie będziesz głodował. - Zmusiła się do uśmiechu mając nadzieję, że Gil nie zauważy u niej braku entuzjazmu. - Będę ci przynosić posiłki codziennie, dopóki nie zaczniesz chodzić.

- Ciągle jeszcze kręci mi się w głowie. A jeżeli się wywróć? - Cholera! Wiedział, że nic nie trwa wiecznie, ale tak miło byłoby mieć jeszcze jeden tydzień.

- Znajdę ci jakiś dzwonek. - Nalała mu gotową kawę do kubka.

- Usłyszysz? - Uniósł w górę brew. - Gdziekolwiek byś była?

- Tylko jeżeli otworzysz okno, a ja akurat będę przechodziła pod nim.

- Też doktor z ciebie - narzekał bez przekonania.

Sara uśmiechnęła się wbrew własnej woli.

- Myślę, że jakoś przeżyjesz.
- A jeżeli nie, będziesz spokojna, że zrobiłaś co w twojej mocy.

- Cóż za wielkoduszność z twojej strony. Spróbuję o tym pamiętać. - Rozejrzała się po pokoju i wzięła na ręce stos pościeli. - Masz wszystko, czego potrzebujesz. Zobaczmy się później.

- Nie wszystko - powiedział i wykonał taki ruch, jakby miał zamiar pójść za nią. - A niech to!

- Co?! - Sara upuściła pościel i pospieszyła do niego. - Chyba nie...

Objął ją w pasie ramieniem i przyciągnął do siebie w dół.

- Gdybym tylko zdołał... - Uśmiechnął się szeroko i przesunął dłoń na jej kark. - Może dałabyś się przekupić? Nikt nie wie, tylko ty i ja. A ja nikomu nie powiem.

Pod jego dotknięciem, takim jak w tej chwili, myśli jej się plątały i zaczynała kwestionować własne postanowienia.

- Nie masz zamiaru mi tego ułatwić, prawda?

- Robię co w mojej mocy, żeby ci tego nie ułatwiać. - Powoli przyciągnął ją bliżej i przylgnął ustami do jej ust. Boże, ależ ona była rozkoszna. I podniecająca. Drżała za każdym razem, kiedy się całowali, a z każdą pieszczotą jej namiętność ożywiała go coraz bardziej.

Czuła, jak jej wewnętrzności dygoczą z pożądania, a piersi pragnęły aż do bólu miażdżącego uścisku twardego torsu. Pieścił jej usta tak intymnie, że budziła się w niej żądza zagrażająca wszelkiemu rozsądkowi. Wysunęła mu się z ramion i popatrzyła w oczy, serce jej waliło i z trudem łapała oddech.

- Sam widzisz, że nie mogę zostać tu dłużej.

Mógłby się zatracić w jej zamglonych namiętnością oczach. Przygarnął głowę Sary do ramienia i przeczesał palcami jej włosy.

- Nie musi mi się to podobać.

- Mnie też nie.

Kiedy Phoebe zobaczyła Sarę, która pojawiła się w drzwiach obłożona pościelą, nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- Przeprowadzasz się z powrotem?

Sara wyjrzała zza koców.

- A myślałaś, że tego nie zrobię? - Ruszyła do swojego pokoju.

Phoebe pospieszyła za nią.

- On może się już o siebie sam troszczyć?

- Jest już w stanie usiąść. - Sara cisnęła pościel na łóżko.

- Coś nie w porządku? Czy nie cieszysz się, że czuje się lepiej?

Sara chwyciła szczotkę i przejechała nią gwałtownie po włosach.

- A czemu nie miałabym się cieszyć?

- Może dlatego, że przypominasz mi mamę, kiedy Will wyjeżdżał z domu.

- Mama obawiała się, że wojna zabierze jej twojego brata - powiedziała Sara odkładając szczotkę. - A ze mną wszystko jest w porządku. Czy Charles dziś pracuje?

- Zabierze ze sobą Claya i Corę, kiedy pojedzie rozwozić gazetę po farmach. Czy masz jakieś plany?

- Nie myślałam o tym. Gil czeka na śniadanie, a ja muszę wpaść do Seatonów. - Sara rozejrzała się po pokoju. - I pewnie powinnam zrobić pranie.

Phoebe pokazała zęby w uśmiechu.

- Witaj w domu.

- Dzięki. Nareszcie we własnym łóżku. - Ale będzie tak okropnie cicho, pomyślała Sara, i tak samotnie.

- Pójdę z tobą. Jeżeli pogoda się utrzyma, możemy trochę rozprostować nogi.

Sara zanosila Gilowi codziennie trzy posiłki i przeważnie zostawiała na trochę, żeby z nim pogadać. Wiedziała, że nie może już spędzać z nim całych dni i wieczorów, i postanowiła ciągle się czymś zajmować, żeby nie mieć czasu za dużo o nim myśleć. Pomiedzy posiłkami sprzątała i przemyblowywała swój pokój i polerowała oraz pastowała w domu wszystko, co wpadlo pod rękę.

Dzięki tej działalności jej ciało było zajęte, ale umysł nie. Co chwilę oglądała się przez ramię w nadziei, że go zobaczy. Słyszała, jak droczy się z nią o całe to sprzątanie, a raz miała wrażenie, że dotknął jej rękawa.

Nie mieszkała już w jego pokoju, a przecież nie odeszła od niego.

W poniedziałek postanowiła zająć się prasowaniem i położyła na piecu dusze żelazka, żeby się zagrzały. Kiedy skończy, pożyczycy sobie powozik i wybierze się na długą przejażdżkę. Może świeże powietrze pomoże jej rozeznac się we własnych uczuciach do Gila i pana Browna.

Phoebe przyszła do kuchni na następną filiżankę herbaty.

- Dlaczego teraz prasujesz?

- Trzeba to kiedyś zrobić.

- Zapomniałaś o lunchu u Elsie? Obiecałyśmy przyjść wcześniej, żeby jej pomóc.

Sara odwróciła się do przyjaciółki.

- To dziś jest poniedziałek? Już?

- Mhm. Przychodzi co tydzień po niedzieli. - Phoebe dmuchnęła na herbatę. - Pomyślałam sobie, że za chwilę mogłybyśmy wyjść, ale jeżeli chcesz, pójdę przodem.

- Nie. Wyprasowanie halek i jednej pary reform nie potrwa długo.

- Czy umówiłaś się z panem Youngiem albo kimś innym, żeby zaniósł panu Perry'emu lunch?

- Och, nie.

- Przygotuję coś dla niego.

Sara ustawiła deskę do prasowania, którą Charles zrobił dla Phoebe. Prasowanie nie zajęło jej dużo czasu; założyła wciąż jeszcze ciepłą bieliznę i wciągnęła przez głowę brązową popelinową suknię. Wyszczotkowała włosy i zastała Phoebe przy stole kuchennym.

- Przepraszam, wyleciało mi z głowy.

- Zaharowywałaś się na śmierć, odkąd wróciłaś do domu. Pewnie nic w tym dziwnego, że zapomniałaś, jaki dziś mamy dzień. - Phoebe podniosła się i odstawiła kubek do zmywalni.

Sara zajrzała pod serwetkę, którą nakryty był lunch Gila.

- Wygląda smacznie. Już go rozpuściłaś swoim gotowaniem. - Uśmiechnęła się i podniosła tacę.

Phoebe poszła za nią przez dom.

- Gdzie on wcześniej jadał?

- Nie pytałam. Chyba sam sobie gotował na swoim piecyku. - Kiedy doszły do drogi, Sara zatrzymała się. - Zaniosem to Gilowi i zobaczymy się u Elsie.

Phoebe kiwnęła głową i poszła dalej.

Sara pospiesznie obeszła saloon i weszła po tylnych schodach. Zastukała do drzwi Gila i uchyliła je.

- Nie śpisz? - zapytała cicho.

- Śpię - burknął - idź sobie. - Patrzył na drzwi czekając, aż wpadnie do środka jak burza.

- Och. - Sara zawahała się marszcząc brwi. - Nie jesteś sam. - Ale kto mógł u niego być, że nie chciał, by go zobaczyła?

- Co ty sobie właściwie do cholery wyobrażasz? Że ja przyjmuję tu jakieś panienki?

Przekrzywiła głowę na bok i przysłuchiwała się.

- Zawsze chciałam jakąś poznać - powiedziała i pchnęła drzwi.

Gil siedział na skraju łóżka.

- Przykro mi, że cię rozczaruję.

- Może następnym razem zatrzyma się na dłużej.

- Zobaczą, co da się zrobić.

Postawiła mu tacę na kolanach i niemalże uległa pokusie, żeby obok niego usiąść.

- Wciąż jeszcze nie przyzwyczałam się do tego, jak inaczej wygląda twój pokój z łóżkiem pod oknem. - Jeżeli Gil się wysili, dosięgnie dzbanka z kawą na piecu; upewniła się, czy ma wszystko w zasięgu ręki.

- Jakoś niewiele tu ostatnio spędzasz czasu. - Chwycił jej dłoń. - Zajęta byłaś pisaniem?

- Różnymi sprawami, które zaniedbałam.

Pokazał na *Gazette*.

- Czy Charles miał jakieś wiadomości od panny Lucy? Nie ma jej artykułu w tym wydaniu. Mam nadzieję, że się nie rozchorowała.

- Pewnie jej list utknął gdzieś po drodze. - Masował lekko kciukiem wewnątrz jej nadgarstka, a ona czuła, jak radosne oczekiwanie trzepocze się jej po piersiach i brzuchu.

Gil zauważył, że spogląda na drzwi.

- Wyglądasz, jakbyś była gotowa stąd uciekać.

Sara zagapiła się na ich złączone dłonie, potem popatrzyła na niego.

- Jestem umówiona z Phoebe i Ruby Jean u Elsie na lunch.

- Planowanie strategii? - uśmiechnął się do niej chytrze, wciąż pocierając lekko delikatną skórę nadgarstka.

- O to chodzi. - Uścisnęła lekko jego dłoń i wysunęła palec z jego uścisku. - Nastawię ci dzbanek kawy i wrócę po lunchu po naczynia.

- Nigdzie się nie wybieram.

Przygotowała kawę i postawiła ją na piecu, potem zaważała się. Jeszcze jeden krok i znajdzie się na tyle blisko, że będzie go mogła pieścić, tulić i całować, ale właśnie ta świadomość powodowała, że stała jak wryta poza zasięgiem jego rąk. Całowanie Gila wydawało jej się niemal równie naturalne, jak uśmiechanie się doń. Wystraszyła się tego.

- Do zobaczenia za trochę.

Phoebe odetchnęła, kiedy zauważyła Sarę, która pośpiesznie wchodziła przez drzwi frontowe Elsie. To chyba rekord, pomyślała. Sara zawsze ociągała się u pana Perry'ego, dopóki nie skończył jeść. Może się opamiętała.

- Przyszłaś akurat w porę.

- Wyglądasz, jakbyś była zaskoczona - powiedziała Sara i uśmiechnęła się do Ruby Jean.

- Cieszę się, że mogłaś przyjść - odezwała się Ruby Jean. - Myślałam, że zmieniłaś zdanie, jesteś przecież taka zajęta w związku z opieką nad panem Perrym i pracą w gazecie.

- Nie, oczywiście że nie. - Sara przeszła obok niej i weszła do kuchni. - Przepraszam, że się spóźniłam. Elsie, w czym mogę ci pomóc?

- Hej. - Elsie wzięła koszyczek z chlebem. - Postaw to na stole i siadaj. Zaraz do was przyjdę.

Sara zajęła miejsce przy stole razem z paniami. Przy lunchu rozmawiały o nowych materiałach u Seatonów, o przepisach rodzinnych na dania na Święto Dziękczynienia, panie pytały Sarę o stan Gila. Posprzątały ze stołu i Elsie podała ciasto korzenne.

- Ślicznie pachnie - powiedziała Ruby Jean wpatrując się w ciasto.

- Wciąż jeszcze jest trochę ciepłe. To dlatego lukier nie wyszedł tak ładnie, jak bym chciała. - Elsie pokroiła ciasto i rozdała im po kawałku.

- Czy któraś z was ma jakiś pomysł, jak mogłybyśmy nakłonić panie, żeby wzięły udział w głosowaniu? - Phoebe rozejrzała się wokół.

Ruby Jean popatrzyła na trzy pozostałe.

- Żony farmerów przeważnie przyjeżdżają do miasta ze swoimi mężami na zakupy, prawda?

- Zwykle tak - zgodziła się z nią Phoebe.

Sara uniosła widelczyk i zatrzymała go w pół drogi.

- Wybory odbędą się w połowie miesiąca. Niewiele osób będzie się wybierało do miasta w tym czasie.

- Więc musimy przekonać je, żeby przyjechały głosować. Elsie pokiwała głową do Phoebe.

- Saro, czy napiszesz artykuł dla kobiet? Myślę, że to może mieć znaczenie. Mężczyźni ich zachęcać nie będą.

- Zabiorę się do tego dziś wieczorem.

Phoebe nabrała resztkę ciasta na widelczyk.

- Powinnyśmy umówić przynajmniej dwie kobiety, które brałyby na ręce dzieci, żeby kobiety mogły głosować.

- Tak - powiedziała Elsie. - To dobry pomysł.

- A co z poczęstunkiem? - zapytała Ruby Jean. - Czy nie byłoby miło, jak by podać kawę i ciastka?

Sara zerknęła na Phoebe.

- Może byłoby... ale przecież nie jest to zebranie towarzyskie. Nie chciałybyśmy, żeby panowie doszli do wniosku, że się nam wybory pomyliły z popołudniową herbatką.

- Nie pomyślałam o tym.

Zanim lunch dobiegł końca, wszystkie czuły się podniecone nadchodzącymi wyborami. Wracając do domu z Phoebe Sara przypomniała sobie, że powinna wpaść do Gila.

- Muszę coś załatwić. Do zobaczenia w domu.

- Pozdrów ode mnie pana Perry'ego. - Phoebe skrzyła za róg; miała tylko nadzieję, że Sara nie zapomni wrócić do domu.

Gil patrzył na Jacka i potrząsał głową.

- Jak ty sobie to wyobrażasz, co ja mógłbym w tej sprawie zrobić? Sara nie zmieni swojego sposobu pisania. Ani dla mnie... nawet bym jej o to nie prosił... a już zwłaszcza nie dla garści rozbawionych jej poglądami mężczyzn.

- Diabli nadali, widziałem, jak na nią patrzyłeś. Nie obchodzi cię to, co o niej mówią?

- Cholerny świat, sam o niej mówiłem „ta cała Hamptonowa”. - Tak było, zanim naprawdę ją poznałem, pomyślał Gil. - To nic nowego ani obraźliwego.

- Czy nie zależy to od sposobu mówienia?

- Sara pewnie śmiałaaby się z nich, jakby ich słyszała. Nie martw się o to, Jack. - Gdyby powiedział Jackowi, że z rozmysłem napisała takie oświadczenie, że chciała, by tak je ludzie odebrali, wiadomość rozeszłaby się lotem błyskawicy. Jack miał dobre chęci, ale nie potrafił utrzymać sekretu.

- Tak tylko pomyślałem, że będziesz chciał wiedzieć.

- A jak tam z panną Layton?

Jack wyszczerzył zęby.

- Wspaniale. Po prostu wspaniale.

- Zaskoczony jestem, że Ben nie wziął cię na rozmowę w cztery oczy. Nie jesteś jedynym kawalerem w mieście.

- Sam się tego spodziewałem. - Jack roześmiał się. - Żeby tak prawdę powiedzieć, to niemal oświadczyłem jej się w wieczór zabawy.

- Górą Jack. - Gil wyciągnął rękę i potrząsnął dłonią przyjaciela. - Kiedy zabierzesz się za dom?

- Jaki dom?

- Ten, w którym zamieszkaś z przyszłą panią Young.

- Pewnie powinienem się za to zabrać, co?

- Jeżeli masz nadzieję - zachichotał Gil - że powie tak.

Jack wyszczerzył zęby.

- Pomóż mi, a ja pomogę tobie.

- Ja nie potrzebuję domu - powiedział Gil jasno dając do zrozumienia, że nie życzy sobie o tym mówić. - Wciąż mam swój szafas. Jeżeli miasto dalej się będzie rozrastało, przeniosę się tam.

- Lepiej byś wrócił za bar. - Jack wzruszył ramionami. - Potrzebujesz czegoś?

- Nic mi nie brakuje.

- Jak byś potrzebował, wystarczy że pociągniesz za ten sznurek.

- Dobrze. - Gil popatrzył na mocny sznurek rozciągnięty od parapetu okna do schodów i prowadzący w dół do saloonu, gdzie przywiązany był do jednego z dzwonków, które Sara mu przyniosła. Mógł teraz wyglądać przez okno i wezwać pomoc. Nie mógł natomiast poruszać się po własnym pokoju, dostać się do swoich książek albo nadać listu bez czyjejś pomocy.

Złapał za prawą nogawkę swoją mocniejszą ręką, uniósł nogę na łóżko i wyciągnął się. Od momentu, kiedy Sara zobaczyła, że samodzielnie usiadł, zaczęła się od niego coraz bardziej odsuwać. Może miała rację. Jedno było cholernie pewne, nie był gotów zbudować domu i ogrodzić go parkanem, ale nie chciał również wrócić do machania do niej na do widzenia, kiedy będzie odchodziła drogą.

We wtorek rano Sara szła do redakcji *Gazette* nie mogąc się doczekać rozpoczęcia agitacji wśród kobiet.

Charles uśmiechnął się do niej.

- Zastanawiałem się właśnie, kiedy się zmęczysz sprzątaniami.

Sara odpowiedziała mu uśmiechem i usiadła przy biurku.

- Zdaje mi się, że Phoebe gotowa już była wykopać mnie z domu.

- Nieprzyzwyczajona jest do tego, żebyś przejmowała jej robotę. - Przekładał papiery na biurku. - Potrzebne mi będą w tym tygodniu twoje obydwie artykuły. Musimy przypominać ciągle wszystkim o wyborach.

- Właśnie się miałam zaimar czymś takim zająć.

Przyjrzał jej się.

- To brzmi groźnie.

- Nie martw się. Nie zamierzam szokować pań i panów z Gridley, chcę tylko po prostu nakłonić ich wszystkich do głosowania.

- Chciałbym tylko - potrząsnął głową - żeby czytając twoje teksty rozumiało się je tak, jak je objaśniasz.

- Zawsze się staram precyzyjnie wyrażać to, co myślę. Niestety, zdarza mi się nie dorastać do własnych oczekiwań. - Uśmiechnęła się do niego. - I najwyraźniej do twoich również.

Kiedy otworzyła szufladę, żeby wyjąć świeży papier, zobaczyła listy od „pana poety”. Może chciał się tylko przez krótki okres zabawić. Wepchnęła koperty do kieszeni spódnicy i chwyciła za ołówek. Do diabła z nim, przynajmniej chwilowo.

Zapełniła dwie strony pierwszą wersją swojego artykułu i przytoczyła wypowiedź Abigail Dunaways, wydawcy *New Northwest*. W swoich artykułach wstępnych i opowiadaniach pani Dunaways podkreślała nierówność płci wobec prawa. Gdybym tylko pomyślała wcześniej o tym, żeby zaprosić ją tutaj, żeby wygłosiła mowę, zadumała się Sara, ale teraz było już za późno.

W następnej kolejności sprawdziła listę tematów do szpalty panny Lucy. Wieczorne przyjęcia i wizyty. Nie zamieści jednak żadnej zawołowanej wiadomości dla „pana poety”. Skończyła pisać szpalte, uporządkowała papiery na biurku.

Charles podniósł wzrok.

- Czy przyjdiesz dziś po południu?

- Nie, chyba że jestem ci potrzebna.

Wychodząc na drewniany chodnik usłyszała dźwięk dzwonka i zerknęła w boczne okno nad saloonem. Dzwonek zadzwonił ponownie, a ona poczuła się tak, jakby Gil przesunął jej palcem po kręgosłupie. Czy czekał, żeby się z nią zobaczyć? Uśmiechnęła się i pomachała do niego. Po drodze do domu przejrzała korespondencję od pana Browna. Musi uporządkować nieład w swoich uczuciach.

Wchodząc do domu poczuła zapach gotującego się gulaszu i udała się do kuchni.

- Phoebe, czy miałabyś ochotę przejechać się ze mną w sobotę do Fenton's Crossing?

19

Sara przyglądała się łące na łagodnym zboczu i bujnym lasom, które porastały tak dużą część Oregonu.

- Czy na pewno nie chcesz, żebym to ja powoziła? Wyglądasz trochę mizernie. - Phoebe nie najlepiej czuła się rano, zanim wyjechały.

- Możesz wziąć lejce w drodze powrotnej. Fenton's Crossing mamy tuż przed sobą, a przynajmniej powinnyśmy mieć, zgodnie ze wskazówkami. - Phoebe zerknęła na gazetę na siedzeniu między nimi. - Czy naprawdę chcesz wykorzystać tę historyjkę, którą wymyśliłaś dla pana Browna, jeżeli uda nam się go znaleźć?

- Powinno mu to pochlebić, że przejechałyśmy taki kawał drogi, żeby dostarczyć mu egzemplarz *Gazette*.

- Nie pisał już od dwóch tygodni, a może trzech? W każdym bądź razie okropnie nie podoba mi się to, że za nim lataasz.

Sara wyszczerzyła do niej zęby w uśmiechu.

- Czy nie jesteś chociaż troszkę ciekawa? Ja jestem, a jeżeli mam się go pozbyć z pamięci, muszę go najpierw zobaczyć. - I muszę sama sobie dowiedzieć, że nie jestem płocha.

Listy „pana poety” były pochlebne i intrygujące. Sara czuła, że serce zaczyna jej mięknąć i odnosiła wrażenie, że zaczyna się w nim zakochiwać... a potem okazało się, iż zauroczona jest Gilem. Dobrze im było razem kłócić się, śmiać i nawet tańczyć, a kiedy ją całował, czuła się piękna, hołubiona i pożądana.

- Jego nazwiska nie ma w spisie adresów pocztowych. Na jego miejscu miałabym podejrzenia w stosunku do kogoś, kto

doręczyłby mi osobiście gazetę, której nie prenumerowałam.

- Przymilimy się do niego. Pamiętasz, jak odwracałyśmy uwagę Henry'ego Fincha, żeby Odette mogła wymknąć się z panem Careym?

- Miałyśmy wtedy po siedemnaście lat i byłyśmy głupiutkie. Gdybyśmy jej nie pomogły, może nie musiałyby tak nagłe wychodzić za mąż. - Dojechały do zakrętu na drodze, Phoebe ściągnęła wodze i para koni zwolniła. - Tam jest prom, prosto przed nami.

- To miasto jest większe niż Gridley.

- Pewnie jest też starsze. - Phoebe zatrzymała się przy przystani, a przewoźnik pomachał do niej.

Kiedy dopłynęli na drugi brzeg, Sara podała przewoźnikowi dwudziestopięciocentową opłatę. W kilka minut później znalazły się już w centrum miasta.

- Może podjechałaś tutaj? W tym sklepie łokciowym jest poczta.

Phoebe skierowała konie na skraj drogi.

- Co masz zamiar robić?

- Zastanawiałam się, czy by nie powiedzieć, że jestem daleką kuzynką „pana poety” - powiedziała Sara przyglądając się, jak po drewnianym chodniku idzie w ich stronę jakiś brodaty mężczyzna. - Ale sytuacja mogłaby się nadmiernie skomplikować. - Mężczyzna wszedł do sklepu łokciowego.

- I okazać się żenująca. On ma nazwisko Brown. - Phoebe parsknęła. - A jeżeli akurat tam będzie i cię usłyszy?

- Będę ostrożna - zgodziła się Sara - i będę się trzymać prawdy na tyle, na ile to jest możliwe. - Wysiadła z powoziku. - Nie pójdziesz ze mną?

- Po drugiej stronie banku widzę sklep z towarami mieszczanymi. Zobaczę, czego mi się tam uda dowiedzieć. - Phoebe zaciągnęła hamulec i owinęła lejce wokół niego.

Sara rozejrzała się po drodze.

- Przy hotelu jest restauracja. Może spotkamy się tam za pół godziny?

- Czy zapomniałaś już, że spakowałyśmy sobie lunch?
- Zaproszę cię na filiżankę herbaty. Możemy się zatrzymać i zjeść lunch w drodze powrotnej.

Phoebe uśmiechnęła się.

- Spotkamy się w restauracji. Powodzenia.
- Tobie również. - Sara weszła do sklepu łokciowego i rozejrzała się. Mężczyzna, którego widziała na zewnątrz, przyglądał się siekierom i łopatom.

Zaczekała, aż urzędniczka na poczcie przestanie być zajęta i podeszła do kontuaru.

- Przepraszam panią - powiedziała mając nadzieję, że kobiecie jej uśmiech wyda się naturalny, a nie tak wymuszony, jak czuła. - Korespondowałam z panem Brownem i chciałam mu zrobić niespodziankę. Czy widziała go pani dziś? - Zerknęła w kierunku, gdzie wcześniej stał brodaty mężczyzna, ale nie było go tam.

- Pan Brown...? - Urzędniczka zagapiła się w przestrzeń. - Musi pani chodzić o Teddy'ego Browna. Ostatnio go nie widziałam, przykro mi.

- Och, jej. Przyjechałam z tak daleka, a nie wiem, kiedy znowu będę tu mogła wrócić. - Sara oparła obie dłonie płasko na kontuarze. - Czy on mieszka gdzieś niedaleko? Taką byłabym pani wdzięczna za każdą pomoc.

- Kiedy ostatnio o nim słyszałam, mieszkał gdzieś w lasach za rzeką, ale nie przysięgłabym. - Kobieta wzruszyła ramionami.

- Dziękuję pani serdecznie. - Sara popatrzyła na nią rozpromieniona i niemal tanecznym krokiem wyszła na zewnątrz. Obejrzała kilka wystaw i czekała przed restauracją na Phoebe, zbyt niecierpliwa, żeby spokojnie usiąść.

Kiedy sprzedawca podszedł do Phoebe, wpatrywała się w tytoń.

- Czy mogę coś pani podać?

- Tytoń. Do fajki. - Uśmiechnęła się do ekspedienta i starała się pozyskać jego sympatię. - Mój mąż chciał wypróbować gatunek, który pali jego przyjaciel, ale nie pamiętam nazwy. - Rzuciła mu błagalne spojrzenie. - To gatunek pana Browna. Jedyne, jakiego używa. Czy on tu robi zakupy?

- Brown? Dostyc pospolite nazwisko, ale nie znam go.

- Ojej, to może powinnam się wstrzymać. Dziękuję panu.

Wyszła ze sklepu i ruszyła po chodniku z desek. Wypróbowała to samo podejście w dwóch innych sklepach, potem poszła do restauracji. Sara przechadzała się tam i z powrotem przed lokalem uśmiechając się do siebie tak szeroko, że chyba musiało ją to boleć.

- Znalazłaś go?

Sara chwyciła Phoebe za rękę.

- Tak, no dobrze, prawie. Może mieszkać w tych lasach, przez które przejeżdżaliśmy przed przeprawą promową.

- To cudownie! Chcesz pojechać do niego do domu?

- Najpierw napijmy się herbaty. Myślę, że byłoby zręczniej, gdybyśmy po prostu na niego wpadły. Jestem chyba trochę niespokojna.

Otworzyła drzwi do restauracji i weszły do środka.

W kilka minut później Sara przesunęła palcem po skraju filiżanki i nawet uniosła ją do ust, ale napoju nie skosztowała.

- Zapomniałam zapytać, czego ty się dowiedziałas?

- Nie rozmawiałam z nikim, kto by twierdził, że go zna. Kto ci powiedział, gdzie on mieszka?

- Urzędniczka na poczcie.

- Powinna była to wiedzieć. - Phoebe dopiła herbatę. - Możemy równie dobrze już wyjść, skoro nie masz ochoty na herbatę.

Sara trzymała lejce, kiedy wyjeżdżały z miasta i przeprowiały się promem przez rzekę. Obserwowała bacznie drogę.

- Czy widzisz jakąś ścieżkę prowadzącą w las?

- Jeszcze nie, ale czy nie powinnaś zwolnić?

Sara ściągnęła lekko wodze.

- Czy pan Pratt pytał cię o zebranie, na którym mamy wybierać książki dla biblioteki?

- Nie... zupełnie o tym zapomniałam przez napad na bank i w ogóle.

- Ja również, a przecież nawet przeprowadzałam wywiad z panem Kentonem w bibliotece. Może moglibyśmy umówić się któregoś dnia w szkole w przyszłym tygodniu.

- Powiem Charlesowi. Czy chcesz porozmawiać z panem Prattem?

- Zobaczę się z nim w poniedziałek po szkole.

Phoebe zauważyła nadpalony pień drzewa.

- Popatrz na to. Czy te koleiny nie odchodzą w bok od drogi?

- Możemy równie dobrze się przekonać. - Sara pociągnęła za lejce i zaprzęg skrzył na wyboistą, leśną ścieżkę w las.

Im dalej wjeżdżały w las, tym bardziej niespokojna robiła się Phoebe.

- To chyba nie może być tu. Już nie widzę kolein.

- Może on jeździ konno. - Sara uśmiechnęła się. Podobał jej się ten obraz.

- Albo może będziemy jeździły w kółko, aż przyznamy, żeśmy się zgubiły - powiedziała Phoebe przyglądając jej się bacznie.

Sarę przeszedł dreszcz.

- Nie daliby nam o tym nigdy zapomnieć.

- Gdyby nas w końcu ktoś znalazł.

Kiedy zawróciły, Sara zauważyła wydeptaną w poszyciu ścieżkę i zatrzymała się.

- Jest ścieżka, ale będziemy musiały pójść pieszo.

- Och, Saro. Nikogo tam nie ma.

- Zaczekaj tutaj. Wyjrzę tylko za ten wielki świerk.

Sara wysiadła na wilgotną ziemię, chwyciła egzemplarz *Gazette* i ruszyła ścieżką. Po paru krokach zaschłe pędy je-

zyn chwyciły ją za spódnicę. Zdecydowana znaleźć „pana poetę” zgarnęła spódnicę w garść i szła dalej.

Kiedy wyszła zza świerka, zobaczyła stary dom w opłakanym stanie, z wrzecionowatą kolumną dymu unoszącą się z komina.

- Panie Boże, zrób mi, proszę, niespodziankę - szepnęła maszerując do drzwi. Zastukała i cofnęła się.

Wydawało jej się, że czeka chyba z godzinę i odwróciła się wreszcie, żeby odejść. I w tej samej chwili usłyszała skrzypienie. Serce zaczęło jej walić, a dłonie nagle zwilgotniały, kiedy oglądała się za siebie. Ktoś uchylił drzwi.

- Pan Brown? - zapytała podchodząc powoli do rudery. - O miłosierne nieba - wymamrotała wpatrując się w męzną olbrzymiego wzrostu, który sądząc z wieku mógłby być jej dziadkiem.

- Tak. Czego to panna szukasz?

Sarze na moment odjęło mowę. Historyjka, którą sobie ułożyła, wydała jej się teraz niemądra. - Czy mówi coś panu nazwa Gridley?

- A co to jest?

- Przykro mi, że niepokoiłam pana. Najwyraźniej zaszła pomyłka w adresie. - Zauważyła, że Brown wpatruje się w gazetę w jej ręce. - Czy życzyłyby pan sobie? - zapytała wyciągając do niego pismo.

- No pewno, panienko. - Wyrwał jej gazetę, jego ręka zniknęła za drzwiami, drzwi się zamknęły.

Spiesząc z powrotem do powoziku mamrotała:

- To nie o taką niespodziankę mi chodziło. - Serce jej wciąż jeszcze łomotało jak werbel.

Phoebe usłyszała, jak Sara biegnie przez poszycie i wysiadła z wozu.

- Co się stało?

Kiedy Sara wmaszerowała na polankę, Phoebe podbiegła do niej i przytuliła ją.

- Phoebe, co się stało?

- Mnie? - Phoebe cofnęła się o krok i bacznie przyjrzała się Sarze. - Usłyszałam, że biegniesz, jakby... myślałam, że rzucił się na ciebie.

- Nie. To nie ten pan Brown. Ten musiał już dobrze przekroczyć sześćdziesiątkę, a wzrostu ma chyba z siedem stóp. Bardziej interesowała go gazeta niż ja, dzięki Bogu. - Sara uśmiechnęła się do przyjaciółki. - Jedźmy do domu.

Kiedy wracały po własnych śladach ścieżką na drogę, Phoebe przyglądała się zarośłom, tak gęstym, że z łatwością mógłby się tam ukryć jeździec i jego koń.

- Może ten twój pan Brown jest synem tego człowieka.

- Wystraszył się niemal tak, jakby całkiem odwykł od widywania ludzi. Jeżeli „pan poeta” jest jego synem i do tego stopnia zaniedbuje swojego ojca, nie chcę go znać.

Sara skrzyła na drogę. Czy mogła powziąć aż tak błędne mniemanie o „panu poecie”? Jest wykształconym człowiekiem, pomyślała, ale to niekoniecznie musi się odbijać w jego charakterze.

Miała teraz w głowie jeszcze większy chaos niż wtedy, kiedy wyruszała do Fenton's Crossing.

Gil przyglądał się, jak Sara wykłada pieczonego kurczaka, puree z kartofli i fasolkę szparagową na talerz. Chyba wystarczyłoby tego na kilka osób. Ciemnozielona spódnica kołysała się delikatnie, pozwalając przelotnie dostrzec jej kostkę.

- Czy wybierasz się dziś wieczorem na przyjęcie?

Obejrzała się na niego przez ramię.

- Myślałam, żeby ci dziś wieczorem dotrzymać towarzystwa, chyba że masz inne plany.

- Całkiem mi się twój plan podoba.

Sara uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Mam nadzieję, że jesteś głodny. - Sprzątnęła z małego

stolika i przysunęła go do łóżka. - Przyszła mi ochota na gotowanie.

- Cudownie pachnie. Niemal równie cudownie, jak ty wyglądasz - powiedział przyglądając jej się swawolnie. - Jaka szkoda, że jeszcze nie zdołam zatańczyć.

Pławiąc się w ciepłe jego komplementów Sara ustawiła swój talerz naprzeciw jego talerza. - Czy twoi ludzie wpadli już do ciebie z wizytą? - Miał lepszą cerę, a oczy mu błyszczały. Boże, ależ on był przystojny, nawet bez swego łobuzerskiego uśmiechu.

Gil przełknął porcję puszystych ziemniaków.

- Nie przestawali wpadać.

- Martwiłeś się o nich. Czy wszystko jest w porządku? - Usiadła na krześle naprzeciw niego.

- Znowu był pożar. Ludzie zgasili ogień, zanim się rozprzestrzenił na barak sypialny. - Wziął upieczone udko kurczaka i wbił w nie zęby. Niech to diabli, w żaden sposób nie zdoła wyśledzić tego kogoś, kto prześladował obozowisko jego drwali, przynajmniej dopóki nie będzie w stanie wytrzymać trzęsienia się na wozie, którym mógłby tam dojechać.

- To dobrze. Ale chyba twoi ludzie zauważąliby, gdyby ktoś obcy kręcił się w okolicy obozowiska?

- Na zmianę patrolowali skraj obozu, ale ten, kto to robił, albo ma sporo sprytu, albo szczęścia. - Nabiał fasolkę na widelec. - Albo jest tak pomyłony, że aż przebiegły.

- To przerażająca myśl. Kto mógłby chcieć spalić twoje obozowisko? Połowa stanu porośnięta jest drzewami, więc nie powinno chodzić o drewno.

- Cienia sensu w tym nie ma. Wygląda na to, że nękanie jest wyłącznie moje obozowisko.

- Czy mogłabym jakoś pomóc?

Potrząsnął głową.

- Jeżeli coś wymyślę, dam ci znać. Ale dosyć o tym. Jak ci minęło popołudnie?

- Pogoda była taka śliczna, że wybrałyśmy się z Phoebe

na przejazdzkę i niewiele brakowało, a zgubiłybyśmy się w lesie. - Nie widziała żadnego powodu, żeby informować go, na jaką wyszła idiotkę.

- Nie trzymałyście się drogi?

- Wydawało mi się, że jadę ścieżką. - Uśmiechnęła się. - A już na pewno z powrotem jechałam po śladach jakiegoś wozu.

Gil skinął głową.

- Jak ci następnym razem przyjdzie ochota na wędrowki po lesie, tylko mi powiedz, a z radością cię zabiorę.

- Bardzo bym chciała. Dziękuję ci. - Uśmiechnęła się. Muszę wyglądać jak szczerząca zęby idiotka, pomyślała. Nie powinnam była marnować czasu na poszukiwanie „pana poty”. Poza tym najwyraźniej nie chciał dać się znaleźć.

- Dobrze. Jak tylko będę w stanie znowu wsiąść na konia, pokażę ci okolice obozowiska, jeżeli go do tego czasu nie spalą. - Mrugnął do niej i z satysfakcją zobaczył, jak w jej oczach błyszczy śmiech. - Czy byłaś na górze Hood?

- Czy prowadzą tam jakieś drogi? - Wciąż uśmiechnięta zrezygnowała z udawania, że je, i popijała kawę.

- Droga to nie, ale jest ścieżka. Jeździsz konno?

- Ostatnio nie siedziałam na koniu, ale myślę, że utrzymam się w siodle.

- Damskim? - Usiłował wyobrazić ją sobie w amazonce; noga przełożona przez kulę u siodła, kłoszowa spódnica przykrywa jej nogi, włosy powiewają na wietrze. Jakoś nie pasowała mu do tego obrazu. Domyślał się, że w dzieciństwie musiał być z niej chyba niezły urwis.

- Okrakiem. - Czuła na sobie spojrzenie Gila i zastanawiała się, czy on zdaje sobie sprawę, że rośnie między nimi napięcie.

Gil pokiwał powoli głową. Jednym z najbardziej erotycznych obrazów, jakie znał, był widok kobiety jadącej na koniu okrakiem.

- Myślę, że spodoba ci się ta panorama. - Poprawił się na materacu. - Chyba żadna inna jej nie dorówna.

Usta Gila wygięły się w powolnym, swobodnym uśmiechu, błysk w jego oczach był zdecydowanie nieprzyzwoity i podniecający. Sara poczuła się tak, jakby nagle poślizgnęła się na pokrytej lodem sadzawce.

- Na deser zrobiłam zapiekankę z jabłkami - powiedziała sprząając talerze, chociaż wcale nie skończyli jeszcze jeść.

- Może podzielimy się jedną porcją?

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Nie rzucaj tego jeszcze świniom. Może później zgłodnieję.

Odstawiła jego talerz z powrotem na stół, a swój włożyła do koszyka. W pokoju było tak cicho, że usłyszała, jak Gil ostro wciąga powietrze. Puls jej przyspieszył i miała tylko nadzieję, że Gil nie zauważy drżenia jej dłoni, kiedy nakładała porcję deseru i stawiała ją przed nim.

- Ładnie pachnie. Całe jedzenie było dobre, a ty jesteś taka wystrojona. Szkoda, że nie możemy jakoś uczcić tej sytuacji.

- Przyjęciem z okazji powrotu do zdrowia?

- A może wstaniem z łóżka? Chodź no tu, Saro. - Pospiesznie przesunął się na skraj łóżka.

- Jesteś pewien?

- Żebra mnie nie boją. Mam tylko trochę obolały bok. Podeszła do niego.

- Co chcesz, żebyśmy zrobiła?

- Stań obok mnie - powiedział wyciągając rękę - na wypadek gdybym się nie utrzymał na nogach. - Czegoś takiego nigdy jeszcze nie powiedział żadnej kobiecie.

Sara stanęła obok niego. Kiedy się podniósł, otoczyła się jego ręką, a swoją objęła go w pasie.

Pokój zaczął wirować. Gil złapał ją za ramię i zamknął oczy.

- Nie mogę...

- Co się stało? - Sara opuściła go na łóżko.

Gdyby nie ona, byłby się wyrócił.

- Zawroty głowy. Chyba jeszcze nie jest ze mną tak do-

brze, jak mi się zdawało. - Nie puścił jej, tylko pochylił głowę, a pokój nadal wirował wokół niego.

- Szybko zdrowiejesz. Niedługo już staniesz na nogi.

Czoło Gila pokryło się kroplistym potem i z trudem łapał powietrze, ale jego ręka nie była słaba. Przyciskał ją do siebie, chociaż niekoniecznie tak, jak by tego chciała.

W końcu pokój wrócił do równowagi i Gil się wyprostował.

- Poczekam ze dwa dni, zanim następny raz tego spróbuję. - Rozluźnił uścisk, ale nie puścił jej. - Jeszcze nigdy nie było mi potrzebne usprawiedliwienie, żeby trzymać kobietę w objęciach.

- Wcale nie czuję się tym zaskoczona - powiedziała tracając się w niewiarygodnym spojrzeniu Gila.

- Mm, bzy. - Przesunął palcem po jej podbródku. - Nigdy jeszcze tak słodko nie pachniały. - Przywarł ustami do jej ust z chciwością człowieka ginącego z głodu. Wtuliła się w niego cała drżąca, a jego niczym piorun przeszło palące pożądanie, ale nie był w stanie zaspokoić Sary tak, jak to robił w swoich marzeniach. Z pewnością pokutował za swoje młodzieńcze figle.

Sara jęknęła i przylgnęła do niego nie słysząc nic oprócz bicia własnego serca. Przy Gilu dech jej zapierało; budził w niej wszystkie pragnienia, jakie kiedykolwiek czuła czy sobie wyobrażała. Przytuliła się do niego i przywarła piersiami do jego torsu. Pod dłońmi Sary mięśnie Gila napięły się; wessała jego język do ust. Miała ochotę pchnąć go na materac, ale jakaś cząstka umysłu powstrzymała ją przed tym.

Wargi Gila opuściły jej nabrzmiałe usta, a kiedy rozpinał jej stanik, przesunęły się po szyi zostawiając za sobą palący ślad. Musnął wargami gładkie kremowe ciało, objął dłońią okrągłą pierś. Właśnie sięgał do obrąbka jej spódnicy, kiedy przerwał im głos Jacka.

- Hej, Gil - wołał Jack - chcesz zejść na dół? Pomyślałem, że mógłbym cię zanieść.

- Nie teraz. Właśnie zjadłem kolację. - Gil uśmiechnął się szeroko do Sary. - Trochę mnie to wyczerpało.

- Niewiele brakowało, a byłby tu wszedł! - szepnęła mocując się na oślep z guzikami.

- Na pewno nic ci nie jest? - Klamka szczęknęła i Jack zaczął otwierać drzwi.

- Zjeżdżaj stąd do diabła, Jack!

- Okay. Do zobaczenia później.

Kiedy kroki Jacka ucichły, Sara osunęła się na Gila.

Uśmiechną się.

- Będę musiał założyć zamek. - Uniósł brodę Sary w górę i łagodnie pieścił jej wargi.

Jego pocałunek był niespieszny i pomógł jej wrócić do siebie. Z uśmiechem powiedziała:

- Lepiej odpocznij, poza tym nie chcę, żeby przyłapał nas Jack.

- A mnie się zdawało, że jesteś zwolenniczką wolnej miłości. - Całował bok jej szyi, dłonią lekko przesuwając po jej ręce.

- Jestem, ale... wolę, żeby nie omawiali tego wszyscy w mieście.

- Ja też. Tylko się z tobą droczyłem.

Ucałowała go w brodę.

- Nie chcę cię wyczerpywać.

- Jeszcze trochę, a to już nie będzie problemem. - Cała się jarzyła i była taka śliczna. Odgarnął jej włosy z oczu i skubnął zębami za ucho.

Sara oparła dłoń na jego udzie, żeby utrzymać równowagę.

- Oooh, to nie fair, Gil.

- A kto próbuje grać fair? - Gil nakrył dłonią jej palce i powoli przesuwając je w górę.

- Proszę cię, nogi już mam jak z waty, a muszę dojść do domu. - Uniosła jego dłoń i otarła się policzkiem o kostki.

- Do zobaczenia rano. - Wstała chwiejnie na nogi i założyła pelerynę.

- Słodkich snów, Saro.

Sara chwyciła za koszyk.

- Tobie też.

Wymknęła się z pokoju, zanim zdąży zmienić zdanie. Boże, tak chciała z nim zostać. Wolna miłość. Dzieliła się w artykułach swymi poglądami, ale nigdy jej przekonania nie były wystawione na próbę.

Aż do tej chwili.

Zeszła ze schodów i zatrzymała się na dole. Może gdyby jej tak na nim nie zależało, łatwiej byłoby z nim się kochać. Problem w tym, że się w nim zakochała, a mimo to jakąś drobną cząstką czepiała się wspomnienia o listach „pana poety” i uczuć, jakie w niej budził.

Przycisnęła czubki palców do warg i zadrżała na wspomnienie pieścizot Gila.

Phoebe i Sara spieszyły w deszczu do szkoły. Weszły do środka. Koło pana Pratta pętała się trójka dzieci. Phoebe podeszła do piecyka.

- Charles powinien być już przyjsć.

- Nie martw się. - Sara grzała sobie plecy. - Nie spóźni się. Zostawiłam mu wiadomość tam, gdzie nie mógł jej nie zauważyć.

- W porządku - kiwnęła głową Phoebe. - Powiedział, że poprosi też pana Riggsa, żeby przyszedł.

- No dobrze, biegnijcie już - odezwał się pan Pratt do dzieci. - Nie zapomnijcie odrobić artymetyki. Jutro będzie sprawdzian.

- Dzień dobry, pani Abbott - zwrócił się do nich podchodząc do piecyka. - Pani Hampton. Nie widziałem pani od czasu zebrania. Mam nadzieję, że dobrze się pani czuje.

- Świetnie, dziękuję panu. Dzieci wyglądały bardzo radośnie.

- Tak - zgodziła się Phoebe. - Musi im się podobać w szkole, skoro zostają po lekcjach.

Pan Pratt wzruszył ramionami i dołożył dwa polana do ognia.

- Niektóre nie spieszą się, żeby wracać do domu, gdzie czeka je robota. Siadajcie panie, proszę. - Podszedł do biurka i wrócił z papierem i ołówkami. - Pomyślałem, że każde z nas mogłoby przygotować listę książek, które chcielibyśmy mieć w bibliotece.

- Przyniosłam swoją ze sobą. - Sara wyciągnęła listę z kieszeni peleryny.

Phoebe położyła swoją na blacie biurka i usiadła.

- Ja wszystko sobie zapisuję. - Usłyszała skrzypnięcie drzwi i obejrzała się. Nareszcie. Charles i pan Riggs.

- Cześć, Emmett. - Charles zajął miejsce obok Phoebe.

Vernon Riggs zdjął z głowy kapelusz.

- Przepraszam państwa, że się spóźniłem.

- Cześć, Charlesie, panie Riggs. Myślę, że możemy już zaczynać. - Pan Pratt rozdał wszystkim papier i ołówki.

Sara miała wrażenie, że pan Pratt zapomniał, że na dziś szkoła się już skończyła.

- Zebraлиśmy osiemnaście dolarów czterdzieści centów; możemy je wydać na książki i oczywiście opłaty pocztowe.

- To dobry początek, pani Hampton - powiedział pan Pratt uśmiechając się do niej.

Charles odchrząknął.

- Książką, która powinna znaleźć się w każdej bibliotece, jest słownik. - Popatrzył na nich po kolei. - Powiedziałbym, że zakup najnowszego wydania Webstera to obowiązek.

- Zgadza się - powiedział pan Pratt i skinął głową.

- Wydaje mi się - powiedziała Phoebe - że młodsze dzieci zainteresowałyby się Robinsonem Szwajcarskim i Baśnią Andersena.

Sara zaczęła zapisywać kolejno wymienione tytuły i autorów.

- A może każdy z nas przeczytałby swoją listę, żebyśmy mogli sporządzić jedną, nad którą będziemy pracować?

- To może zaczniemy od pani? - Pan Pratt wyjął swoją listę z szuflady biurka i usiadł naprzeciw Sary.

- W porządku. Poezje wybrane Tennysona, Małe kobietki Louisy May Alcott, Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi, Nathaniel Hawthorne.

Charles potarł brodę.

- Silas Marner George Eliot. Vernon, a co ty masz do powiedzenia?

- Lubię książki pana Juliusza Verne'a - odchrząknął pan Riggs. - Może dzieciom też by się podobały?

- Kilka z moich pozycji zostało wymienionych, ale dodałbym Meteorology Charlesa Wilkesa, Tropiciele śladów Jamesa Fenimore'a Coopera, dobry atlas i tom Szekspira. - Pan Pratt położył swoją listę na biurku. - No i jest jeszcze tak wielu poetów.

- Saro, czy zechciałabyś odczytać listę? - Phoebe odczekała, aż Sara skończy pisać.

Sara przeczytała tytuły.

- Naliczyłam ich trzynaście. Będziemy musieli głosować. Zachowam listę książek, których nie uda nam się kupić teraz, żebyśmy je mogli zamówić później. - Czy pan Pratt położył nacisk na Szekspira, czy też tylko tak to zabrzmiało? I ciągle się do niej uśmiechał. Była taka pewna, że nie może być „panem poetą”. Och, do diabła z tym. Co za różnica? „Pan poeta” przestał pisać, ale Gil istniał naprawdę i nie mogła wyprzeć się swojej miłości do niego.

- Saro, ty orientujesz się w cenach kilku książek, ale co z innymi? - zapytała Phoebe.

- Ceny wahały się od osiemdziesięciu pięciu centów do prawie dwóch dolarów. Jestem przekonana, że uda nam się kupić przynajmniej osiem albo dziewięć książek.

- No cóż - powiedział Charles wzruszając ramionami - więc głosujemy. Saro, zapisuj liczbę głosów, jaką dostanie każda książka. Zamówimy książki z największą ilością głosów.

- To brzmi rozsądnie. - Pan Pratt znowu uśmiechnął się

do Sary. - Jeżeli nie ma pani ochoty liczyć głosów, z radością się z panią zamienię.

- Nie widzę najmniejszego problemu, zapewniam pana. - Sara wbiła spojrzenie w listę zastanawiając się, czy dosłyszał irytację w jej głosie. Głosowała za książką Jamesa Fenimore'a Coopera i za atlasem, który zaproponował pan Pratt. Pozostałe dwie zgłoszone przez niego pozycje pominęła.

Pan Riggs wstał.

- Jeżeli skończyliśmy, to lepiej już będę wracał.

- Wdzięczne jesteśmy panu za pomoc - powiedziała Sara, kiedy pan Riggs ruszał do drzwi.

- Dziękuję, że przyszedłeś, Vernon. - Charles podniósł się i podał rękę Phoebe. - No to załatwione. Phoebe, czy chcesz złożyć nasze zamówienie u Seatonów?

- Jutro rano. - Wzięła go pod rękę. - Gotowa, Saro?

- Tak. - Sara poskładała notatki i zostawiła ołówek na biurku. - Wydaje mi się, że bardzo dobrze nam poszło. Dziękuję panu za pomoc, panie Pratt.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Z chęcią...

Sara, która nie była zachwycona jego nadskakiwaniem ani błyskiem, jaki miał w oku, przerwała mu.

- Damy panu znać, kiedy przyjdą książki. Dobranoc. - Obciągnęła pelerynę wychodząc z Phoebe i Charlesem.

Pan Pratt nie może być „panem poetą”, pomyślała Sara. Po prostu nie może.

20

W sobotę rano Sara obudziła się wcześniej. Był dzień wyborów. Rozdmuchała ogień pod płytą, nastawiła dzbanek kawy i wodę na herbatę. Wyrzała na zewnątrz. Ziemia była wilgotna, a niebo szare. Będą głosować w stajni. Umyła

się, założyła pół tuzina halek oraz wykończoną czarną plecionką suknię koloru czerwonego wina i wyszczotkowała sobie włosy.

Phoebe poczuła zapach kawy i zeszła do kuchni. Bekon skwierczał już na patelni, a Sara wlewała wrzątek do czajniczka.

- Dzień dobry. Dzięki, że nastawiłaś herbatę.

- Hej. Czy Charles już się zbudził?

- Mhm. Ubiera się. Umówił się z panami Seatonem i Kentonem w stajni, żeby posprzątać i poustawiać stoliki. - Phoebe postawiła jeszcze jedną patelnię na płycie i wyjęła miskę z jajkami. - Czy pan Perry jest już w stanie utrzymać się na nogach?

- Udało mu się wczoraj wieczorem. Próbował codziennie, ale wczoraj pierwszy raz nie zakreśliło mu się w głowie. Zrobił nawet przy mojej pomocy kilka kroków. - Sara uśmiechnęła się do siebie. Przeszli do jego biurka i z powrotem do łóżka, a potem z całych sił przycisnął ją do siebie, od piersi do kolan. Jego podniecenie było jednoznacznie wyczuwalne, nawet przez wszystkie warstwy ubrań.

Phoebe zerknęła na Sarę.

- Masz zdecydowanie nieprzyzwoitą minę.

Sara gwałtownie podniosła oczy, zauważyła porozumiewawcze spojrzenie Phoebe i zobaczyła, że przyjaciółka nie wygląda na zadowoloną.

- Co się stało?

Phoebe potrząsnęła głową.

- Cieszę się, że nie będziesz już musiała go obsługiwać.

- Wcale go nie obsługuję, a za dzień czy dwa będzie już całkiem samodzielny. - Sara popijała kawę. Jeszcze tylko dwa dni.

Phoebe odwróciła się; nagły zawrót głowy spowodował, że się zachwiała. Przycisnęła dłonie do kuchennego stołu, żeby odzyskać równowagę. Nie może jej być niedobrze, nie dzisiaj, kiedy ma tyle do zrobienia. W chwilę później mdłości przeszły. Nalała sobie herbaty i popijała ją małymi łycz-

kami. Kiedy podniosła oczy, zobaczyła, że Charles przygląda jej się od drzwi.

- Śniadanie będzie gotowe za chwilę.

Podszedł i pocałował ją w policzek.

- Czy dobrze się czujesz?

- Próbuję się po prostu obudzić. - Uśmiechnęła się do niego-

Charles wlał kawę do kubka.

- Odpocznij. Sara i ja przygotowujemy śniadanie.

- Charles, nic mi nie jest. - Stanęła na palcach i szepnęła mu do ucha: - Dowiodę tego dziś wieczorem.

- Och, ale mamy przed sobą taki długi dzień, moja droga. - Mrugnął do niej i skosztował kawy.

Sara pokroiła chleb i nałożyła dżemu na talerzyk.

- Patelnia jest gorąca - powiedziała sięgając po miskę z jajkami, które ubiła Phoebe.

- Ja to zrobię. - Phoebe wzięła miskę i wlała jajka na rozgrzaną patelnię, potem dodała pokruszonego bekonu.

Dołączyła do nich Cora; Clay deptał jej po piętach.

- Dzień dobry wam. - Sara postawiła dwie szklanki na stole.

- Ciociu Saro - odezwała się Cora podchodząc do niej - czy mogę ci pomóc przy karmieniu pana Perry'ego?

Zanim Sara zdążyła odpowiedzieć, Clay roześmiał się.

- Ty głuptasie. On sam je. Ona mu tylko zanosí jedzenie.

Sara przytuliła Corę.

- Clay ma rację, słoneczko. Zostawię panu Perry'emu tacę ze śniadaniem. Twoja mama i ja mamy mnóstwo do zrobienia dziś rano.

- Coro - powiedziała Phoebe - możesz pójść z nami na głosowanie. Lepiej się ubierz. - Uśmiechnęła się szeroko do Charlesa. Nie chciała, żeby ich córka nabrała przekonania, iż kobiety muszą się trzymać w cieniu, jeśli chodzi o politykę.

- Tak, mamó. - Cora w podskokach wybiegła z kuchni.

Sara podniosła wzrok.

- Charlesie, a może Clay pomógłby ci w przygotowaniach do wyborów?

- Mogę, tato? Rozmawialiśmy o tym w szkole.

- Dobry pomysł, ale najpierw coś zjedzmy.

Cora wbiegła z powrotem do kuchni.

- Jestem gotowa!

- Siadaj, słoneczko. Musisz coś zjeść. - Sara postawiła przed nią talerz na stole i skończyła pakować koszyk dla Gila.

- Proszę, Saro. - Phoebe podała jej talerz.

- Dzięki, ale ty to zjedz. Niedługo wrócę, a wtedy pojedziemy spotkać się z Elsie.

Gil obudził się przed świtaniem. Rozgrzebał żar i przygotował kawę; czuł się już prawie normalnie. Umył się, ubrał, założył skarpetki i buty, i dopiero wtedy zapiął spodnie. Bok najbardziej mu dokuczał, kiedy się pochylał. Rozciągnął się na łóżku i czekał na Sarę.

Sara zastukała do drzwi. Nacisnęła klamkę i przypomniała sobie, jak Jack zrobił to samo poprzedniego wieczoru.

- Gilu?

Gil podszedł do drzwi i przyglądał się Sarze, kiedy jej otwierał.

- Dzień dobry.

Sara zagapiła się na niego, a potem się uśmiechnęła.

~ Wyglądasz świetnie. - Dziwnie się czuła stojąc z nim twarzą w twarz po tak długim okresie, kiedy był obłożnie chory. Wydawał się wyższy, ramiona miał jakby szersze. Zaczęło ją przenikać swojskie już poczucie słabości i przełknęła ślinę. Weszła i postawiła koszyk w nogach łóżka. - Rozpaliłeś ogień.

- Zimno tu było wczoraj w nocy. - Kiedy zamykał drzwi, uświadomił sobie, że nie muszą się już ograniczać do namiętnych pieścizot, że jego rana już nie stanowi przeszkody.

Sara uśmiechnęła się do niego z sympatią.

- Przyniosę ci dziś wieczorem kołdrę.

- Gdybym miał wybierać, znalazłaby się na drugim miejscu.

- Czuł się jak młodzieniaszek, któremu język stawał kołkiem.

Sara zapatrzyła się na jego łóżko i tak wyraziście przypomniało jej się, jak leżała obok niego i czytali wspólnie gazetę, że nie zdołała mu odpowiedzieć. Zaczęła rozpakowywać koszyk.

- Nie mogę zostać. Elsie, Phoebe i ja idziemy do stajni zobaczyć, czy będziemy mogły pomóc przy głosowaniu.

- A ja myślałem, że wystroiłaś się dla mnie - powiedział stając za nią.

Sara obejrzała się przez ramię.

- Byłabym tak zrobiła, tylko...

Gil czule przycisnął usta do jej warg obracając ją w kręgu swoich ramion. Sara wtuliła się w jego objęcia, jakby tylko na nie czekała. Zdumiony był głębią swego pożądania.

- Och, Saro...

- Gil, ja... muszę iść. - Przycisnęła wargi do jego brody. - Zobaczę się z tobą później.

- Zaczekaj - powiedział przytrzymując ją w pasie jedną ręką. - Będę potrzebował twojej pomocy przy...

- Oczywiście. Kiedy ci przyniosę lunch?

- Świetnie. - Stał w drzwiach i patrzył, jak pędzi korytarzem. - Pewnie jesteś zbyt zajęta, żeby pójść ze mną do stajni. - Chciał, żeby z nim poszła do stajni. Może byłby to ostatni raz, kiedy będzie musiała mu pomagać. Po głosowaniu Sara może już nie wrócić do niego. Cholera, chyba nie powinien iść głosować.

- Coro, wracaj tutaj! - zawołała Phoebe idąc po drewnianym chodniku z Sarą, Elsie i Ruby Jean. - Cieszę się, że przestało padać, nawet gdyby miało się przejaśnić tylko na trochę.

Ruby Jean patrzyła na ludzi.

- Boże, czy jesteście w stanie uwierzyć w taką ilość wozów? Pan Abbott musi być bardzo zadowolony, że jego gazeta dociera do tak wielu osób.

- My też powinnyśmy być zadowolone. - Sara kiwnęła głową. - Nie przypominam sobie, żebym w połowie miesiąca widziała aż tyle kobiet w mieście.

Elsie popatrzyła w kierunku saloonu.

- W „Wedge” niewątpliwie jest wielki ruch, zwłaszcza jeżeli wziąć pod uwagę, że drwale jeszcze nie pojawili się w mieście.

- Zwykle przyjeżdżają dopiero późnym popołudniem. - Sara obejrzała się na pokój nad saloonem. - Chciałabym, żeby dziś przyjechali wcześniej.

- Czy to nie pani Price do nas macha? - zapytała Phoebe. - Nie znam tych osób, które są z nią. - Niektóre kobiety niosły na rękach niemowlęta, inne prowadziły małe dzieci.

- Wygląda na to, że właśnie wyszły ze stajni. - Sara zmarszczyła brwi. Kobiety wydawały się na niezadowolone. - Łapcie się, panie, za spódnice - powiedziała schodząc na błotnistą, pobrużdżoną koleinami drogę. Jej stopa zapadła się głęboko i błoto chlupnęło aż nad kostkę. Cofnęła się na chodnik.

Phoebe popatrzyła na Corę.

- Wejdz mi na barana, przeniosę cię na drugą stronę. Nie mam ochoty czyścić później więcej niż jedną parę butów.

- Co ty robisz? - Ruby Jean patrzyła na Sarę szeroko otwartymi oczami.

Elsie roześmiała się.

- Zdejmuje buty. Ja też zdejmę.

- Nogi łatwiej umyć niż buty. - Sara wzruszyła ramionami w kierunku Ruby Jean i zdjęła zabłocony trzewik. - Nie widzę powodu, żeby nie zdjąć również i pończoch. W redakcji gazety jest pusto. Chodźmy tam, pozdejmujemy pończochy i buty.

- Och, Saro. - Phoebe potrząsnęła głową. Sara wyglądała identycznie jak wtedy, kiedy w wieku dziesięciu lat miała

ochotę właśnie coś takiego zrobić. - Wejdz do środka, zanim wywołasz rozruchy.

Sara pomaszerowała razem z Elsie do redakcji *Gazette* i wyszła po kilku minutach.

- Możemy obmyć się z błota w końskim korycie.

Elsie zachichotała.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że przechodzenie na bosa przez błotnistą drogę może być takie zabawne.

- A potem jeszcze rozbawimy porządnie ludzi, kiedy będziemy sobie myły nogi. - Sara weszła na chodnik i wyciągnęła rękę do Elsie.

Phoebe zebrała spódnicę w garść.

- Trzymaj się mocno, Coro, i nie kręć się, albo obydwie wylądujemy w błocie. - Ostrożnie ruszyła przez błoto razem z Ruby Jean.

- Szłyśmy właśnie po panią i panią Hampton. - Pani Price podbiegła do Phoebe. - Nie chcą nam pozwolić głosować!

- Kto? - Sara wyjęła nogę z końskiego koryta i opuściła spódnicę.

Och, nie, pomyślała Phoebe.

- Czy to pan Abbott?

- To nie był on. Nie wiem, kto to był. Wrócimy z wami do stajni, prawda, panie? - Pani Price zerknęła na pozostałe damy, które przytaknęły.

- Chodź, Phoebe. - Sara ruszyła do stajni, szczęki miała zaciśnięte i z trudem się opanowywała. Ani razu nie słyszała żadnej uwagi dotyczącej zakazywania kobietom głosowania. - Czy pan Abbott był przy tym? - zawołała przez ramię.

- Nie widziałam go - powiedziała pani Price.

- Dzięki Bogu - wymamrotała pod nosem Phoebe.

Sara przystanęła na rogu stajni, żeby reszta pań zdążyła się z nią zrównać, a potem wszystkie wmaszerowały przez szerokie wrota do środka. W wilgotnym powietrzu utrzymywał się zapach koni i nawozu. Zatrzymały się przy stoliku, gdzie siedział pan Drake z jakimś drugim panem, którego

nie rozpoznała. Nie zwracała sobie głowy formalnościami.

- Przyszliśmy głosować.

Pan Drake potrząsnął głową.

- Przykro mi, pani Hampton, nie mogę na to paniom pozwolić. Wiecie, panie, że kobiety nie mają tego prawa.

Ruby Jean Drake skuliła się i wycofała na tyły grupy.

- Moje nazwisko jest na liście, a to daje mi prawo. - Sara wyciągnęła rękę po kartkę do głosowania, ale pan Drake przycisnął ręką obydwa pliki.

- Jeżeli któraś z pań dostanie wystarczającą ilość głosów, będziecie mogły zasiadać w radzie. - Pan Drake przyglądał się uważnie każdej z kobiet, kończąc pogardliwym spojrzeniem na żonę. - A teraz może będziecie panie wróciły do domów, gdzie jest wasze miejsce.

Sara pochyliła się do przodu i uderzyła pięścią w stół.

- Kto wybrał pana na sędziego i ławników?

Pan Drake odskoczył gwałtownie do tyłu.

- Do cholery, niech no pani...

Sara chwyciła jeden plik kartek.

W tym samym momencie Phoebe chwyciła drugi plik.

- No, no - powiedział drugi mężczyzna. - Nie ma co robić awantur. Pan Drake stosuje się tylko do przepisów prawa.

- A pan kim jest? - zapytała Phoebe.

- Nazywam się Rice, szanowna pani, jestem przyjacielem pana Drake'a.

Pan Drake objął drewnianą urnę na głosy, jakby uznał, że na stole zagraża jej niebezpieczeństwo.

Sara trzymała kartki za plecami i gestykułowała drugą ręką.

- Czy pan tu mieszka?

- Jestem tu tylko przejazdem. - Potrząsnął głową.

- A więc nie ma pan tu nic do roboty! Proszę wyjść albo milczeć. - Sara piorunowała go wzrokiem mając nadzieję, że domyśli się, co chciałyby powiedzieć. Phoebe zawsze powtarzała, że z jej miny można odczytać to, czego nie wypowiedziały usta.

- To miejscowe wybory - powiedziała Elsie przeciskając się przez tłum, żeby dopchać się do stolika. - Mamy takie samo prawo głosować na siebie jak wszyscy inni. Gdzie jest pan Abbott? Założę się, że on tego nie poprze.

- Same możemy walczyć za siebie...

- Co się tu u diabła dzieje? - Gil wszedł powoli od tyłu z Benem Laytonem i Jackiem po bokach. Zobaczył, że jeszcze trochę, a Sara zrobi komuś krzywdę; pozostałe damy również wyglądały tak, jakby lada chwila miały się na kogoś rzucić. Boże, z takiej kobiety można być dumnym.

Sara okręciła się jak fryga.

- Gil! A co ty tu robisz?

- Przyszedłem głosować. - Podeszedł do stolika. - No cóż, Drake, czy to twój pomysł na kampanię wyborczą?

- Gil, przemów im do rozsądku. Powiedziałem im, że nie mogą głosować. Byłoby to nielegalne.

- Dlaczego? Nazwiska czterech z tych dam są na listach. Ty chytrusie. Dobry sobie wybrałeś moment, żeby powiedzieć im, że ich głosy się nie liczą.

Ktoś zachichotał.

- Wcale ci nie mam za złe - zawołał jakiś męski głos.

Gil puścił oko do Sary.

- Właśnie dlatego nie chciałem mieć z tymi wyborami nic wspólnego.

- Och, popatrz. - Sara upuściła jedną kartkę. - Kartka do głosowania. To pewnie twoja. - Podała ją Gilowi.

- A co z tobą i resztą z nas? - zapytała Phoebe Sarę.

Sara popatrzyła na nią i odwróciła się do pozostałych pań.

- Czy chcecie najpierw głosować, czy przedyskutować sprawę?

- Powinnyśmy ją omówić - zawołała jedna z kobiet na tyłach.

- Zgadzam się. - Sara uśmiechnęła się do Phoebe. - A ponieważ to my mamy kartki, stwierdzam że panowie nie mogą głosować, zanim my nie będziemy mogły tego zrobić.

Gil zachichotał.

- Gratulacje, Drake.

- Abbott może wydrukować więcej kartek - odparował pan Drake.

Sara okręciła się na pięcie, miała ochotę chwycić go za gardło, ale siedział trochę za daleko.

- Długo pan na to poczeka...

- Mogę wam przyrzec, że Charles nigdy tego nie zrobi! - krzyknęła Phoebe.

Charles pospiesznie podszedł do grupy kobiet niosąc dwa krzesła.

- Gil? Phoebe? Co się tutaj dzieje? - Postawił krzesła i kazał Clayowi zrobić to samo.

- Och, Charlesie, dzięki Bogu, że wróciłeś. Pan Drake nie chce pozwolić nam głosować. A nawet jest zdania, że powinieneś wydrukować więcej kartek do głosowania, żeby temu zapobiec.

- A pan Rice nie ma tu nic do roboty. - Sara poczuła, że ktoś ją stuka po ramieniu i obejrzała się. - Panno Layton, bardzo się cieszę, że panią widzę.

- Pani Hampton, drogą nadciągają następni mężczyźni.

Charles wbił spojrzenie w stół i w Jesse'ego Drake'a.

- Ale gdzie są... - I w tym momencie zauważył w rękach żony kartki do głosowania.

- Kobiety nie mają prawa głosu w tym stanie i mieście! - Pan Drake zbliżył się o krok do Charlesa.

Charles zmarszczył brwi i zwrócił się do Gila.

- Nie wiesz czasem, czy Gridley ma stanowe prawa miejskie?

- A wiesz, że chyba nie. - Po twarzy Gila powoli rozlał się uśmiech. - Jack, pamiętasz, jak jest z tymi prawami?

- Nie podlega im.

Gil wzruszył ramionami.

- No to chyba jednak nie możesz się na nie powołać, Drake. - W stajni rozległy się okrzyki radości, a Gil kiwnął

Sarze głową. Wziął pióro, postawił znak na kartce i obszedł stół, żeby wrzucić ją do urny.

- A kimże jest Perry, żeby miał się znać na prawach? - zapytał Drake.

- A kto mógłby znać miasto lepiej niż barman? - Charles wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Panie, nie widzę żadnego powodu, żebyście miały nie głosować.

Sara zwróciła się twarzą do kobiet. Niemowlęta zaczynały płakać, a dzieci robiły się niespokojne.

- Panie - powiedziała podnosząc do góry kartki - jeżeli ustawimy się w kolejce, będzie większy porządek.

Phoebe uśmiechnęła się do Charlesa. Chciała z nim porozmawiać na osobności. Ależ tego Drake'a świetnie osadził. Położyła kartki na stole, zachowując jedną dla siebie.

Sara zrobiła to samo i wypełniła swoją kartkę. Pan Seaton siedział przy stoliku z Charlesem i panem Kentonem.

- Panie Seaton, czy byłby pan łaskaw postawić urnę na stole?

- Tak. - Pan Seaton kiwnął głową. - Oczywiście, pani Hampton.

Pan Kenton postawił przed nią urnę.

- Panie, kiedy już wrzucicie kartkę do urny, proszę się podpisać na wykazie. - Uśmiechnął się niemal nerwowo. - Nie chcielibyśmy, żeby ktoś głosował więcej niż raz, prawda?

Sara uśmiechnęła się do Phoebe i wyciągnęła swoją kartkę.

Phoebe wrzuciła swój głos do urny, podobnie jak Sara. W ich oczach wyraźnie można było wyczytać: wzięłyśmy górę. Phoebe podeszła do boku swego męża, kobiety jedna za drugą zaczęły wrzucać głosy. Napięcie wydawało się topnieć i wkrótce stajnia rozbrzmiewała szmerem głosów.

Sara podeszła do Phoebe.

- Powinnyśmy dowiedzieć się, kto będzie miał ochotę tu zostać, na wszelki wypadek, gdyby kobietom trzeba było pomóc przy dzieciach albo dodać odwagi.

- Uważamy też - Phoebe położyła Charlesowi dłoń na

ramieniu - że byłoby sprawiedliwie, gdyby trzy kobiety pomagały przy liczeniu głosów.

- Nikt się nie będzie sprzeciwiał. - Charles rozejrzał się dookoła. - Drake i jego przyjaciel odeszli obrażeni. Nie spodziewam się więcej kłopotów.

Phoebe odetchnęła.

- Dzięki Bogu.

- No cóż, Saro, Gil dobrze wygląda. Napisałbym do któregoś z tych wojskowych chirurgów, ale pewnie by mi nie uwierzył. - Charles uśmiechnął się do Sary.

- Cieszę się, że nie wyrządziłam mu jeszcze większej krzywdy niż ta kula - powiedziała Sara i przeprosiła go mówiąc, że musi poszukać Gila.

Niemal już się poddała, kiedy zobaczyła, że stoi przy tylnych drzwiach, blady i najwyraźniej zmęczony. Wyszedł na zewnątrz, a ona za nim. Uśmiechając się weszła w jego objęcia.

- Mmm, ale miło.

- Ja też za tobą tęskniłem. - Ucałował jedwabiste włosy Sary, pulsującą skroń, jej miękki policzek i zanurzył się w ciepło ust.

Sara zareagowała impulsywnie, nie zważając że są w miejscu publicznym. Muskał palcami jej kark, aż fale czystej rozkoszy rozeszły się po jej wnętrzościach. Przywarła do niego biodrami i zamarła. Był równie gotów jak ona.

- Ja nie chciałam...

Uśmiechnął się do niej.

- Ja też nie, a przynajmniej nie tutaj.

- Dlaczego tu przyszedłeś? Ktoś z nas przyniosłby ci kartkę.

- Pomyślałem, że zrobię ci niespodziankę.

- Udało ci się.

Ucałowała go w brodę.

- Saro? Gdzie jesteś? - zawołała Phoebe.

- Zaraz wracam. - Sara oparła głowę o jego pierś.

- To, co tam zrobiłaś, wymagało odwagi, Saro - powie-

dział, masując lekko jej plecy. - Cholernie jestem z ciebie dumny.

Uśmiechnęła się.

- Ja też. Ale muszę przyznać, nie spodziewałam się, że sprawy wymkną się spod kontroli. - Przesunęła mu palcami po czole. - Chyba jesteś zmęczony. Odpoczniesz teraz?

- Już idę. - Pocałował ją łagodnie. - Zobaczymy się wieczorem?

- Przecież obiecałam, że ci przyniosę kołdrę, prawda?

21

O szóstej ogłoszono koniec wyborów. Sara chwyciła Phoebe za rękę.

- Udało nam się!

- Najbardziej byłam zaskoczona, kiedy pani Tilly... a potem pani Gary!... wkradły się z powrotem, odczekawszy, aż zagłosują ich mężowie.

Kiedy Alice Seaton, Beth Kenton i Tess Layton przeliczały głosy razem z Benem Laytonem, Oliverem Grebbym i Timothy Farmerem, Sara, Elsie i Phoebe udały się do domów, żeby przygotować kolację. Wszystkie wróciły w godzinę później. Phoebe stanęła przy Charlesie.

- Czy już ogłosili zwycięzców?

- Jeszcze nie. Właśnie prawie kończą ponowne przeliczanie głosów.

Sara stała w pobliżu z Elsie. Ruby Jean wróciła i przyłączyła się do nich.

- Pan Drake nie przyszedł z tobą? - zapytała Sara.

Ruby Jean potrząsnęła głową.

- Poszedł do „Wedge”. Nie mam żadnych wątpliwości, że odniesie tam sukces.

Pan Grebby wstał i zapadła cisza.

- W porządku, słuchajcie wszyscy. Przeliczyliśmy głosy dwa razy i liczbę podpisów też. Pewnie się ucieszycie, że wszystko się zgadza.

- Powiedz mu, proszę - szepnęła Phoebe do Charlesa - żeby już z tym skończył.

- Zgadzam się - powiedział Charles i gestem pokazał panu Grebby'emu, że ma się pospieszyć.

- Przeczytam teraz pięć nazwisk, które uzyskały najwięcej głosów - oznajmił pan Grebby. - Gil Perry, George Seaton, Phoebe Abbott, Emmett Pratt oraz Elsie North są członkami naszej nowej rady miasta. - Zaczął klaskać i wszyscy do niego dołączyli.

Sara pogratulowała Elsie, potem przytuliła Phoebe.

- Górą Phoebe! Będziecie z Elsie wspaniale w radzie. Cieszę się, że głosowałam na wygrywających.

Phoebe czuła się nieco oszołomiona.

- Tak naprawdę to nie sądziłam, że wybiorą jakąś kobietę.

- Tak się cieszę z twojego powodu. Będzie ekscytująco, a ja będę o tym pisać - mówiła Sara szeroko uśmiechnięta.

- Cieszę się, że marny to za sobą. - Phoebe nie była pewna, czy podziela podniecenie Sary. - Może wreszcie będę mogła zacząć się przygotowywać na Święto Dziękczynienia w przyszłym tygodniu.

- Nie będziesz tego musiała robić sama. Mam zamiar ci pomóc, Phoebe. Będziemy miały wspaniałe święto.

Phoebe wzruszyła ramionami.

- Mam taką nadzieję, chociaż ostatnio bywałam nad wyraz zmęczona.

- Odpocznij. Kolacja jest przygotowana, a jutro ja zajmę się posiłkami.

Phoebe uśmiechnęła się.

- Może tak zrobię.

Cora i Patsy rzuciły się w stronę Phoebe i z całych sił przytuliły się do niej. Phoebe zaparła się i powoli odkleiła je od siebie.

- Na Boga, dziewczęta.
- Och, mamó - mówiła Cora promieniejąc - taka jestem z ciebie dumna.

Sara przyłączyła się do Charlesa.

- Przykro mi, Charlesie. Głosowałam na ciebie. Byłam pewna, że znajdziesz się w radzie.

- Jedno na rodzinę wystarczy - zachichotał Charles. - A co z tobą? Żałujesz swojego oświadczenia kandydackiego?

- Absolutnie nie. - Sara uśmiechnęła się bardzo zadowolona, że już po wszystkim. Ciekawa była, czy Gil zmieni zdanie, jak dowie się o wynikach. - Do zobaczenia później.

Phoebe chwyciła ją za rękę i zostawiła swoich sympatyków.

- Gdzie ty się wybierasz?

- Pogratulować Gilowi...

- Nie, Saro. Niech powie mu pan Young albo ktoś inny. Pan Perry już niemal wyzdrowiał. Nie potrzebuje twojej opieki.

- Och, na litość. Nie mam zamiaru go kapać. Do zobaczenia w domu. - Sara pospieszyła do saloonu, wbiegła po schodach do pokoju Gila i wpadła do środka nie pukając. - Wygrałeś! Jesteś w radzie!

Gil wpatrywał się w nią podchodząc coraz bliżej.

- Powiedz mi, że tylko żartujesz.

- Przykro mi. Pan Seaton, Phoebe, pan Pratt i pani North też są w radzie. - Zamknęła drzwi. - Przypuszczam, że mógłbyś nie zgodzić się na zasiadanie w radzie. - Błysk w oku Gila wskazywał wyraźnie, że nie myśli już o wyborach.

Popatrzył na nią figlarnie i uśmiechnął się.

- Cieszę się, że sprowadziłaś mi to, co było na pierwszym miejscu. - Objął ją dłońmi w talii.

- Na pierwszym miejscu? Ale ja myślałam... - Nie zrozumiała, ale jego dłonie były takie ciepłe i już wyczyniały z nią cuda.

- Żebym nie zamarzł dziś w nocy.

Zaczęła się śmiać, ale śmiech ugrzązł jej w gardle.

- Nie mówisz serio. - Pochyliła się i musnęła jego wargi ustami. - Chciałam ci pierwsza pogratulować. A teraz pójde po kolację i kołdrę.

- Nie interesuje mnie jedzenie, Saro. - Gil zarysował kciukami półkola pod jej piersiami. Poczuła, jak serce zaczyna łomotać jej w piersi, kiedy pochylił się, żeby ją pocałować.

- Ale przecież nie całkiem jeszcze wyzdrowiałaś...

W niedzielę Gil sam zszedł po schodach do saloonu.

- Jack, może byś się na trochę stąd wyniósł. Mogę nalewać whiskey i pompować piwo.

- Gil! Dobrze cię tu znowu widzieć.

- Postaw mi tylko krzesło za barem i zjeżdżaj na trochę. Złóż wizytę panie Layton albo pojedź sobie na przejażdżkę. - Gil roześmiał się. Cholera, jak dobrze znowu znaleźć się tu na dole, zamiast siedzieć samemu w pokoju na górze.

- Na pewno?

- Nie przeszkadza mi własne towarzystwo, ale mam już dość.

Jack ustawił krzesło za barem i przyniósł Gilowi kubek kawy.

- Dzięki. A, będę musiał pojechać po zapasy, pewnie we wtorek. - Niemalże zsalutował przed Gilem ruszając w kierunku drzwi.

Gil wyszczerzył zęby.

- Jadę Z tobą.

Najwyższy czas, żeby odzyskał swoje własne życie.

Sara napełniła ponownie swój kubek kawą, a kubek Phoebe herbatą.

- Nadał nie rozumiem, dlaczego tak się zirytowałaś, że

zaprosiłam Gila na Święto Dziękczynienia. Jeżeli sam pomysłu ci się nie podobał, czemu nie powiedziałaś mi, kiedy pytałam, czy mogę go zaprosić?

- Miałam nadzieję - wzruszyła ramionami Phoebe - że nie będzie mnie to aż tak denerwowało.

- Kolacja wspaniale się udała. Charles i dzieci sprawiali wrażenie zadowolonych z jego towarzystwa.

- Dziękczynienie było tydzień temu, Saro, a ty wciąż spędzasz z nim wieczory.

- Pewnie wszyscy byliby zadowoleni, gdyby całymi dniami siedział sam. Och, to wszystko nie ma sensu - wymamrotała Sara. - Jeszcze kilka tygodni temu chciałaś, żebym była dla niego miła.

- No cóż, przez myśl mi nie przeszło, że kompletnie stracisz dla tego człowieka głowę. - Phoebe przewróciła oczami. - Ludzie już plotkują. Tyle czasu spędzasz z nim i to jeszcze w jego pokoju.

Sara patrzyła szeroko otwartymi oczami na kobietę, której powierzała swoje najgłębsze tajemnice, odkąd miała sześć lat, i czuła, jak łapie ją kurcz żołądka.

- A co ty myślisz?

- Staram się nie przejmować, ale zaczynam się martwić o twoją reputację. - Phoebe nie udawała już, że pije herbatę. - Mówiąc otwarcie, Saro, co sobie ludzie pomyślą?

- Są tacy, którzy zawsze pomyślą coś najgorszego. Może dlatego, że sami mieliby ochotę to robić. - Sara zerwała się, a jej krzesło przewróciło się na podłogę. - Wydaje mi się, że zasiedziałam się w gościnie. - Podniosła krzesło i popatrzyła na Phoebe. - Czas, żebym poszukała sobie innego miejsca zamieszkania.

Phoebe przełknęła z wysiłkiem ślinę, nienawidząc siebie za to, co myśli i co ma zamiar zrobić, ale zachowanie Sary nie dawało jej już spać po nocach.

- Może masz rację - powiedziała cicho.

- Wspaniale. Nie miałam zamiaru tak długo wykorzystać

wać twojej gościnności. - Sara rzuciła się do swojego pokoju, kiedy oczy jej zaczęły napełniać się łzami. Podejrzenia Phoebe zabolowały ją, tym bardziej że nie było powodu, by czuła się winna. Kilka ukradkowych pocałunków. Phoebe tyle samo robiła z Charlesem.

Chociaż Sara tak bardzo chciała się kochać z Gilem, nie zrobili tego. Do diabła, gdyby miała ochotę wywołać skandal, mogłaby się do niego przeprowadzić, a przynajmniej mu to zaproponować. Ochlapała sobie twarz zimną wodą, wyszczotkowała włosy i pospiesznie wyszła z domu.

Przeszła obok pensjonatu, ale tabliczki z napisem POKOJE DO WYNAJĘCIA nie było. Pieniądze za sprzedaż domu w Camden odkładała na następny. Zeszłego lata myślała o budowie skromnego domu. Teraz przyszedł czas na decyzję, gdzie dokładnie powinien stać.

Powędrowała tam i z powrotem po bocznych uliczkach od kościoła aż za kuźnię i poszła kawałek dalej drogą. Nie było żadnych domów na sprzedaż i nie znalazła takiego kawałka ziemi, który by do niej przemawiał. Energiczny dziesięciminutowy spacer na wschód doprowadził ją do pagórka z widokiem na rzekę. Miejsce idealnie jej odpowiadało. Widać stąd było miasto i młyn. To jest to, pomyślała sobie patrząc na rzekę. A teraz trzeba dowiedzieć się, do kogo ta ziemia należy.

Wróciwszy do miasta, udała się do redakcji *Gazette*.

- Charlesie, do kogo należy ziemia na wschód od miasta, tam gdzie droga skręca na południe?

Podniósł na nią oczy, ale nie wydawał się zaskoczony pytaniem.

- Nie jestem pewien. Kto chce się dowiedzieć?

- Ja.

Kiwnął głową.

- Porozmawiaj z Gilem.

- W porządku. - Ponieważ Gil mieszkał tu dłużej niż większość innych ludzi, zastanawiała się, czemu sama nie wpadła na to, żeby go zapytać. - Dziękuję.

Poszła do saloonu i stała na zewnątrz, dopóki Gil jej nie zauważył.

- Spotkaj się ze mną za saloonem - powiedziała bezgłośnie, pokazując ręką i poszła w kierunku studni.

Gil wyszedł tylnymi drzwiami i zobaczył, jak Sara spaceruje tam i z powrotem.

- Coś się stało? - Staął na jej drodze i ujął ją za rękę.

Potrząsnęła głową.

- Po prostu muszę dowiedzieć się, kto jest właścicielem tej ziemi na wschód od miasta. Pomyślałam, że będziesz wiedział.

- Dlaczego? Pracujesz nad nowym artykułem?

- Nie, chcę się dowiedzieć, czy ta ziemia jest na sprzedaż. Czas, żebym miała swój własny dom. - Oparła się o studnię.

- Cieszę się, że chcesz tu zostać. - Gil uśmiechnął się. - Czy to nagła decyzja?

- Tak naprawdę to nie. Nie mogę bez końca mieszkać u Abbottów.

Gil przytaknął.

- To dobry kawałek ziemi.

- Nie wiesz przypadkiem, czy właściciel zdecydowałby się go sprzedać? - Wpatrywała się w rzekę, potem w niego i zastanawiała się, czemu odnosi wrażenie, że Gil się waha.

- Niewykluczone. Sam mam sentyment do tego kawałka ziemi.

- Och - powiedziała nie kryjąc rozczarowania. - To dlatego nie masz ochoty podać mi nazwiska właściciela.

- Ja jestem właścicielem. - Przysiadł obok niej na cembrowinie studni. - Nie wiedziałem, że rozglądasz się za nieruchomością.

- Ty? - Sara przeciągle westchnęła. Nigdy nie wspominał, że jest właścicielem nie tylko różnych przedsiębiorstw, ale i ziemi, a jej nie przyszło na myśl, żeby go zapytać. - Czy to inwestycja, czy masz się zamiar budować?

- Nie jestem pewien. - Przeciągnął kciukiem po jej kciu-

ku. - Powiesz mi, skąd ten pośpiech? Brzmi to tak, jakbyś go chciała kupić już dziś.

Sara patrzyła na kciuk Gila jak zahipnotyzowana.

- Mieszkanie u przyjaciółki, nawet najukochańszej, potrafi być nieproste, jeżeli są sprawy, co do których się nie zgadzacie. Jestem przyzwyczajona do własnego domu. - Spojrzała mu w oczy. - Już czas go mieć.

- Zauważyłem podczas Święta Dziękczynienia jakiś rozdźwięk między tobą a Phoebe. Odniosłem wrażenie, że nie była najbardziej uszczęśliwiona moją wizytą. Czy to ma coś wspólnego ze mną?

- Nic ma co kręcić. Ona jest przekonana, że spędzam z tobą za wiele czasu, ale to moja sprawa, a nie jej. - Sara uścisnęła go za rękę. - Gdybym z nią nie mieszkała, nie wiedziałaby, kiedy wychodzę z domu, ani by jej to nie obchodziło. I tak powinno być.

- Powinienem był się domyślić. Miałem wrażenie, że nie odpowiadała jej wizyta barmana u nich w domu.

- Gdyby to Charles cię zaprosił, pewnie nie byłoby problemu. - Sara oparła się o niego. - Miałam nadzieję, że nie zauważyłeś. Przykro mi.

Gil zachichotał.

- Trudno było nie zauważyć. Nie martw się tym. - Ucałował ją w czubek głowy. - Jeżeli zależy ci na tej ziemi, jestem pewien, że dojdziemy do porozumienia. Czy zastanawiałaś się już, kto miałby stawiać twój dom? - Wiedział, że kocha tę ziemię równie mocno jak on sam, dzięki czemu łatwo było mu zdecydować się na sprzedaż.

- Więc będę ją mogła od ciebie kupić? - Sara wyprostowała się. - Och, Gilu, tak bardzo jestem ci wdzięczna! - Objęła go ramionami i mocno przytuliła. - Zawsze będziesz tam mile widziany, mam nadzieję, że sam to wiesz.

- Brzmi nieźle, chociaż nie będzie częścią umowy. - Rozejrzał się wokół, czy ktoś ich widzi. - A co z budowniczym? Znasz kogoś?

- Jeszcze tak daleko nie wybiegałam myślą w przód. - Nie potrafiła przestać się uśmiechać. Była właścicielką ziemi, a przynajmniej niedługo miała się nią stać. - Kto budował domy w miasteczku?

- Ja i Jack zbudowaliśmy dom z saloonem. A kilka innych Beaton, ale jego dawno już nie ma.

- Ktoś się musi znaleźć.

- Moi pracownicy z zadowoleniem przyjmą robotę, kiedy za parę tygodni, w zależności od pogody, skończy się praca przy wyrębie.

- Czy oni... mają jakieś doświadczenie?

Gil znowu zaczął się śmiać.

- Tak, Saro, zrobią dla ciebie dobrą robotę.

- Cudownie! Aż trudno w to uwierzyć.

- Jaki byś chciała dom?

- Kiedy jechałam przez nasz kraj pociągiem, spędzałam czas na rysowaniu różnych planów. Nic bardzo skomplikowanego. Wystarczy mi całkiem skromny dom.

Gil wstał i przyciągnął ją do siebie.

- Pokażesz mi później?

- Oczywiście.

- Już ci lepiej?

- Zdecydowanie, ale nie mam zamiaru wszystkiego składać w twoje ręce. To ja jestem za to odpowiedzialna.

- Absolutnie. - Uniósł jej dłoń do ust i ucałował.

Kiedy dzieci kończyły odrabiać lekcje, Phoebe wędrowała po domu. Podniosła lalkę Cory, zostawiła ją na stole przy wejściu biorąc fartuch i zaczęła czyścić jakąś plamkę na lustrze. Zawsze coś, marudziła strzepując pelerynę. Znalazła gazetę i zaniósła do salonu, gdzie zobaczyła pustą szklankę między Córą a Clayem. Chwyciła za szklankę i poszła dalej do kuchni.

Clay popatrzył na Corę, a potem na ojca.

- Tato, dlaczego mama tak śmiesznie się zachowuje? Nie chce nawet rozmawiać z ciotką Sarą.

- Zostańcie tutaj. - Charles poszedł za żoną i zamknął za nimi drzwi do kuchni. - Usiądź, Phoebe. - Wyciągnął jedno krzesło spod stołu kuchennego dla niej, a drugie dla siebie.

- O co ci chodzi, Charlesie? Mamy w przyszłym tygodniu Boże Narodzenie. Muszę przygotować dom.

- Czy patrzyłaś ostatnio w lustro? Dzieci się martwią i ja też. - Odchylił się do tyłu. - Zamęczysz się, kochanie. Biegasz po domu już od dwóch tygodni i unikasz Sary. A ona jest nic nie lepsza. Kiedy to się skończy?

- To pan Perry. - Phoebe usiadła i popatrzyła na niego ze znużeniem. - Już jest całkiem zdrowy. Nie potrzebuje, żeby go obsługiwała, a ona ciągle się z nim widuje.

- Mają się ku sobie. Czy tego nie widzisz? Gil to dobry człowiek i chyba nie przeszkadza mu to, że Sara jest aż tak szczerą.

Phoebe zagapiła się na męża.

- Zadowolona się pracą w saloonie, która nie może dawać mu zarobków pozwalających na założenie rodziny, do tego szczerze mówiąc nie wierzę, żeby myślała o małżeństwie. Jeżeli nie będzie ostrożna, zrujnuje sobie reputację.

- Czy nie powinnaś pozwolić, żeby sama się o to martwiła?

- Ale to moja przyjaciółka...

- Phoebe, czy nie czytałaś jej wywiadu z Gilem?

Phoebe zmiotła ze stołu okruszek.

- Oczywiście, że tak... ale Sara musiała przedstawić go tak, żeby wyglądał na zamożnego. Czy nie o to chodzi w waszych artykułach?

- Tak, ale nie rozwodziła się nad tym. Rozmawiamy tylko w cztery oczy - powiedział niespodzianie. - Zgadzasz się?

Phoebe kiwnęła głową. Nagle poczuła się wyczerpana.

- To Gil założył nasze miasteczko, zbudował je dla swoich drwali. Wybudował nawet dla Vonney i jej dziewczynek wła-

sny dom, żeby nie musiały mieszkać w jakimś baraku. - Popatrzył żonie prosto w oczy. - Niemal każdy mężczyzna w mieście był mu coś winien w jakimś momencie.

- Vonney i jej dziewczynki? A kimże one są, u diabła? - Wydawało jej się, że chyba się domyśla, ale nie mogła uwierzyć własnym uszom. A on tak swobodnie o tym mówił. Zbyt swobodnie, by jej się to podobało.

- Cóż za język... - Charles pochylił się do przodu i oparł łokciami o stół. - Myślałem, że wiesz o niej. Mieszka z innymi kobietami w sympatycznej chacie, którą wybudował im Gil.

- On jest właścicielem... domu rozpusty? - Phoebe przeknęła trochę wystygłej herbaty. - I ty mówisz, że on jest „sympatyczny”? O Boże, i ty tam jeździłaś? Ty... ty spałaś z którąś z nich? - Zerwała się z krzesła i rzuciła na niego z wyciągniętą ręką. Zabije go, pomyślała.

Charles zdążył zablokować jej szeroki zamach.

- Spokojnie, Phoebe. - Łagodnie pociągnął ją sobie na kolana i przytrzymał w objęciach. - Wszystko źle zrozumiałaś. Nie czuję potrzeby, żeby widywać się z innymi kobietami. Jako kobieta dajesz mi wszystko, czego pragnę, a nawet więcej.

Usiłował ją pocałować, ale ona odwróciła twarz. Nie miała zamiaru tak łatwo mu darować. Ale nie zapomni jego słodkich słów.

Charles westchnął.

- Tak czy owak, pewnego dnia Gil zapytał, czy chciałbym się z nim przejechać i pojechałem.

- Jest jeszcze gorszy, niż mi się zdawało. I ty nie ostrzegłaś Sary? Ani mnie? O czym ty myślałaś?

- Nie powinnaś się wtrącać - wymamrotał. - Ona jest dorosłą kobietą. Była mężatką. Niech sama podejmuje decyzje.

- Chociaż nie zna wszystkich faktów? To okrutne, Charlesie, i wcale do ciebie niepodobne. - Potarła sobie czoło. - Co ja zrobiłam?

- No to porozmawiaj z nią. Jesteście bardziej żyte niż siostry. - Ucałował ją w policzek. - Ciebie wysłucha.

Phoebe czekała na Sarę, ale około dziewiątej musiała się poddać. Całą noc to zapadała w sen, to się budziła, a rano otworzyła oczy cała spięta. Walcząc z porannymi mdłościami włożyła szlafroczek i pospiesznie ruszyła korytarzem. Zastukała do drzwi Sary modląc się w duszy, żeby nie było za późno na załagodzenie rozdzwiewu między nimi.

- Muszę z tobą porozmawiać, Saro.

Sara, zaskoczona, że Phoebe odezwała się do niej po imieniu, upuściła szczotkę i otworzyła drzwi.

- Wejść.

Phoebe rozplotła ręce.

- Charles mi właśnie powiedział. Wczoraj wieczorem. On nie... - Podniosła na moment oczy, przygryzła dolną wargę.

- Siadaj - powiedziała Sara wskazując na krzesło. - Co ci powiedział?

Phoebe przycupnęła na brzeżku krzesła twarzą do Sary.

- Czy wiedziałaś, że pan Perry jest właścicielem domu rozpusty?

- Mówże z sensem, Phoebe. Wiesz, że zajmuje się wyrębem lasów. Dlaczego miałybyś myśleć, że...

- Charles pojechał tam z nim. Charles go widział. On tam był.

Sara potrząsała powoli głową i cofała się.

- Nie Gil. On by nie...

- Z tego co Charles mówił, uznałam, że on i ta Vonney są blisko zaprzyjaźnieni. - Phoebe postąpiła krok w jej stronę. - Jesteś za dobra dla niego, Saro. Usiłowałam ci to powiedzieć.

- To nie może być prawda. Charles musiał się pomylić.

- Nigdy mi nie kłamał. Wiesz o tym niemal równie dobrze jak ja.

Sara wzruszyła ramionami.

- Zapytam go o to.

- Charlesa? Oczywiście. On ci powie. Porozmawiaj z nim, Saro.

- Nie Charlesa. Gila.

- On się nie przyzna, zwłaszcza jeżeli nie przyznał się do teraz. - Twardy zarys szczęki Sary uwydatnił się i Phoebe ujrzała znajomy stalowy błysk w jej oku. - Bądź ostrożna. Nie znasz go tak dobrze, jak ci się zdaje. - Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć dłoni Sary. - Widać to po jego oczach. Jest zbyt ujmujący.

- Phoebe, przestań. Zmieniłam co prawda zdanie na jego temat, ale ty też je zmieniłaś. I na tym polega problem. - Sara przeszła dwa kroki i zatrzymała się. - Przekonana byłam, że chcesz, żebym była szczęśliwa. Nie wiem, co się ostatnio z tobą dzieje. - Odwróciła się twarzą do przyjaciółki. - Nic, tylko krytykujesz i besztasz. Jeżeli ty i Charles poróżniliście się, to jeszcze nie powód, żebyś się odgrywała na Gilu.

- Z nami jest wszystko w porządku, uprzejmie ci dziękuję. - Nagle oczy Phoebe napełniły się łzami; otarła je rozzłoszczona grzbietem dłoni. - Zawsze dbaliśmy o siebie nawzajem, ale dałaś mi jasno do zrozumienia, że już nie zależy ci na mojej opinii.

Sara powoli wciągnęła i wypuściła powietrze.

- Phoebe, od lat już nie byłam taka szczęśliwa. Czy to źle? - Nie spodziewała się odpowiedzi i nawet nie wiedziała, czy chce ją usłyszeć, więc wyszła z pokoju.

- Oczywiście że nie... - Phoebe rzuciła się za nią. Poczowała nagły zawrót głowy i żeby nie stracić równowagi, chwyciła za framugę drzwi. Ostatni raz tak się czuła, kiedy... Położyła sobie rękę na brzuchu i uśmiechnęła się.

Sara wpatrywała się na drugą stronę ulicy w saloon, a uwagi Phoebe kłębiły jej się w głowie. Czy on był właścicielem domu rozpusty? A co ważniejsze, czy widywał się z tą Vonney przed napadem na bank? Wolała śmiało stawiać czoło problemom, ale tym razem postanowiła, że mu-

si dokładnie przemyśleć to, co ma do powiedzenia Gilowi.

Poszła do redakcji *Gazette* i wzięła się do pracy nad artykułem panny Lucy. Tematem na ten tydzień były zaloty.

- Idealnie - wymamrotała pod nosem. - Ileż ja mam w tym zakresie doświadczenia.

Charles popatrzył na nią znad filiżanki.

- Mówiłaś coś?

- Czy naprawdę chcesz kontynuować cykl artykułów panny Lucy? Może poczciwa staruszka powinna już zejść z tego świata we śnie?

Charles zakrztusił się kawą.

- Chciałabyś zabić ulubioną babcię albo matkę każdego czytelnika? Co ci przyszło do głowy?

- Niech Phoebe za mnie napisze. To ona pisała o gospodarstwie domowym, a nie ja.

Potrząsnął głową.

- Zastanawiałem się, dlaczego tak nagle zmienił się twój styl.

- Ona to dobrze robi. Daj jej szansę.

- Nie czuje się ostatnio najlepiej. Na razie ty będziesz musiała zająć się artykułem na bieżący tydzień.

Gil zaniósł sobie kawę do saloonu. Z każdym dniem czuł się mocniejszy. Jeszcze co prawda nie mógł dźwigać ciężkich skrzyń, ale poza tym niemal już całkiem wrócił do formy. Było za wcześnie, żeby otwierać bar, ale miał za sobą niepokojną noc. Widzieć się z Sarą i powstrzymywać się od dotknięcia jej - to zagrażało zdrowiu psychicznemu. Wyszedł na zewnątrz i usiadł na ławce.

Opróżnił już niemal całkiem kubek, kiedy zobaczył, jak drogą nadchodzi Sara. Postawił kubek na ławce i wyszedł na skraj chodnika.

- Dzień dobry, Saro.

Sara pospiesznie przeszła przez drogę.

- Oto człowiek, z którym się chciałam zobaczyć. - Tego ranka doszła do wniosku, że nie może już dłużej odwlekać rozmowy z nim, ale nie spodziewała się, że będzie jej wypatrywał.

- Masz czas na kawę?

- Z chęcią.

- Usiądź. Zaraz wrócę.

- Wolałabym wejść do środka, jeżeli tam nikogo nie ma. - Dłonie miała wilgotne, serce jej podchodziło do gardła, ale musiała zapytać go o dom rozpusty.

- Pewnie. - Ruszyła sztywno przodem, a on za nią. Nie powiedziała, że jest zła. Raczej poirytowana, doszedł do wniosku nalewając jej kawy. - Co cię gryzie? - Postawił przed nią kubek i usiadł naprzeciw.

Sara objęła dłońmi ciepły kubek i uniosła go do warg, potem zawahała się i wyrzuciła z siebie:

- Czy jesteś właścicielem domu nierządnego?

Gil przełknął i skinął głową. A więc dlatego cała była spięta.

- Tak. Skąd to pytanie? - Zajmował się swoimi sprawami i miał nadzieję, że inni też tak będą postępować. Może nie wszyscy wiedzieli, ale sądził, że Sara tak.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - Sara zmarkotniała.

- Pewnie nie - powiedział wzruszając ramionami. - To tylko taka chata z bali.

- A kobiety?

- Co z nimi?

Napotkała jego spojrzenie, jego intensywne, cudowne spojrzenie.

- Przypuszczam, że ty i ta Vonney jesteście dobrymi przyjaciółmi.

- Można by tak powiedzieć. Czy to ci przeszkadza?

Sara wyprostowała się.

- Wszystko zależy od tego, jak blisko ze sobą jesteście.

- Blisko? Jeżeli jej czegoś trzeba, wie, że może na mnie liczyć. - Miał taką zasadę: nigdy nikomu nie powtarzał zwierzeń

przyjaciela. Zaufanie było dla niego ważną sprawą i nie miał zamiaru go pogwałcić. Nawet dla Sary. Jeżeli nie potrafiła mu ufać, lepiej żeby dowiedział się o tym teraz niż później.

- Rozumiem. - Ręce zaczęły jej tak drżeć, że musiała odstawić kubek. - Dziękuję, że jesteś ze mną taki szczerzy.

- Proszę cię bardzo. A czy teraz powiesz mi, o co chodzi?

- Nie wiedziałam, że się z nią widujesz... - Och, ten mój przeklęty język, pomyślała. - Nie powinnam była tego powiedzieć. To całkiem naturalne, że ty...

Gil zaczął się śmiać.

- Czyżbyś była zazdrosna?

- Niby dlaczego? - Usiłowała to powiedzieć niedbale, ale nie umiała dobrze oszukiwać. - Tak... jestem zazdrosna.

- Nie masz żadnego powodu. - Wstał, podniósł ją i wziął w ramiona. - Ty przyjaźnisz się z co najmniej jednym mężczyzną, z Charlesem. Ja nie jestem o niego zazdrosny, a on jest twoim przyjacielem. - Przycisnął ją do siebie i nakrył jej zaczerwienione wargi swoimi.

Sara uniosła ręce do jego ramion, potem opuściła je. Nie zaprzeczył, że jest właścicielem domu nierządno ani że zna tę kobietę. Językiem drażnił jej usta i niemal była gotowa mu wszystko przebaczyć... tylko jeszcze jedno pytanie. Oderwała usta od jego ust.

- Nie widziałeś się z nią... jako klient? Nie żebyś musiał jej płacić...

- Boże, Saro! - Wybuchnął śmiechem, uniósł ją w górę i okręcił dookoła. - Jesteś jedyna w swoim rodzaju. - Ucałował ją chciwie i uśmiechnął się. - Może by mi nie policzyła za usługę... gdybym był zainteresowany, ale nie jestem. - Ucałował ją znowu. - Zadowolona?

Sara zarzuciła mu ręce na szyję i uniosła usta do jego ust. Dzięki Bogu, że Phoebe się myliła. Tak bardzo się myliła.

- Hej, Gil... - powiedział Jack wchodząc do saloonu.

Sara odskoczyła od Gila, ale on wyciągnął rękę i chwycił jej dłoń.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Jacku? - Mrugnął do niej i uściskał jej rękę.

- Jedziesz sprawdzić obozowisko w tym tygodniu? - Jack podniósł wzrok i wrósł w ziemię. - Przepraszam panią. Nie wiedziałem, że pani tu jest.

- Dzień dobry, Jacku. - Popatrzyła na Gila. - Lepiej już pójde. - I zrobię to z maksymalną godnością, na jaką mnie stać, pomyślała. Kiedy już robiła z siebie idiotkę, jej głupota nie znała granic.

Gil odprowadził ją na front.

- Nie przejmuj się Jackiem. Nic nie powie. Dobrze się czujesz?

Popatrzyła mu w oczy, potem się uśmiechnęła.

- Dużo lepiej niż kiedy tu przyszłam.

Przechodząc przez drogę uświadomiła sobie, że to prawda. Kochała Gila i nie miała powodów, żeby się tego wstydzić.

Phoebe zaszła do sklepu Seatonów i wzięła pocztę. Jak zwykle przyszły gazety, paczka i dwa listy... do Sary. Pismo na jednym z nich Phoebe poznałaby wszędzie. Och, dzięki ci, Boże, pomyślała. Wypadła ze sklepu i poszła prosto do redakcji.

22

Sara wsunęła ostatni list pana Browna do kieszeni i wręczyła Charlesowi artykuł panny Lucy.

- Muszę na chwilę wyjść, ale wrócę.

Charles odchylił się do tyłu i popatrzył na nią.

- Kiedy ty i Phoebe macie się zamiar pogodzić?

- Kiedyś - odpowiedziała, a potem wyszła. Nie było to takie proste.

Pomaszerowała drogą w kierunku szkoły. Gdyby Emmet Pratt nie mówił tyle o swoim zainteresowaniu Szekspirem i poezją, kiedy wybierali nowe książki dla biblioteki, nawet by drugi raz o nim nie pomyślała. Po porannej rozmowie z Gilem musiała przekonać się, czy Emmett Pratt jest „panem poetą”, czy nie. Raz na zawsze.

Gdyby nie dwaj chłopcy, którzy przedzierali się przez krzaki porastające szkolne podwórko, szkoła robiłaby wrażenie opustoszałej. Na szczęście pan Pratt jeszcze nie wyszedł. Czułaby się zbyt zażenowana, omawiając z nim tę sprawę w pensjonacie.

Ruszyła przejściem powziąwszy mocne postanowienie, że rozwikła swoje podejrzenia raz na zawsze.

- Proszę pana...

- Pani Hampton - powiedział prostując się na całą wysokość. - Cóż za uroczą niespodzianka. Proszę, niech pani usiądzie. Jak mogę pani pomóc?

Sara z uśmiechem wyciągnęła list z kieszeni.

- Pewien dżentelmen pisał do... do panny Lucy, a ona prosiła mnie o pomoc w odnalezieniu go. Miałam nadzieję, że może pan będzie coś wiedział. - Wyciągnęła list w jego kierunku i zawahała się.

- Ciekawe. Czy on się podpisał?

- No cóż, tak, ale mam wrażenie, że może jest nieśmiały i skorzystał z pseudonimu.

Pan Pratt wyciągnął rękę.

- Czy mogę?

Sara podała mu pojedynczą kartkę. Przyglądała mu się uważnie, ale nie reagował tak, jakby cokolwiek o tym było mu wiadomo. Sara przysiadła na skraju krzesła; niecierpliwiła się, chcąc wreszcie odkryć tożsamość „pana poety”, a przecież równocześnie martwiła się, że ten człowiek mógłby być autorem listów. W chwilę później jego twarz poczer-

wieniała. Chyba autor nie reagowałby tak gwałtownie na swoje własne słowa.

- Nie miałem pojęcia... Skłonności serca tego dżentelmena są całkiem niedwuznaczne, prawda? Powiedziałbym, że nie tylko jest człowiekiem czytany, ale i wysoce wykształconym. Ma piękne pismo i z pewnością nie nabył tej umiejętności w żadnej szkółce wiejskiej.

- Tak też sądziłam. Nie udało mi się dopasować sposobu, w jaki wyraża się na piśmie, do mowy któregośkolwiek z dżentelmenów.

- Zgodnie z moim doświadczeniem ludzie na ogół więcej dokładają starań pisząc niż się potocznie wypowiadając. - Złożył kartkę i podał jej. - Przykro mi, że nie mogę pani więcej pomóc.

- Już mi pan pomógł, dziękuję.

- Czy mogę panią odprowadzić do domu? Za kilka minut będę już mógł wyjść.

- Przykro mi. Jestem umówiona - skłamała Sara. Musiała zostać sama, zastanowić się.

- Proszę mnie odwiedzić, jak tylko przyjdzie pani ochota.

Sara skinęła głową i wycofała się. Uwierzyła mu i poczuła ulgę owiało ją teraz niczym letni wiatr. Idąc spacerkiem wzdłuż brzegu rzeki zastanawiała się, czy będzie to miało jakiegokolwiek znaczenie, jeżeli nigdy nie dowie się, kim był „pan poeta”. A jeżeli się dowie, co wtedy z Gilem? Zatrzymała się i popatrzyła na saloon.

Chciała z nim znowu porozmawiać. Po ich wcześniejszej dyskusji uwierzyła, że może powiedzieć mu niemal wszystko. Weszła tylnymi schodami, poszła do jego pokoju i zapukała do drzwi, chociaż była pewna, że Gil stoi za barem. W chwilę później weszła do środka i zamknęła drzwi za sobą.

Wyciągnęła skrawek papieru z szuflady i napisała pośpiesznie parę słów z prośbą, żeby się z nią zobaczył. Kiedy zanurzała pióro w kałamarzu, żeby się podpisać, drzwi otworzyły się, co niemal śmiertelnie ją przestraszyło.

Gil uśmiechnął się do niej ciepło.

- Saro? Jesteś dzisiaj pełna niespodzianek. - Zamknął drzwi i podszedł do biurka.

- Nie powinnam była wchodzić do środka, ale chciałam zostawić ci liścik. - Gil miał przez chwilę niewyraźną minę, ale potem uśmiechnął się i Sara odetchnęła. Więcej nie wejdzie bez zaproszenia do jego pokoju.

- Czemu by nie teraz? - Pochylając się, by przeczytać liścik, położył rękę na jej talii.

Uśmiechnęła się podnosząc na niego oczy.

- Nie musisz pracować?

- Jack stoi za barem. - Ucałował ją w skroń. Z jakiegoś powodu była niespokojna. Tym razem chciał mieć pewność, że odpowie na wszystkie pytania Sary. Wziął ją w ramiona nie zamierzając na tym poprzestać. Ożywała w jego uścisku i było to wspańiałe uczucie.

Zakołysała biodrami przy jego biodrach podsycając własne pożądanie. Wystarczyło już teraz, że jej dotknął, a rozkoszny ból zaczynał się falami rozchodzić po brzuchu i pierśsiach. Przywarła do niego szukając siły i podpory, bo nogi się pod nią ugiwały.

- Ja naprawdę muszę z tobą porozmawiać o... liście.

- Teraz? - Gil zdusił jęk.

Skinęła głową.

- Musi być ważny. - Trzymając Sarę za rękę podszedł do łóżka, usiadł i posadził ją koło siebie. - O co chodzi?

Sara wyjęła list z kieszeni.

- Pewien dżentelmen pisuje listy. - Popatrzyła mu w oczy. - One są dosyć... - Nie, pomyślała, niech sam zdecyduje, co o nich sądzić.

Gil z miejsca rozpoznał papier, ale czy ona zorientowała się w tożsamości pana Browna?

- Nie dziwię się, że masz wielbicieli, ale nie wspominałaś o nim dziś rano, kiedy pytałaś mnie o Vonnej.

- Och, on nie jest... - Czując się jakby miała dwa cale wzrostu, zmięła list w dłoni. - Ja go nie znam.

- Jak mogę ci pomóc?

- Próbowałam znaleźć tego pana, ale chyba nikt go nie zna. Ja... - Wygładziła list i rozłożyła go. Panna Lucy. Przecież on był wysłany do panny Lucy, pamiętaj o tym, powtarzała sobie z uporem. - Czy możesz mi powiedzieć, co o nim myślisz? Sądziś, że ma poważne zamiary? Czy tylko się bawi? - Położyła mu list na kolanie.

- Och, to list do panny Lucy. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Prosiła, żebym pomogła go odnaleźć. - O Boże, jak nieskładnie mówi. - Panna Lucy nie jest pewna, czy może wierzyć w jego dobre intencje.

Gil otoczył ją ramieniem i patrząc na kartkę uświadomił sobie, że nie jest to jego najświeższy list.

- Wygląda mi to poważnie. Czemu nie miałaś mu wierzyć?

- Może się boi. Może ogarnia ją podejrzliwość wobec tak namiętnych wyznań. Pisał chyba do niej co tydzień, potem przestał. Chyba zależy jej na nim bardziej, niż się przyznaje.

- Ach, kobieta zlekceważona. - Zerknął na nią spod oka. Wydawało mu się, że do tej pory powinna była powziąć jakieś podejrzenia. Skoro ich uściski były tak namiętne, dlaczego nie zapomniała o panu Brownie? Ale przecież pan Brown to ja, przypomniawszy sobie nagle. Zirytowało go, że jest swoim własnym rywalem. - Jej artykuły były ostatnio bardziej nerwowe.

- To... możliwe... - Siedziała przysłuchując się przez moment, jak huczy ogień w piecyku i zastanawiając się, czy pozwoliła, by jej uczucia odbijały się w tym, co pisze. - Nigdy nie została mi przedstawiona. Nie umiem powiedzieć.

To dobre, pomyślał. Nie daje się zbić z tropu, trzyma się na nogach albo raczej na swoim ślicznie zaokrąglonym tyłeczku.

- Czy mówiła ci, o czym do niego pisała?

Pytania i pytania. A ona chciała tylko... Czego się po nim spodziewała?

- Odpowiada mu chyba na swojej szpalcie, ale czy nie odnosisz wrażenia, że on jest nadmiernie tajemniczy?

- Jej się to może wydawać romantyczne. - Gil podbijał serce Sary poezją i poezją chciał zakończyć to, co zaczęło się jako psikus, a zmieniło w zaloty. Poza tym wiedział, że Sara również nie jest całkowicie szczerą w sprawie nieuchwytniej panny Lucy.

- Tak mi się wydawało na początku. - Oparła rękę na jego nodze. - Ale wygląda na to, że nikt w Fenton's Crossing go nie zna. Przecież to nie jest daleko stąd, chyba by tu przyjechał konno. I próbował się z nią zobaczyć. - Potrząsnęła głową. - Dziwne.

Och, Saro, pomyślał, nie zasypiałaś gruszek w popiele.

- Może nie chciał narażać się osobiście na to, że zrani jego dumę.

Sara przesunęła palcami po jego spodniach przypominając sobie, jak umięśnione miał uda.

- Co powinnam jej przekazać, kiedy będę pisała?

- Hm, nie bardzo lubię udzielać rad, ale prowadzenie bezpiecznej gry może oznaczać samotność. Niekiedy trzeba podjąć ryzyko. - Przecięgnął palcem po konturze jej ust. - Nie martw się teraz o pannę Lucy. Zrobi to, co uzna za najlepsze.

Tak, niech się panna Lucy martwi o „pana poetę”, pomyślała Sara skubiąc zębami jego palec. Wolę mieć Gila, mężczyznę, który jest serdeczny, zabawny, mądry i taki czuły - a nie same piękne słówka i puste obietnice człowieka, któremu brakuje odwagi, by się z nią spotkać. Nagle chmura wątpliwości rozwiązała się. Była wolna. Wolna, żeby kochać i dać się kochać.

Położyła mu ręce na ramionach.

- Masz rację. Myślę, że panna Lucy powinna pójść za głosem serca. - Piersi mrowiły pod dotknięciem Gila, w dole brzucha zdawał się zbierać płynny żar. Czasami trzeba podjąć ryzyko... Czy miał na myśli ją czy pannę Lucy?

Gil zanurzył rękę w jej przepięknych, jedwabistych włosach i pozwolił, by spływały mu między palcami. Sara jęczała cichutko i dygotała pocierając dłońmi jego ramiona. Przesunął rozchyłonymi wargami po jej policzku, po grzbiecie

nosa, po pulsującej skroni, podniecając w równym stopniu siebie i ją. Dłonie Sary przesunęły się po jego torsie i mięśnie Gila napięły się tak, że trudno mu było oddychać. W odpowiedzi zataczał palcami kółka wokół piersi Sary, aż pod dłonią zaczął mu się przeżyć jej sutek.

Sara trzymała go w pasie i odchyliła się w tył, rozkoszując się wydzielanym przez niego ciepłem. Gila wsunął kolano między jej nogi. Szelest materiału walczył o lepsze z szumem krwi huczącej w uszach. Każde miejsce, którego dotknęły jego usta czy dłonie, iskrzyło pożądaniem. Nigdy jeszcze nie była tak wyczulona na dotknięcie mężczyzny ani tak spragniona.

Gil wodził palcami po wypukłościach i wklęsłościach jej ciała lekko, jakby była krucha niczym delikatna porcelana, i utrwał jej obraz w duszy. Poczował, jak ustępują guziki koszuli i jak usta przywierają do jego nagiej piersi. Skubała go zębami i lizała, aż jęknął gdzieś w głębi swego jestestwa.

Sara potarła piersiami o jego tors i cicho krzyknęła. Nie wystarczało jej to, że zaciska uda na kolanie Gila. Chciała, potrzebowała więcej. Oplotła ramionami jego kark i opadła do tyłu, pociągając go za sobą. Cudownie było czuć na sobie jego ciężar.

Przywarł do jej rozchylonych warg z pożądaniem, które tylko ona w nim wzbudzała. Sara skręciła się pod nim, niemal wciągając go w siebie. Zsunął się na bok i w odpowiedzi na jej otwartą zachętę uniósł skraj spódnicy. Przesunął ręką po miękkim materiale „niewymownych”, gładząc wewnętrzną stronę ud Sary. Tak pięknie mruczała. Wsunął dłoń pomiędzy jej uda i czubkami palców musnął skraj wilgotnej, rozciętej w kroku bielizny.

Sara wtuliła się w jego dłoń i sięgnęła do guzików przy spodniach. Pulsował pod jej dłonią, robił się coraz twardszy, większy, a ona miała wrażenie, że topnieje przy nim. Poczwała w podbrzuszu jakieś drżenie, które robiło się coraz silniejsze. „Tak, och, tak, Gilu...!” krzyknęła i zadygotała w niewiarygodnie czystej erupcji spełnienia.

Gil przyglądał jej się. Była niewiarygodnie piękna w swojej rozkoszy, a on walczył, żeby opanować instynktowne pragnienie przyłączenia się do niej. Nigdy jeszcze nie borykał się tak uporczywie z potrzebą zaspokojenia. Trzymał jej dygoczące ciało, aż opadła bez sił w jego objęcia, potem poczuł, jak zaczęła rozpinąć mu guziki przy spodniach.

Uniósł jej dłoń i przycisnął wargi do czubeczków palców.

- Mam nadzieję, że moje rady pomogą panie Lucy.

- Pomogą - powiedziała bez tchu. - Jestem pewna, że pomogą. - Patrzyła w jego piękne ciemne oczy i wciąż pulsowała pragnieniem, żeby go przyjąć w siebie. I znowu sięgnęła do jego guzików, ale on łagodnie ją powstrzymał. - Co się stało?

- Nie planowałem tego. Nie mówiłem Jackowi, że nie będzie mnie całe popołudnie. Zasługujesz na więcej. - Pocałował ją. - O wiele więcej. - Trzymał ją lekko w objęciach. Nie miał jeszcze siły wstać.

Sara leżała w jego ramionach, powoli dochodziła do siebie.

- Ja też muszę wrócić do redakcji. - Ucałowała jego jędrną szczękę. - Chociaż wołałabym się nie ruszać.

- W niedzielę jadę do obozowiska. - Przesunął wargami po jej czole. - Najwyższy czas, żebym sprawdził, co się tam dzieje.

Sara oparła się na łokciu i nosy obojga niemal się spotkały.

- W przyszłym tygodniu jest Boże Narodzenie. Pomyślałam sobie, że może zapytam Elsie North, czy znalazłaby miejsce dla gości przy swoim stole. Masz jakieś plany?

- Nie. Możemy u niej sobie coś załatwić albo spędzić popołudnie w obozowisku. Dugan zwykle przygotowuje ucztę, nawet jeżeli ma sam brać w niej udział.

Sara przesunęła dłońmi po jego torsie.

- Zapytaj go, co powiedziałyby na towarzystwo. - Usiadła powoli, jej ciało wciąż pulsowało po zbliżeniu.

Sara położyła list „pana poety” na stosik pozostałych, wepchnęła je na tył szuflady i posprzątała na biurku. Wróciła panna Lucy, pomyślała; nie będą nam się już myliły nasze uczucia. Drzwi do redakcji otworzyły się gwałtownie i do środka wpadła Phoebe.

- Patrz! - powiedziała popychając jeden z nowych listów w stronę Sary.

Sara wpatrzyła się w pismo.

- „Pan poeta”?

- Nie gap się, tylko go otwórz! - Phoebe czekała chwilę, potem nie wytrzymała.

Sara upuściła kopertę na biurko.

- Nie jestem pewna, czy mam na to ochotę. Kiedy przyjdzie panna Lucy, niech sobie przeczyta. Zaadresowany jest do niej. - Podniosła oczy. - Co to jest?

Phoebe położyła drugi list i paczkę na biurku.

- Pewnie od twojej matki.

- Moja droga - powiedział Charles stając przy niej. - Chyba się lepiej dziś czujesz.

- Świetnie. W życiu nie czułam się lepiej. - Ucałowała go w policzek.

- Masz tam coś dla mnie?

Popatrzyła na niego rozpromieniona.

- To co zwykle.

Och, Charlesie, pomyślała, gdybym ci teraz powiedziała, jakie mam nowiny, nawet byś mnie nie usłyszał. Po kolacji dopilnuje, żeby całą uwagę skupił na niej. Popatrzyła na Sarę.

- Co się z tobą dzieje? Nie chcesz wiedzieć, dlaczego przestał pisać? Musisz być ciekawa.

- Pewnie miał swoje powody. Nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć, jakie wymyślił sobie usprawiedliwienie. - Sara wzięła drugą kopertę i rozpieczętowała. Przeczytawszy

pierwszą linijkę, popatrzyła na stempel i uśmiechnęła się do Phoebe. - Od jakiejś kobiety z Hollister w Kalifornii. Pisze o moim artykule na temat wolnej miłości. - Pomachała listem. - Charles, następny.

Phoebe jęknęła bezgłośnie.

- Jest za czy przeciw?

- Pisze, że przejechała przez kraj razem z karawaną wozów. Kiedy kobieta musi przejść całe setki mil obok wozu, rąbać drzewo i strzelać do każdego czworonoga w polu widzenia, żeby nie umrzeć z głodu, ma prawo czuć się dobrze w ramionach dowolnego mężczyzny, którego sobie wybierze. - Sara przyglądała się bacznie Charlesowi. - Słyszysz, Charlesie?

- Miejmy nadzieję, że zostanie w tym swoim Hollister czy gdzieś tam.

Sara złożyła list.

- Będę musiała do niej napisać.

Ściągnęła sznurek z paczki i otworzyła pudło.

- Peleryna - powiedziała i podniosła ją, żeby Phoebe mogła zobaczyć. - Jednak mama ją miała. - Poczła lekką woń lawendy, ulubiony zapach matki. Zupełnie jakby otworzyły się jakieś upusty w jej pamięci, zalały ją wspomnienia z dzieciństwa.

Phoebe uniosła skraj materiału.

- Twoja pawioniebieska peleryna... - Jej oczy zaczęły napędnąć się łzami. Po prostu cudownie, pomyślała. Ostatnio albo szukam dziury w całym, albo zalewam się łzami.

- Wygląda całkiem tak samo jak w moich wspomnieniach, nawet obszycie plecionką. - Sara rozłożyła pelerynę i znalazła swoje inicjały S. S. wyszyte na podszewce. Rzadko się z Phoebe kłóciły przez te wszystkie lata, a nigdy nie poróżniły się jeszcze tak poważnie jak ostatnio. Phoebe nigdy nie była taka uparta, ale Sara w głębi serca wiedziała, że przyjaciółka myli się co do Gila.

Złożyła pelerynę, schowała z powrotem do pudełka, które podała Phoebe.

- Chcesz zobaczyć, czy spodoba się Corze?

Phoebe pokiwała głową, po policzkach spływały jej łzy.

- Moja kochana - powiedział Charles podchodząc do niej pospiesznie - dość już tego. Zabieram cię do lekarza w Oregon City.

Phoebe przełknęła i potrząsnęła głową.

- Chodzi o pelerynę. - Usiłowała się uśmiechnąć i przestać płakać. - Jakże uroczym z twojej strony, Saro. Zachowam ją dla twojej małej córeczki.

- Tylko żebyś mi nie czekała z zapartym tchem. - Sara zobaczyła leżący na biurku list od „pana poety”. Listy od niego sprawiały wrażenie romantycznych, jak sugerował Gil, ale to Gil był jej przeznaczony. Nieważne, co napisał „pan poeta”.

Phoebe przyglądała się Sarze, rozumiała jej wątpliwości i lęki, i zdecydowana była jej pomóc.

- Jeżeli nie masz zamiaru go przeczytać, ja mogę. - Otworzyła kopertę i wysunęła z niej list. *Moja najdroższa panno Lucy...*

Sara zacisnęła szczęki i podeszła do okna. Wyjdz na chwilę, Gilu. Proszę. Oczywiście nie wyszedł, a Phoebe czytała dalej ten przeklęty list.

Mogę mieć tylko nadzieję, że przebaczy mi pani przerwę w korespondencji. Muszę błagać ją o cierpliwość i wyrozumiałość. Zapewniam, że nie dało się tego uniknąć, chociaż nie miałbym pani za złe, gdyby uznała mnie za grubianina i kompletnego łajdaka.

*„Gdybym był kochany jak pragnę być,
wszystko co w wielkiej kuli ziemi,
... miłość czysta przeszłaby i przecięta
gdybyś była moja...”*

*Oddany, z wielką sympatią
pan Brown*

- Fiu - powiedziała Phoebe wachlując się listem. - Nie wygląda na to, żeby cię miał zapomnieć.

- Kwiciste słowa, nic więcej. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby jakoś się wytłumaczyć, dlaczego nie pisał.

Phoebe położyła list na biurku.

- Mam nadzieję, że jeszcze to przemyślisz. Naprawdę robi wrażenie skruszonego.

- Znowu to robisz. - Sara popatrzyła na nią i usiłowała powściągnąć irytację. - Po prostu daj sobie spokój. Nie obchodzi mnie, co on pisze.

- Może jeszcze zmienisz zdanie, Saro. Nie zrób czegoś, czego byś później miała żałować.

Podszła do Charlesa, ucałowała go i wyszła z redakcji.

Sara zerknęła na Charlesa. Zatonął w gazecie, którą czytał. Wetknęła list „pana poety” do szuflady i zamknęła ją. Skończyła już artykuł panny Lucy nie wspomniawszy w nim ani słowem o żadnym z jego listów i nie napisała nic, co mogłoby podsycić jego zainteresowanie. To powinno sprawę zakończyć.

Phoebe tuliła do boku ramię Charlesa, kiedy szli spacerkiem przez pole.

- Czy nie jest ślicznie?

- Zamarznąć można. Co my tu robimy, zamiast siedzieć przed kominkiem? - Przeszedł go dreszcz i postawił kołnierzyk płaszczu.

Phoebe uśmiechnęła się i potarła policzkiem o jego rękaw.

- Przypomniało mi się, jaki byłeś rozczarowany, kiedy nie mogłeś wrócić do domu z wojny na narodziny Cory.

- To był straszny okres, moja droga. - Poklepał ją po ręce. - Usiłowałem dostać się wtedy do domu. - Potrząsnął głową. - Ale zdarzyło się to niemal dziesięć lat temu. Po co odgrzebywać stare wspomnienia?

- Chciałbyś mieć jeszcze jedną szansę?
- Szansę na co?
- Żeby przyszło na świat nasze dziecko. - Boże, serce waliło jej tak, że chyba pobudzi gawrony.
- Jak... - Charles stanął jak wryty wpatrując się w nią. - Czy ty...? Czy my...? Nie, niemożliwe, po tylu latach.
- Tak, możliwe. Chyba gdzieś w sierpniu, jeżeli nie pomyliłam się w obliczeniach.
- Charles odwrócił ją do siebie i porwał w objęcia.
- Phoebe, jesteś piękna! - Niemal ją zdusił w uścisku. - To dlatego byłaś ostatnio taka drażliwa!
- Roześmiała się.
- Trochę to trwało, zanim się sama zorientowałam.
- Może naszemu malutkiemu jest ciepło, ale jego mamie i papie nie jest. Wracajmy do domu. A co powiedziała na to Sara?
- Jeszcze nie wie, ale niedługo jej powiem.
- Zakładam, że dzieciom też nie powiedziałaś.
- Dzisiaj chyba nie jest dobry moment, Cora poza peleryną Sary świata nie widzi. - Położyła mu głowę na ramieniu.
- Jeszcze przez jakiś czas nie muszą wiedzieć, a na dziś wieczór zaplanowałam co innego.
- Taką miałam nadzieję. - Najchętniej zatańczyłyby. Cieszył się z jej ciąży. To musiało się stać tego wieczoru, kiedy pytała go o Lorinę. O śliczną Lorinę. Sara porządnie się uśmieje, jak się o tym dowie.

Sara siedziała na łóżku i patrzyła na plany nowego domu, które Gil pomógł jej narysować. Nie cytował Szekspira ani Tennysona, ani nie pisał do niej romantycznych listów, ale czuła się przy nim taka pełna życia. Nawet jeżeli się ze sobą nie zgadzali, a właściwie to zwłaszcza wtedy, pomyślała.

Wystarczyło, że przypomniała sobie pieszczoty Gila, a jej organizm z miejsca się budził; zaciskając uda niemal czuła,

jak palce Gila głaszczą wilgotne, wrażliwe ciało. Żałowała tylko jednego - że nie może dzielić z nim uczuć w tej chwili.

Światło lampy zabłysło na obrączce i Sara zapatrzyła się na nią. Już czas, pomyślała, obracając złote kółko i ściągając je z palca. Obrączka należała do przeszłości, powinna znaleźć się w malutkiej drewnianej szkatułce na skarby, którą matka dała jej chyba w jakimś innym życiu.

Gdzie ona ją schowała, kiedy pakowała się? Przejrzała szuflady w komodzie, walizę i nawet zajrzała pod bieliznę. Znalazła kulę, która zraniła Gila, zawiązaną w chusteczkę, ale szkatułki nie było. Rozejrzała się bacznie po pokoju. Kufier. Szkatułka powinna tam być.

Uklękła przed kufrem, uniosła pokrywę i zaczęła go opróżniać, rozkładając zawartość na podłodze. Pod koszulą nocną i dwoma prześcieradłami znalazła szkatułkę. Otworzyła ją i zobaczyła mały srebrny naszyjnik, który ojciec dał jej na dwunaste urodziny. Postawiła szkatułkę na łóżku i wygładziła ubrania, których nie chciało jej się rozpakować od przyjazdu do Gridley.

Przekopując zawartość kufra odkryła Linnet. Lalkę Phoebe. Wzięła ją na ręce, poprawiła strojny czepeczek i wyprostowała spódniczkę usianą maleńkimi kwiatuskami.

- Och, Linnet, jak mogłam zapomnieć o tobie i o obietnicy, którą złożyłam Phoebe? - Ułożyła czule lalkę na poduszkach. - Już późno. Rano porozmawiamy z Phoebe.

W sobotę rano Phoebe obudziła się i stwierdziła, że jest w łóżku sama. Charles pozwolił jej się wyspać. Po raz pierwszy od niemal trzech tygodni spała mocno. Przeciągnęła się i opuściła ciepłe łóżko. Ubierając się stwierdziła, że najwyraźniej utyła nocą w pasie. Ubrania. Będzie musiała sobie sprawić kilka ściąganych w talii sukienek.

Skończyła toaletę i dopiero wtedy zauważyła liścik od

Charlesa. Zabrał ze sobą Corę do pracy, a Clay poszedł z kolegami na ryby. Charles jest taki kochany, pomyślała Phoebe idąc do kuchni. Nastawił wcześniej wodę i Phoebe zrobiła sobie herbatę. Musiała porozmawiać z Sarą, a lepszej chwili już nie znajdzie. Kiedy herbata się parzyła, poszła sprawdzić, czy Sara jeszcze jest.

Właśnie unosiła rękę, żeby zapukać, kiedy drzwi się otworzyły.

Sara uśmiechnęła się.

- Chodź do środka.

Phoebe skinęła głową.

- Lepiej wyglądasz dziś rano. A właściwie wręcz promieniejsz.

- Dobrze spałam tej nocy. - Phoebe usiadła na krześle. - Coś nie może doczekać się, żeby się z tobą zobaczyć. Jest zachwycona tą peleryną. Chciała w niej nawet spać.

- Cieszy mnie, że sprawiłam jej radość. - Sara usiadła na skraju łóżka. - Phoebe, przepraszam cię, że się rozzłościłam. Chciałaś dobrze i nie powinnam była tak zareagować, jak zareagowałam. Czy mi przebacysz?

Phoebe poczuła napływające łzy, a potem wszystko zamazało jej się przed oczami.

- Dlatego chciałam się z tobą zobaczyć. - Otarła oczy. - Tak mi przykro, że dokuczałam ci i czepiałam się pana Perry'ego. Czy możesz mi wybaczyć? - Wyciągnęła ramiona, a Sara zrobiła krok w jej stronę. - Jesteś przy nim szczęśliwa. I tylko to jest ważne.

Sara przytuliła ją.

- Och, Phoebe. - Sama również musiała otrzeć oczy. - Miałaś rację co do domu rozpusty. Gil opowiedział mi też o Vonnemey.

- Cieszę się, że ci powiedział. - Phoebe kiwnęła głową. - I co o tym myślisz?

- Są przyjaciółmi. Nie jestem pewna, czy ją polubię, ale wierzę mu.

Phoebe raz za razem ocierała oczy, do których ciągle napływały łzy. Nie będzie nic o tym mówiła. Liczy się tylko opinia Sary.

- Mam tu kogoś, z kim może chciałabyś się zobaczyć.

- Kogo? Kogoś z domu?

- Mhm. - Sara odsunęła poduszkę na bok i uniosła lalkę.

- O mój Boże. Linnet. Gdzie ją znalazłaś? - Phoebe przesunęła ręką po spódnicy Linnet. Spódniczka usiana była małeńkimi kiściami bzu, które Phoebe sama wyhaftowała.

- W moim kufrze. Zawsze ją miałam przy sobie, nawet jeżeli nie zawsze o niej pamiętałam.

- Ja też trzymam Esmee w moim kufrze. - Phoebe uśmiechnęła się i ze wzruszeniem przytuliła Linnet do piersi. - Zrobimy sobie herbatkę?

- Będzie świetna zabawa, tylko zróbmy ją w salonie, a nie pod drzewem. Na dworze jest za zimno.

Phoebe spoważniała.

- Saro, muszę cię o to zapytać: jeżeli jesteś naprawdę szczęśliwa z panem Perrym, czy nie będziesz już zachęcała „pana poety”?

- Nie robiłam tego ostatnio, a jeżeli napisze jeszcze raz, spalę jego list. - Sara przekrzywiła głowę na bok i przyglądała się bacznie Phoebe. - Czy jesteś pewna, że całkiem dobrze się czujesz? Znowu jakoś mizernie wyglądasz.

- Nie trzeba się martwić, właściwie to całkiem normalne.

- To jakieś bzdury. - Sara zmarszczyła brwi. - Co ty przede mną ukrywasz? I czego tak szczerzysz zęby jak idiotka?

Phoebe oparła dłoń na wypukłości brzucha.

- Będziesz ciocią. Znowu. W przyszłe lato...

- Och, Phoebe! - Sara objęła Phoebe ramionami, świeże łzy wypełniły jej oczy i pociekły po policzkach. - Tak się cieszę! To cudowne! Jesteś taką dobrą matką.

- Zdawało mi się, że tę część życia mam już za sobą. - Phoebe rozchichotała się. - Charles też był zaskoczony. Och, będziesz moją akuszerką, prawda?

- Jeżeli tylko chcesz, będę. Ale wyszłam z wprawy. Cora ma prawie dziesięć lat. - A ja byłam wtedy o dziesięć lat młodsza, pomyślała Sara.

- Zrobimy to razem - powiedziała Phoebe uśmiechając się, a rozdźwięk między nimi należał już do przeszłości. - Zawsze wszystko robiłyśmy razem.

Gil przejechał wozem przez most przy młynie i ruszył na wschód między pagórki u stóp góry Hood. Wciąż jeszcze miał Gridley w zasięgu wzroku, kiedy zauważył kłęb szarego dymu unoszącego się nad drzewami. To nie obozowisko. Bliżej! Dom Vonney. Oczywiście. Cholerny świat! Drwale wciąż byli w mieście, a sam nie poradzi sobie z pożarem o takich rozmiarach.

Zawrócił konie i popędził z powrotem do miasta. Bale, z których zbudowano dom Vonney, były solidne i nie spalały się szybko, ale nie wiedział, od jak dawna ogień się pali. W niecałą godzinę zaalarmował ludzi i pojechał z powrotem do pożaru.

Gil powoził, a na wozie znajdowali się drwale i narzędzia do zwalczania pożaru. Jack i kilku ludzi z miasta pojechali konno i wyprzedzili ich. Im bliżej podjeżdżał Gil, tym gorzej wyglądał dym i tym większa ogarniała go obawa. Jeśli dom zająłby się od lampy naftowej, dym nie byłby aż taki gęsty.

Zatrzymał się na podwórku. Płomienie wystrzelały z narożnika na tyłach domu, szopy paliły się żywym ogniem. Vonney, Frannie, Vi i Jessamine, rozneglizowane w różnym stopniu, podawały sobie wiadra, żeby zalać ogień. Płonęły obydwie przybudówki i jeden koniec domu.

Przynajmniej kobiety były bezpieczne. Ale nie będzie można tego powiedzieć o sukinsynu, który podłożył ogień.

Gil zeskoczył z wozu. Zakłuło go w boku i gwałtownie się zatrzymał. Minęły dwa miesiące od strzelaniny, a on wciąż nie odzyskał dawnych sił. Mężczyźni chwyтали za siekiery, wiadra, płótno, motyki, kubły i łopaty, i pospiesznie się oddalali. Gil podszedł do kobiet. Blond włosy Vi były szare od popiołu. Twarz Frannie zalewały łzy, a Jessamine warkliwie wydawała rozkazy niczym nadzorca. Wszyscy pracowali razem, dopóki ogień nie został ugaszony.

Wschodni koniec domu był przypalony, ale nie przepalony na wylot. Kątem oka zauważył, jak przemyka obok niego coś jasnego. Odwrócił się i zobaczył Vonney, która obiegała dziewczęta i zniknęła w domu. Pospieszył za nią.

- Vonney! - Pędził korytarzem w kierunku spalonej części budynku czując w nozdrzach zapach zwęglonych ścian. - Co ty u diabła robisz?

- Sprawdzam tylko, czy tu się przestało tlić. - Okręciła się i rzuciła w jego ramiona. - Gil, twój cudowny dom... Tak się bałyśmy - powiedziała łkając.

- Cicho już. Trochę to potrwa, zanim tu wywietrzycie, ale myślę, że uratowałyście dom. Przyjrę się wszystkiemu lepiej, jak ogień całkiem wygaśnie. - Wyprowadził ją na zewnątrz. - Skąd się ten ogień wziął?

- Olley Russell wpadł tutaj wczesnym rankiem. Chciał się zobaczyć z Frannie, ale ona się nie zgodziła. Powiedziała, że dość ma bawienia się z nim w oświadczyni. - Vonney wzruszyła ramionami.

Vi chwyciła Gila za ramię.

- Widziałam, jak ten głupi osioł wbiegał za jedną z szop.

Myślałam, że idiota tylko podgląda Frannie. Mógł stamtąd widzieć jej okno.

- Jesteście pewne, że to był Ollie Russell?

- Cholernie pewne.

Gil położył rękę na poczerńiałym od sadzy ramieniu Vi.

- Nic ci nie jest?

Vi posłała mu obleśny uśmiech, przesunęła dłonią po piersiach i w dół poniżej bioder.

- A jak myślisz?

Gil zachichotał i puścił do niej oko.

- Zuchwała jak zawsze. Widziałaś, jak podkładał ogień, Vi?

- Nie. Wątpię, czy potrafi zapalić zapałkę.

Gil kiwnął głową.

- Czy już się dobrze czujesz, Vonney?

Przytuliła się do jego boku.

- Dobrze by mi zrobiło, jakbyś mnie trochę pocieszył. Nieźle wyglądasz jak na kogoś, kto, jak słyszałam, już nie żył. - Wtuliła mu nos w szyję. - Naprawdę się cieszę, że to nie była prawda. Tęskniłam już za twoją przystojną twarzą.

Gil rozejrzał się.

- Chyba dawno nie miałyście tu aż tylu mężczyzn naraz. - Klepnął ją po pupie. - Do zobaczenia później.

Przeszedł pomiędzy pobliskimi drzewami i uważnie obejrzał ziemię na tyłach dwóch palących się szop. Była wilgotna, a w gęstym poszyciu niełatwo znaleźć jakieś ślady poza błotnistymi łysinkami. Za olbrzymią sosną zobaczył odciski stóp, które ktoś mógł zostawić ostatnio, ale trudno było mieć pewność.

Jedna szopa spaliła się do cna, a drugą mężczyźni zwalili. Tłące się pogorzelnisko zostało zasypane ziemią, a równocześnie Jack i Vernon Riggs nie przestawali od tyłu polewać wodą domu. Gil wrócił na front i trafił na Frannie, która myła twarz przy studni.

Napełnił czerpak i podał jej.

- Lepiej się też trochę napij.

- Och, Gilu. - Przełknęła łakomie wodę i powiesiła czerpak na haku. - Złapiesz tego padalca?

- Spróbuję. - Mimo woli zaczął się zastanawiać, czy ten człowiek nie miał czegoś wspólnego z podpaleniami w okolicach obozowiska. - Czy jesteś pewna, że to Ollie Russell podłożył ogień?

- Jest chyba obłąkany! Zawsze groził, że zrobi coś okropnego.

- Czy wiesz, gdzie mieszka?

- Byłam z nim tylko raz - powiedziała i dreszcz ją przeszedł. - Kazał mi się ubrać w sam fartuszek i czepeczek, i udawać, że piekę chleb - syknęła. - A potem ten ladaco powiedział, że taka jestem „ładniutka”, że się ze mną ożeni!

Gil potarł brodę. Nie chciał wiedzieć, jakie żądania mężczyźni stawiają dziewczętom.

- Frannie, zastanów się. Jak był ubrany?

Frannie pochyliła się i przeczesła włosy palcami wytrąsając popiół z długich brązowych pasemek.

- Spodnie ręcznie tkane, sklepowa koszula.

Gil kiwnął głową. Teraz mówiła do rzeczy.

- Jakie buty?

- Znoszone, nabijane ćwiekami.

- Jak pachniał? - Pomyślał sobie, że jeżeli była z nim w pokoju, musiała coś zapamiętać.

- Fuj! Jakby się tarzał z wieprzami.

Gil uśmiechnął się.

- Dzięki, Frannie. Uważaj na siebie.

- Próbuję, Gilu. - Uśmiechnęła się podniesiona na duchu.

Kiedy mężczyźni ugasiли już pożar, Vonney podała kawę. Usłyszawszy, jak kobiety skarżą się na Ollie'ego Russella, wybuchnęli gniewem. Drwale byli pewni, że jest podpalaczem.

- Chodźmy! - wrzasnął Willie. - Nie wrócimy, dopóki nie będziemy go mieli!

- No to już, chłopaki, na co czekacie? - Jake objął Frannie, ucałował ją mocno i popędził do wozu.

Gil chwycił rękę Willie'ego w żelazny uchwyt.

- Przestańcie. To szaleństwo.

Willie strząsnął jego rękę i położył ciężką dłoń na ramieniu Gila.

- Przykro mi, szefie. Musimy chronić te kobiety. Wiem, że masz dobre zamiary, ale sam sobie teraz z tym nie poradzisz. - Wyrwał się i odbiegł.

- Cholerni idioci. Ci cholerni idioci - powiedział Gil, ale nikt go nie słuchał.

Phoebe zacisnęła dłonie na boku bryczki.

- Saro, to szaleństwo. Myślisz, że uda ci się w tym domu rozpusty dokonać czegoś, czego nie zrobili już mężczyźni? - Panie Boże dopomóż, Sara znowu zaczynała.

- Nie mam pojęcia, po prostu zawiozę im trochę jedzenia. - Sara nie potrafiła przyglądać się beczynnemu dymowi. - Nigdy jeszcze nie byłam w domu nierządym. Może mi się nie trafić lepsza okazja poznania Vonney, a poza tym upewnię się, czy Gilowi nic nie jest.

- Ty i ta twoja ciekawość. Bądź ostrożna. Jeden pan Bóg wie, co ci się może przydarzyć.

Sara roześmiała się.

- Opiszę wszystko w artykule i będziesz sobie mogła przeczytać.

- Po czymś takim Charles może się załamać. Czy masz szpilkę do kapelusza?

- A na cóż mi szpilka?

- Dla ochrony. Masz - powiedziała Phoebe wyciągając szpilkę ze swojego kapelusza. Podała Sarze szpikulec długi na sześć cali. - W razie czego nie zapomnij jej użyć.

- Zabójcza broń. Równie dobrze mogłabym wziąć ze sobą miecz. - Sara patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

- Nie mam na głowie kapelusza. - Oddała przypominając rapier szpilkę Phoebe.

- Saro, musisz ją wziąć.

Sara potrząsnęła głową i ujęła lejce.

- Wrócę na kolację.

- Pojadę za tobą, jak nie wrócisz! - zawołała Phoebe, kiedy Sara oddalała się drogą.

Sara przejechała przez most przy młynie i wjechała na drogę wiodącą pomiędzy pagórki. Prosiła i błagała, aż wreszcie Ben Layton poddał się i wytłumaczył, jak dojechać do domu nie-rządneho. Phoebe miała rację. Wszyscy... a przynajmniej wszyscy mężczyźni... wydawali się z nim dobrze obznajomieni.

Ujechała kawałek lasem, skręciła nad strumyk i zobaczyła duży dom z okrągłaków. Ostry zapach spalonego drewna wisiał w powietrzu i im bardziej się zbliżała, tym robił się mocniejszy. Zniosła jedną ze skrzynek pod drzwi i zapukała. Drzwi gwałtownie się otworzyły, wolną przestrzeń wydało się całkowicie wypełniać bujne łono jakiejś kobiety.

- A co to tak oficjalnie... - Vi wyprostowała się i przyjrzała Sarze bacznie od stóp do głów. - Czego pani chce?

- Chciałabym zobaczyć się z Vonney. - Drzwi zatrzasnęły się; Sara obawiała się, że kobieta zauważyła zaskoczenie na jej twarzy, ale nic na to nie mogła poradzić, skoro tamta miała na sobie tylko koszulkę i gorset. No i czarne pończochy. Żadna dama nie pokazałaby się bez pończoch. Niech no tylko Phoebe się o tym dowie, pomyślała Sara.

Drzwi otworzyły się ponownie. Tym razem stanęła z nią twarzą w twarz kobieta z burzą jaskraworudych loków na głowie. Sara uśmiechnęła się.

- Vonney? - A więc to jest przyjaciółka Gila, pomyślała, nie całkiem pewna czego się spodziewała.

- Tak. Co mogę dla pani zrobić?

- Nazywam się Sara Hampton, z Gridley. Przywiozłam dwie skrzynki jedzenia. Nikt w mieście nie wie, na ile groźny był ten pożar. Pomyślałam, że mogą się wam przydać. -

Ta kobieta miała przynajmniej na sobie twarzową fioletową muślinową suknię z dekoltem, raczej odpowiednią na wieczór, a mimo to dosyć atrakcyjną.

Vonney zmierzyła ją spojrzeniem.

- Z *Gazette*? Ta Sara Hampton?

- Wydaje mi się, że większość ludzi Bogu dziękuje, że jest tylko jedna - powiedziała Sara z szerokim uśmiechem.

Vonney sięgnęła po skrzynkę.

- Pozwoli pani, że to wezmę. Proszę wejść - powiedziała, odpowiadając jej takim samym uśmiechem. - Cieszę się. Jak miło z pani strony.

Sara przez moment czuła się oszołomiona i stała w milczeniu, potem w końcu doszła do siebie po serdecznym powitaniu. Trudno było się oprzeć uśmiechowi tej kobiety; ła-two zaś zrozumieć, czemu Gil mu się nie oparł. - Wezmę drugą skrzynkę.

- Niech sobie pani nie zwraca tym głowy. - Vonney we-tnęła głowę w drzwi. - Vi, weź no tę drugą skrzynkę z bryczki pani Hampton.

Vi podbiegła do drzwi.

- Pani Hampton? Przepraszam, że nie byłam dla pani zbyt miła. Niewiele dam nas tu odwiedza.

Kiedy Vi pędem biegła do bryczki, Sara weszła do środka.

- Czy wasz dom doznał jakiejś szkody, Vonney?

- Niech pani lepiej pójdzie do kuchni. - Vonney popro-wadziła ją przez dom. - Trochę się nadpalił od zewnątrz, ale Gil... pan Perry naprawdę solidnie go zbudował.

Sara poznała po głosie Vonney, kiedy wypowiadała imię Gila, że dziewczyna czuje do niego coś więcej niż przyjaźń.

- To dobra wiadomość. Dym było widać aż w mieście. Obawiałam się, że płonie całe zbrocze.

- Gdyby Frannie nie poszła po wodę, żeby sobie umyć włosy właśnie wtedy, mogło tak się skończyć. - Vonney po-stawiła skrzynkę na podłodze. - Zapłacę pani za jedzenie. Zaoszczędziła mi pani wyjazdu po zapasy.

- Nie ma potrzeby, Vonney, i proszę, mów mi Saro.

Vi powoli weszła do kuchni z drugą skrzynką i postawiła ją obok pierwszej.

- Popatrz tylko, budyń z tapioki. Dzięki, pani Hampton.

- Saro. - Usłyszała za sobą przyciszone głosy i zerknęła w kierunku drzwi. Stały tam jeszcze dwie kobiety. Jedna z nich, ubrana w ładną koszulę i z pół tuzina albo więcej hałeczek, uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Hej. Jestem Frannie. Własnym oczom nie mogę uwierzyć, że przyjechała pani tutaj nas odwiedzić. Czytałyśmy wszystkie pani artykuły. Ani jednego nie opuściłyśmy.

- Cieszę się, że się wam podobają. - Ich pochwały wydały się szczere i trochę zbiły Sarę z pantałyku.

Jessamine podeszła do Sary i podała jej rękę.

- Tak się cieszę, że cię mogłam poznać, Saro. Mam na imię Jessamine. Naprawdę ładnie napisałaś o Gilu.

Sara uśmiechnęła się i potrząsnęła jej dłonią. Jessamine miała na sobie pienisty żółty szlafroczek, który pięknie komponował się z jej ładnymi ciemnymi oczami.

- Interesujący z niego mężczyzna. Rozumiem, że wszystkie go znacie.

- Jest dla nas jak brat - powiedziała Frannie. - No, prawie - dodała patrząc na Vonney.

Vonney spojrzała na Frannie spode łba, potem łagodniej na Sarę.

- Czy napiłabyś się kawy, herbaty, a może nalewki na jeżynach, Saro?

- Skuszę się na nalewkę. - Sara uśmiechnęła się. Ponieważ różne rzeczy robiła dzisiaj po raz pierwszy, czemu nie miałyby skosztować nalewki, tłumaczyła sobie. - Czy mogę was zapytać, od jak dawna tu mieszkacie? - Nie miała zdolności do rozpoznawania wieku. Ale Vonney wydawała się najstarsza, a Frannie najmłodsza.

Vonney nalała dwa malutkie kieliszki nalewki.

- Prawie osiem lat. - Podała jeden Sarze.

Drzwi frontowe otworzyły się i Vonney popatrzyła na dziewczęta.

- Do zobaczenia później, Saro - powiedziała Frannie z niemal dziecięcym uśmiechem.

Trójka wybiegła do salonu i Sara usłyszała ich pomruki bardzo odbiegające od głosów, jakimi mówiły przed chwilą. Uniosła kieliszek.

- Żeby nie było więcej pożarów.

- Wypiję za to. - Vonney spełniła toast. - Od jak dawna jesteś w Gridley?

Sara skosztowała nalewki i uśmiechnęła się z sympatią do swojej gospodyni. Nalewka była pyszna.

- Przyjechałam zeszłego lata. - Ignorowała niedwuznaczne odgłosy, które towarzyszyły przechodzeniu kobiet do innych części domu z mężczyznami, którzy właśnie przybyli. - Zrobiłam wywiad z panem Perrym. Znasz go chyba dobrze, więc powiedz mi, proszę, co myślałaś o tym artykule?

- Naprawdę sympatyczny, ale widać było, że Gila nie znasz za dobrze. On niewiele mówi o sobie, ale zawsze komuś pomaga. - Vonney popijała nalewkę. - Nie można go nie lubić.

Sara kiwnęła głową.

- Zauważyłam to. - Wypiła jeszcze łyżeczek.

- Słyszałyśmy, co zrobiłaś w banku, żeby go uratować. Przyznaję, że byłam ciekawa, jaka jesteś. Do tego trzeba było prawdziwej odwagi.

- Byłam śmiertelnie przerażona. Gdybym trzymała buzię zamkniętą, bandyta nie postrzeliłby go. - Sara wypiła następny łyżeczek nalewki. - Przynajmniej tyle mogłam dla niego zrobić.

Vonney popatrzyła na nią z porozumiewawczym uśmiechem i Sara uświadomiła sobie, że ona również zgadła, jakie są jej uczucia względem Gila.

- No, ja bym nie mogła tego zrobić, ale niewątpliwie bardzo jestem rada, że się nim zaopiekowałaś.

- Widziałaś go dziś? Słyszałam, że on i inni mężczyźni przyjechali tu pomóc w walce z ogniem.

- Tak. Był tutaj. Drwale polecili za tym łajdakiem, który podłożył ogień. Gil kazał mi sobie obwiązać bok, żeby mógł pojechać konno do obozowiska. Chciał się zobaczyć ze starym Duganem.

Sara wypięła cały haust zamiast łyżeczka nalewki. Pałacy płyn spłynął jej do gardła i zaczęła kaszleć.

- Nie wiedziałam, że już na tyle odzyskał siły, żeby wsiąść na konia.

- On też tego nie wiedział - uśmiechnęła się Vonney. - Dlatego kazał mi się zabandażować. - Sięgnęła przez stół i poklepała Sarę po ręce. - Nie martw się, Saro. Będzie z nim dobrze. Ten chłopak umie o sobie zadbać.

Drzwi frontowe otworzyły się z łoskotem i głęboki głos zawołał:

- Vonney, kochaneńka, gdzie jesteś?

Vonney uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Przepraszam.

- Cieszę się, że cię poznałam, Vonney - powiedziała Sara wstając. Dopiła smaczną nalewkę do końca.

Vonney też wlała w siebie napój. Przechodząc obok Sarę położyła dłoń na jej ręce.

- Przyjedź tu znowu, jak tylko będziesz chciała, Saro Hampton. W ciągu tygodnia mamy trochę więcej spokoju.

- Dziękuję. Przyjadę.

Sara czekała, dopóki nie usłyszała, że Vonney prowadzi mężczyznę w głąb domu, potem cicho wyszła.

Kiedy pospiesznie szła do bryczki, nalewka uderzyła jej do głowy i Sara zaczęła chichotać. Nie było to coś, co miałyby ochotę pić codziennie, ale od czasu do czasu byłoby miło. Wsiadła na bryczkę, uniosła lejce i zawahała się rozważając, gdzie może być Gil i czy ma zamiar później odwiedzić ten dom. Zawróciła konia i ruszyła w kierunku miasta.

Gil wpatrywał się w spalony narożnik baraku sypialnego.

- Dugan, dlaczego do diabła Henry mnie o tym nie powiadomił? Albo nie powiedział mi wczoraj? Ten sukinsyn mógł was za którymś razem zabić.

Dugan wzruszył ramionami.

- A co ty byś mógł zrobić, czego myśmy nie zrobili?

- To nie o to chodzi. Powiniennem być zostać powiadomiony. - Gil zrozumiał teraz, dlaczego mężczyźni tak gwałtownie zareagowali, kiedy usłyszeli, że kobiety skarżą się, iż to prawdopodobnie Olley Russell podłożył ogień pod dom Vonney.

Dugan przyglądał mu się bacznie.

- Tak mi się widzi, że do bitki jeszcze nie jesteś gotów. A chłopcy aż się rwały. Upuścić sobie trochę pary. - Zachichotał. - Nie tak dawno przewodziłeś całej bandzie.

- Mówisz to tak, jakbym już był stary. Jeszcze przez cały miesiąc będę miał dwadzieścia dziewięć lat.

- Dzieciuch z ciebie.

Gil potrząsnął głową.

- Znajdziesz mi coś przyzwoitego do jedzenia?

- Pewnie się z tobą mogę podzielić moim obiadem - powiedział Dugan ruszając do kuchni. - Nie spodziewałem się nikogo na wieczór.

- Jak zjem, to ci nie będę więcej głowy zawracał. Równie dobrze mogę posprawdzać księgi, jak już tu jestem.

Dugan poszedł do kuchni i wkrótce wrócił z parującym talerzem, który postawił przed Gilem.

- Kurczak w śmietanie z bułeczkami. Ależ pięknie pachnie.

- Gil dźgnął widelcem soczysty kawałek kurczaka. - Chcesz mi opowiedzieć, co się tu jeszcze działo?

- Nic nie straciłeś. A jak tam z tą panią Hampton?

Gil uśmiechnął się rozłamując bułeczkę.

- Pani Hampton jest w porządku. - Lepiej niż tylko w porządku, dodał w myśli, dużo lepiej.

Dugan zachichotał.

- Doszły mnie słuchy, że wszedłeś do nowej rady miasta. Jak cię tam zaciągnęli?

- Niech mnie diabli, jeżeli wiem jak. - Gil ugryzł kawałek bułki i sięgnął po kawę.

Do kuchni wbiegł Willie.

- Szefie, musisz się pospieszyć. Chłopaki nie chcą czekać...

- Na co? - Gil zerwał się na nogi i chwycił drugą bułkę, kiedy Willie podchodził bliżej.

- Henry mnie wysłał po ciebie. Założyli już temu Russelowi pętlę na szyję, ale Henry i Dowdy usiłują ich powstrzymać, dopóki ciebie tam nie będzie. - Willie wyrzucił ręce w górę i wybiegł na zewnątrz.

Gil pognał za nim. Chwycił kurtkę przebiegając obok wieszaków.

- Strzelbę masz w swoim biurze! - ryknął Dugan rzucając się za nimi. - Przyniosę ci ją!

Gil dosiadł konia i spotkał się z Duganem na podwórku.

- Dzięki. W porządku Willie, w drogę!

Pojechali na północ między drzewami u podnóża wyższych pagórków. W końcu wyjechali na małą polankę, gdzie się zbrali mężczyźni. Gil wjechał w sam środek i uniósł strzelbę do góry.

- Lepiej mi do cholery jasnej wyjaśnijcie natychmiast, co tu się dzieje! Henry?

Henry przeciągnął rękawem po czole.

- Te popędliwe młokosy chcą udekorować topolę Russellem!

- Odetnij go, Dowdy.

Mężczyźni zaczęli pomrukiwać i tłoczyć się wokół niego.

Gil uniósł winchester i odciągnął kurek.

- Będę strzelał, jeżeli jesteście aż tacy głupi, żeby mnie do tego zmusić. - Oparł drugą dłoń na jukach. - Wiecie, że ni-

gdy tu nie przyjeżdżam bez broni. Kto chce być pierwszy?

Jake wystąpił do przodu.

- A niech to, przecież ten sukinsyn od miesięcy podpalał nasz obóz i mógł pozabijać kobiety!

- Spędzi tę noc w więzieniu w Oregon City. - Gil skierował konia do Olleya Russella, który sam siedział też na koniu z pętlą na szyi i trząsał się dosłownie jak barani ogon. - Russell, jestem tu jedynym, który nie chce, żebyś wisiał. Powiedz mi, dlaczego postanowiłeś nas spalić, albo niech robią z tobą co chcą.

Olley Russell uniósł głowę do góry, oczy miał szkliste.

- Frannie jest moja - wychrypiął. - Te durnowate szczeciaki ciągle koło niej węszyły. Musiałem ich powstrzymać.

- Sam jesteś durnowaty. Ta dama nie chciała mieć z tobą nic do czynienia. - Gil skinął na Dowdy'ego, który zdjął Russellowi pętlę, niezbyt delikatnie.

- Dowdy, sprawdź mu więzy na rękach. Niech się ten sznur nie ześlizgnie.

- Tak, szefie. - Dowdy zacisnął sznur na nadgarstkach Russella. - Prędszej mu łapy odpadną, niż puści sznur.

Gil wypatrzył w grupie Vernona Riggsa.

- Vernon, chcesz kawałek z nami pojechać?

- Jadę, Gil.

W kilka minut później Gil ruszył w dół zbocza ciągnąc za sobą na linie Russella, za którym jechał Riggs. Gil tak naprawdę nie spodziewał się, żeby musiał kogoś zastrzelić, ale był na to przygotowany. Miał przed sobą długą noc i pewnie nie wróci do Gridley przed świtem.

Zanim zostawili za sobą górę Hood, zaczęło się zmierzchać. Kiedy przejechali przez most przy młynie w pobliżu miasta, Gil zatrzymał się.

- Dzięki ci za pomoc, Vernonie.

Vernon skinął głową.

- Postawię ci jedną albo i dwie whiskey. Na pewno chcesz z nim sam jechać?

- Ta żałosna namiastka człowieka - Gil obejrzał się na więźnia - nie potrafiłaby się teraz uwolnić nawet z beczki z wodą.

Wbił pięty w bok konia i pojechał dalej do Oregon City. Słodkich snów, Saro, pomyślał żałując, że jej tego nie może powiedzieć bezpośrednio.

- Przejrzyjmy materiały u Seatonów. Przydałaby ci się nowa suknia, a może nawet dwie - powiedziała Sara mierząc wzrokiem talię Phoebe.

- Właśnie się miałam brać za kolację. Może poszłybyśmy rano?

- Żebym się tylko wieczorem mogła wziąć do szycia. Po wczorajszej nocy Gil pewnie prześni aż do rana. - Zarzuciła na siebie pelerynę i podała Phoebe jej okrycie. - Muszę się czymś dziś wieczorem zająć.

- Pewnie powinnam wykorzystać to, że masz wolny czas - uśmiechnęła się Phoebe okrywając się peleryną. - Pożyczyłam moje stare sukienki Mary Hoffman, z myślą, że nie będą mi już potrzebne.

Sara roześmiała się.

- Powinnaś być mądrzejsza. - Wyszły z domu i ruszyły ulicą.

- Saro, chciałabym wybrać się z tobą, jak będziesz następnym razem odwiedzała dom rozpusty. - Phoebe uśmiechała się szeroko. - Po prostu bym go chciała sama zobaczyć.

- W porządku. Ciekawe, co Charles na to powie.

Phoebe wybuchnęła śmiechem.

- Poinformuję go o tym w odpowiedniej chwili.

Sara zatrzymała się na chodniku naprzeciw saloonu, wpatrując się w okno Gila.

- Musi być śmiertelnie zmęczony.

- Przynajmniej dowiózł tego człowieka do więzienia, za nim go powiesili.

- Phoebe postukała Sarę w ramię. - Chodźże. Nie mam za dużo czasu.

Sara niechętnie poszła za nią. Nie obchodziło ją, co myślał ludzie. Rano zanieś Gilowi śniadanie i dowie się, co się działo. Udały się do Seatonów i tam podeszły do materiałów w belach.

- Masz na myśli jakieś szczególne kolory?

Phoebe wyciągnęła rękę do jednej z bel.

- Ten łososiowy jest ładny.

- I dobrze by ci było w tym czerwonobrazowym.

- Saro - zawołała Alice Seaton spiesząc do niej - przysły książki do biblioteki!

- Dzisiaj?

- Nie. W piątek, ale tacy byliśmy zajęci, że rozpakowaliśmy skrzynki dopiero wczoraj. Położę je na ladzie.

- Dzięki, Alice. Zabiorę je do biblioteki, jak tylko tu skończymy. - Sara uśmiechnęła się do Phoebe. - Jaki miły podarunek dla miasta na święta.

- I nawet nie planowałyśmy, że mają przyjść akurat teraz. - Phoebe wyciągnęła dwie bele z całego stosu.

Alice wróciła.

- Widzę, że się zdecydowałyście.

- Z każdej długość na sukienkę, taką z zapasem - powiedziała Phoebe patrząc w dół.

Alice popatrzyła na Sarę i znowu na Phoebe, a na jej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia i uśmiech.

- Gratuluję, Phoebe. To wspaniała wiadomość.

- Alice, wołałabym jeszcze nie rozgłaszać. Jeszcze nie powiedzieliśmy dzieciom.

- Może się własnym językiem udławię, ale nie powiem słowa, dopóki mi nie pozwolisz.

Phoebe uśmiechnęła się.

- Będę ci wdzięczna. - Nie potrafiła oprzeć się łososiowej flaneli. Chociaż... nie musiała jej teraz kupować, w zupełności wystarczyłoby zrobić to po świętach.

Alice rozwinęła pierwszą, łososiową belę.

- Saro, czy widziałas się z panem Perrym po jego powrocie z Oregon City?

- Pewnie śpi. Rozumiem, że wrócił tuż po wschodzie słońca.

- Czy przeprowadzisz z nim wywiad do następnego artykułu? Wszyscy chcą się dowiedzieć, jak to było z pożarem w tamtym domu. - Alice nachyliła się do Sary. - Powinni byli pozwolić, żeby się spalił do cna. Nie potrzeba nam tutaj takich szumowin.

Phoebe odchrząknęła, ale Alice nie miała pojęcia, dlaczego Sara nagle pochłodziła i odeszła.

- Książki dla biblioteki są już opłacone, prawda?

- O, tak. Kiedy składałyście z Sarą zamówienie. Pamiętasz?

- Prawda. - Phoebe obejrzała się i zdążyła zobaczyć, jak Sara z naręczem książek zmierza do wyjścia. Podeszła pospiesznie do przyjaciółki i otworzyła przed nią drzwi. - Ona ich nie zna, Saro.

Sara uśmiechnęła się blado. A może przejechałabyś się ze mną w środę rano?

- To Wigilia Bożego Narodzenia. Wystarczy w przyszłym tygodniu?

- Tak. - Sara westchnęła. - Zaniósę je do biblioteki, zanim powiem coś, czego pożałuję.

- Do zobaczenia w domu.

- Uwinę się szybko. - Sara poszła drewnianym chodnikiem do hotelu i skierowała się prosto do biblioteki i wypożyczalni Harrisona. Może powinna poczekać, aż urządzią jakąś uroczystość z okazji zdobycia nowych książek. Właśnie kładła nabytki na jednym ze stołów, kiedy zauważyła, że w wygodnym fotelu siedzi Gil. Był odwrócony do niej plecami.

- Gil? Ty nie śpisz?

Gil wzdrygnął się i podniósł oczy.

- Sara... nie słyszałem, jak wchodziłaś. - Odłożył pióro na papier, na którym coś pisał, kiedy Sara go objęła.

- Tak dobrze cię widzieć. Myślałam, że będziesz spał. - Pochyliła się, żeby go statecznie pocałować i zobaczyła list. *Moja najdroższa panno Lucy*, tak się zaczynał. To pismo. Wszędzie by je poznała! Położyła mu dłonie na ramionach i odepchnęła go od siebie. - Ty!

- Mogę to wytłumaczyć. Właściwie tym właśnie się zajmowałem, kiedy weszłaś. - Boże, jaka była zła. Żałował, że nie zdążył dokończyć listu.

- Ależ ja byłam głupia. Dobrze się musiałeś uśmieć, jak przyniosłam ci jeden z twoich własnych listów z prośbą o radę. - Chodziła tam i z powrotem po pokoju. - Taka byłam niemądra. Nigdy mi na myśl nie przyszło... że ty mógłbyś...

- Że nie jestem tylko tępym barmanem? - Drwiąco się do niej uśmiechnął. To ją powstrzymało, ale tylko na moment. - Przyznaję, że chodziło mi o żart, ale ten żart szybko stał się czymś więcej, Saro, czymś dużo więcej.

- Pewnie nową salonową grą? - Przeciągnęła palcami po włosach i znowu zaczęła chodzić tam i z powrotem. - Boże, ależ ja byłam tępa.

- Poznaliśmy się lepiej dopiero wtedy, jak mnie postrzelili. - Wiedział, że naraża się na następny wybuch wściekłości i wstydu, ale lepsze to niż gdyby miał wyciągać ją na dwór. Stał jej na drodze, objął ramionami i ucałował czule w nadziei, że przypomni sobie, jak dobrze do siebie pasują.

Sara stała nieustępliwie w jego ramionach, ręce miała przyciśnięte do boków, dłonie zaciśnięte w pięści. Kiedy pieścił i drażnił jej usta, uniosła ręce gotowa okładać go pięściami, ale nie mogła. Boże, kochała go. Ale jak mogła po tym, kiedy się dowiedziała, że tak ją wyprowadził w pole? Opór Sary topniał pod czułym atakiem na jej zmysły. Nie...

- Nie, nie, nie - powiedziała odpychając go. - Przyznaję. Twoja bliskość mnie ogłupia, ale dlaczego nie powiedziałaś mi w piątek, kiedy rozmawialiśmy ze sobą tak szczerze?

Odwrócił się i podniósł list.

- Przyszedłem tutaj, poszukać wiersza „Lucy Grey”. -

Uśmiechnął się do niej przepaszająco. - Ale nie zdążyłem.

Sara rzuciła jeszcze raz okiem na list i uświadomiła sobie, że jest dopiero zaczęty.

- „Cóż nazwa znaczy?” - Napotkała jego spojrzenie. - Pasuje, czyż nie?

Przytaknął.

- Bardzo, moja najdroższa panno Lucy. - Na to się zaczerwieniła. - Wydaje się, że oboje mieliśmy swoje sekrety, prawda?

- Skąd wiedziałeś? Tak bardzo się starałam... - Znowu uśmiechał się tym swoim diabelskim uśmiechem i miała ochotę nim potrząsnąć.

- Twój sposób pisania. Twój styl. Podejrzewałem coś od pierwszego artykułu panny Lucy. To dlatego zacząłem pisać do niej... do ciebie, w nadziei, że podstępem uda mi się nakłonić cię, żebyś przyznała, że pod oboma nazwiskami piszesz ty. Złapałem się w swoją własną pułapkę.

-I dobrze ci tak, Gilu Perry - powiedziała grożąc mu palcem.

Jej dłoń była naga. Zdjęła obrączkę. Serce mu waliło, kiedy zadawał jej pytanie:

- No i co teraz zrobimy? Z dobrych źródeł wiem, że jesteś wierną zwolenniczką wolnej miłości. - Patrzył w jej piękne niebieskie oczy, a one robiły się wielkie niczym talerzyki.

- Tak... - Zwilżyła wargi. - Tak napisałam, i-to-właśnie-miałam-na-myśli. - Ostatni fragment wypowiedziała tak, jakby to było jedno słowo.

- Mężczyźni uprawiali ją od wieków. Dla nich to nic nowego. - Ucałował jej jasną, gładką szyję, potem przesunął wargami do góry i lekko przygryzł zębami ucho szepcząc: - Ale wolałbym mieć cię za żonę.

Sara zadygotała tak gwałtownie, że musiał ją podtrzymać.

- Tak, Gilu. Ja też tego chcę. - Oplotła go w pasie ramionami i mocno przytuliła.

Temperatura jego pieszczot szybko rosła i przycisnęła wargi do jej pulsujących skroni.

- Zaczynamy przyciągać uwagę widowni. - Pokazał głowę na drzwi, przy których zbierali się ludzie.

- Ciekawe, co by nam poradziła panna Lucy?

Roześmiał się.

- Oddalić się z wdziękiem i głową zadartą wysoko.

Sara też się roześmiała.

- Nie wspominałam ci o tym, ale Phoebe i ja mówiłyśmy o panu Brownie: „pan poeta”. - Rozchichotała się. - Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć jaką minę zrobi, kiedy jej powiem, że on to ty. Guziki jej poodskakują.

- „Pan poeta”, też coś. - Podał jej ramię.

Z uśmiechem wzięła go pod rękę.

- A może wpadlibyśmy teraz do niej? Wolałabym później być z tobą sam na sam.

Przeprowadził ją obok zaciekawionych gapiów do holu. Kiedy wyszli na chodnik, przytulił jej rękę.

- Możemy wypróbować nowy zamek, który założyłem na drzwi.

Phoebe szeroko otwartymi oczami wpatrywała się z niedowierzaniem w pana Perry'ego.

- Ja... Jak to... Czy jesteś pewna, Saro? Przepraszam pana, tylko że to jest... - To co mówiła, kompletnie nie miało sensu, ale czuła się tak oszołomiona, że nie mogła pozbierać myśli.

Sara uśmiechnęła się szeroko do Gila.

- Nie mówiłam ci? - Roześmiała się. - Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłeś taka ogłupiała. Nigdy mi nawet na myśl nie przyszło, żeby podejrzewać Gila, a jego pismo zobaczyłam dopiero kilka minut temu. - Podała Phoebe list, który zaczął pisać w bibliotece.

Jak tylko Phoebe zobaczyła jego piękne pismo, poznała je.

- Bardzo świetnie wyszło panu to oszukaństwo. Naprawdę całkowicie nabrał pan i Sarę, i mnie.

- Wszystko zaczęło się jako nieszkodliwa psota, proszę pani. - Mrugnął do Sary. - Byłem pewien, że to ona pisze artykuły panny Lucy i chciałem, żeby się do tego przyznała.

Phoebe od lat już nie widziała Sary takiej szczęśliwej. Chyba osądzała pana Perry'ego zbyt surowo, co Charles próbował jej wytłumaczyć.

- Czy Charles wiedział?

Gil potrząsnął głową.

- Nikt nie wiedział. To dlatego nadawałem listy z Fenton's Crossing.

- Rzeczywiście - powiedziała Sara, ponieważ przypominając sobie ten dzień, który spędziły z Phoebe na poszukiwaniach pana Browna. - Dlaczego tam?

- Było mi po drodze z obozowiska do miasta. - Uśmiechnął się szeroko do Sary. - Nawet pomyślałem, że możesz się kiedyś wyprawić na poszukiwania pana Browna. Ale przecież nie mogłem przewidzieć, że mnie postrzelą i przestanę pisać listy. - Nakrył ręką dłoń Sary, którą opierała na sofie.

Sara musnęła kciukiem jego palec.

- Więc Jack też nie wiedział?

- Nikomu nie powiedziałem. Poza tym, kto by w to uwierzył?

- Musicie oboje zostać na kolacji. - Phoebe oddała Sarze list i wstała. - Rozgośćcie się.

- Pomogę ci.

- Nie ma potrzeby. Wszystko jest gotowe. Chcę tylko porozmawiać z Corą.

Phoebe pospiesznie wyszła przez kuchnię na tylne podwórko. Znalazła Corę i wysłała ją, żeby sprowadziła do domu ojca na kolację z panem Perrym. Ociągała się chwilę na podwórku, wciąż zdumiona, że pan Perry był w stanie tak skutecznie wywieść je obie w pole. Sara zakochała się w nim dwa razy, uświadomiła sobie Phoebe. Nic dziwnego, że nie przestaje promienieć. 2 pewnością będzie miała więcej do powiedzenia. Później.

Gil z przyjemnością zjadł kolację z rodziną Abbottów. Phoebe tym razem nie była już zimna i daleka. Były z Sarą sobie tak bliskie, że na pewno w przyszłości spędzą jeszcze wiele wieczorów razem. Resztę tego dnia chciał jednak po- być z Sarą. Tylko z nią.

- Pani Abbott, dziękuję pani za wspaniały posiłek, ale ro- bi się już późno. - Wstał i pomógł wstać również Sarze.

- Tak, naprawdę musimy już iść. - Sara pocałowała Co- rę na dobranoc i przytuliła Phoebe. - Idziemy się przejść. Do zobaczenia później.

Charles potrząsnął dłonią Gila.

- Nieczęsto się zdarza, żeby ktoś nad Sarą wziął górę. Je- stem pełen podziwu dla ciebie.

- Muszę przyznać, że się świetnie bawiłem.

- Dobrze, że o tym nie wiedziała, kiedy ci grzebała w środ- ku.

- Coś takiego! - powiedział Gil ze śmiechem. - Na przy- szłość będę ostrożniejszy.

Gil i Sara pożegnali się i poszli pod rękę w kierunku rze- ki, jakby to był letni wieczór, a nie wietrzna noc w wigilię zimy.

- Czy powiedziałaś jej, że się pobieramy?

Oparła mu głowę na ramieniu.

- Nie. Uznałam, że Phoebe wystarczy nowin jak na jeden wieczór. Nie będziesz miał mi za złe, jak powiem jej jutro?

- Sądząc po tym, jak na ciebie patrzyła, pewnie sama już podejrzewa. - Zatrzymał się i odwrócił do niej. - Nie chcę długiego narzeczeństwa, Saro.

- Mam w kufrze zapakowaną ładną sukienkę. - Wsunęła mu ręce pod marynarkę i przytuliła mocno. - Zachowywa- łam ją na szczególną okazję. Żadna nie może się równać z tą.

- Wziąłbym cię w jednej koszuli, żebyśmy tylko mogli się

zobaczyć z duchownym za dzień czy dwa. - Łagodnie nakrył jej wargi swoimi.

Sara zadrżała na jego czułość.

- Porozmawiam rano z Phoebe. Moglibyśmy wyjechać w południe. Gdzie weźmiemy ślub?

- Może w Fenton's Crossing? Wydaje mi się, że jest tam sędzia pokoju. I nie jest to daleko.

Sara roześmiała się.

- Brzmi idealnie.

- Zobaczmy, czy zamek w drzwiach dobrze trzyma. - Ujął Sarę za rękę i szybko poprowadził ją do swojego pokoju. Rozdmuchał ogień w piecu.

Sara zapaliła lampę na jego biurku. Po raz pierwszy odkąd je zobaczyła, nie było na nim żadnych zapisków, niczego pisanego ręcznie, żadnej próbki jego pisma, którą mogłaby poznać. Szczęknął zamek. Sara uśmiechnęła się i odwróciła, kiedy wyciągał do niej rękę.

- Miałeś zamiar dziś wieczorem pracować?

- Nie. - Zsunął jej pelerynę z ramion i upuścił na biurko. - Planowałem dać ci ten list dziś wieczorem - powiedział cicho. Przesuwał dłońmi po jej rękach, patrzył w połyskujące oczy Sary. - Jesteś taka śliczna - powiedział spletając palce z jej palcami.

- Nic o tym nie wiem, ale cieszę się, że tak myślisz. - Nie puszczając jego dłoni założyła ręce za swoje plecy. - Nie masz pojęcia, jak bardzo starałam się ignorować twój diabelski uśmiech. Kiedy dowiedziałam się o domu rozpusty, nie potrafiłam sobie wyobrazić, żebyś musiał tam się udawać w poszukiwaniu towarzystwa. Jesteś chyba przyzwyczajony do tego, że kobiety się do ciebie zalecają.

Gil zaśmiał się.

- Tak jak ty to robiłaś?

- Byłeś stanowczo za bardzo pewny siebie. - Skrzyżowała ich nadgarstki przywierając do niego całym ciałem. - Moja ciekawość wzięła wczoraj górę. Pojechałam do Vonney.

Gil uniósł w górę jedną brew.

- No i?

- Spodobała mi się. Frannie powiedziała, że jesteś dla nich jak brat, chociaż nie wydaje mi się, żeby podziw Vonney dla ciebie był ściśle siostrzany.

Roześmiał się i tulił ją górnymi partiami ramion.

- Czy mogę tam jeszcze kiedyś bezpiecznie pojechać?

- Nie dziś wieczorem. - Przywarła do niego biodrami i czuła, jak reaguje na jej milczącą prośbę. Krew Sary krążyła szybciej, rozniecając coraz silniej płomień jej pożądania.

Lekko, jakby piórkiem muskał, wodził wargami po jej wargach, aż jęknęła, a wtedy chciwie nakrył ustami jej usta i zagłębił się w nich, a jego biodra kołysały się w kontra-punkcie do jej ruchów. Sara poddawała się i droczyła się z nim, i uwodziła go, on zaś z coraz większym trudem trzymał w ryzach palące pragnienie.

Czuła mrowienie w wargach. Gil uniósł ją w górę i rozpalonymi ustami zawędrował na pierś Sary. Kręciła się i obracała, rozpalając ich jeszcze silniej. Przeszywały ją drobne dreszcze, zapowiedź rozkoszy, która w niej narastała.

Gil puścił jej dłonie i poprowadził Sarę do łóżka, rozpinając pasek przy jej spódnicy. Potem rozluźnił wiązadła przy licznych halkach i poczuł, jak ręce Sary wypalają na nim piętno wyłączności, kiedy rozpinała mu guziki przy spodniach.

- Jeżeli nie będziemy uważali, z naszych ubrań mogą zostać strzępy. - Ściągnął marynarkę i rzucił w drugą stronę pokoju.

- Ciągle mi się przypomina, jak cię kapałam.

- To jeden z długów, na spłacenie którego nie mogę się doczekać - powiedział z zapałem.

Sara wychodziła właśnie ze spódnicy i ściągała z siebie stanik i reformy; na głęboki timbre głosu Gila osłabły jej nie pewne już kolana. Stała przed nim w jednej koszuli, przepełniona pragnieniem, i wpatrywała się w jego zniewalające ciało. Wyciągnęła rękę i lekko dotknęła blizny, potem zdjęła przez głowę koszulę i upuściła na podłogę.

Gil aż się wyprężył pod dzikim przypływem namiętności i trawiącego go pożądania. Na tle delikatnej poświaty od świecącej za jej plecami lampy Sara wydała mu się migotliwym obrazem. Nie było w jej pozie ani zarozumiałości, ani zażenowania, kiedy pozwalała mu doceniać swoje zaokrąglone, kształtne ciało w całej okazałości. Była piękna ponad wszelkie wyobrażenie... Przeszedł go dreszcz.

- Saro...

- Nie widziałam jeszcze jednej bardzo ważnej części twojego ciała. - Rozpięła guziki przytrzymujące jego kalesony i z żywą radością patrzyła, jak bardzo jest gotów. - Stanowczo wolę cię w takim stanie niż w tym, z którym się tak dobrze zapoznałam.

Gil odrzucił szorstki koc i wyciągnął do niej rękę.

- Chodź tutaj.

Przyszła do niego, usta miała wygięte w lekkim uśmiechu. Jak tylko wziął ją w objęcia, żar, który palił jego ciało, złagodniał, wzmógł natomiast szaleńcze pożądanie, które wrzało w niej. Opadła na łóżko razem z nim i wreszcie poczuła na sobie ciężar jego napiętego do ostateczności ciała. Przesunęła palcami po gładkich plecach i wodziła podbiciem stopy po jego nodze.

Gil skubał ją zębami i kosztował, i badał każdy kawałeczek kuszących wypukłości, i gładził wewnętrzną stronę jej miękkich jak jedwab ud. Sutki Sary nabrzmiewały mu pod językiem i w ten sposób doprowadził ją do rozgorączkowanej błogości. Zapach miała intensywny, a smakowała jak zaprawione miodem wino.

Dygotała teraz, przeistoczona w splot stapiających się wrażeń, z których każde było rozkoszne i doprowadzało niemal do utraty sił. Nagle oblała ją przelotna fala spełnienia; Sara z trudem chwyciła powietrze.

- Gilu... proszę, teraz.

- Tak, Saro - powiedział i wbił się w nią. Jęknął, kiedy zacisnęła się wokół niego i wygięła plecy w luk. Wysunął się

i pchnął głębiej, i znowu, i znowu. Sara wiła się i krzyczała w krańcowej rozkoszy, kiedy poddał się pulsującej mocy własnego spełnienia.

Brakowało jej tchu, chwytała ustami powietrze podobnie jak on; byli rozkosznie osłabieni. Uniosła dłoń, żeby przeczesać mu palcami gęste włosy i ten gest niemal do cna wyczerpał resztki jej sił. A kiedy Gil się lekko poruszył, po jej ciele rozplynęła się następna fala srebrzystej rozkoszy.

Leżał obok niej, głowę opierał na ręce, drugą przyciskał ją do siebie na całej długości.

- Pewnie już czas, żebyś się zabrał za budowę domu.

- Mm, jak to miło brzmi. - Otworzyła oczy. - Na ziemi, którą kupuję od ciebie!

Uśmiechnął się radośnie.

- Jesteś pewna?

- Och, tak. Z tobą ten dom będzie skończenie doskonały. Czy chcesz mieszkać tutaj, czy u Elsie, zanim będziemy się mogli wprowadzić?

- Nie mogę cię prosić, żebyś zamieszkała tutaj. Wiesz, co by ludzie gadali. - Lekko się do niej uśmiechnął.

Wsunęła nogę między jego kolana i opasała go ramionami.

- Mężczyźni zaczną puszczać do ciebie oko i klepać cię po plecach, a kobiety będą szeptały zza urękawicznionych dłoni, zastanawiając się, co naprawdę dzieje się tu na górze.

- Przycisnęła wargi do krętych włosów porastających jego pierś. - Byłam tu z tobą szczęśliwa.

Musnął ręką jej brzuch i biodro.

- Kocham cię, Saro Hampton... Perry.

- A ja ciebie - powiedziała i przekręciła go na plecy. - Teraz moja kolej na górze.

Roześmiał się trzymając ją mocno na sobie.

- Och, Saro, warto było na ciebie czekać. - Ujął w dłonie śliczną twarz i pocałował z niepohamowaną żądzą.

Nie miało to być małżeństwo z wyrachowania.

Epilog

Były ósme urodziny Lucy Perry. Dziewczynka radośnie uśmiechnęła się do Clarindy Abbott.

- Teraz mam już tyle samo lat co ty!

- Wciąż jeszcze jestem o dwa miesiące starsza, ale to nie-dużo. I zawsze będziemy w tej samej klasie w szkole.

- Słyszałam, jak mama i ciocia Phoebe umawiały się, że-by zabrać nas z wizytą tam, gdzie dorastały. Hrabstwo Jackson w Illinois. Pojedziemy pociągiem i będziemy w nim spały.

Lucy otrzepała z trawy błękitną pelerynkę Linnet i posadziła sobie lalkę na podołku.

- Mama powiedziała, że ona i ciocia Phoebe miały do-kładnie takie peleryny. Śliczne, prawda?

- Może nam też zrobią takie okrycia. - Clarinda posadzi-ła sobie Esmee na kolanach i rozłożyła spódniczkę lalki. - Na Boże Narodzenie.

- Poprosimy nasze mamy przed moim urodzinowym przy-jęciem.

- Dobrze - powiedziała Clarinda. - Mama opowiadała mi, jak sobie obiecały z ciocią Sarą, że zawsze będą przyjaciół-kami, ale nie potrafię sobie wyobrazić mamy jako dziew-czynki.

- Wszystkie damy musiały kiedyś być dziewczynkami - za-chichotała Lucy.

Clarinda rozejrzała się dookoła, potem szepnęła:

- Czy znalazłaś te listy, o których rozmawiały nasze mamy?

Lucy kiwnęła głową.

- Mama obwiązała je ładną, czerwoną wstążeczką. Przy-

niosłam ci jeden, żebyś mogła zobaczyć. - Wyciągnęła zwinętą kopertę z kieszeni i podała Clarindzie. - Cała masa miłosnych bzdurek, nic więcej.

Clarinda rozłożyła list na trawie.

- „Moja najdroższa panno Lucy.” - Westchnęła. - To takie romantyczne. - Opadła na plecy i wpatrzyła się w samotną chmurkę na czystym, niebieskim niebie. - Moja najdroższa Clarindo...

- Chcesz - zachichotała znowu Lucy - żebyś powiedziała Thomasowi Wellsowi, żeby napisał do ciebie taki list?

Clarinda wyprostowała się.

- Żebyś się nie ośmieliła! Umarłabym!

- Nie zrobię tego. - Lucy zwinęła list i wetknęła go z powrotem do kieszeni. - Ciekawe, jakie ciasto upiekła na moje urodziny ciocia Phoebe.

- Pewnie z jagodami. To twoje ulubione - powiedziała Clarinda podnosząc Esmee. - Czy pytałaś ciocię Sarę o moje imię? Ja znowu pytałam mamę, ale ona tylko się uśmiecha tak zabawnie i mówi: „To ładne imię.”

- Moja mama powiedziała: „To śliczne imię”, a potem rodzice uśmiechnęli się do siebie, a ona zapytała papę, czy ona wciąż jeszcze jest w saloonie.

Clarinda patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

- Chcesz powiedzieć, że jakaś dama była w saloonie? Pan Young nie wpuściłby tam kobiety.

- Tak powiedziała.

Clarinda pokazała zęby w uśmiechu.

- Zakradnijmy się tam. Chciałabym ją zobaczyć.

- Och, sama nie wiem. A jeżeli nas przyłapią? Papa pożądnie by mi wygarbował siedzenie.

- Och, przestań. - Clarinda przeturlała się na kolana. - Będzie świetna zabawa. Jak długo będziemy razem, nic nam się nie stanie.

- Ktoś nas zobaczy.

- Tylko szybciotko zajrzemy. Poza tym - powiedziała

Clarinda - ciocia Sara by się nie rozzłościła. Ona jest wolnomyślicielką.

- A co to znaczy?

- Nie musi robić tego, co każą inni.

Lucy przewróciła oczami.

- To ja też wiem. Papa zawsze powtarza, że nigdy nie wie, co ona robi.

- Nie chcesz zobaczyć tej pani?

Lucy wzruszyła ramionami.

- Pewnie chcę.

- Clarindo! Lucy! - wołała Cora idąc ku nim ścieżką. - Gdzie jesteście?

- Tutaj, Coro! - zawołała Lucy podnosząc się, żeby ją można było zobaczyć.

Cora pospiesznie podeszła do dziewczynek.

- Wszystkiego najlepszego, Lucy. - Ucałowała ją w policzek i podała jej pudełko. - To dla ciebie.

Lucy wpatrywała się w ładne pudełko.

- Nie przyjdiesz na moje przyjęcie?

- Przyjdę, ale chciałam, żebyś tę paczkę dostała już teraz. To nie jest prawdziwy prezent. - Cora uśmiechnęła się do obu dziewczynek. - Otwórz go.

Lucy odwiązała żółtą satynową wstążkę i uniosła pokrywkę.

- Co to jest? - zapytała Clarinda zniecierpliwiona powolnością Lucy.

Lucy postawiła pudełko i wyjęła pelerynę, a potem popatrzyła na Corę.

- Czy ty ją dla mnie uszyłaś?

- Nie, uszyła ją twoja babcia dla twojej mamy, kiedy była ona mniej więcej w twoim wieku. - Cora objęła ramieniem siostrzyczkę. - Nasza mama też miała taką, ale gdzieś ją zarzuciła. Ciocia Sara dała mi ją, kiedy miałam dziewięć lat. Pomyślałam sobie, że ci się spodoba, Lucy.

- Och, podoba mi się. Naprawdę, Coro. - Lucy po-

spiesznie objęła Corę i założyła pelerynę. - Jak wyglądam?

- Ładnie - powiedziała cicho Clarinda.

- Będziemy ją miały wspólnie. - Lucy założyła pelerynę na ramiona Clarindy. - Tobie też jest w niej ładnie.

- Chodźcie, dziewczynki, albo spóźnicie się na przyjęcie.

- Powiedz mamie, że zaraz przyjdziemy. - Lucy uśmiechnęła się do Clarindy.

Cora popatrzyła na nie surowo.

- Tylko żeby mi to było zaraz.

- Tylko dlatego że jesteś dorosła - spojrzała na nią Clarinda marszcząc brwi - nie musisz od razu mówić tak jak mama.

Cora potrząsnęła głową i twarz jej złagodniała w uśmiechu.

- Dorastanie nie jest takie złe.

Jak tylko Cora zniknęła im z oczu, Lucy wzięła Linnet na rękę.

- Może się wymienimy lalkami, tak jak zrobiły nasze mamy. Zawsze będę twoją najlepszą przyjaciółką. Żeby nie wiem co.

- A ja twoją, Lucy. - Clarinda pocałowała Esmee i zamieniły się lalkami. Potem Clarinda założyła pelerynę na Lucy.

- Ty ją załóż. To twoje urodziny.

Lucy włożyła Esmee do pudełka i ruszyły z powrotem do domu.

- Czy myślisz, że będziemy kiedyś takie stare jak nasze mamy?